

ZŁODZIEJ

**Isaac Bell w wyścigu o epokowy wynalazek,
który może zdecydować o losach nadciągającej wojny**

Rok 1910. Luksusowy transatlantyk „Mauretania” płynie do Nowego Jorku. Na pokładzie są dwaj niemieccy naukowcy, autorzy epokowego wynalazku. Isaac Bell, najlepszy śledczy agencji detektywistycznej Van Dorna, udaremnia próbę porwania uczonych, lecz wkrótce jeden z nich zostaje zamordowany. Kim jest morderca? Czym jest ten wynalazek, cenniejszy niż ludzkie życie? Dlaczego dwa gangi walczą o niego na śmierć i życie, a człowiek zwany Akrobatą usiłuje go wykraść za wszelką cenę? Rewolucyjna technologia może zmienić świat, ale kajzerowskie Niemcy, które zmierzają do światowej wojny, chcą jej dla siebie...

CLIVE CUSSLER

Najpopularniejszy i najbardziej lubiany autor powieści przygodowo-sensacyjnych świata. Jego bestsellery sprzedano w kilkuset milionach egzemplarzy. Są tłumaczone na 60 języków i publikowane w 105 krajach.

Podróżnik, badacz historii katastrof morskich, poszukiwacz zatopionych wraków, autorytet w dziedzinie żeglugi morskiej jest uosobieniem przygody, tak jak jego najstynniejszy bohater, Dirk Pitt.

Clive Cussler to jedyny autor, który od 40 lat nie schodzi ze szczytu list bestsellerów. W każdym tygodniu jego książki są w pierwszej dziesiątce list „New York Timesa”. Na każdą jego powieść czekają niecierpliwie wierni czytelnicy w każdym wieku. I każda zdobywa nowych.

Powieści Clive'a Cusslera

z Isaackiem Bellem

POŚCIG

SZPIEG

WYŚCIG

ZAMACHOWIEC

z Dirkiem Pittem

AFERA

ŚRÓDZIEMNOMORSKA

ATLANTYDA ODNALEZIONA

CERBER

CYKLOP

CZARNY WIATR

LODOWA PUŁAPKA

NA DNO NOCY

ODYSEJA TROJAŃSKA

OPERACJA „HF”

POTOP

SAHARA

SKARB

SKARB CZYNGIS-CHANA

SMOK

STRZAŁA POSEJDONA

ŚWIT PÓŁKSIĘŻYCA

VIXEN 03

WIR PACYFIKU

WYDOBYĆ „TITANICA”

ZABÓJCZE WIBRACJE

ZŁOTO INKÓW

z Samem i Remi Fargo

ZŁOTO SPARTAN

ZAGINIONE IMPERIUM

KRÓLESTWO

SKARBY GROBOWCÓW

Z archiwów NUMA

ARKTYCZNA MGŁA

BIEGUNY ZAGŁADY

BŁĘKITNE ZŁOTO

DIABELSKIE WROTA

MEDUZA

OGNISTY LÓD

PODWODNY ZABÓJCA

SZTORM

WĄŻ

ZAGINIONE MIASTO

ŻEGLARZ

z serii Oregon

DŻUNGŁA

KORSARZ

MILCZĄCE MORZE

MIRAŻ

STATEK ŚMIERCI

ŚWIĘTY KAMIEŃ

TAJNA STRAŻ

WYBRZEŻE SZKIELETÓW

ZŁOTY BUDDA

oraz

PODWODNI ŁOWCY

PODWODNI ŁOWCY 2

**CLIVE
CUSSLER**
JUSTIN SCOTT

ZŁODZIEJ

Przekład
JAN ZŁOTNICKI



Redakcja stylistyczna
Jacek Złotnicki

Korekta
Agnieszka Deja
Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Ilustracja na okładce
© Tom Hallman

Zdjęcie autora
© Rob Greer

Ilustracje
Roland Dahlquist

Tytuł oryginału
The Thief

Copyright © 2012 by Sendecker, RLLLP
All rights reserved.
By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc.
350 Fifth Avenue, Suite 5300 New York, NY 10118 USA

For the Polish edition
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Druk
EDIT Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5709-9

Warszawa 2016. Wydanie I

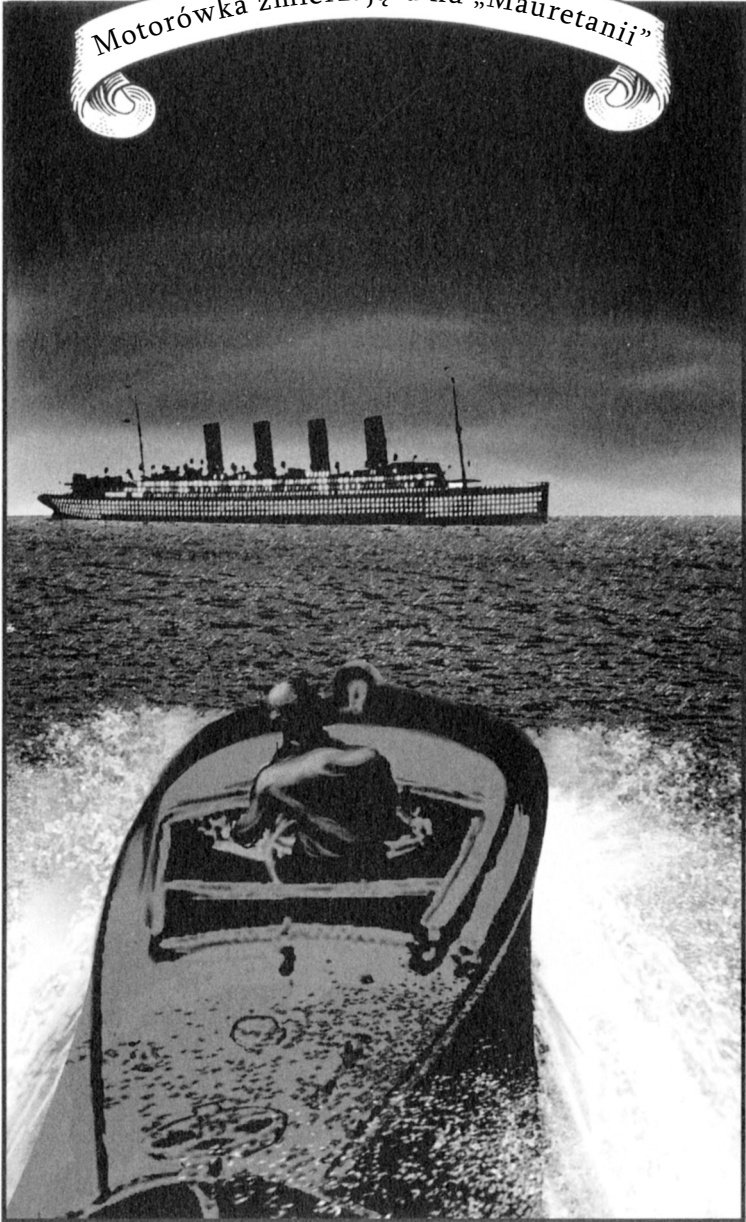
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Część 1

KINO DŹWIĘKOWE

Motorówka zmiierzająca ku „Mauretanii”



Rozdział 1

Transatlantyk Cunarda „Mauretania”
ujście rzeki Mersey

Słyszysz to?

- Co takiego? – zdziwił się Archie.
- Wyścigową motorówkę.
- Masz słuch jak nietoperz, Isaac. Ja słyszę tylko jakiś statek.

Isaac Bell, szczupły, wysoki blondyn po trzydziestce z nieskazitelnie wypielęgnowanym wąsem, podszedł do relingu i wpatrzył się w nieprzeniknione ciemności. Miał na sobie typowy strój podróżny statecznego przedsiębiorcy ubezpieczeniowego z Hartford w stanie Connecticut: dzienny tweedowy garnitur, kapelusz z niską główką i szerokim rondem oraz robione na zamówienie buty. Wąską talię zdobiła mu złota dewizka od zegarka.

- To nie statek.

Wracali do Ameryki na pokładzie cunardowskiej „Mauretanii”, najszybszego pasażerskiego liniowca świata, zdążającego do Nowego Jorku z ponad dwoma tysiącami pasażerów, osiemsetosobową załogą i sześcioma tysiącami worków z pocztą. Na dole, w rozpalonym mroku kotłowni, kilkuset rozebranych do pasa ludzi przerzucało szuflami węgiel, aby utrzymać ciśnienie pary i dokonać trwającego cztery i pół doby skoku przez Atlantyckie. Na razie jednak

statek poruszał się powoli, płynąc torem wodnym przez Ławicę Mersey z niewielką warstwą wody pod stępką, prosto w czarną noc. Sześć pokładów powyżej palenisk i sto pięćdziesiąt metrów od najbliższej śruby napędowej Isaac Bell wyraźnie słyszał odgłos motorówki.

Dźwięk zupełnie nie pasował do otoczenia. Był to rasowy warkot płynącej z prędkością trzydziestu węzłów łodzi wyścigowej, napędzanej benzynowym silnikiem w układzie V-8, zapewne angielskiej firmy Wolseley-Siddeley, jak przypuszczał Bell. Energiczny odgłos motoru byłby na miejscu podczas regat rozgrywanych w słoneczny dzień na Lazurowym Wybrzeżu, ale nie w ciemną choć oko wykol noc na szlaku przeznaczonym dla parowców.

Obejrzał się do tyłu, ale nie dostrzegł świateł żadnej jednostki, jedynie przyćmioną łunę nad Liverpooliem, ostatnim skrawkiem angielskiej ziemi, jedenaście mil za rufą liniowca.

W pobliżu statku, na przecięciu atramentowej wody z zachmurzonym niebem, nie było żadnego ruchu.

Daleko przed dziobem nieregularnie błyskała boja świetlna.

Odgłos motorówki ucichł. Podmuch wiatru wiejącego od Morza Irlandzkiego załopotał płachtami okrywającymi łodzie ratunkowe zawieszono za tekową poręczą relingu.

Archie uroczystym gestem otworzył złotą cygarnicę i wyciągnął dwie sztuki La Aroma de Cubas.

– Puścimy sobie dymka dla uczczenia sukcesu? – spytał, poklepując się po kieszeniach marynarki. – Chyba zapomniałem obcinacza. Masz nóż?

Błyskawicznym ruchem, krótszym niż mgnienie oka, Bell wyciągnął z buta nóż do rzucania i czysto jak gilotyną obciął końce hawańskich cygar.

Archie, czyli Archibald Angell Abbott IV, rudowłosy przedstawiciel nowojorskiej arystokracji, sprawiał wraże-

nie zamożnego dandysa. Była to jego typowa przykrywka, którą stosował, gdy podróżował ze swoją młodą żoną Lillian, córką najpotężniejszego amerykańskiego magnata kolejowego. W rzeczywistości pracował w Agencji Detektywistycznej Van Dorn, tej samej, w której głównym śledczym był Isaac Bell, ale o tym wiedzieli tylko kapitan statku i intendent.

Zapalili, kryjąc się przed wiatrem. Mieli co świętować. Udało im się pojmać hochsztaplera z Wall Street, którego machinacje spowodowały zamknięcie wielu fabryk i utratę pracy przez tysiące robotników. Oszust zbiegł do Europy, gdzie używał życia, opierając się na błędnym założeniu, że motto detektywów Van Dorna „Nigdy się nie poddajemy, nigdy!” traci moc za Wielką Wodą. Bell i Abbot dopadli go w kasynie w Nicei. Teraz, zamknięty w lwiej klatce wypożyczonej z cyrku – areszt na liniowcu był już zajęty – pod strażą konwojenta ze Służby Ochrony Van Dorn, wracał na Manhattan, gdzie czekał go proces.

Bell i Abbot, których łączyła długoletnia przyjaźń od czasu pamiętnego międzyuczelnianego meczu bokserskiego, kiedy to stoczyli zacięty pojedynek – Bell reprezentował Yale, a Archie Princeton – byli na pokładzie łodziowym zupełnie sami. Późna godzina, lodowaty wiatr i wilgotna mgła zagoniły pasażerów pierwszej, drugiej i trzeciej klasy odpowiednio do apartamentów, kabin i metalowych koi.

– Wracając do naszej rozmowy – zagał Archie nie do końca żartobliwym tonem. – Twój nieuchronnie zbliżający się ożenek z panną Marion Morgan wciąż jakoś odsuwa się w czasie.

– Jesteśmy poślubieni w naszych sercach.

Narzeczona Isaaca Bella pracowała w branży filmowej. Po nakręceniu relacji z pogrzebu króla Edwarda VII dla Picture World News Reels zdołała złapać ostatni „transatlantyki” pociąg z Londynu, dowożący pasażerów liniowca.

Negatywy z kamer, które rozstawiła na trasie konduktu, zostały błyskawicznie wywołane, wypłukane, wysuszone i skopiowane. Już wieczorem, zaledwie dziewięć godzin po złożeniu starego Bertiego do grobu, liczący sobie niecałe sto sześćdziesiąt metrów film był wyświetlany we wszystkich kinach na Piccadilly, a utrudzona pani reżyser zażywała gorącej kąpieli w apartamencie pierwszej klasy na pokładzie spacerowym „Mauretanii”.

– Nikt nie wątpi w żarliwość twych zalotów. – Archie mrugnął tak sugestywnie, że od kogoś innego od razu dostałby fangę w oko. – W dodatku tylko ślepiec mógłby przeoczyć olbrzymi szmaragd na jej palcu, świadczący o twoim wielkim zaangażowaniu. Jednak nie uszło uwagi przyjaciół, że od ogłoszenia zaręczyn minęło już sporo czasu... Czyżby brak śmiałości?

– Mnie jej na pewno nie brakuje – odparł Bell. – Zresztą Marion też nie – dodał pośpiesznie. – Oboje jesteśmy tak zapracowani, że nawet nie mieliśmy kiedy ustalić daty.

– Wobec tego teraz masz doskonałą okazję. Cztery i pół dnia na otwartym morzu. Nie zdoła ci się wymknąć. – Archie machał cygarem w kierunku przyćmionego mostka „Mauretanii” i ostrożnie zadał pytanie, tak jakby już w dniu zakupu biletów na tę podróż nie postanowili wraz z żoną sprowokować tej rozmowy: – Co powiesz na to, aby kapitan udzielił wam ślubu?

– Spóźniłeś się Archie, i to bardzo.

– Co masz na myśli?

Bell błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

– Już rozmawiałem o tym z kapitanem Turnerem.

– No to jesteśmy w domu! – wykrzyknął Archie i chwyciwszy dłoń Bella, potrząsnął nią energicznie. – Będę drużbą, a Lillian druhną. Mamy też cały statek gości weselnych. Zerknąłem na listę pasażerów. Na pokładzie znajduje się połowa nowojorskiej śmietanki towarzyskiej, a także sil-

na reprezentacja parów i baronetów Zjednoczonego Królestwa.

Uśmiech Bella nabrał bardziej zdecydowanego wyrazu.
– Teraz muszę tylko osaczyć Marion.

Archie, który wracał właśnie do zdrowia po postrzale, oznajmił raptownie, że idzie spać. Przepuszczając go przez drzwi prowadzące do zejściówki, Bell poczuł, że jego przyjaciół drży.

– Zejdę razem z tobą.

– Szkoda dobrego cygara – zaoponował Archie, chwytając się mocno poręczy. – Dopal spokojnie, dam sobie radę.

Bell nadstawił ucha, aby się upewnić, że Archie bezpiecznie dotarł na dół schodni. Potem wrócił na pokład, wsłuchując się w odgłosy morskiej toni.

Wychylił się przez reling. Dwadzieścia metrów niżej woda wirowała w światłach pilotówki, która zbliżała się do burty, buchając dymem i parą. Jej sternik umiejętnie dobił dziobem do wznoszącego się nad nim niczym ruchome czarne urwisko nitowanego kadłuba „Mauretanii”. Po wyprowadzeniu wielkiego parowca z koryta rzeki i dalej, poza piaszczystą ławicę, pilot zszedł ze statku po linowej drabince z drewnianymi szczeblami. Operacja została przeprowadzona bardzo sprawnie i już po minucie czy dwóch obie jednostki odpadły od siebie. Mniejsza wygasła światła pokładowe i zniknęła za rufą, a większa zaczęła nabierać prędkości.

Bell nadal podejrzliwie wpatrywał się w noc i wtedy znów usłyszał warkot ośmiocylindrowego silnika. Tym razem dobiegał ze znacznie mniejszej odległości, najwyżej czterystu metrów, i zbliżał się szybko. Po chwili motorówka znalazła się nie dalej niż sto metrów od statku. Bell wciąż jej nie widział, ale słyszał, że płynie obok, dotrzymując kroku liniowcowi, co nie było łatwym zadaniem na rosnącej

fali. Wydało mu się dziwne, a także dość niebezpieczne, że łódź nie była oświetlona. Nagle ten stan uległ zmianie, lecz zamiast światła pozycyjnych w mroku zamrugła sygnałowa lampa Aldisa.

Rozdział 2

Isaac Bell spojrzął w górę na nieosłonięte skrzydło mostka, spodziewając się odpowiedzi ze strony „Mauretanii”. Nie zauważył tam jednak żadnego oficera ani marynarza, nikt nie zareagował na świetlne sygnały. Nie było też żadnej reakcji od strony przedniego masztu, którego niewidoczny wierzchołek wzbijał się na wysokość sześćdziesięciu metrów w mroczne niebo. Obserwator z bocianiego gniazda wpatrywał się przed dziób statku, a więc w przeciwną stronę od miejsca, gdzie padał wąski promień światła lampy Aldisa.

Nagle Bell dostrzegł odkos fali dziobowej, bielący się wyraźnie na tle ciemnej wody. Chwilę później zobaczył samą łódź, bardzo blisko burty statku. Była to faktycznie motorówka Wolseley-Siddeley. Nurzała się dziobem we wzburzonych falach, wzbijając pióropusze piany, ale wciąż parła naprzód, prowadzona przez sternika, który niewątpliwie znał się na rzeczy. Płynęła obok, dokładnie pod miejscem, w którym stał Bell. Trzynastometrowy, ostry jak nóż kadłub zostawiał na wodzie jasny, spieniony ślad śruby napędowej.

Za jego plecami rozległ się krótki, zdławiony okrzyk strachu. Bell obrócił się, obejmując wzrokiem pokład łodziowy. Teraz usłyszał jęk bólu i odgłos pospiesznych kroków.

Zza drzwi zejściówki, przy których pożegnał Archiego, wypadł zwarty kłęb ludzi pochłoniętych gwałtowną szarpaliną. Ich sylwetki mignęły w smudze światła sączącego się

z okien czytelni pierwszej klasy. Trzech wysokich osiłków ciągnęło dwóch mniejszych osobników ku relingowi. Bell usłyszał kolejny okrzyk, wezwanie pomocy, odgłos mocnego uderzenia i stłumiony jęk. Trafiony zgiął się wpół, trzymając się za brzuch. Potężny cios odebrał mu oddech.

Isaac, poruszając się w kompletnej ciszy, błyskawicznie pokonał dystans dzielący go od walczących.

Trzej mężczyźni byli tak skupieni na swoim zadaniu, że odnotowali pojawienie się postawnego detektywa dopiero wtedy, gdy jego prawa pięść z trzaskiem wylądowała na szczęce najbliższego z nich, powalając go na pokład. Bell obrócił się w miejscu i, ogniskując całą moc i ciężar ciała, wyprowadził miażdżący lewy sierpowy. Gdyby cios doszedł celu, dalsza walka przerodziłaby się w pojedynek jeden na jeden.

Ale przeciwnik Bella poruszał się z nadludzką szybkością. Zrobił unik, przez co pięść zamiast w głowę trafiła go w bark. Gigantyczna siła i tak powinna posłać go na deski pokładu, ale mężczyzna miał na ramieniu zwój grubej liny, której sprężyste włókna zamortyzowały wstrząs.

Ciemność eksplodowała szybką kontrą, zadana ze skoncentrowaną brutalnością kafara. Bell odchylił się w tył, osłabiając nieco uderzenie, ale impet omal nie wyrzucił go za reling. Przez chwilę widział w dole motorówkę przyklejoną do burty statku. Człowiek, który przed chwilą zbił go z nóg, włókł obie ofiary do relingu. Na krótką, warkliwą komendę jego współnik przeskoczył nad ciałem powalonego towarzysza i ruszył na Bella, aby go wykończyć.

W świetle padającym z biblioteki błysnął nóż.

Bell zsunął się z relingu, stanął na nogach i spróbował zejść z linii okrutnego pchnięcia. Ostrze o centymetry minęło jego twarz. Detektyw kopnął napastnika. Solidne trafienie poderwało mężczyznę w powietrze i przerzuciło nad relingiem. Wrzask bólu i panicznego strachu urwał się

wraz z obrzydliwym odgłosem ciała roztrzaskującego się o kadłub motorówki dwadzieścia metrów niżej.

Sternik natychmiast otworzył całkowicie przepustnicę i łódź przyspieszyła z rykiem silnika.

Isaac wyszarpnął spod marynarki samopowtarzalnego browninga.

– Stać! – krzyknął do zdumiewiająco zwinnego i silnego mężczyzny, widząc tylko jego zarys w ciemnościach. – Ręce do góry!

Przywódca napastników znów okazał się szybki jak błyskawica. Cisnął w Bella zwój liny, której sploty owinęły się na rękę trzymającej pistolet. Oswobodzenie się zabrało detektywowi krótką chwilę, ale to wystarczyło, aby tamten poderwał z pokładu nieprzytomnego współnika i wyrzucił go za burtę. A potem zaczął uciekać.

Bell rzucił z siebie linę i wycelował ponownie.

– Stój!

Napastnik wciąż biegł.

Detektyw czekał ze spokojem, aż uciekinier znajdzie się w smudze światła padającego z czytelnicy, chcąc trafić go czysto w nogę. Nie mógł chybić ze swego precyzyjnego Browninga No. 2 kaliber 9 mm. Jednak tuż przed dotarciem do oświetlonego miejsca mężczyzna klasnął obiema dłońmi o reling, wybił się wysoko jak cyrkowy akrobata i przepadł w ciemnościach.

Bell podbiegł do miejsca, w którym zniknął napastnik, i wyjrzał za burtę. Morze było czarne jak smoła, pasemka białej piany pojawiały się tylko tuż przy kadłubie „Mauretani”. Nie potrafił stwierdzić, czy mężczyzna utrzymuje się na powierzchni, czy poszedł pod wodę. W każdym razie, o ile łódź nie zawróci, a jej załoga nie będzie miała wyjątkowego szczęścia w poszukiwaniach, było mało prawdopodobne, aby zdołano go uratować, zanim lodowate wody Morza Irlandzkiego wysają życie z jego ciała.

Bell schował pistolet do kabury i zapiął marynarkę. Jeszcze nigdy nie przytrafiło mu się coś podobnego. Co opętało tego człowieka, że wyrzucił za burtę nieprzytomnego współnika, skazując go na pewną śmierć, a potem sam poszedł w jego ślady?

– Dziękujemy, wprost nie da się opisać, jak bardzo jesteśmy panu wdzięczni – zabrzmiał czyjś głos z barokową intonacją, znamionującą wytwornego wiedeńczyka. – Zachowaliśmy życie tylko dzięki pańskiemu refleksowi i odwadze.

Bell zerknął w dół na jakiś kształt, ciemniejszy od otaczającego go mroku.

– Szkoda, że nie ocalił nas pan, zanim załadował mi w bebechy. Czuję się jak po zderzeniu z tramwajem – odezwał się mrukliwie inny głos, tym razem z wyraźnym amerykańskim akcentem.

– Wszystko w porządku, Clyde? – zapytał wiedeńczyk.

– Wystarczy miesiąc kuracji w ramionach wykwalifikowanej blondynki, a dojdę do siebie – odpowiedział Clyde, stając chwiejnie na prostych nogach. – Dzięki, wyciągnąłeś nas pan z niełychych tarapatów.

– Chcieli was zabić czy porwać? – spytał Bell.

– Chodziło o porwanie.

– Z jakiego powodu?

– Długo by opowiadać.

– Nie mam żadnych planów na tę noc – rzekł detektyw z naciskiem, domagając się odpowiedzi. – Znacie tych ludzi?

– Tylko ze słyszenia i sposobu działania – odparł wiedeńczyk. – Jednak nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni, głównie dzięki panu, sir.

Trzymając ich ręce w mocnym uchwycie, Bell zaprowadził obu mężczyzn do palarni, usadził w sąsiadujących ze sobą fotelach i przyjrzał się dokładnie ich twarzom.

Amerykanin był młodym, wąsatym dandysem z rozczochną czupryną. Mógł mieć jakieś dwadzieścia dwa–trzy lata. Rano zapewne obudzi się z podbitym okiem i obolałym brzuchem.

Wiedeńczyk sprawiał wrażenie szacownego dżentelmena o miłej powierzchowności. Był w średnim wieku, miał wysokie czoło i inteligentne spojrzenie, wyzierające spoza zabarwionych na różowo szkieł pince-nez, które jakimś cudem wciąż utrzymywały mu się na nosie. Ubrany był w garnitur z dobrej tkaniny, koszulę z okrągłym kołnierzykiem i ciemny krawat. Z jego skromnym wyglądem kontrastowały ekstrawaganckie wąsy, zakręcone na obu końcach. Bell zaklasyfikował go jako naukowca i nie pomylił się, jak się wkrótce okazało. Jemu też zaczynał się już robić siniak na twarzy, a z rozciętej wargi sączyła się krew.

– Nie powinno nas tu być – powiedział wiedeńczyk, wodząc wzrokiem po obficie rzeźbionej boazerii i stiukowych ornamentach na suficie obszernego pomieszczenia, utrzymanego w stylu włoskiego renesansu. – To jest palarnia pierwszej klasy, a my podróżujemy drugą.

– Jesteście panowie moimi gośćmi – stwierdził krótko Bell. – O co w tym wszystkim chodzi?

Steward z obsługi palarni, który wyrósł jak spod ziemi, obrzucił chłodnym spojrzeniem pasażerów drugiej klasy, po czym, zwracając się do Bella, wyraził żal, że bar jest już nieczynny.

– Potrzebuję ręczników i lodu na obrażenia tych dżentelmenów – powiedział Isaac – a także natychmiastowej wizyty lekarza okrętowego i dużej ilości szkockiej, bez wody. Zaczniemy od whisky. Proszę podać całą butelkę.

– Ależ nie trzeba, nie trzeba – zaoponował pospiesznie Amerykanin. – Nic nam nie dolega, a pan miał już przez nas dosyć kłopotów. Powinniśmy już iść spać.

– Nazywam się Isaac Bell. A panowie?
– Proszę wybaczyć mi niezręczność – sumitował się wiedeńczyk, sięgając drżącymi palcami do kieszonki kamizelki. – Zdaje się, że podczas szamotaniny zgubiłem wizytówki – mruknął nieco nieprzytomnie, po czym zaprzestał poszukiwań i przedstawił się: – Jestem Beiderbecke, profesor Franz Bismark Beiderbecke.

Podali sobie ręce.

– Pozwoli pan, że mu przedstawię mego młodego asystenta, Clyde'a Lynds.

Młodzieniec wykonał błazeński salut. Bell przytrzymał jego dłoń w uścisku i popatrzył mu prosto w twarz taksującym wzrokiem. Lynds przestał się wygłupiać i odwzajemnił spojrzenie. Bell dostrzegł w nim siłę charakteru, niewidoczną na pierwszy rzut oka.

– Dlaczego chciano was porwać? – zapytał.

Mężczyźni popatrzyli niepewnie po sobie. Pierwszy odezwał się Beiderbecke.

– Możemy się tylko domyślać, że ci ludzie działali na zlecenie pewnego koncernu zbrojeniowego.

– Cóż to za koncern?

– Niemiecki – odparł Lynds. – Krieg Rüstungswerk GmbH.

Bell zwrócił uwagę na jego doskonały akcent.

– Skąd pan zna niemiecki, panie Lynds?

– Moja matka była Niemką. Kilkakrotnie wychodziła za mąż. W dzieciństwie mieszkałem jakiś czas na farmie mego ojca, który pochodził ze Szwecji, potem w Chicago, a najdłużej zabawiłem za kulisami nowojorskich teatrów. *Mutter* w końcu straciła głowę dla pewnego Austriaka, a ja wylądowałem w Wiedniu, gdzie przygarnął mnie łaskawy pan profesor.

– Szczerze mówiąc, panie Bell, miałem ogromne szczęście. Clyde jest niezwykle wybitnym naukowcem. Niektórzy

z kolegów wciąż zgrzytają zębami, że wybrał pracę w moim laboratorium.

– To dlatego, że jestem tani – zaśmiał się Lynds.

– Po co agenci firmy zbrojeniowej chcieli was uprowadzić? – spytał Bell.

– Żeby wykraść nasz wynalazek – wyjaśnił Beiderbecke.

– Jaki znów wynalazek?

– Nasz tajny wynalazek – odpowiedział Lynds, zanim profesor zdołał się odezwać, i zwrócił się do swego szefa: – Panie profesorze, przecież uzgodniliśmy, że najważniejsze jest zachowanie tajemnicy.

– Słusznie, słusznie, ale pan Bell tyle dla nas zrobił. Ocalił nam życie, ryzykując własne.

– O panu Bellu wiemy na razie tylko tyle, że niewątpliwie potrafi zrobić użytek ze swych pięści. Nalegam na utrzymaniu naszego przedsięwzięcia w sekrecie, zgodnie z wcześniejszą umową.

– Słusznie, słusznie. Oczywiście masz rację – przyznał profesor Beiderbecke, po czym z zakłopotaniem zwrócił się do Bella: – Pan wybacz, sir. Mimo swego wieku nie jestem obyty we współczesnym świecie. Mój błyskotliwy młody podopieczny zarzuca mi zbytnią łatwowierność. Oczywiście pan jest dżentelmenem. Oczywiście stanął pan w naszej obronie, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Z drugiej strony, nie powinienem zapominać, jak zostaliśmy potraktowani przez ludzi, którzy sprawiali wrażenie dżentelmenów...

– ...a tak naprawdę próbowali nas oskubać do gołej skóry – dokończył Lynds. – Przykro mi, panie Bell, ale sam pan rozumie. Nie znaczy to, że nie jesteśmy panu ogromnie wdzięczni za ratunek.

Isaac przywołał na twarz coś w rodzaju przyjaznego uśmiechu.

– Wdzięczność panów nie musi się manifestować ujawnianiem ważnych tajemnic.

Uprzejmą odpowiedzią zatuszował nurtującą go ciekawość. Postanowił dać im trochę czasu. W końcu, jak słusznie zauważył Archie, przez najbliższe cztery i pół doby nikt nie ruszy się z tego miejsca.

– Chodzi mi tylko o panów bezpieczeństwo – dodał. – Ludzie z firmy zbrojeniowej z isście wojskową precyzją zaplanowali śmiałe porwanie. Skąd zatem pewność, że nie spróbują ponownie?

– Nie zrobią tego, nie na brytyjskim liniowcu – odparł Lynds. – Gdyby to był niemiecki statek, moglibyśmy obawiać się zagrożenia ze strony załogi. Dlatego wybraliśmy brytyjską jednostkę.

– Czyżby próbowali już wcześniej?

– Tak, w Bremie.

– Jak udało się wam wymknąć?

– Mieliśmy szczęście – powiedział Lynds. – Zauważyliśmy, że depczą nam po piętach, więc odegraliśmy komedię z zakupem biletów na „Prinza Wilhelma”, a potem daliśmy nogę w przeciwnym kierunku, do Rotterdamu. Tam złapaliśmy angielski parowiec idący do Hull. Kiedy nasi prześladowcy zorientowali się, że nie ma nas na pokładzie „Wilhelma”, siedzieliśmy już w pociągu do Londynu.

Bell miał jeszcze wiele pytań, ale przeszkodziło mu przybycie lekarza. Tuż za nim do palarni wkroczył starszy oficer. Bell dyskretnie wylał zawartość swojej szklaneczki do sopluchki i teatralnym gestem napełnił ją ponownie.

Oficer z rosnącym niedowierzaniem słuchał relacji profesora i Lyndsa o trzech napastnikach, którzy zaatakowali ich, a następnie znaleźli się za burtą. Kiedy doktor zajął się rozciętą wargą Beiderbeckego i podbitym okiem Lyndsa, starszy oficer zwrócił się po cichu do Bella, popatrując znacząco na szklaneczkę whisky w jego dłoni.

– Trudno się oprzeć wrażeniu, że między tymi dwoma dżentelmenami doszło do gwałtownej sprzeczki, którą teraz próbują ukryć, opowiadając bajeczkę o akcie piractwa w Zatoce Liverpoolskiej.

Isaac pociągnął łyk szkockiej. Zamierzał nie tylko dotrzeć do sedna dziwacznej napaści, ale i poznać naturę zagadkowego wynalazku Beiderbeckego i Lyndsa, który niewątpliwie był jej przyczyną. Skoro porywacze utonęli daleko za rufą statku, Austriak i jego amerykański współpracownik szwedzko-niemieckiego pochodzenia stanowili jedyne dostępne źródło informacji. A że oficerowie „Mauretanii” ustępowali umiejętnościami śledczymi funkcjonariuszom policji z wiejskiego posterunku, nie chciał, aby wchodzili mu w drogę.

– No cóż... – zaczął oficer. Początkowo zachowywał się uprzejmie, wręcz z pewną nieśmiałością, jak przystało na przedstawiciela kompanii żeglugowej przymykającego oko na drobne grzeszki bogatych pasażerów. Teraz zmierzył Isaaca kamiennym wzrokiem, wyćwiczonym na karceniu młodszych oficerów. – Jeśli nikt nie wyskoczył, nie wypadł i nie został wyrzucony za burtę, ciekaw jestem, jak udało im się skłonić pana, panie Bell, do ubarwienia ich opowieści.

– Zrobiło mi się ich żal – odparł detektyw, unosząc szklaneczkę do ust. – Biedacy, byli tak zawstydzeni swoim zachowaniem... a ja już wypilem jedną czy dwie kolejki. – Zerknął do szklaneczki. – Pomyślałem sobie, że to może być nawet zabawne... – Spojrzał oficerowi prosto w twarz i uśmiechnął się z zażenowaniem. – Przyjemnie poczuć się bohaterem, choćby przez chwilę...

– Dziękuję za szczerą, panie Bell. Zapewne zgodzi się pan ze mną, że kiedy lekarz skończy swoją robotę, najlepiej będzie, jeśli pójdziemy wszyscy spać i nie będziemy zawracać nikomu głowę całą tą sytuacją.

– Krieg Rüstungswerk GmbH? – powtórzył Archie Abbot, który całe życie kursował regularnie między Ameryką i Europą. Ostatnio, przy okazji przedłużonego miesiąca miodowego, zakładał podwaliny pod zamorskie biura agencji Van Dorna. – To prywatna firma zbrojeniowa, ściśle powiązana z wojskiem. Zresztą trudno oczekiwać, by było inaczej, skoro produkują armaty, a cała Europa szykuje się do wojny.

Isaac Bell dołączył do niego w jadalni tuż po tym, jak przebrzmiał dźwięk sygnału wzywającego na śniadanie. „Mauretania” właśnie mijała Malin Head na północnym krańcu Irlandii. Zostawiwszy za rufą Morze Irlandzkie, liniowiec zakołysał się, tnąc dziobem długie atlantyckie fale. Windy i korytarze zahuczały od plotek o nadchodzącym sztormie.

– A dlaczego pytasz?

– Przypominasz sobie tę motorówkę, której nie słyszałeś wczorajszej nocy?

– Jak mam pamiętać, skoro jej nie słyszałem?

Bell opowiedział mu, co się wydarzyło. Archie nie krył rozżalenia.

– Psiakrew! Że też zachciało mi się wcześniej położyć do łóżka. Mówisz, że wszyscy trzej skończyli za burtą?

– Ten, który próbował mnie dźgnąć, drugi wyrzucony przez swojego szefa, no i sam szef, własnymi siłami.

– No to miałeś niezłą uciechę.

– Jak bardzo trzeba być obłąkanym, żeby z własnej woli rzucić się do morza?

Archie uśmiechnął się.

– Może przestraszył się faceta, który właśnie załatwił dwóch jego kumpli, a potem zaczął wymachiwać pistoletem?

Bell pokręcił głową.

– Przerażony człowiek nie traciłby czasu na wyrzucanie współnika za burtę. Nie chciał zostawić nikogo, kogo

moglibyśmy przesłuchać, wliczając w to samego siebie. Kompletne wariactwo.

– Jesteś pewien, że nie wskoczył do którejś z szalup?

– Najzupełniej. Wróciłem tam później i przyjrzałem się dokładnie. Był pośrodku dłuższego odcinka pokładu, gdzie nie ma żadnej łodzi. Od najbliższej dzieliło go z dziesięć metrów.

Archie nadzieiał na widelec kilka kawałków wędzonego śledzia.

– Chyba nie był wariatem, raczej fanatykiem. Krieg Rüstungswerk ma bliskie powiązania z kajzerowską armią. Jeśli zależy im na wynalazku profesora, to musi to być jakaś machina wojenna.

– Bez wątpienia chodzi o machinę wojenną.

– Mogli więc powierzyć zadanie jej wykradzenia oficerom armii. A oni fanatycznie wierzą w *der Tag*, czyli „dzień”, kiedy zaczną realizować „wołę działania” cesarza Wilhelma. Wszyscy dobrze wiedzą, co oznacza ta „woła działania”.

– W skrócie: „rozpoczęcie działań wojennych” – powiedział Bell. – Mimo to mam nadzieję, że pogłoski o wojnie w Europie pozostaną jedynie pogłoskami.

– Ja też – przyznał Archie. – Ale Anglia panicznie boi się niemieckich drednotów, a Cesarstwo Niemieckie ma bardzo ambitne plany. Kajzer kocha swoją armię, a wojsko rządzi społeczeństwem, tak jak w dawnych Prusach. Obowiązuje powszechna trzyletnia służba wojskowa, a mieszczanie mają takiego bzika na punkcie munduru, że wstępują do rezerwy tylko po to, by móc nosić się po wojskowemu.

– Ale to cywile, nie żołnierze, budują niemiecki przemysł.

– Zapewne miliony uczciwie pracujących Niemców wolą się bogacić i posyłać dzieci do szkół, zamiast iść na wojnę. Pytanie, czy kajzerowi uda się obudzić w nich du-

cha bojowego. Dość jednak tych pogaduszek o wojnie i tajnej bronii! Ośmielę się zadać ci najważniejsze pytanie: czy Marion się zgodziła?

– Jeszcze z nią nie rozmawiałem.

– No tak, byłeś zbyt zajęty wyrzucaniem łotrów za burtę. Ejże, dokąd to? Nie skończyłeś nawet śniadania.

– Muszę wysłać radiotelegram do naszego biura w Berlinie, zanim wyjdziemy z zasięgu łączności. Poproszę Artę Curtisa, żeby prześwietlił Lyndsa, Beiderbeckego i Krieg Rüstungswerk.

– Powodzenia. Biuro ma tylko jednego pracownika, którym jest właśnie Art. W dodatku dopiero co dotarł na miejsce.

– Art Curtis jest szybki jak strzała i przebiegły jak lis, a w dodatku doskonale zna niemiecki. To dlatego Van Dorn powierzył mu placówkę w Berlinie.

– Spotkajmy się potem w palarni. Musimy się zastanowić, jak wziąć twojego ślicznego byczka za rogi. Aha, jeszcze jedno. Co stało się z liną, którą cisnął w ciebie ten opryszek?

– Kiedy tam wróciłem, już jej nie było.

– Pewnie sprzątnął ją ktoś z załogi.

– Albo mieli jeszcze jednego współnika.

Bell wziął czysty blankiet z biura intendenta i napisał wiadomość. Nie chcąc ujawniać nikomu jej treści, osobiście zaniósł depezę do okrętowej stacji Marconiego, która znajdowała się na najwyższym pokładzie między kominami numer dwa i trzy.

Zasłona w oknie radiostacji, szara od węglowego dymu, powiewała na wietrze, kiedy Bell wkroczył do pomieszczenia, dzierżąc w wyciągniętej ręce banknot jednofuntowy, równowartość pięciu dolarów, czyli dwóch dniówek. Chciał w ten sposób zawczasu uniknąć pouczenia, że powinien

przekazać depeszę za pośrednictwem intendenta. Radiooperator, niebędący zresztą członkiem załogi „Mauretanii”, lecz pracownikiem Marconi Wireless Telegraph Company, oszczędził mu też komentarza odnośnie do nieczytelnej treści depeszy, która została napisana szyfrem.

Bell stał obok radiooperatora, kiedy ten wysyłał wiadomość kluczem Morse’a do lądowej stacji w Malin Head. Stamtąd miała zostać przekazana telegraficznie, najpierw drogą lądową, a następnie podwodnym kablem przez Morze Irlandzkie i kanał La Manche, by znów trafić na łącza telegraficzne na kontynencie i dotrzeć do berlińskiego przedstawicielstwa agencji Van Dorna. W zależności od tego, jak daleko w morzu znajdzie się „Mauretania”, odpowiedź Arthura Curtisa albo nadejdzie bezpośrednio z Irlandii, albo zostanie przekazana przez inne statki.

– Zdążyłeś na sam szczyt popisów mentorskich. – Archie powitał Bella, kiedy ten dołączył do niego w palarni. Późnym rankiem męski azyl pełen był jegomościów ćmiących cygara, fajki i papierosy, grających w szachy i w samotnika oraz czytających okrętową gazetkę. Słabe północne światło dzienne, przefiltrowane przez witrażowe szkło i kłęby dymu, padało na sofy, stoliki i fotele rozstawione na jasnozielonym dywanie. Dwaj mężczyźni w średnim wieku o zaczerwienionych twarzach sprzecali się coraz głośniej. Bell nadstawił ucha. W salonkach i wagonach barowych nawet najbardziej wstrzemięźliwi potrafili popaść w fanfaronadę, rozsiewając dokoła bezcenne informacje.

– Kim jest ten wysoki gość w tweedach? – spytał Archiego.

– To hrabia Strone, emerytowany oficer armii brytyjskiej.

– A jego zacierzwiony rozmówca?

– Karl Schultz, pangermański potentat węglowy, którego klasa robotnicza Zagłębia Ruhry nazywa niezbyt pieszczotliwie „kominowym baronem”. Zanim panowie kompletnie nas zagłuszą, pozwól, że dodam ci odwagi. Zaklinam cię, przyjacielu, wprowadź jasnowłosą Marion do bezpiecznej przystani, zanim ci gdzieś zdryfuje.

– Dziś o północy – powiedział Isaac Bell. – Wszystko przygotowane w najdrobniejszych szczegółach. Na początek szampan i muzyka.

– Szampan to świetny pomysł, ale skąd w środku nocy wytrzaśniesz orkiestrę? Nawet steward obsługujący trąbkę idzie spać po odegraniu wieczornego sygnału.

– Mam zamiar zaskoczyć ją za pomocą gramofonu.

– Czy tuba gramofonu wystająca ci spod marynarki nie popsuje niespodzianki?

– Tuba jest wykonana z kartonu, a całe urządzenie składa się i mieści w futerale nie większym od aparatu fotograficznego.

Archie popatrzył na Bella z podziwem.

– Twoja strategia jest nie do odparcia.

– Lillian już nie może się doczekać. Powiedz jej, że dziś w nocy będzie po wszystkim. To pewne jak w banku.

– Czy wypada, abyśmy tak wczesnym przedpołudniem wypili za twój sukces?

Bell chwilę wcześniej przywołał wzrokiem stewarda.

– Proszę dwa McEwan's Export.

– A niech mnie! – wykrzyknął Archie, zerwał się na równe nogi i pomachał ręką. – To ten bankier, Hermann Wagner. Podjął nas uroczystym obiadem podczas naszego miesiąca miodowego w Berlinie. *Herr Wagner*, zapraszam do nas!

Wagner podszedł do nich z uśmiechem na twarzy. Roztaczał wokół siebie aurę wytwornego berlińczyka, co nie uszło uwagi Bella. Stanowił eleganckie przeciwieństwo

swego nieokrzesanego rodaka, kominowego barona Karla Schultza. Podjęli swobodną wymianę zdań na temat obaw pasażerów związanych z rzekomo nadchodzącym sztormem, przy czym zgodzili się, że wzdłużne przechyły „Mauretanii” są istotnie dość znaczne jak na tak długi statek. Nagle ponad gwar panujący w pomieszczeniu przebił się głos hrabiego Strone’a.

- Na co Niemcom jeszcze więcej wielkich okrętów?
- Bo właśnie wybiła godzina narodzin potęgi Niemiec.

Zapadła cisza. Wszyscy obecni w palarni czekali na ripostę lorda Strone’a.

Anglik wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki. Otworzył kopertę, zerknął na tarczę i oznajmił ku wielkiej ucie-sze zebranych:

- Jeśli chodzi o godzinę, to jest wpół do jedenastej.
- Mówię o niemieckich dokonaniach – odparł dumnie

Karl Schultz. – Prześcignęliśmy Anglię w wydobywaniu węgla i produkcji stali, a nasi naukowcy zajmują dominującą pozycję w dziedzinie chemii i elektryczności. W Niemczech powstaje połowa światowej produkcji urządzeń elektrycznych. Mamy też przewagę w sferze kulturowej, w muzyce, poezji i filozofii.

– Przewaga, jak przypuszczam, to mocne słowo wśród marynarskiej braci. Prawdziwa siła manifestuje się pokorą – wtrącił spokojnym głosem przyjaciel Archiego, Hermann Wagner.

– Pokora jest dobra dla głupców – warknął Schultz. – Nie jesteśmy despotami, jak Rosjanie, ani słabowitymi demokratami, jak Francuzi. Z naszych osiągnięć wynika nasz mandat i misja, szczytna misja objęcia we władanie nowych kolonii.

– Dobry Boże, przecież macie Niemiecką Afrykę Wschodnią i Niemiecką Afrykę Południowo-Zachodnią.

O ile dobrze pamiętam, zgarniacie też całe srebro Togo-landu. Czego jeszcze chcecie?

– Król Leopold, władca małej Belgii, rządzi całym Kongiem. Niemcy żądają należącej części Afryki, Ameryki Południowej, Pacyfiku i Chin. Anglia posiada zbyt wiele i ten stan rzeczy trwa zdecydowanie zbyt długo.

Hrabia zacisnął wargi i zaczął podnosić się z miejsca.

Interweniował Hermann Wagner, łagodząc sytuację uśmiechem i dowcipem. Strone opadł z powrotem na fotel, burcząc jak rozdrażniony mastiff:

– Kolonie zostały już rozdzielone pomiędzy prawowitych właścicieli.

– Strone to znakomity aktor – powiedział Isaac do Archiego.

– Aktor? Co przez to rozumiesz?

– Stawiam dziesięć do jednego, że hrabia jest agentem brytyjskiego wywiadu wojskowego.

Abbot przyjrzał się uważnie Anglikowi.

– I dwadzieścia do jednego, że wcale nie w stanie spoczynku – dodał Bell.

Archie, który sam zostałby aktorem, gdyby interwencja matki nie powstrzymała go od opuszczenia kręgów socjety, pokiwał aprobująco głową.

– Bez dwóch zdań.

– Dążycie do wojny, chcąc dokonać nowego podziału łupów – powiedział Brytyjczyk do Niemca.

– Mocarstwa, które staną na drodze niemieckiej ekspansji, po czasowym osłabieniu w końcu dojdą do siebie i zaakceptują swoje miejsce w nowym porządku świata.

Lord Strone zwrócił się nagle do Isaaca Bella:

– Szanowny pan, jak przypuszczam, jest Amerykaninem.

– W istocie, mam honor nim być.

– Czy Stany Zjednoczone zaakceptują „nowy porządek”?

– Flota brytyjska panuje na morzach, a Niemcy mają najsilniejszą w świecie armię lądową – powiedział dyplomatycznie Bell. – Żywimy głęboką nadzieję, że zdołacie dojść do porozumienia w kwestiach spornych. A tak naprawdę – jego głos zabrzmiał stanowczo – oczekujemy, że to zrobicie.

– Nic z tego, dopóki Niemcy nie przestaną budować drednotów – odrzekł hrabia.

Policzki Schultza zapłonęły gwałtownym rumieńcem.

– Przytoczę słowa cesarza Wilhelma: nasze uzbrojenie musi być bez wad.

Hermann Wagner znów interweniował, obracając w żart pełne agresji zachowanie swego krajana.

– Gdyby jednak – co uchowaj Boże – Wielka Brytania i Cesarstwo Niemieckie weszły na kurs kolizyjny, po której stronie stanęłaby Ameryka?

– Po przeciwnej stronie Oceanu Atlantyckiego – odpowiedział Archie Abbot, wywołując wybuch wesołości wśród słuchaczy.

Berlińczyk zawtórował pozostałym, nawet kominowy baron uśmiechnął się półgębkiem. Ale lord Strone odezwał się tonem pełnym powagi:

– Spędzimy cztery doby na tym statku. „Mauretania” pędzi do Nowego Jorku z prędkością dwudziestu sześciu węzłów. Świat jest bliżej Ameryki, niż się to wydaje jej obywatelom.

– Ale nie dość blisko, byśmy nie zauważyli, że nadchodzi – stwierdził Bell.

Mężczyźni znów się roześmiali, łyknęli ze szklaneczek i wypuścili kłęby dymu z papierosów i cygar.

Ciszę przerwał Hermann Wagner, dając Bellowi do myślenia, dlaczego tak nieustępliwie drąży temat.

– Załóżmy, że Ameryka musiałaby wybierać, czy wręcz stanęłaby przed taką koniecznością. W którą stronę by się zwróciła?

– W stronę Niemiec – oznajmił Schultz. – Z żadnego kraju nie wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych tylu ludzi.

– Amerykanów i Anglików łączy więzy krwi i wielowiekowa tradycja – skontrował hrabia Strone. – Jesteśmy braćmi.

– Tak, tylko że Amerykanie zabijali swoich braci podczas wojny secesyjnej.

Isaac Bell i Archie Abbot wymienili ponure spojrzenia. Wyglądało na to, że wybuch wojny między dwoma imperiami, niemieckim i brytyjskim, to tylko kwestia czasu. Bóg jeden wie, czy wezmą w niej udział Francja, Rosja, Włochy i Austria. Natomiast obaj detektywi nie mieli najmniejszych wątpliwości, że Stany Zjednoczone powinny trzymać się z dala od chaotycznej polityki państw europejskich.

Isaac wyprostował się i popatrzył prosto w oczy niewątpliwie niebędącego w stanie spoczynku oficera wywiadu wojskowego. Brytyjczyk zapewne zdawał sobie sprawę, że czasy romantycznych szarż kawaleryjskich już dawno minęły. Następnie objął wzrokiem także obu Niemców i zwrócił się do całej trójki:

– Zanim zdecydujecie się na rozpoczęcie działań wojennych, powinniście zapoznać się bliżej ze skutkami zastosowania nowoczesnych karabinów maszynowych. Jeśli nie zdołacie się porozumieć, zmienicie Europę w rzeźnię.

– Czy pan pracuje w branży zbrojeniowej, panie Bell? – spytał Wagner.

– Nie, w ubezpieczeniach.

– O, doprawdy? Czy można wiedzieć, w jakim towarzystwie?

– Dagget, Staples i Hitchcock.

– Zaczyna firma – huknął lord Strone. – Ubezpiecza moje amerykańskie posiadłości. Powiedz mi jednak, przyjacielu, czy to normalne, że gość od ubezpieczeń posiada wiedzę

o skuteczności najnowszych modeli karabinów maszynowych?

– Do naszych klientów zaliczają się dwie fabryki zbrojeniowe z Connecticut i Massachusetts – odpowiedział bez wahania Bell – które prowadzą interesy z wytwórniami zagranicznymi. Na przykład w Anglii jest to Vickers – tu spojrzął na Strone’a, po czym zwrócił się do Schultza – a w Niemczech Krieg Rüstungswerk. Czy firma ta jest panu znana?

– Tylko ze słyszenia – odpowiedział Hermann Wagner, widząc, że kominowy baron ucieka wzrokiem.

– I co pan o niej słyszał?

– Innowacyjna – Wagner znów odpowiedział za Schultza. – Jak mówicie w Stanach, z entuzjazmem i pasją realizuje swoją misję.

Rozdział 3

Arthur Curtis, który prowadził jednoosobową filię Agencji Detektywistycznej Van Dorn w Berlinie, pochodził z Kolorado. Niewysoki, pulchny mężczyzna z promiennym uśmiechem, łagodnym spojrzeniem błękitnych oczu i okazałym brzuchem rozpychającym kamizelkę przypominał raczej dobrze prosperującego sprzedawcę spirytualiów niż wybitnego prywatnego detektywa.

Po otrzymaniu depezy od razu przystąpił do zbierania informacji na temat Beiderbeckego i Lyndsa. Zawsze miał zwyczaj natychmiast brać się do roboty, a już zwłaszcza wówczas, gdy chodziło o polecenie Isaaca Bella. Nigdy nie zapomniał, że kiedy bandyta zwany Rzeźnikiem zabił jego dawnego partnera, Glenna Irvine’a, to właśnie Bell, który w tej samej strzelaninie został dwukrotnie ranny, pokrył

z własnej kieszeni koszty dożywotniej opieki nad sędziwą matką zmarłego detektywa.

Curtis działał w Berlinie niecały rok i wciąż jeszcze pracował nad stworzeniem siatki kontaktów w sferach rządowych i biznesowych, a także w wojsku, policji i w kręgach przestępczych, aby berlińskie przedstawicielstwo dorównało wysokim standardom agencji Van Dorna. Mimo to zdołał szybko ustalić, że profesor Franz Bismark Beiderbecke zajmuje prestiżowe stanowisko kierownika jednej z katedr wiedeńskiego Cesarsko-Królewskiego Instytutu Politechnicznego, a liczne tytuły naukowe Clyde'a Lyndsa świadczą o tym, że jego mentor wcale nie przesadzał, przedstawiając go jako młodego geniusza.

Jednak próbując dowiedzieć się czegokolwiek na temat przedsiębiorstwa zbrojeniowego, trafił na ścianę. Podoficer policji, którego urabiał od pewnego czasu, zamilkł już po pierwszym pytaniu. Słyszac w słuchawce jednostajny szum, Curtis zastanawiał się, co oznacza ta nagła powściągliwość. W końcu policjant powiedział:

- To może być niebezpieczne.
- Niby co?
- Kiedy w Krieg Rüstungswerk GmbH dowiedzą się, że zadaje pan pytania na ich temat, może pana spotkać coś bardzo niemiłego.

To ostrzeżenie wyostrzyło zmysły Arthura Curtisa.

- To wszystko? – spytał.
- Tak, panie prywatny detektywie – odpowiedział Niemiec. – Nasza rozmowa trwa już o wiele za długo, *Herr Curtis*. Do widzenia.

Arthur odwiesił słuchawkę i wyciągnął swój ulubiony pistolet, starannie wykonanego lekkiego Browninga 1899, który idealnie leżał w jego małej dłoni. Rozłożył broń i zaczęła czyścić, dla przewietrzenia umysłu. Nagle rozległo się energiczne pukanie, niechybnie zwiastujące kłopoty.

– Już ci mówiłem – rzucił, nawet nie podnosząc wzroku, kiedy otworzyły się drzwi. – Idź sobie.

– Jestem tu dla pańskiego dobra – powiedziała Pauline Grandzau, wchodząc nieproszona. Zdjęła płaszcz i kapelusz i powiesiła je na wieszaku. – Potrzebuje mnie pan.

Art Curtis zgrzytnął zębami. W myślach nazywał ją Paulina Zaraza.

– Powtarzam po raz ostatni, nie potrzebuję żadnej dziewczyny w swoim biurze. A gdyby nawet, to nie siedemnastolatki, która prawdopodobnie kłamie co do swojego wieku i ma nie więcej niż szesnaście lat.

– Każdy sławny detektyw ma asystenta lub asystentkę.

Curtis popatrzył na nią znużonym wzrokiem. Ciągnęło się to już od kilku tygodni. Niska, chuda, piegowata dziewczynka z blond warkoczami i jasnoniebieskimi oczami, obdarzona temperamentem berlińskiego ulicznika, znów stała przed nim z pełnym nadziei uśmiechem.

– Nie jestem sławnym detektywem – powiedział Art, który był mistrzem w przywdziewaniu różnych masek. Teraz nałożył swoją ulubioną: gruboskórnego człowieka Zachodu. – W niczym nie przypominam wyrafinowanego Sherlocka Holmesa, którego przygodami się zaczytujesz. Urabiam sobie ręce po łokcie i lubię mieć święty spokój.

– Zatrudnienie asystenta jest pańskim obowiązkiem wobec społeczeństwa. Jak inaczej młodzi zdołają się nauczyć?

– Uważam, że z dziewczyny nie da się zrobić detektywa, a moje biuro to nie dobroczytna instytucja wychowawcza. Wynoś się stąd.

Przez ten czas Pauline podchodziła coraz bliżej. Teraz stała za jego plecami, zerkając mu przez ramię na dokumenty leżące na biurku. Spróbuj odczytać szyfr Van Dorna, pomyślał Curtis.

– Dobrze pan wie, że w końcu i tak mnie pan zaangażuje – powiedziała beztrosko. – Jestem panu potrzebna.

Doskonale mówię po angielsku. Uczę się bibliotekoznawstwa i mam dostęp do wielu źródeł informacji. Jestem wyśmienitą narciarką, trenował mnie mój dziadek, który mieszka w Alpach.

Curtis ukrył twarz w dłoniach. Domyślał się, co teraz nastąpi, i nie pomylił się. Dziewczyna zacytowała tego piekielnego Holmesa:

– Kiedy przeciwnik ma w ręku same atuty, lepiej oszczędzić sobie czas i odłożyć karty na stół.

– Wynocha!

Pauline Grandzau chwyciła płaszcz i kapelusz i wyszła, machając mu na pożegnanie. Art zamknął za nią drzwi na klucz. Jej angielski był całkiem niezły, ale nie tak dobry, jak sądziła. Zresztą nie potrzebował tłumaczki.

Przebiegł wzrokiem rosnącą listę znajomych, po czym zadzwonił do gadatliwego dyrektora banku, z którym zaprzyjaźnił się jakiś czas temu, i zaprosił go na piwo. Wkrótce siedzieli w ogródku piwiarni na giętych krzesłach w cieniu drzew, tocząc koleżeńską rozmowę. Od czasu do czasu stukali się cynowymi kufłami i obficie zasilali unoszącą się nad gośćmi błękitną chmurę cygarowego dymu.

Bankowiec wiedział co nieco o Krieg Rüstungswerk. Przedsiębiorstwem zarządzała stara pruska rodzina Roth, znana z dyskrecji, co nie powinno dziwić, zważywszy na branżę. Firma, nazywana potocznie Krieg, miała ściśle powiązania z wojskiem, dzięki dyskretnemu poparciu samego cesarza. Miała też inklinacje do kupowania innych firm, niezwiązanych z produkcją zbrojeniową. W przeciwieństwie do policjanta, dyrektor banku nie wspomniał o żadnym niebezpieczeństwie w związku z tematem rozmowy. Gdy Curtis podał mu rękę na pożegnanie, zamierzał bowiem zajrzeć do innej piwiarni, w której zwykł przesiadywać pewien emerytowany podoficer niemieckiej armii, dyrektor banku rzucił mimochodem:

- Znam kogoś, kto pracuje w berlińskim biurze tej firmy.
- Doprawdy? Na jakim stanowisku?
- Dość wysokim. Jest naczelnym dyrektorem.
- Chętnie bym się z nim spotkał. Czy to się da załatwić?
- Będzie pan musiał szarpnąć się na dobry obiad. Jest bardzo łakomy.

- W takim razie może zjemy w trójkę?

Bankowiec natychmiast zaakceptował propozycję, jakby właśnie na nią czekał.

Arthur poszedł do piwiarni, w której zbierała się robotnicza brać. Emerytowany sierżant już tam był. Zachęcony świeżym kuflem piwa opowiedział z zachwytem o bardzo celnej gwintowanej armacie produkcji Krieg Rüstungswerk, a także potwierdził to, co Curtis już słyszał o przychylności kajzera względem tej firmy. Po wypiciu do dna kolejnego kufła zaczął wspominać z rozrzewnieniem o inspekcji, jaką w jego pułku przeprowadził osobiście sam miłośniczynie panujący, ubrany w ozdobiony trupią główką czarny mundur huzarów.

Arthur Curtis wrócił do swojego jednopokojowego biura, aby sklecić depezę do Bella.

Otworzył drzwi, wszedł do środka i poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Przesunął się w bok, przywierając plecami do ściany, i wyciągnął pistolet z kabury pod pachą.

- To tylko ja – powiedział cień siedzący za biurkiem.

- Pauline, jak się tu dostałaś?

- Gdybym była pułkownikiem Moranem, już dawno zabiłabym pana z bezgłośnej wiatrówki. Nikt nie usłyszałby wystrzału.

- Kim, u diabła, jest pułkownik Moran?

- Próbował zabić Sherlocka Holmesa. Holmes go aresztował.

- Pytam jeszcze raz, jak się tu dostałaś?

Dziewczyna wskazała okno wychodzące na zewnętrzne schody przeciwpożarowe. Curtis czasami korzystał z tej drogi, gdy chciał niezauważony opuścić biuro.

– Elementarne, drogi Watsonie, jak powiedział Holmes w opowiadaniu *Garbus*.

– Elementarne? Ja ci dam elementarne – warknął Curtis, chwytając za telefon. – Wezwę policję i każę cię aresztować za włamanie, jeśli raz na zawsze stąd nie znikniesz.

– Niech pan lepiej zgadnie, co znalazłam w bibliotece na temat Clyde’a Lyndsa.

Curtis otworzył usta ze zdumienia.

– Skąd znasz to nazwisko?

– Z depeszy wysłanej z „Mauretanii”. Tej o profesorze Beiderbecke’u i Krieg Rüstungswerk.

– Przecież jest zaszyfrowana.

Pauline wzruszyła ramionami.

– To dość prosty kod.

Rozdział 4

Zdaje się, że coś knujesz.

Statek zakołysał się. Marion przytrzymała się poręczy i obrzuciła Isaaca spokojnym spojrzeniem swych przepięknych oczu barwy zielonego koralu. W tych lśniących oczach, które Bell uważał za najwspanialszy element jej urody – oczywiście gdyby musiał wybrać tylko jeden – widział teraz bezmiar miłosnej tkliwości pomieszanej ze sporą dawką trzeźwego sceptycyzmu.

– Zrobimy sobie piknik – wyjaśnił.

– Jest środek nocy. Ze wszystkich pasażerów chyba tylko nas dwojga nie dopadła choroba morska. Poza tym

nie widzę wiklinowego kosza, chociaż z jakiegoś powodu masz ze sobą aparat fotograficzny.

– To tylko wygląda jak aparat. Lepiej weź mnie pod rękę, żebyśmy nie spadli ze schodów.

Morze było mocno wzburzone. Szerokie główne schody kołysały się majestatycznie, zgodnie z rytmem przechyłów statku, ale po dwudziestu czterech godzinach północno-atlantyckiej wichury zaczęli się do tego przyzwyczajać. Bell chwycił poręcz i ruszyli w górę, kompensując wzdłużne i boczne przechyły. Kiedy znaleźli się na szczycie schodów, poprowadził Marion krótkim korytarzem do salonu muzycznego pierwszej klasy. Zwieńczone kopułą pomieszczenie wyłożono grubym kwiecistym dywanem, a ozdobne meble utrzymane były w odcieniach różu, błękitu, czerwieni i żółci. W przyćmionym świetle nie widać było żywej duszy, z wyjątkiem stewarda stojącego między sofą a filarem, z butelką szampana w kubku pełnym lodu. Bell wręczył mu hojny napiwek.

– Dziękuję, sam otworzę. Dobranoc.

Mężczyzna wyszedł, uśmiechając się nieznacznie.

– A więc zamierzasz mnie upić – powiedziała Marion.

– Zatańczymy?

– Z wielką chęcią, jak tylko pojawi się orkiestra.

Bell otworzył futerał aparatu i wcisnął go w róg sofy. Marion pochyliła się nad nim. Jej złociste loki połaskotały go w policzek.

– Co to jest? O rety, jaki malutki gramofon. A gdzie jest tuba?

Isaac rozłożył płaski arkusz kartonu, który uformował w tubę, i przymocował do fonografu. Nakręcił mechanizm maleńką korbką, założył na walec dwuminutowy cylinder i uruchomił urządzenie.

– Pamiętasz? Widzieliśmy to przedstawienie na Broadwayu.

– *Opatrzność* czuwa nad prostą dziewczyną – Marion przypomniała sobie tytuł, gdy z tuby popłynęły pierwsze takty melodii. Najnowsza sensacyjna komedia muzyczna była pastiszem romantycznych ballad z ostatniego dziesięciolecia XIX wieku.

Isaac Bell podjął całkiem znośnym barytonem:

Traktował ją z szacunkiem, tak jak wszystkie łotry mają to w zwyczaju,

Aż uwierzyła, że jest najprawdziwszym dżentelmenem.

Lecz zmieniła zdanie, kiedy pewnego wieczoru, radosna i beztroska, poszła z nim do hotelu na wystawną kolację.

*A on jej rzekł: Po wszystkich strzelimy sobie demitasse!**

Teraz weszła Marion:

Wtedy dzielna dziewczyna rzecze do niego szczerze...

I dalej pociągnęli chórem:

Nic z tego, rozpustniku, mnie na to nie nabierzesz!

Możesz szatańskim demitassem

Z wyższych sfer damy kusić czasem.

A cnoty prostych dziewcząt sama Opatrzność strzeże.

Bell otworzył butelkę mumma i napełnił dwa kieliszki.

– Za co wypijemy? – spytała Marion.

– Za miłość?

– A więc za miłość!

Pocałowali się i wypili szampana. Bell zmienił cylinder i kartonowa tuba rozbrzmiała nową melodią, romantycznym przebojem *Bądź moją ukochaną*.

– To jak, zatańczymy?

* *demitasse* – z francuskiego: pół czarnej, czyli mała kawa (przyp. tłum.).

Otoczył Marion ramionami i zawirowali w walcu pomiędzy stolikami i fotelami, jakby pokryta dywanem, kołysząca się podłoga była parkietem pełnym tańczących par.

– Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy poprosiłem cię o rękę?

– Tak, podczas trzęsienia ziemi – szepnęła Marion, tuląc się do niego.

– A drugi?

– W holu hotelu St. Francis. Powiedziałam wtedy, że jestem dla ciebie za stara. Ty twierdziłeś, że wcale nie.

– Trzeci raz też pamiętasz?

– Oczywiście. To było w Nowym Jorku. Dałeś mi wtedy prześliczny szmaragd, który stał się naszym talizmanem.

– A po raz czwarty?

– W twojej latającej maszynie. Dokładnie nad mostem Golden Gate.

– Wyjdiesz za mnie?

– Oczywiście.

– Jutro – powiedział Isaac Bell.

– Jutro? – na ustach Marion zakwitł lekko zdziwiony uśmiech. Muzyka przestała grać. Uwolniła się z jego ramion, cofnęła o krok i popatrzyła mu badawczo w oczy, a potem spuściła wzrok na swój pierścionek ze szmaragdem. – Zabawne, że to zrobiłeś.

– Co zabawnego widzisz w tym, że po raz piąty proszę swoją narzeczoną, aby za mnie wyszła?

Wydawało się, że go nie słucha, pogrążona w rozmyśleniach.

– W ostatniej chwili, jadąc taksówką na dworzec Euston, żeby złapać transatlantycki pociąg do Liverpoolu, kazałam kierowcy zatrzymać się przy Hanover Square. Chciałam jeszcze wpaść do Lucile i kupić sobie sukienkę. Naturalnie nie było czasu na szycie, ale pewna spotkana w Londynie

Rosjanka powiedziała mi, że z powodu ogromnego zapotrzebowania na czarne suknie w związku z pogrzebem króla Edwarda, który, jak się okazało, miał o wiele więcej kochanek, niż głosiły plotki, u Lucile zalegają całe sterty mocno przecenionych sukienek we wszystkich pozostałych kolorach. Chciałam zapytać cię o zdanie, zanim ją włożę. A teraz nie mogę.

– Oczywiście, że nie możesz. Oglądanie panny młodej przed ślubem przynosi pecha.

Patrzyła mu prosto w twarz oczami pełnymi łez.

– Ty płaczesz? Co się stało?

– Jestem taka szczęśliwa.

– Ale...

– Tak bardzo cię kocham.

– Ale...

– Pożyczysz mi chusteczkę?

Bell podał Marion śnieżnobiały spłachetek materiału.

– To nie do wiary, wprost nie posiadam się ze szczęścia. Chyba przywykłam do świadomości, że już zawsze będziemy zaręczeni. Było mi z tym dobrze, ale przecież kocham cię całym sercem. Wiem, że ty też mnie kochasz. Trochę się powstrzymywałam, bo bardzo, ale to bardzo chcę zostać twoją żoną. Powiedz mi, jesteś pewien, że kapitan Turner udzieli nam ślubu? Słyszałam, że to gbur.

– Niełatwo było go przekonać – przyznał Bell. – Ma wyjątkowo złe zdanie o pasażerach pierwszej klasy. Zapytał mnie wprost, czy naprawdę chcemy gościć na naszym weselu „bandę napuszonych arogantów”. Powiedziałem mu, że wśród tych arogantów są też nasi najlepsi przyjaciele. Nie wzbudziło to jego entuzjazmu. Odparł, że będąc rozwodnikiem, nie czuje się, jak to ujął, kompetentny w kwestiach związanych z udzielaniem ślubów.

– Jak udało ci się go przekonać? Przystawiłeś mu pistolet do głowy?

– Brałem to pod uwagę. Na szczęście wtedy ty się pojawiłaś. Zauważył cię, jak biegłaś z pociągu na statek, i nagle rozjaśnił się w uśmiechu. Nie chcąc stracić cię z oczu, wychylił się przez reling tak mocno, że gdybym go nie złapał, skąpałby się w wodzie. Wyjaśniłem mu, że to właśnie moja narzeczona, a wtedy wykrzyknął: „Na Jowisza, włożę swój galowy mundur! Pełen cholerny rynsztunek!”

– Nie mogę powiedzieć o swojej sukni, że jest „galowa”. Przede wszystkim nie jest całkiem biała, raczej kremowa. Ma fason sukienki wieczorowej, a nie tradycyjnej sukni ślubnej. – Musnęła po raz ostatni oczy chusteczką i zwróciła ją Bellowi. – A skoro mowa o tradycji, zdaje się, że istnieje zwyczaj całowania przez mężczyznę swej wybranki zaraz po przyjęciu przez nią jego oświadczyn.

Isaac wziął Marion w ramiona.

– Nie mogę sobie przypomnieć, czy całowanie panny młodej tuż przed zawarciem związku małżeńskiego jest dobrą czy złą wróżbą.

– To jest wręcz konieczne.

– W ostatnią noc przed ślubem?

– Przez całą noc.

Rozdział 5

Pasażerom trzeciej klasy nie wolno przebywać w pomieszczeniach pierwszej klasy – oznajmił intendent „Mauretani”, kiedy Bell spotkał się z nim, by omówić przygotowania do ślubu. – Nawet na czas trwania uroczystości. Bardzo mi przykro. Niestety, zakaz ten obejmuje także członków ekipy filmowej pańskiej narzeczonej. Może pan zaprosić kilka osób z drugiej klasy, pod warunkiem, że posiadają odpowiedni strój, ale w przypadku trzeciej klasy nie ma

mowy o żadnych wyjątkach. Nie wolno nam dopuścić do mieszania się ich z pasażerami wyższych klas z jednej prostej przyczyny.

– A cóż to za przyczyna? – spytał Isaac z groźnym błyskiem w oku. Nie znosił bigoterii. To, że znajomi Marion podróżowali za niewielkie pieniądze, nie stanowiło żadnego powodu, aby ich wykluczać.

– Przyczynę tę zrozumie nawet najbardziej żarliwy „demokrata”. Jeśli dopuścimy do swobodnego przemieszczania się pasażerów trzeciej klasy po statku, a choćby jeden z nich dotrze do Nowego Jorku z objawami odry, świnki albo innej choroby zakaźnej szerzącej się wśród imigrantów, to cały statek i wszyscy ludzie na nim obecni musieliby zostać poddani kwarantannie. Nikt, ani pan, ani żaden z pańskich współpasażerów z pierwszej klasy, nie mógłby zejść na ląd do chwili wykluczenia przez lekarzy możliwości wybuchu epidemii. Mogłoby to trwać tygodniami. Proszę sobie wyobrazić, panie Bell, że jest pan uwięziony na statku zakotwiczonym w pewnej odległości od brzegu i bezsilnie patrzy na Nowy Jork, tak bliski, a jednocześnie tak daleki.

– Znajomi mojej narzeczonej nie są imigrantami. To artyści, którzy oszczędzają, by związać koniec z końcem.

– Choroby zakaźnie nie wybierają. Przykro mi, ale sam pan rozumie.

– Co podajecie jutro na kolację w międzypokładzie? – spytał Bell, używając potocznego określenia trzeciej klasy.

– Pożywną zupę z kawałkami wołowiny.

– Czy mógłbym zobaczyć jutrzejsze menu dla pierwszej klasy?

Intendent podał mu długą kartę dań, ilustrowaną kolorowym obrazkiem przedstawiającym niezwykle wysoką i wąską czterokominową „Mauretanię” obramowaną różowymi różami. Isaac przestudiował ją od góry do dołu.

– Same dobre rzeczy – orzekł. – W ramach naszej uczty weselnej moja narzeczona i ja życzymy sobie, aby wyborną polędwicę wołową, żeberka, pieczonego indyka, ćwiartkę jagnięcia, wędzone ozory i kaczkę de Rouen zaserwować w trzeciej klasie.

– Doskonale! Proszę podać nazwiska znajomych, a oso-
biście dopilnuję...

– Proszę to zaserwować każdemu z pasażerów międ-
dzypokładu.

– Każdemu?

– Tak. W ten sposób wszyscy wezmą udział w naszej
uczcie weselnej.

– To bardzo wielkoduszne z pana strony – zauważył
cierpko intendent. – Chciałbym jedynie uświadomić panu,
że mamy tysiąc stu trzydziestu pięciu pasażerów między-
pok... ee... trzeciej klasy.

– A co otrzymają na deser?

– W niedzielę dostaną trochę marmolady.

Bell wrócił do menu pierwszej klasy.

– Więc prześlemy im szarlotkę, ptifurki, francuskie
lody i ciasto rumowe – zdecydował.

Intendent rozejrzał się po swoim biurze, sprawdzając,
czy poza nimi dwoma nie ma nikogo innego i czy drzwi
są zamknięte.

– Pan wybaczy, sir. Nie mam pojęcia, ile zarabia pry-
watny detektyw, ale koszt przygotowania tego posiłku dla
ponad tysiąca osób będzie... dość znaczny.

– Na szczęście miałem kochającego dziadka, który
uszcześliwił mnie okazałym spadkiem – odparł Bell z uśmie-
chem. – À propos dziadka, coś mi się przypomniało. Czy
dużo dzieci płynie trzecią klasą?

– Całkiem sporo.

– W takim razie ukręćcie więcej lodów.

– Radiotelegram do pana Bella – zapiszczał dwunastoletni chłopiec w granatowym uniformie boya hotelowego.

– Nie ruszaj się, zestresowany oblubieńcu – powiedział Archie. – Ja odbiorę.

Jak na człowieka obdarzonego wyjątkowo zręcznymi palcami Isaac miał zadziwiające trudności z zawiązaniem krawata. Jego drużba, Archibald Angell Abbott IV, właśnie próbował mu pomóc. Teraz rzucił monetę chłopcu, który na jej widok zrobił wielkie oczy, po czym wręczył Bellowi pomarańczową kopertę firmy Marconi Wireless.

Isaac rozerwał ją i rozłożył złotawy blankiet depeszy. Najpierw spojrzął na datę i dopisek: „Za pośrednictwem RMS »Adriatic«”, co oznaczało, że to liniowiec White Star Line odebrał sygnał radiowy ze stacji brzegowej i przekazał dalej. Potem odczytał zapisaną ręcznie szyfrowaną informację, podczas gdy Archie nadal wojował z jego krawatem.

– Dziwne – mruknął, kręcąc głową.

– Stój prosto! – zgromił go Abbott. – Co jest dziwne?

– Art Curtis twierdzi, że profesor Beiderbecke nie wynalazł żadnej broni.

– Więc co wynalazł?

– Poczekaj, cały czas próbuję dojść do tego...

Normalnie radził sobie doskonale z szyfrem Van Dorna, ale teraz miał spore trudności.

– Jeszcze nie widziałem tak roztrzęsionego pana młodego – utyskiwał Archie.

– Wy chodziliście po ścianach podczas waszego ślubu. No, nareszcie! Profesor Beiderbecke pracuje w Cesarsko-Królewskim Instytucie Politechnicznym i specjalizuje się w elektroakustyce.

– Co to jest ta cała elektroakustyka?

– Art pisze, że Beiderbecke jest właścicielem kilku patentów dotyczących zapisu i odtwarzania mowy i muzyki.

– Chodzi o gramofony?

Detektywi popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

– Co ma wspólnego firma zbrojeniowa z gramofonami? – zastanawiał się Isaac.

Archie zachichotał.

– Niech no tylko Krieg Rüstungswerk spróbuje narużyć któryś z patentów pana Thomasa Edisona związanych z fonografem – powiedział. – Szybko się przekona, czym naprawdę jest wojna.

Przestał się śmiać, dostrzegłszy wyraz zaskoczenia i coraz silniejszego zaciekawienia na twarzy Bella.

– Co znowu? – spytał.

– Clyde Lynds ukończył z wyróżnieniem studia w Instytucie Politechnicznym – odparł Isaac.

– Sami ci o tym powiedzieli.

– Ale nie wspomnieli, że musiał brać nogi za pas.

– Kto go ścigał?

– Armia niemiecka wydała nakaz aresztowania go za dezercję. To bez sensu, chłopak nie jest żołnierzem.

– Może właśnie dlatego zdezerterował.

Bell pokręcił głową.

– Przecież wychował się w Stanach, a studiował w Austrii. Wątpliwe, żeby podlegał poborowi w Niemczech.

– Mimo to mogli go powołać, a on się nie stawiał.

– Art doskonale zna niemiecki i zawsze precyzyjnie dobiera słowa. Pisze wyraźnie o dezercji. To by znaczyło, że Clyde już był w wojsku. Zostawmy to i chodźmy.

– Dokąd?

– Zamierzam spytać Beiderbeckego, dlaczego firma zbrojeniowa próbuje wykraść jego gramofon.

Kiedy Bell otworzył drzwi na oścież, przemaszerował przed nimi boy hotelowy bębniący w chiński gong.

– Ten gong oznacza, że za pół godziny kapitan połączy was nierozzerwalnym węzłem. Nie mamy czasu.

– Będę go przepytywał tak długo, aż wreszcie mi odpowie.

– Ale twój ślub...

Bell już szedł korytarzem.

– Kiedy będziemy na miejscu, odciągnij Lyndsa pod jakimś pretekstem, żebym mógł porozmawiać z profesorem w cztery oczy.

Dziesiątki gości przybyły z wyprzedzeniem do salonu pierwszej klasy. Mężczyźni w białych krawatach, damy w wieczorowych sukniach. Z większości twarzy dawało się wyczytać niepewną ulgę po ustępujących z wolna objawach choroby morskiej.

– Powrót do zdrowia po chorobie morskiej jest jak wyjście z więzienia – skomentował Clyde Lynds, kiedy Bell i Archie podeszli do niego i profesora.

Abbott przytrzymał go za łokieć i rzekł:

– Musi mi pan opowiedzieć o swoich więziennych doświadczeniach.

Bell pociągnął Beiderbeckego w kierunku niewielkiego baru przy wejściu do salonu.

– Strasznie się denerwuję w roli pana młodego. Mam nadzieję, że napije się pan ze mną.

– Jeszcze nie pozbyłem się do końca choroby morskiej – odparł profesor.

– Stabilizator dla tego pana, a dla mnie *dash and splash* – rzucił Bell do barmana, po czym wyjaśnił wiedeńczykowi: – Stabilizator to brandy pół na pół z porto.

Beiderbecke aż się wzdrygnął.

– Proszę mi zaufać, na pewno pomoże.

– To bardzo miło z pana strony, że zaprosił nas pan na swój ślub. – Profesor machnął arkuszem pergaminu z tekstem wytłoczonym w okrętowej drukarni. – Ten dokument sprawił, że wszelkie bariery między drugą a pierwszą klasą runęły jak mury Jerycha. Clyde przez całą noc

trzymał swoje zaproszenie pod poduszką, żeby nikt mu go nie ukradł.

Bell wznosił toast:

– Za spokojną dalszą część rejsu.

– I za pomyślność młodej pary – powiedział Beiderbecke.

Wziął solidny łyk swojego drinka i na jego twarzy odmalowało się pozytywne zaskoczenie. – Rzeczywiście działa.

– Mówiłem, że tak będzie – odparł z uśmiechem Bell. – A teraz proszę mi wyjaśnić, czym zajmuje się dyscyplina naukowa zwana elektroakustyką.

Franz Beiderbecke popatrzył na detektywa.

– Prowadzę badania nad możliwie najwierniejszym zapisem dźwięku metodą elektryczną, w odróżnieniu od mechanicznej – rzekł.

– Czy to się da zrobić?

– Mam taką nadzieję. Teoretycznie wystarczy wzmocnić i odtworzyć słabe sygnały elektryczne. Ale w praktyce nie jest to takie proste. Zaraz, zaraz... – zamrugał z zakłopotaniem. – Skąd pan o tym wie? Przecież nie mówiłem panu, nad czym pracuję.

– Byłem ciekaw, więc wysłałem radiotelegram do kolegi w Berlinie, a on poinformował mnie, że jest pan znanym naukowcem zajmującym się elektroakustyką.

– Radiotelegamy są drogie. Poniósł pan spore koszty, aby mnie rozszyfrować.

– Niezbyt często spotykam twórców tajnego wynalazku.

– Wini pan mojego podopiecznego za to, że jest zbyt ostrożny?

– Winię go za narażanie waszego życia – powiedział bezceremonialnie Bell. – Może i jest bystry, ale nie potrafi odróżnić sojusznika od wroga. Pan przecież doskonale wie, że ja nie wydam was ludziom, przed którymi was obrońnię.

Beiderbecke zwilżył usta stabilizatorem.

– Nie sądzi pan, że wychowankowie często są bardziej interesujący od własnych dzieci?

– Proszę nie zbaczać z tematu, profesorze, bo sprawa jest naprawdę bardzo poważna. Obu wam grozi wielkie niebezpieczeństwo. Przecież złoczyńcy mogli mieć współników na statku. A jeśli nawet dotrzecie do Nowego Jorku, czy naprawdę liczy pan na to, że tak potężna firma jak Krieg Rüstungswerk nie zdoła was dopaść w Ameryce?

– Uważam, że Prusacy są ograniczeni umysłowo.

– Ale to właśnie ci ograniczeni umysłowo Prusacy uznali pański wynalazek za wyjątkowy. Co to za broń?

– Broń? – zachnął się profesor. – *Sprechendlichtspieltheater* to nie jest broń.

– *Sprechend-co?*

Beiderbecke odstawił szklaneczkę.

– To nie jest broń – powtórzył. – I nie powiem nic więcej na ten temat. Dałem Clyde'owi słowo.

– Skoro to nie broń, skąd zainteresowanie ze strony przedsiębiorstwa zbrojeniowego? – drążył Bell.

– Nie wiem. Ten wynalazek nie ma żadnego zastosowania militarnego. Ma służyć edukacji, nauce, przekazywaniu informacji, rozwojowi przemysłu. A także kulturze masowej. To jest...

Nagle wyrósł przy nich Clyde Lynds. Tuż za nim pojawił się Archie, który wzrokiem dawał Isaacowi znaki, że nie zdołał dłużej go zatrzymać. Beiderbeckemu wyraźnie ulżyło.

– Dobrze, że jesteś, Clyde – powiedział. – Właśnie udzielałem panu Bellowi wskazówek, jak sobie radzić w małżeństwie.

– Co doradził panu profesor, panie Bell? – spytał Lynds.

– Niestety nie potrafię wyrazić tego w równie błyskotliwy sposób – odrzekł Isaac. – Czy mógłby pan powtórzyć, profesorze?

– Oczywiście. – Beiderbecke posłał Bellowi pełne wdzięczności spojrzenie. – Ponieważ mężczyźni i kobiety to istoty diametralnie od siebie różne, mogą ze sobą wytrzymać tylko wtedy, kiedy się wzajemnie kochają.

– Innymi słowy – podsumował Isaac – miłość jest niezbędna do życia we dwoje.

Archie otworzył kopertę zegarka.

– Zakładając, że panna Marion Morgan nie uciekła ze statku, najwyższy czas sprawdzić tę teorię w praktyce.

Rozdział 6

Drodzy współtowarzysze podróży! – huknął kapitan Turner, niski mężczyzna po pięćdziesiątce z kwadratową szczęką, dużym nosem przypominającym dziobnicę statku i ogromnymi uszami. Jego donośny marynarski głos docierał do najdalszych kątów salonu, w którym zgromadziły się setki odświętnie ubranych pasażerów pierwszej klasy „Mauretanii”, aby wziąć udział w niezwykłym wydarzeniu, jakim było zawarcie małżeństwa na pokładzie statku.

Nie zawiedli się.

Uroczą panną młodą wyglądała prześlicznie w dopasowanej kremowej sukience z wysokim stanem, bardzo odpowiednim do jej strzelistej figury, i półprzezroczystą jedwabną wstęgą dyskretnie okrywającą czarujący dekolt. Jasne, upięte wysoko włosy otaczała krótka woalka zwieńczona diademem, w którym diamenty zostały zastąpione stokrotkami. Jak wszyscy zgodnie stwierdzili, diamenty wypadłyby blado w zestawieniu z olśniewającymi oczami oblubienicy.

U jej boku stał dumnie pan młody w czarnym fraku, wysoki i wyprostowany jak oficer kawalerii. Pod złocisty-

mi wężami jego usta co i raz rozciągały się w radosnym uśmiechu.

Piękna drużna i przystojny drużba z niekłamanym zachwytem wpatrywali się w swoich przyjaciół. Mający powszechnie opinię nieprzystępnego kapitan „Mauretanii” okazał się ucieleśnieniem serdeczności. Wyglądał jak spod igły w mundurze rezerwy Królewskiej Marynarki Wojennej, błyszcząc złotymi guzikami, galonami i epoletami, z kordem u boku i trójgraniastym kapeluszem na głowie.

– Zgromadziliśmy się w obliczu Boga, aby połączyć tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim...

Uwaga wszystkich skupiona była na ślubie, dlatego profesor Beiderbecke uznał, że to najlepszy moment, aby zajrzeć do bagażowni mieszczącej się głęboko pod pokładem w rufowej części statku i sprawdzić, czy jego maszyny i instrumenty są bezpieczne. Opuścił salon tuż przed rozpoczęciem ceremonii, tłumacząc się wzrostem nasilenia objawów choroby morskiej, chociaż morze już się uspokoiło i twarze pasażerów znów nabrały kolorów.

Lynds nawet nie zauważył jego zniknięcia. Młodzieniec od początku był bardzo podekscytowany, najpierw samą możliwością wejścia do wspianego salonu pierwszej klasy, a potem sąsiedztwem egzotycznej Rosjanki z kręgu znajomych Marion. Czarnooka panna Viorets stanowiła potwierdzenie opinii Beiderbeckego, że rosyjskie kobiety są zniewalające. Teraz biedny Clyde wzdychał co i raz niczym szczeniak austriackiego posokowca.

Profesor, aby nie zgubić się w labiryncie schodów i pasaży ogromnego statku, zawczasu przestudiował w czytelnicy jego plany konstrukcyjne i zapisał je w pamięci, jakby to był schemat tajemniczego obwodu elektrycznego albo najnowszej lampy elektronowej.

Grube dywany i chodniki na korytarzach prowadzących do kabin ustąpiły miejsca plebejskim płytkom z linoleum. Szerokie klatki schodowe zwięzły się do rozmiarów zejściówek z metalowymi stopniami. Naukowiec, odziany w staromodny surdut, chował się przed członkami załogi, jeśli tylko zauważył ich na czas, a tych, których nie zdołał uniknąć, obrzucał wyniosłym spojrzeniem w stylu: „Z drogi, oto idzie profesor Franz Bismark Beiderbecke”, i parł przed siebie, postukując laską o srebrnej główce.

Nagle poczuł, że ktoś go obserwuje. W pierwszej chwili pomyślał z przerażeniem, że to znów Akrobata, jak ochrzcił długorękiego zwinnego złodzieja, który już dwa razy próbował ukraść jego maszynę.

Niemożliwe. Przecież widział na własne oczy, jak tajemniczy Akrobata zeskoczył z pokładu „Mauretanii” do morza. Mimo to zatrzymał się i popatrzył trwożnie w górę schodów. Nikogo tam nie było. Odwrócił się i spojrzał w dół. To samo. Wysunął głowę za róg i sprawdził korytarz. Był pusty, więc poszedł nim dalej do pomieszczeń mieszkalnych załogi, mijając sypialnie, toalety, magazyny i schowki. Powietrze zrobiło się ciężkie.

Stłumione dudnienie pracujących maszyn dobiegające zza stalowej konstrukcji wyraźnie się nasiliło, kiedy zszedł niżej. Beiderbecke znów się zatrzymał, zerknął przez ramię i nadstawił ucha. Co za niedorzeczność, zganił się w duchu. I tak nie usłyszałby kroków poprzez huk palenisk pod kotłami i wycie turbin. Poza tym, chociaż Isaac Bell próbował go nastraszyć, żeby ujawnił swoją tajemnicę, Akrobata przecież już nie żył.

Powtarzał sobie w myślach, że poczucie, że ktoś go obserwuje, jest kompletnie irracjonalne. Nagle gdzieś niedaleko mignął jakiś cień. Profesor wcisnął się do płytkiej niszy między masywnymi stalowymi żebrami i przyłgnął plecami

mi do wibrującej przegrody. Była gorąca, tak jakby ogień napędzający pływającego kolosa płonął tuż za nim. Cień powstający za sprawą elektrycznych żarówek wiszących w drucianych koszykach u sufitu zbliżał się korytarzem do jego kryjówki. Obok przemknął ktoś z załogi, z twarzą i ubraniem pokrytymi węglowym pyłem.

Beiderbecke zaczekał, aż mężczyzna się oddali, a potem rzucił się korytarzem do zejściówki i zbiegł na dolny pokład. Teraz od rufy statku dzieliły go zaledwie metry. W tej sekcji mieściły się sypialnie ponad trzydziestu kucharzy i stewardów. Panował ogłuszający hałas. Profesor przypomniał sobie rysunki techniczne i zorientował się, że stoi poniżej linii wodnej. Tuż za poszyciem rufy śruby napędowe z niesłabnącym łoskotem miały wodę, obracając się sto osiemdziesiąt razy na minutę.

Znów dostrzegł jakiś zbliżający się cień, więc schował się za drzwi i zszedł zejściówką jeszcze niżej. W końcu dotarł do drzwi, za którymi, o ile nie zablądził, powinien znajdować się korytarz prowadzący do bagażowni, gdzie między dziesiątkami podobnych do siebie skrzyń ukryte były te z jego maszyną. Wszystkie opatrzone adresem nowojorskiego magazynu przy czternastej ulicy, niedaleko, jak twierdził Clyde, nabrzeża, przy którym miała zacumować „Mauretania”.

Otworzył drzwi i zderzył się z barczystym marynarzem wychodzącym z bagażowni, który powiedział pytającym tonem:

- Pan wybaczy, sir?
- Czy mógłby mi pan pomóc? Szukam mojego bagażu, znajduje się w skrzyniach.
- W skrzyniach?
- Tak, chodzi o drewniane skrzynie. Muszę coś wyjąć z jednej z nich.
- Ale tu są tylko kufry. Nie ma żadnych skrzyń.

– Nie ma skrzyń? – powtórzył z nagłym lękiem Beiderbecke. Czyżby Krieg Rüstungswerk jednak zdołał je wykraść? – Przecież załadowano je tutaj.

– Nie, nie, z całym szacunkiem, sir. Skrzynie znajdzie pan w przedniej bagażowni. Tam się je przewozi. Spuszczają je na dół przez luk ładowni i umieszczają w przedniej bagażowni. Na dziobie.

– Na którym pokładzie znajdę to pomieszczenie?

– Na dolnym, tuż pod pokładem głównym.

– Prawdziwe zatrzęsienie tych pokładów: górny, dolny, techniczny, ochronny. Chyba specjalnie tak to wymyślono, żeby trudniej się było zorientować – mruknął Beiderbecke, wyjmując z kieszeni portfel. – Być może zdołam pana jakoś namówić, aby wskazał mi pan drogę?

– Z całym szacunkiem, sir. Chciałbym, Bóg mi świadkiem, ale pasażerom nie wolno tu przebywać.

– Obawiam się, że zabłądziłem – powiedział Beiderbecke, wyciągając banknot jednofuntowy.

Marynarz wbił wzrok w pieniądze, zwilżył usta językiem i pokręcił głową.

– Jedyne, co mogę zrobić, sir, to zaprowadzić pana na pokład ochronny i skierować na promenadę trzeciej klasy. Przejdzie pan nią na sam dziób, zejście trzy pokłady w dół, na dolny pokład, a tam może ktoś pokaże panu bagażownię.

Franz Bismark Beiderbecke wspiął się wąskimi schodami za marynarzem. Potem przeszedł liczącą ponad dwieście metrów promenadą, zatłoczoną emigrantami: Chorwatami, Cyganami, Rumunami, Włochami, Węgrami i Czechami. Mogłoby się wydawać, że połowa monarchii austro-węgierskiej postanowiła przenieść się do Ameryki. Na końcu promenady, w pobliżu dziobu statku, znajdowała się palarnia trzeciej klasy. Zejście w dół było zamknięte zasuwaną kratą, więc wszedł na wyższy pokład, aby obejść przeszkodę. Kolejnym banknotem jednofuntowym prze-

konał antypatycznego stewarda, żeby przepuścił go przez barierkę.

Beiderbecke wyjrzał przez iluminator na otwarty pokład dziobowy. Między masztem a ogromną kotwicą zauważył pokrywę luku ładowni. A więc to tam. Pokrywa zasłania otwór, przez który za pomocą bomu spuszczonego jego skrzynie. Zszedł kilka pokładów w dół, przywołując z pamięci plany statku. Kiedy wreszcie otworzył drzwi, za którymi, jak miał nadzieję, znajdowała się przednia bagażownia, serce zamarło mu w piersi.

Akrobata, który na jego oczach wyskoczył za burtę, sadił sprężystym krokiem przez wąskie przejście, zaglądając we wszystkie zakamarki. Na ramię zarzucił sobie ogromny srebrzysty kufer. Ponieważ niósł go bez żadnego wysiłku, Beiderbecke doszedł do wniosku, że kufer jest pusty.

Rozdział 7

...oraz że cię nie opuszczę w chwilach radości i smutku, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i chorobie, i że będę cię kochać i szanować od dziś już na zawsze, dopóki śmierć nas nie rozłączy – zakończył Isaac Bell.

Kiedy Marion przysięgała kochać go i szanować, spon-tanicznie dodała mocnym głosem: „Z całego serca, na za-wsze i po wsze czasy”. Błękitne oczy Isaaca promieniały uczuciem, kiedy obok przynoszącego szczęście szmaragdu umieścił na jej palcu zwykłą złotą obrączkę, którą kupił już dawno temu w San Francisco. Potem kapitan Turner prze-łożył słowa ich przysięgi na język ludzi morza, rozkazując im „żeglować razem, wielkimi i małymi jednostkami, przy pomyślnych i niepomyślnych wiatrach, po morzach spo-kojnych lub wzburzonych”, i zakończył tubalnie:

– Na mocy prawa przysługującego mi jako kapitanowi „Mauretanii” ogłaszam was mężem i żoną.

Po czym pospiesznie dodał:

– Możesz teraz pocałować pannę młodą.

Isaac Bell czynił to już od dobrej chwili.

Nowożeńcy w towarzystwie Archiego, Lillian i kapitana Turnera pozdrawiali ustawionych w szeregu gości.

Na samym końcu znajdowali się panna Viorets i Clyde Lynds.

– U nas w Rosji robimy wszystko na odwrót. To nie pan młody całuje pannę młodą, lecz wszystkie panie całują pana młodego, i to bardzo mocno, w same usta.

– Irino, nie jesteś w Rosji – osadziła ją Marion. – Jeśli już musisz kogoś pocałować, to zainteresuj się tym przystojniakiem, który wodzi za tobą rozanielonym wzrokiem. Isaac, przedstawię ci moją przyjaciółkę Irinę Viorets. To właśnie ona powiedziała mi o tej sukience.

– Bardzo mi przyjemnie – rzekł Bell, ujmując dłoń czarnookiej piękności. – Z tego, co mówiła mi Marion, wywnioskowałem, że zaznałyście w Londynie wielu ciekawszych rozrywek niż uczestnictwo w królewskim pogrzebie.

– Marion i ja jesteśmy pokrewnymi duszami. Przygotowałam dla was specjalny prezent ślubny, z życzeniami szczęścia na nowej drodze życia.

– Co to takiego?

– Przedstawienie – odparła Rosjanka, pstrykając palcami. Do salonu wmaszerowało kilku stewardów, którzy nieśli projektor filmowy Edisona i ekran, zaimprovizowany z kwadratowego kawałka żaglowego płótna.

– Cóż za temperamentna kobieta – szepnął Bell.

– Aż za bardzo. Wyrwała się z Rosji w ostatniej chwili, tajna policja deptała jej po piętach.

- Czym naraziła się Ochronie?
- Jej film caryca uznała za „nieobyčajny”. Nie znam całej tej historii, zwłaszcza że pewne szczegóły zmieniały się z każdym wypitym kieliszkiem wina. W każdym razie ma zamiar rozkręcić interes filmowy w Nowym Jorku.
- Będzie kręcić filmy?
- Chce zostać producentką. Powiedziała mi: „Teraz ja będę szefową”.
- Czy już ci mówiłem, że wyglądasz zachwycająco w tej sukience?
- Zaledwie dwa razy, odkąd jesteśmy małżeństwem – odparła, całując go w usta. – Czy to nie cudowne? Teraz wszyscy oczekują, że będziemy się publicznie całowali. Oho, zdaje się, że Irina zamierza urządzić nam pokaz filmu dźwiękowego.
- Stewardzi rozwiesili płótno obok fortepianu. Aktorzy, dwaj mężczyźni i kobieta, zajęli miejsce za ekranem, gdzie przygotowano dla nich zestaw instrumentów w postaci gongów, trójkątów, pałek perkusyjnych, gwizdków i terek do prania.
- Skąd ona wytrzasnęła trupę Humanova na środku oceanu? – dziwiła się Marion.
- A co to takiego ta trupa Humanova? – spytał lord Strone, kręcący się w pobliżu panny Violets.
- Ekipa aktorska podkładająca dźwięk w trakcie projekcji filmu – wyjaśniła Marion.
- Dźwięk? W kinie? To jakaś orkiestra?
- O wiele więcej niż orkiestra. Aktorzy wypowiadają kwestie dialogowe. A także imitują efekty dźwiękowe.
- Efekty?
- Wystrzały, gwizdki, dzwonki. Musiał pan słyszeć w Londynie o Humanova Talking Pictures albo o Actologues.
- Rzadko bywam w mieście, łaskawa pani. Cóż, jestem tylko emerytowanym wojskowym.

Bell uśmiechnął się, widząc, jak brew Archiego wędruje w kierunku sufitu. Strone mocno przesadzał, udając emeryta. W licznych radiotelegramach informatorzy Van Dorna z Anglii pisali, zresztą w bardzo oględny sposób, o krążących powszechnie pogłoskach, jakoby jego lordowska mość, zgodnie z przewidywaniami Bella, utrzymywał bliskie kontakty z niedawno powstałym Secret Service Bureau, mającym swą siedzibę przy Whitehall, w samym centrum Londynu. Wyjechał z kraju tylko po to, by za granicą psuć szyki przeciwnikom korony brytyjskiej.

Irina Viorets poganiała stewardów rozstawiających krzesła przed ekranem. W kilka minut pomieszczenie zostało przekształcone w salę kinową. Członkowie okrętowej orkiestry stanęli obok fortepianu ze skrzypcami i trąbką.

Trębacz odegrał krótki sygnał.

Goście weselni zajęli miejsca. Przygaszono lampy. Projektor zaterkotał, a ekran rozbłysnął światłem. Kiedy pojawił się tytuł filmu, aktor odczytał go głośno zza ekranu:

– *Czy to miejsce jest wolne?*

– To komedia wytwórni Biograph – szepnęła Marion do Isaaca. – Z udziałem Florence Lawrence.

Akcja rozgrywała się w tanim kinoteatrze pod koniec projekcji filmu. Widownia zareagowała entuzjazmem, gdy uzbrojona w pistolet kobieta aresztowała złoczyńcę, który został wyprowadzony przez policjanta. Aktorzy ukryci za płótnem żaglowym klaskali w dłonie, tak jak publiczność kinoteatru. W następnym filmie granym w kinoteatrze pokazano reżysera i pianistę podczas castingu śpiewaków i tancerzy.

Schowani za płótnem aktorzy śpiewali i szurali stopami po tarkach. W tym samym czasie okrętowy pianista grał ragtime.

Dama w ogromnym kapeluszu, bardzo podobna do kobiety z pistoletem z poprzedniego filmu, weszła do sali

projekcyjnej kinoteatru i rozglądała się za pustym fotelem. Aktorka zza płótna pytała co chwilę: „Czy to miejsce jest wolne?” Widzowie nie chcieli, aby kobieta usiadła, obawiając się, że jej kapelusz zasłoni im ekran.

Za kobietą w wielkim kapeluszu pojawił się mężczyzna w wysokim cylindrze, wyglądający tak samo jak złoczyńca, którego wcześniej aresztowała. Jeden z aktorów zawołał głośno: „Czy to miejsce jest wolne?!”

Widzowie odkrzykiwali, że jego kapelusz też jest za duży. Zaczęła się bitwa na głosy. Zza żaglowego płótna dochodziły gniewne słowa i odgłosy tupania.

Lord Strone wybuchnął śmiechem.

– Gdyby moja żona mogła zobaczyć, jaki gatunek ludzi chodzi do kina, przestałaby wiercić mi dziurę w brzuchu, żebym ją tam zabierał.

Okrętowa orkiestra zaczęła grać arię z *Cyganerii*.

Na ekranie w kinoteatrze widać było, jak reżyser wyrzuca śpiewaków za drzwi. Zza płótna żaglowego dobiegło trzaśnięcie drzwi i śmiech aktorów.

W kinoteatrze zaczęły się rozsiadać kolejne damy w coraz większych kapeluszach, prowokując awanturę na widowni.

Nagle za płótnem rozległ się przenikliwy gwizd. Z sufitu kinoteatru zjechał dwuszcękowy chwytak koparki przeładunkowej, który ściągnął kapelusz jednej z dam. Pozostałe panie zdjęły kapelusze, z wyjątkiem właścicielki największego. Szczęki znów się pojawiły, chwyciły kobietę wraz z kapeluszem i wyciągnęły z widowni kinoteatru. Aktorzy za płótnem wiwatowali.

Lord Strone śmiał się do rozpuku.

– Dobrze jej tak! To ją oduczy. Wywalili ją jak stary rupieć.

– Irina! – zawołała Marion, kiedy zapalono światła. – To było doskonałe. Dziękujemy.

Irina wstała i ukloniła się.

– Proszę o oklaski dla wykonawców.

Członkowie trupy Humanova wyszli z za płótna. Wszyscy goście weselni bili im brawo.

Isaac Bell uściskał aktorom dłonie, umieszczając w nich przy okazji po dziesięciodolarowym banknocie.

– Dziękuję za wspaniały występ.

– Mogło być jeszcze lepiej, gdybyśmy mieli nieco więcej czasu na próby – westchnął jeden z aktorów – ale mademoiselle Viorets wciąż zmieniała dialogi.

Weselnicy zeszli głównymi schodami „Mauretanii” do jadalni. Isaac i Marion krążyli między stolikami, dziękując gościom za przybycie i odpowiadając na ich pytania.

– Zdrowie pięknej panny młodej! – zawołał rumiany baron kominowy, po czym osuszył szklaneczkę i skinął na kelnera, aby ponownie ją napełnił. – A panu, *Herr Bell*, złożę życzenia po niemiecku: *Da hast du Glück gehabt!*

– Czyli niech się panu szczęści – przetłumaczył Wagner.

– *Danke schön!* – podziękował Isaac z uśmiechem.

Wracali już do swojego stolika, kiedy szybkim krokiem podszedł do nich blady i zaszepiony Clyde Lynds.

– Panie Bell!

– Co z tobą, Clyde, źle się czujesz?

– Nigdzie nie mogę znaleźć profesora. Nie ma go ani w kabinie, ani na pokładzie, nie ma go też tutaj i w jadalni drugiej klasy.

– Kiedy opuścił przyjęcie?

– Jeszcze przed ceremonią. Powiedział, że znów go męczy choroba morska. – Lynds ściszył głos do szeptu i dodał: – Mam przecucie, że zszedł na dół, do bagażowni. Byłem tam, ale go nie znalazłem. Sprawdziłem obie bagażownie, rufową i dziobową. Ani śladu.

– Po co miałby tam schodzić?

Lynds wzruszył ramionami.

- Pewnie żeby sprawdzić nasze rzeczy.
- Jakie rzeczy? – dopytywał Bell. – Bagaże?

Zarówno profesor, jak i jego protegowany w swoich wypowiedziach krążyli wokół „tajnego wynalazku”. Czy był na statku? Czy tylko w ich głowach? Czy płynął innym statkiem? A może chodziło tylko o plany i rysunki? Bell nie miał pojęcia, ale wyglądało na to, że wynalazek jednak jest na „Mauretanii”. Zabawne, czymkolwiek było to urządzenie, znajdowało się prawdopodobnie w tej samej bagażowni co więzień Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

- Powiedz mi Clyde, co to za bagaż?

Lynds zawahał się i spuścił głowę.

- Profesor wiezie kilka skrzyń.
- Dotrzymaj towarzystwa pannie Viorets. Idę to sprawdzić.

- Może pójde z panem?
- Nie.

Rozdział 8

Przykro mi, Marion, ale muszę zostawić cię na chwilę samą. Beiderbecke gdzieś zniknął. Clyde się niepokoi, zresztą ja też.

- Będę pełniła honory domu.

Isaac odprowadził żonę do stołu i dał znak Archiemu. Wyszli oddzielnie z jadalni i spotkali się w apartamencie Bella. Detektyw wsunął mały pistolet za pasek i rzucił drugi Abbottowi.

- Beiderbecke zniknął – wyjaśnił. – Clyde uważa, że poszedł do bagażowni, ale sam nie mógł go tam znaleźć.
- W przedniej jest nasz człowiek z ochrony.
- Spytamy go, czy coś widział.

Nie korzystając z powolnej windy, popędzili głównymi schodami w dół. Minęli kolejno pokład spacerowy, ochronny, górny i główny. Znalazłszy się na dolnym, ruszyli na dziób. Drogę znali bardzo dobrze, bo już nie raz odwiedzali uwięzionego oszusta i jego znudzonego samotnego strażnika. Archie szybko się zasapał, ale dotrzymywał kroku Bellowi. Nagle Isaac złapał go za ramię i zatrzymał w miejscu.

– Popatrz – powiedział, podnosząc z pokładu pincez. Obejrzał dokładnie binokle w świetle sufitowej żarówki. Jedno ze szkła było pęknięte. – Szkła zabarwione na różowo, takie same jak profesora.

Przepastne pomieszczenie przedniej bagażowni było długie na ponad dwadzieścia metrów i szerokie na co najmniej dwanaście, jednak ze względu na kształt kadłuba „Mauretanii” na odległym końcu zwężało się do niecałych pięciu. Wbrew nazwie, nie było w nim wiele bagażu, przeważały bele jakichś towarów i drewniane skrzynie. Stały tu też rzędy przypominających beczki pojemników transportowych z napisami „Ostrożnie” i „Porcelana”, dębowe beczułki z winem i brandy, dwie limuzyny Daimlera oraz zgrabne auto Wolesley-Siddeley o nadwoziu typu tourer. W powietrzu panował zaduch, poprzez który Bell wyczuwał dziwny, intensywny zapach. Nie był to smród benzyny, który zwrócił jego uwagę podczas poprzedniej wizyty, lecz gryząca woń zalatująca smołą. Mógł to też być wszechobecny zapach farby, używanej przez załogę statku podczas prowadzonych na bieżąco remontów i poprawek.

Klatka stała w przedniej części bagażowni. Kiedy Bell i Archie weszli do środka, od razu zauważyli, że konwojent Służby Ochrony Van Dorna śpi rozciągnięty obok niej, a zamknięty w środku oszust, tyczkowaty mężczyzna w średnim wieku z grzywą jasnych włosów i budzącym zaufanie uśmiechem, właśnie próbuje sięgnąć przez kraty do kółka z kluczami.

– Panie Block – powiedział Archie, używając fałszywego nazwiska, pod którym przestępca dokonywał giełdowych manipulacji. – Nawet jeśli uda się panu stąd wydostać, dokąd zamierza się pan udać na parowcu znajdującym się na środku Atlantyku?

– Na spacer – odparł oszust. – Może spotkałbym kogoś, z kim uciąłbym sobie pogawędkę? Z tym facetem wyczerpaliśmy już wszystkie interesujące nas obu tematy. A w ostateczności mógłbym rozbić jedną z tych beczulek i urznąć się dobrą brandy.

Konwojent obudził się i zerwał na równe nogi.

– Przepraszam, panie Bell. To przez ciągle kołysanie w górę i w dół. A w dodatku ten zapach sprawił, że poczułem się zmęczony.

– Następnym razem lepiej schowaj klucze – pouczył go Archie.

– Szukamy pewnego wiedeńskiego dżentelmena w średnim wieku z podkręconym wąsem, w binoklach – powiedział Bell. – Miał na sobie surdut, a w ręku laskę ze srebrną główką. Widziałeś tu kogoś odpowiadającego temu opisowi?

– Nie, sir.

– A czy ktokolwiek wchodził do bagażowni, kiedy jeszcze nie spałeś?

– Był tylko jakiś młody facet, który szukał tego samego gościa co panowie. Wszedł i zaraz wyszedł.

To zapewne był Clyde.

– Nikogo więcej nie widziałeś?

– Nie.

– Jak to? Przecież był jeszcze ten koleś, który zabrał kufer – oznajmił więzień.

– Jaki koleś? – spytał Bell.

– To był ktoś z załogi – odparł konwojent.

– Czego chciał?

– Zabrał kufer. Ciągłe tu wchodzą i wychodzą. Pasażerowie pierwszej klasy wysyłają ich po rzeczy, których zapomnieli zabrać ze sobą.

– On nie należał do załogi – powiedział oszust pewnym głosem.

– Co? – Bell popatrzył na mężczyznę ściskającego pręty lwiej klatki. Jak każdy więzień, na pewno lubił wszelkie urozmaicenia nudnej codzienności. – O czym pan mówi, panie Block?

– Nie należał do załogi – powtórzył oszust.

– Na pewno był z załogi – upierał się konwojent. – Przecież widziałem.

Bell zignorował go i zwrócił się do Blocka.

– Z czego pan wnioskuje, że człowiek, którego pan widział, nie jest zatrudniony na statku?

– Jedzenie, które mi tu dają, jest paskudne – zmienił temat Block. – Chciałbym dostać coś dobrego.

– Da się zrobić, kiedy mi pan wszystko wyjaśni.

– On tylko udawał członka załogi.

– Diabła tam! – burknął konwojent.

– Na pewno udawał! – nie dawał za wygraną więzień.

Bell dał znak przyjacielowi. Kiedy Archie wyprowadził konwojenta za drzwi, spytał Blocka:

– Skąd pan wie, że człowiek, który zabrał kufer, nie był członkiem załogi?

– A dostanę lepsze żarcie?

– Dostanie pan wyborną polędwicę wołową i żeberka, pieczonego indyka, ćwiartkę jagnięcia, wędzone ozory oraz kaczkę de Rouen, pod warunkiem, że mi pan pomoże. Skąd pan wie?

– Po prostu wiem.

– Jeśli nie powie mi pan nic więcej, będzie pan dostawał wyłącznie chleb i wodę.

– Ja nic nie kombinuję, panie Bell. Niech mi pan uwierzy, że swój zawsze pozna swego. Od razu wiedziałem, że ten facet to oszust. Po pierwsze, cały był pokryty pyłem węglowym. Zupełnie jak palacz z kotłowni. Czy ktokolwiek posłałby do bagażowni palacza, żeby przyniósł lśniący, czyściutki kufer? Na pewno nie. Zawsze przysyłają wymuskanych stewardów z załogi hotelowej. Teraz pan wie, o co mi chodzi?

– A po drugie?

– Stewardzi zwykle przychodzą parami, żeby sobie pomagać przy noszeniu ciężarów. A ten był sam.

– Jak wyglądał?

– Już panu mówiłem. Jak palacz. Prawdziwy twardziel z czarnej brygady.

– Był wysoki?

– Nie za bardzo, ale mocno zbudowany. Miał długie ręce, jak u małpy, może od ciągłego machania szuflą z węglem.

– Długie ręce? A widział pan jego twarz?

– Czarna od sadzy.

– Rozpoznałby go pan, gdyby pan go spotkał?

– Wątpię.

– Dlaczego?

– Miał czapkę nasuniętą na oczy i kołnierz postawiony powyżej uszu. Z tą usmoloną twarzą mógłby grać Murzyna w wodewilu.

Bell popatrzył na niego spod oka. Block był bardzo inteligentnym oszustem.

– Jakiego koloru był kufer?

– Srebrny.

– Kiedy to się stało?

– Jakąś godzinę temu. Może trochę wcześniej.

– Życzę panu smacznego – powiedział Bell, kierując się do drzwi, ale zatrzymał się w pół kroku, by zapytać o jeszcze

jeden szczegół. – Czy kufer miał naklejkę z oznaczeniem klasy, jaką podróżuje jego właściciel?

– Tak. Pierwsza klasa.

– Panie Block, po raz pierwszy od wyjścia z poprawczaka uczciwie zarobił pan na posiłek.

Bell ostro napomniął konwojenta, żeby bardziej uważał, i odesłał go z powrotem na jego stanowisko, a potem powiedział Archiemu:

– Palacz z kotłowni, albo ktoś ucharakteryzowany na palacza, zabrał srebrny kufer z naklejką pierwszej klasy. Pytanie – w jakim celu?

– Jeśli profesor został wprowadzony, porywacze mogli wsadzić go do kufra i w ten sposób przeszmyglować do wynajmowanej przez nich kabiny pierwszej klasy.

– Też tak myślę.

– Niepokoi mnie jedno – zasępił się Archie. – W tym miejscu znaleźliśmy binokle. Skąd wiedzieli, że profesor nadchodzi? Może śledził go ktoś z załogi?

– Albo któryś z pasażerów – rzekł Bell. – Lepiej powiedzmy kapitanowi Turnerowi, żeby polecił rozpocząć poszukiwania.

Rozdział 9

Isaac! Znalezione kufer na pokładzie spacerowym!

Bell minął Archiego w pełnym biegu, wspinając się główną klatką schodową. Na górnym podejściu kłębił się tłum. Korytarze zbiegające się przy pentrze załogowej były zatłoczone ludźmi z niższego personelu – stewardami z salonów, pokładów i części hotelowej oraz marynarzami, których wyznaczono do poszukiwań. Bell ujrzał leżącego na plecach nieprzytomnego stewarda z salonu. Jego nor-

malnie nieskazitelny uniform był całkiem upaprany. Obok spoczywał srebrny kufer. Stał nad nim krzepki marynarz, który przymierzał się do rozbicia zamka toporem.

– Sam go otworzę – powiedział Bell, stając obok niego. Ukląkł przy kufrze i spróbował go przesunąć. Był ciężki. – Czy ktoś ma korkociąg?

Pomocnik sommeliera podał mu potrzebne narzędzie. Isaac wkręcił śrubowe ostrze w zamek i pogmerał nim, patrząc gdzieś w bok. Po chwili rozległ się lekki trzask i zamek był otwarty. Pośród gapiów rozszedł się pomruk podziwu. Zanim ktokolwiek zdążył zadać pytanie, skąd takie umiejętności u dyrektora firmy ubezpieczeniowej, Bell powiedział:

– Tę sztuczkę pokazała mi cioteczna babka. Była prawdziwą złotą rączką.

Stewardzi i marynarze wybuchli śmiechem.

– Nigdy nie ujawniła, gdzie się tego nauczyła – dodał Bell, znów budząc ogólną wesołość.

Odchylił do góry blaszkę ze skobelkiem i otworzył wieko. Śmiechy ucichły jak nożem uciął.

W kufrze leżało ściśnięte ciało profesora Beiderbeckego. Zgięte w kolanach nogi miał tuż przy piersi, ręce ułożone przy głowie, a oczy szeroko otwarte. Skóra na twarzy, zastrygłej w grymasie bólu i trwogi, była całkiem sina.

Starszawy steward z obsługi salonu bez słowa wręczył Bellowi swój nóż do ryb. Detektyw przyłożył go do nozdrzy profesora. Nie sądził, aby biedak jeszcze dychał, jednak na gładkiej powierzchni metalu pojawiło się lekkie zamglenie.

– Żyje!

Kilku ludzi pomogło Bellowi wyciągnąć profesora z kufra. Położono go na pokrytej linoleum podłodze i delikatnie rozprostowano jego członki. Beiderbecke jęknął, zakrzusił się i zaczął nieregularnie oddychać.

- Doktora!
- Wezwać lekarza!

Bell pochylił się nad profesorem, szukając jakiegokolwiek reakcji w jego szeroko otwartych oczach. Wydawało mu się, że skupiły się na nim.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszył go. – Zaraz przyjdzie lekarz.

Przez ciało Beiderbeckego przebiegło drzenie.

– Moje serce – szepnął. Skrzywił się z bólu, chwycił za pierś i wycharczał: – Bell!

- Jestem przy panu, profesorze.
- Mój... wychowanek...
- Niech się pan nie martwi, zajmę się nim.
- Błagam, niech pan go chroni.
- Zrobię to.
- Zagraża mu akk...

– Co mu zagraża? – Bell przytknął ucho do ust Beiderbeckego. Wiedział, że profesor umiera. – Co mu zagraża?

– ...Akrobat.

Przybył lekarz, torując sobie drogę w ludzkiej ciżbie. Bell wstał, aby zrobić mu miejsce, i przyglądał się, jak pewnymi ruchami rozpina profesorowi kamizelkę i koszulę, a potem przykłada stetoskop do jego piersi. Słuchał dłuższą chwilę, po czym pokręcił głową i zabrał instrument.

- Co ci powiedział Beiderbecke? – spytał Archie.
- Kazał mi obiecać, że będę chronił Clyde'a.
- Przed Kriegem?

– Tak przypuszczam – odrzekł Bell. – Ale powiedział jeszcze coś.

- Co takiego?
- Coś jakby imię albo słowo, które brzmiało jak „akrobata”. Jak to będzie po niemiecku?

– Tak samo jak po naszymu, tylko bez „a” na końcu – wyjaśnił Archie. – O co mu mogło chodzić z tym „akrobatą”?

– O człowieka, który potrafi latać – mruknął w zamyśleniu Bell.

– Jak ten, który wyskoczył za burtę?

– A potem jakimś cudem przyfrunął z powrotem.

– Tylko że akrobaci tak naprawdę nie latają – stwierdził Archie.

– Chyba nie. Ale najlepsi z nich potrafią cholernie dobrze naśladować latanie. – Isaac Bell myślał intensywnie. – „Mauretania” wiezie trzy tysiące ludzi, licząc pasażerów i załogę. Zabójca Beiderbeckego jest wśród nich.

– To tak, jakby ukrywał się w jakimś mieście.

– Potrzebny nam świadek. Zapytajmy tego stewarda, czy widział, kto go pozbawił przytomności.

Wciąż jeszcze zamroczony steward, siedzący teraz na pokładzie, pokręcił przecząco głową.

– Przykro mi, szefie. Zaskoczył mnie od tyłu, kiedy wszedłem do pentry.

Bell pomógł mu się podnieść.

– Może choć kątem oka, kiedy upadałeś? Cokolwiek, czy był wysoki albo w co ubrany?

– Nic z tego, szefie. – Steward popatrzył na rękaw żakietu, a potem na spodnie. – A niech to, jak ja wyglądam? Muszę się przebrać, zanim pryncypał mnie zobaczy.

Bell zauważył brązowe plamy smaru na jego spodniach, pochodzące zapewne z podłogi pentry. Ale smugi na rękawie wyglądały jak sadza. Przesunął po nich palcem.

– Pył węglowy – powiedział do Archiego. – Trzeba będzie odwiedzić czarną brygadę.

Lawrence Block ponownie zaklinał się na wszystkie świętości, że nie widział twarzy człowieka z czarnej brygady, który zabrał kufer z bagażowni, ale Bell zabrał go ze sobą, aby ewentualnie wyczytać z jego oblicza, czy nie skłamię, kiedy będą przypatrywać się ludziom pracującym

w kotłowniach i bunkrach węglowych. Zabrał też stewarda z salonu, uznał bowiem, że ten, który go pozbawił przytomności, może nie wiedzieć, że napadnięty nie widział jego twarzy. Poza tym widok dwóch świadków mógł wywołać u niego jakąś nerwową reakcję. Tak myślał Bell aż do chwili, kiedy zszedł na sam dół i zobaczył na własne oczy piekło, w którym pracowała obsługa kotłowni.

– Trzystu dwudziestu trymerów i palaczy, głównie Irlandczycy z Liverpoolu – powiedział starszy mechanik „Mauretanii”, krępy, rzeczowy inżynier pochodzący niechybnie ze Szkocji, z wąsami jak mors i czterema złotymi paskami na rękawie. – Plus pański dziwny obcokrajowiec.

Kapitan Turner polecił mu towarzyszyć Archiemu, Bellowi i obu świadkom podczas wizyty w kotłowni. Po naciśnięciu elektrycznego przełącznika masywne drzwi wodoszczelne rozsunęły się, ukazując scenę pełną piekielnego żaru i łoskotu. Nadzy od pasa w górę, zgięci w pół mężczyźni ładowali szuffami węgiel na taczki w niemal całkowitej ciemności.

Starszy mechanik musiał krzyczeć Bellowi prosto do ucha, aby ten cokolwiek usłyszał.

– Wątpię, czy pan coś z nich wyciągnie. Ludzie z czarnej brygady to twarde sztuki.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

– Powinien pan zobaczyć, jak wyglądają ich sprzeczki. Ryglujemy włazy, dopóki nie przestaną się bić. Nasza „Maury” potrzebuje tysiąca ton węgla na dobę, aby utrzymać prędkość.

Gdyby trafił tu diabeł, poczułby się jak u siebie, pomyślał Bell. Nietrudno sobie wyobrazić, jak wysoka temperatura zamienia wodę w parę, która kierowana jest do turbin obracających śruby napędowe „Mauretanii”, dzięki czemu wielki statek sunie po powierzchni oceanu. Ale czymś zu-

pełnie innym było obserwowanie przez chmury gryzącego w oczy węglowego pyłu, w jakim znoju pracują dziesiątki ludzi, za sprawą których to wszystko działa.

Rozległ się donośny sygnał dzwonek. Jak na komendę otworzyła się furta paleniska. W migotliwym świetle płomieni palacze z twarzami owiniętymi mokrymi szmatami wrazili trzymetrowe stalowe ożogi w żarzącą się skorupę szlaki. Dźgali rozpalone do białości resztki węgla, krusząc żużel na kawałki i rozgarniając go po rusztach. Potem wbijali szufle w ułożone na pokładzie przyzmy węgla, prostowali się i wprawnym ruchem wrzucali ich zawartość do paleniska, po czym znów się pochylali i nabierali kolejną porcję. Łopata za łopatą, węgiel wpadał prosto w ogień. Pracowali szybko, bo furty otwierały się na krótko, aby utrzymać jak najwyższą temperaturę. Przez siedem minut ładowali i rozgarniali węgiel, układając równe warstwy świeżego paliwa na rozpalonych rusztach. Niemiłosierny żar wysuszał na wiór szmaty chroniące ich twarze.

Szczęknięta zamykająca się furta. Znów zrobiło się ciemno. W półmroku palacze rzucili się do wypełnionych wodą wiader. Spływający potem trymerzy podjeżdżali wypełnionymi taczkami i przechylali je, wysypując węgiel obok furt palenisk. Potem wracali do zasobni węglowych, zwanych bunkrami, by ponownie załadować taczki. Wewnątrz bunkrów Bell widział ich kolegów, którzy przerzucali węgiel z głębi pomieszczenia pod zsypy. Znów rozległ się dzwonek, a na wskaźniku pojawił się numer paleniska, które miało zostać obsłużone w następnej kolejności.

- Jak długo trwa jedna wachta?
- Cztery godziny, potem osiem godzin wypoczynku.

Bell przeprowadził stewarda i oszusta przejściem przez wszystkie cztery kotłownie. Minęli sto dziewięćdziesiąt dwa paleniska pod dwudziestoma czterema kotłami, zajrzeli do każdego bunkra. Potem przeszli obok trymerów smarujących

maszynierę i usuwających rozpalony do białości żar z popielników do eżektorów. Na koniec przeszli się wzdłuż cuchnących kwater trymerów na dolnym pokładzie i palaczy na pokładzie głównym, w których spracowani ludzie leżeli rozciągnięci na ciasno upchniętych kojach. Żadna z gniewnych twarzy tych, których zbudzili, ani tych śpiących kamiennym snem nie wywołała najmniejszego skójarzenia ani u Blocka, ani u stewarda.

Wróciwszy z uroczystości ślubnej, Hermann Wagner otworzył drzwi Apartamentu Królewskiego. Prawdziwie królewskie luksusy, uśmiechnął się. Dwie sypialnie, salon i własna jadalnia, do której prowadziło drugie wejście dla służby, prosto z pentry. Zdziwiło go, że światła były wygaszone. Poprzedniej nocy po kolacji powitało go jasno oświetlone wnętrze z rozesłanym do spania łóżem, a na stoliku nocnym czekała filiżanka jego ulubionej gorącej czekolady i kieliszek brandy. Jeśli to zaślubiny państwa Bellów spowodowały tak wielkie zamieszanie na statku, można się z tym pogodzić, uznał. Przyjęcie było wspaniałe, młoda para olśniewająca, jedzenie i wino wyśmienite, atmosfera przesycona miłością i doprawiona szczyptą tajemnicy. Ponoć połowa załogi poszukiwała jakiegoś zaginionego pasażera drugiej klasy.

Poczuł dziwny zapach, silny, gryzący odór, jakby dym z kominów „Mauretanii” został zassany do nawiewników i wtłoczony do jego kabiny. Podczas wcześniejszych podróży pierwszą klasą przez Atlantyk nigdy nie czuł zapachu węglowego dymu wewnątrz apartamentu. Brytyjskie, niemieckie i francuskie kompanie żeglugowe konkurowały ze sobą, więc każdy detal musiał być *de luxe*.

Sięgnął ostrożnie do przełącznika, ale szampan sprawił, że jego ruchy stały się niezdarne. Potrącił lampę i rzucił się ją łapać, aby się nie stłukła, zanim zorientował się, że jest

solidnie przymocowana, na wypadek przechyłków statku. Za sobą usłyszał metaliczny odgłos. Jednak coś strąciłem, pomyślał. Nagle pojął, że był to dźwięk zamka w drzwiach. Poczuł za plecami jakiś ruch i jednocześnie stalowy uścisk dłoni na ramieniu. Szarpnięty poleciał w tył, zatrzymując się na czyimś ciele, twardym jak skała.

Druga dłoń zatkała mu usta, zanim, kompletnie zaskoczony, zdołał wydać jakikolwiek dźwięk, nie mówiąc o wołaniu o pomoc. Hermann Wagner był młody i wysportowany. Zaczął walczyć, żeby się wyswobodzić, ale jego prześladowca trzymał go z niezwykłą siłą. To właśnie ten człowiek, który miażdżył go w uścisku, śmierdział spalenizną.

Niespodziewane wybawienie! Ktoś zapukał do drzwi.

– Steward, sir! Czy mogę wejść?

Wagner wierzgnął nogami w nadziei, że uda mu się strącić cokolwiek na podłogę i wywołać hałas. Pukanie powtórzyło się, stało się jakby bardziej natarczywe. Nie było to pełne uległości „przepraszam-że-przeszkadzam”, lecz raczej stanowcze „otwieraj-drzwi-i-wpuść-mnie”. Zaginiony pasażer! Załoga przeszukuje statek. Szarpnęła się jeszcze mocniej. Dłoń zakrywająca mu usta ześliznęła się w dół i chwyciła go za gardło, przerywając dopływ powietrza do płuc i krwi do mózgu. Nogi ugięły się pod nim. Stracił wszelką nadzieję, zdając sobie sprawę, że za chwilę udusi się i umrze.

– Jest pan tam, sir?

Człowiek śmierzący węglem wychrypiął mu do ucha:

– *Ich bin Donar.*

Wagner w życiu nie słyszał piękniejszego dźwięku. *Donar*. Niemiecki odpowiednik Thora, boga piorunów. To znaczyło, że będzie żył. Donar to kryptonim tajnego planu niemieckiej armii, popieranego przez samego kajzera. Wagner był tego najzupełniej pewien.

Dławiący uchwyt na jego szyi nieco zelżał.

Wagner kiwnął głową, potwierdzając to, co ślubował własną krwią: ślepe posłuszeństwo.

Ucisk ponownie osłabł, w sam raz na tyle, by Wagner zdołał wyszeptać:

– Proszę mi wybaczyć, nie wiedziałem.

– Powiedz stewardowi, że śpisz. Ma stąd odejść.

– A jeśli nie posłucha? Przeszukują cały statek.

– Jak się będzie upierał, to go wpuść, ale nie do sypialni. Wy tłumacz mu, że jest u ciebie kobieta, która nie chce zdradzać swojej tożsamości. Zrozumiałeś?

– Tak jest – odpowiedział Wagner, ledwie powstrzymując odruch salutowania. Ostatnim człowiekiem, który zwracał się do niego w tak kategoriyczny sposób, był jego przełożony podczas służby wojskowej, w randze pułkownika.

– Wykonać!

– Myślisz, że szukają Niemca?

Dwaj młodzi trymerzy z kotłowni numer 1, Bill Chambers pochodzący z hrabstwa Mayo i Parnell Hall z Munsteru, mijali się w przeciwnych kierunkach, pchając taczki między przednim poprzecznym bunkrem a paleniskami. Nie obawiali się, że pośród huku ognia buzującego pod kotłami ktokolwiek usłyszy, o czym rozmawiają. W dodatku ekipa złożona ze starszego mechanika, amerykańskiego gogusia, stewarda i więźnia, którego przetrzymywali w przedniej bagażowni, wreszcie opuściła kotłownię.

– A kogo innego mogą szukać?

Chambers i Hall byli przywódcami nowego pokolenia w Irlandzkim Bractwie Republikańskim i mieli dość ugodowych starców. Jak na prawdziwych buntowników przystało, ślubowali przegnać brytyjskich ciemżycieli z Irlandii albo zginać za sprawę. Mawiano o nich, że są w gorącej wodzie kąpani, ale oni uznawali tę przyganę za

komplement. Natomiast nikt nie mógł zarzucić im braku odwagi, skoro wiadomo było, że potrafili atakować angielskie patrole wojskowe uzbrojeni jedynie w kamienie i proce. Co się zaś tyczy pomocy, jakiej udzielili Niemcowi, wcale nie było takie pewne, że zrobili to skuszeni obietnicą otrzymania karabinów i materiałów wybuchowych.

– Sądzisz, że go znajdą?

– Jeśli im się uda, gorzko tego pożałują.

Choć byli młodzi, odważni i mieli za sobą walki z patrolami, Bill Chambers i Parnell Hall puścili rączki taczek i przeżegnali się. Człowiek, którego znali jako Niemca, był niedościgłym mistrzem walki.

Jak powiedział poeta, dzuma i głód chodzą w parze.

Hermann Wagner, stojąc w swym królewskim apartamencie pod drzwiami łazienki, słuchał, jak człowiek kierujący planem „Donar” zmywa z siebie przysznice pył węglowy w jego porcelanowej wannie.

– Odwróć się! – zawołał Donar przez drzwi. Już wcześniej przestrzegł go beznamietnym głosem, niepozostawiającym żadnych wątpliwości co do konsekwencji nieposłuszeństwa: – Nigdy nie patrz mi w twarz.

Wagner wszedł do saloniku i stanął tyłem. Gardło bolało go od czasu, gdy jego gość omal go nie udusił.

– Zamów kolację do apartamentu. Będziesz pełnił wartę, kiedy ja pójdę spać.

Wagner, który śpiewał w kościelnym chórze i miał doskonały słuch, wyczuł delikatny dysonans w salonowej niemczyźnie Donara. Płynna gardłowa wymowa zawierała odpowiednią dawkę wyuczzonej lekkości, ale od czasu do czasu charakterystyczne dla pruskiej arystokracji tony pobrzmiwały fornalskim prostactwem.

– Czy dla pana też zamówić jedzenie?

– Chyba żartujesz. Jeden pasażer nie zamawia dwóch posiłków.

– Sądziłem, że pan także chciałby zjeść kolację.

– Zjem twoją.

– Oczywiście, rozumiem.

Usłyszał, że Donar prosto z łazienki przeszedł do sypialni.

– Usuń ten węglowy brud, zanim steward to zobaczy.

Hermann Wagner na kolanach wyszorował łazienkę. Ostatni raz robił coś takiego jako dwunastolatek, kiedy ojciec, chcąc go „zahartować”, posłał go do znanej z żelaznej dyscypliny szkoły z internatem.

Nie miał nic przeciwko temu. Znalezienie się wśród elity dyplomatów, bankierów i przedsiębiorców zaangażowanych w plan „Donar” poczytywał za zaszczyt. Wprawdzie nie był zawodowym żołnierzem i nie znał się na wojskowych procedurach, ale mógł bez przeszkód podróżować do Stanów Zjednoczonych, prowadzić tam całkowicie legalne interesy i obracać się w najwyższych sferach.

Zbliżał się *der Tag*. Zwycięstwo nie zależało wyłącznie od żołnierzy. Nie da się go osiągnąć bez pomocy patriotów takich jak Hermann Wagner, którego wkład polegał na przekonaniu Amerykanów do udziału w wojnie po stronie Niemiec, a przynajmniej do zachowania neutralności, kiedy Niemcy będą podbijać Rosję, Francję i Wielką Brytanię.

Rozdział 10

Oświecie świeżo upieczony żonkoś Isaac Bell wymknął się cichutko z łóżka, pocałował śpiącą Marion w czoło, ubrał się i wyszedł na pokład spacerowy. Panował lodowaty chłód, a morze znów zaczynało się burzyć. Długie wały wodne maszerowały w równych odstępach z północnego

zachodu. Niebo było czyste, ale na horyzoncie widać było postrzępioną warstwę chmur, które wyglądały jak odległe pasmo górskie z oblodzonymi szczytami. Dym z wysokich czerwonych kominów „Mauretanii”, porywany silnym wiatrem, ciągnął się nisko nad wodą za rufą statku.

Bell podszedł na prawą burtę i stanął w miejscu, obok którego musiał spadać tamten człowiek po skoku z pokładu łodziowego. Podejrzał, że mógł on jakimś cudem wylądować bezpiecznie na pokładzie spacerowym, jakkolwiek było to mało prawdopodobne, bo pokład ten nie wystawał obrysem poza krawędź pokładu łodziowego. Tyle że Biederbecke nazwał tego człowieka akrobatą.

Detektyw zaczął przechadzać się w tę i z powrotem, wodząc oczami po otoczeniu. Powiedzmy, że *Akrobat* to prawdziwy akrobata, pomyślał. Mógł być doskonale wyszkolonym cyrkowym linoskoczkiem albo wykonywać ewolucje na trapezie. Należy przypuszczać, że jest nadzwyczajnie silny, niezwykle zwinny, nie ma lęku wysokości, za to nerwy ze stali.

Bell uśmiechnął się na wspomnienie swoich młodych lat. Będąc jeszcze chłopakiem, uciekł z domu, by przyłączyć się do trupy cyrkowej. Zanim ojciec dopadł go na placu targowym w Missisipi, zdążył zaprzyjaźnić się z poskramiaczami dzikich zwierząt, kłownami, wołyżerami, a zwłaszcza z akrobatami, których odwagę i siłę podziwiał najbardziej.

Załóżmy, że ten *Akrobat* trenował od dziecka i opanował cyrkowe umiejętności w stopniu doskonałym. W noc po wyjściu w morze Bell przekonał się na własnej skórze o jego sile i zręczności. Czy to możliwe, by ktoś taki zeskończył z pokładu łodziowego, spadł trzy metry niżej i wskoczył z powrotem na pokład spacerowy?

Odpowiedź brzmi: nie.

Isaac wychylił się przez reling i popatrzył na powierzchnię oceanu. A potem spojrział w górę na ścianę kabiny

radiowej. Jak już mówił Archiemu, najbliższa szalupa, zawieszona na żurawikach nad krawędzią pokładu łodziowego, znajdowała się dziesięć metrów od miejsca, w którym Akrobata przeskoczył nad relingiem. Bell szybko przeliczył łodzie i uderzyło go coś, nad czym wcześniej się nie zastanawiał. Mogły pomieścić łącznie pięciuset ludzi, a przecież na „Mauretanii” było ich w sumie trzy tysiące...

Pobiegnął do najbliższej schodni i ruszył na górę. Czy wtedy w ciemnościach nie wydało mu się, że Akrobata skoczył w górę, a nie w dół? W górę, by złapać sztag lub inną linę sięgającą pokładu słonecznego. Był to najwyższy położony pokład statku, bezpośrednio nad pokładem łodziowym. To na nim znajdowała się kabina radiostacji Marconiego. Czyżby Akrobata wspiął się niemal na jego oczach na pokład słoneczny?

Bell minął biegiem okna czytelnicy, których blask oświetlał scenę wydarzeń rozgrywających się tamtej nocy, i natychmiast zorientował się, że to niemożliwe. W miejscu, w którym mężczyzna przeskoczył reling ani w najbliższej okolicy nie dostrzegł żadnego sztagu, którego mógłby dosięgnąć Akrobata. Skoro więc nie wpadł do wody, musiał wylądować na którymś z pokładów poniżej pokładu łodziowego. Tylko że to też było niewykonalne. Skonsternowany detektyw wrócił niespiesznie na pokład spacerowy.

Zauważył dwóch marynarzy, którzy za pomocą raszpli i papieru ściernego wygładzali drewnianą poręcz relingu.

– Dzień dobry, sir.

– Dzień dobry panom. Tak wcześnie na nogach?

– Musimy pilnować swojej roboty – powiedział jeden z mężczyzn.

– Wszystko zużywa się i niszczy – podjął drugi. – Gdybyśmy na to pozwolili, statek wkrótce wyglądałby jak nieszczęście. Proszę spojrzeć na ten rowek. Prawie przecina poręcz na pół!

Cofnął się, by pokazać Bellowi, nad czym pracują. Było to wąziutkie zagłębienie w tekowym drewnie, tak nieznaczne, że mogło je zauważyć tylko sokole oko bosmana.

O dziwo, biegło w poprzek dookoła poręczy, jakby w tym miejscu owinęło się wokół niej coś giętkiego.

– Co mogło spowodować takie uszkodzenie?

– Pewnie jakiś cholerny elegant, za przeproszeniem szanownego pana, wyrznął w poręcz laską.

– Albo mieczem – zaryzykował jego kolega.

– Mieczem? – zdziwił się pierwszy.

– Słoje drewna są poprzecinane.

– Gdzie tam. To tylko zagłębienie.

– Jeśli chcesz, możesz to sobie nazywać zagłębieniem, ale mówię ci, że to od miecza.

– A skąd jaśnie pan z pierwszej klasy wytrzasnąłby miecz?

– Może miał ukryty w lasce. Zgodzi się pan ze mną, sir? – spytał marynarz, szukając wsparcia, kiedy zobaczył, że Bell dokładnie przygląda się zagłębieniu.

– Drut – orzekł detektyw.

– Przepraszam, nie dosłyszałem, sir?

– To był drut. Cienka, pleciona linka.

– W rzeczy samej, to mogła być plecionka, sir. Z drugiej strony, skąd ten lalusz wziąłby taką linkę i po co waliłby nią w poręcz relingu? Chyba że był jakimś wandalą. Nie powiem, czasem mamy z takimi do czynienia. Jake, pamiętasz tego Francuza?

– A co pan o tym sądzi, sir?

– Akrobata – powiedział półgłosem Bell. Czyżby udało mu się jakoś zaczepić o reling giętką linką?

– Akrobata? Co to, to nie, sir, ten Francuzik na pewno nie był akrobatą.

– Niemiecki akrobata.

Marynarze wymienili zdziwione spojrzenia.

- Skoro pan tak twierdzi, sir, to musiał być akrobata. Oddalając się w pośpiechu, Bell usłyszał za sobą szept:
 - Tam do licha, o czym on gada?
 - Akrobaci, dobre sobie.
 - Potem przyjdzie kolej na mały.

Isaac przyspieszył kroku. Niewykluczone, myślał, że wysportowany, silny, zwinny akrobata mógł powstrzymać upadek, zaczepiając cienką linkę o reling. Ale nie potrafił sobie wyobrazić, skąd miałby nagle wyciągnąć tę linkę i jak zdołałby ją zaczepić w ułamku sekundy po wyskoczeniu za burtę, dlaczego drut nie wysliznął mu się z rąk albo dlaczego nie odciął mu dłoni, gdyby owinął nim sobie nadgarstek?

Bell przeszedł za barierkę oddzielającą pomieszczenia drugiej klasy, pozdrowił marynarza, którego kapitan Turner wyznaczył do pełnienia warty przed kabiną Clyde'a Lyndsa, i zapukał głośno do drzwi.

- To ja, Isaac Bell. Otwórz, Clyde.

Lynds wpuścił go do ciasnej, pozbawionej okna kajuty, którą dzielił z profesorem. Wyglądało na to, że spał w koszuli i spodniach.

- Fatalnie wyglądasz – zauważył Bell.
- Nie mogę zasnąć. Profesor był dobrym i miłym człowiekiem. Nie zasłużył na taki koniec.
- Ty także nie.
- Będę następny?
- Powiem wprost, Clyde. Grozi ci poważne niebezpieczeństwo. Kim oni są i czego chcą?
- Mogę przysiąc, że nie mam pojęcia.
- Czy to może mieć coś wspólnego z twoją dezercją?
- Nie było żadnej dezercji. Nie jestem żołnierzem, nawet nie służyłem w wojsku.
- Więc dlaczego ściga cię armia niemiecka?
- Nie wiem. To wszystko kłamstwo.

– Dlaczego wojsko miałoby kłamać? A jeśli kłamią, to dlaczego chcą cię dopaść?

– Nie wiem.

– Owszem, wiesz.

– Nie jestem dezzerterem.

– Wiem, że nie jesteś, ale to tylko pogarsza sprawę.

– Pogarsza? Dlaczego?

– Wojsko do spółki z Krieg Rüstungswerk chce ukraść wasz wynalazek.

– Nic mi nie zrobią, kiedy znajdę się w Ameryce.

Tak naprawdę Isaac Bell przyszedł do Clyde'a po to, by dowiedzieć się jednego.

– Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby profesor wymienił imię albo słowo „akrobata”?

Lynds pobladł.

– Skąd to pytanie?

– Kiedy Beiderbecke prosił mnie tuż przed śmiercią, abym cię chronił, jego ostatnie słowo brzmiało jak „Akrobat”.

– O mój Boże – wyszeptał Clyde. – Czy to znaczy, że ten człowiek nie wypadł za burtę?

– A więc wiesz, o kogo chodzi.

– Tak – przyznał Clyde. – To on. Nadal jest na statku?

– Przypuszczam, że profesor go zobaczył. Prawdopodobnie to ten akrobata wepchnął go do kufra. Jeśli to prawda, zagrażają ci nie jego współnicy, ale on sam. Człowiek, który próbował dopaść was w Bremie i ponownie, wkrótce po wypłynięciu z Liverpoolu. Tamtej nocy mieliście szczęście, że przypadkiem byłem w pobliżu. Ale tej nocy szczęście opuściło profesora. Ten, kto go zabił, ukrywa się wśród pasażerów lub załogi. Nie zdołamy go znaleźć, a kiedy przybędziemy do Nowego Jorku, on zejdzie ze statku i zniknie w wielkim mieście, gdzie dopadnie cię bez trudu. Człowiek, który odważył się polować na was w zamkniętej przestrzeni statku z prawie tysiãosobową załogą mającą

na wszystko baczenie, musi być wytrawnym myśliwym. On cię znajdzie, Clyde.

Lynds nastroszył się.

– Dlaczego to wszystko tak bardzo interesuje człowieka od ubezpieczeń? – spytał zaczepnie.

– Nie obchodzi mnie cała ta sprawa ani ty w szczególności.

– Czyżby?

– Gdybym nie obiecał profesorowi chronić twój załgany tyłek, zostawiłbym cię na pastwę mordercy, którego nazywamy Akrobatą. Ale obiecałem, więc jesteś skazany na moją pomoc, czy to ci się podoba, czy nie.

– Naprawdę zdoła mnie pan obronić?

– Tylko wówczas, gdy usłyszę odpowiedź na pytania, przed kim mam cię chronić, czym jest wasz tajny wynalazek i dlaczego chcą go ukraść.

– OK, niech będzie.

Lynds zamilkł na dłuższą chwilę. Bell spróbował go zachęcić:

– Profesor zaczął mi mówić o tym urządzeniu, kiedy zabrałem go na drinka tuż przed moim ślubem. Nazwał je *Sprechend*-coś tam, zanim zamilkł na dobre.

Clyde Lynds roześmiał się.

– Co cię tak rozbawiło, do cholery?

– *Sprechendlichtspieltheater*.

– *Sprechendlichtspieltheater*? Co to za lichy?

– Idiotyczna nazwa. Mówiłem mu, że trzeba to ochrzcić inaczej. Wtedy wymyślił Animatofon. Kiedy stwierdziłem, że ta nazwa jest jeszcze gorsza, zaproponował Fotokinema. Uznałem to za kiepski dowcip. Nie byłem w stanie go przekonać, że musimy mieć chwytliwą nazwę, która będzie się dobrze sprzedawać.

– Powiesz mi wreszcie, co to jest? – zniecierpliwiał się Bell.

– Profesor Beiderbecke i ja wynaleźliśmy maszynę, która bardzo wiernie odtwarza dźwięk.

– Jakie są jej walory bojowe?

– To nie jest żadna broń.

– Beiderbecke też tak mówił. Uznałem, że kłamię.

Bell przypomniał sobie wypowiedź profesora o znaczeniu wynalazku dla edukacji, nauki, przekazywania informacji, przemysłu, a nawet dla kultury masowej. Zastosowania były liczne i różnorodne, być może dobry gramofon mógłby do nich pasować.

– Czy chodzi o jakiś rodzaj gramofonu?

– To jest o wiele cenniejsze od gramofonu. Udało nam się opracować metodę dodawania dźwięku do filmów. Nasza maszyna pozwala produkować filmy dźwiękowe.

– Filmy dźwiękowe?

– Dlatego nazwałem ją Kino Dźwiękowe. Niezłe, co?

– Na pewno lepsze niż *Sprechendlichtspieltheater* – przyznał Bell z uśmiechem.

Lynds pokręcił głową i przesunął dłońmi po włosach.

– Kiedy informacje o wynalazku wydostały się poza uczelnię, natychmiast zgłosiła się do nas największa niemiecka wytwórnia filmowa. Chcieli zawrzeć z nami umowę. Zaprośili nas do Berlina, kupili bilety pierwszej klasy, obiecali pokryć wszelkie wydatki, zakwaterowali w najlepszym hotelu. Wkrótce jednak dowiedzieliśmy się, że za tą firmą stoi Krieg Rüstungswerk. Było jasne, że zechcą wykraść nasz wynalazek. Profesor znał naukowca, którego wcześniej tak potraktowali. Uznaliśmy więc, że najlepiej będzie zawieźć maszynę do Ameryki i sprzedać Thomasowi Edisonowi. Byliśmy naiwni jak dzieci. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nie pozwolą nam opuścić Niemiec. Skąd mieliśmy wiedzieć, że firma zbrojeniowa jest w zмовie z niemiecką armią i wykorzysta wojsko, aby nas powstrzymać. Szczęśliwy traf sprawił, że udało nam się uciec. Na

podstawie fałszywego oskarżenia o dezercję mogli aresztować nie tylko mnie, ale także profesora, za ukrywanie zbiega. Ledwie im się wyrwaliśmy dzięki tej sztuczce z wyjazdem do Rotterdamu. Kiedy weszliśmy na pokład „Mauretanii”, odetchnęliśmy z ulgą, że teraz bez przeszkód sprzedamy nasze Kino Dźwiękowe w Ameryce. Spotkała nas niemiła niespodzianka...

- Po co im ta maszyna? – spytał Bell.
- Jest bardzo cenna – odrzekł Lynds.
- Przecież niemiecka armia nie ma nic wspólnego z branżą filmową.

Lynds wzruszył ramionami.

- Może właśnie ma zamiar dołączyć do interesu.

Rozdział 11

Marion otworzyła oczy i uśmiechnęła się na widok Isaaca, który siedział na krawędzi łóżka z filiżanką przeznaczoną dla niej herbaty.

– Tak sobie kiedyś myślałam, że jako małżeństwo będziemy spędzać razem więcej czasu. A przynajmniej o poranku, po naszej nocy poślubnej.

– Wybacz mi, kochanie, ale obawiam się, że mamy do czynienia z poważną sprawą.

– To oczywiście. Uratowałeś biednego profesora Biederbeckego przed porywaczami, a potem ktoś go zamordował. Sprawa jest więc nie tylko poważna, ale i osobista. – Przytuliła się do niego i wzięła herbatę. – Czego nowego się dowiedziałeś od czasu naszego pocałunku na dobranoc?

– Clyde Lynds powiedział mi w końcu, czego chcą porywacze. Trudno mi jednak w to uwierzyć.

Powtórzył Marion słowo w słowo swoją rozmowę z Lyndsem. Często z nią dyskutował o prowadzonych dochodzeniach. Miała przenikliwy umysł i niesamowitą zdolność patrzenia na zagadnienie pod nieoczekiwanym kątem. Ponadto w sprawie dotyczącej Kina Dźwiękowego jej kwalifikacje czyniły ją prawdziwym ekspertem.

Kiedy Isaac skończył relację, usiadła prosto i odstawiła filiżankę.

– Kino Dźwiękowe? Prawdziwe kino dźwiękowe?

– Co rozumiesz pod słowem „prawdziwe”?

– Takie, gdzie dźwięku nie podkładają zaproszeni aktorzy, lecz wykonawcy mówią wprost z ekranu.

– Tak właśnie powiedział.

– Isaac! Filmy dźwiękowe są czymś w rodzaju świętego Graala. Nie wiem, jak to działa, bo próbowało już wielu i nikomu się nie udało, ale jeśli to prawda, ten wynalazek wart jest fortunę. To będzie prawdziwa rewolucja. Na razie mamy do czynienia z niemym przedstawieniem. Pantomimą.

– Trupa Humanova jest jakimś rozwiązaniem.

– Humanova czy Actologues są niczym więcej niż zespołem wodewilowym pokazującym to samo przedstawienie dzień po dniu, zawsze tylko w jednym teatrze. To nie jest prawdziwe kino. Pomyśl o kosztach związanych z podróżami ekipy aktorskiej – gaże, bilety kolejowe, zakwaterowanie i wyżywienie. A w przypadku prawdziwych filmów dźwiękowych można zrobić setki kopii i pokazywać je jednocześnie w wielu kinoteatrach. Szpule z filmem nie muszą jeść ani spać.

– To tak jak z produkcją patelni, nie trzeba płacić robotnikom, bo maszyny robią patelnie automatycznie.

– Właśnie. Każde kino będzie musiało mieć projektor z maszyną odtwarzającą dźwięk.

– Jesteś bardzo poruszona tą sprawą. Widzę niezwykły blask w twoich oczach.

– Pewnie, że jestem poruszona. Czuję się trochę tak, jakbyś mi powiedział, że mogę polecieć na Księżyc. Dziwisz się? Teraz w tanich kinach grane są w kółko dziesięciominutowe jednoaktówki. Dźwięk pozwoli przyciągnąć nowy rodzaj publiczności. Bywalcy teatrów i opery tłumnie ruszą do kin na filmy dwu- i trzyaktowe. Dźwięk pozwoli nam opowiadać dłuższe historie. Bez wahania zwolnię się z Picture World, jeśli tylko będę mogła kręcić filmy dźwiękowe.

– Więc młody Clyde jest posiadaczem czegoś bardzo cennego.

– O ile to naprawdę działa – zastrzegła Marion.

– Dlaczego miałyby nie działać?

– Udźwiękowanie filmów wiąże się z trzema problemami technicznymi, których dotychczas nikomu nie udało się rozwiązać.

Marion zaczęła wyliczać je na długich, zgrabnych palcach lewej dłoni, poczynając od wskazującego, a kończąc na serdecznym, na którym, obok szmaragdu, tkwiła złota obrączka z San Francisco.

– Po pierwsze, synchronizacja dźwięku z obrazem. Ruch ust aktora musi idealnie zgadzać się ze słowami wypowiedzi, tak jak w teatrze, gdzie publiczność słyszy dokładnie to, co widzi na scenie. Po drugie, wzmocnienie dźwięku. Musi on być wystarczająco głośny, aby w największych salach kinowych docierać do tysięcy widzów. Po trzecie, dźwięk ma być wysokiej jakości, aby dało się odczuć emocje w głosach ludzi i piękno muzyki.

– Tak jak w wielkich salach operowych?

– W setkach sal operowych! W dodatku jednocześnie! Filmy dźwiękowe będą grane jednocześnie w wielu miastach. Będą je oglądać miliony. Jak dotąd jednak w Europie ani w Ameryce nikt nie zbliżył się nawet do rozwiązania tych trzech problemów. Wszystkie dotychczasowe próby zakończyły się porażką i bankructwem pomysłodawców.

Maszyna Beiderbeckego i Lyndsa, zwana Kinem Dźwiękowym, musi radzić sobie z wszystkimi trzema naraz.

– Jeżeli tak jest, to znaczy, że Lynds jest właścicielem wynalazku będącego kopalnią pieniędzy.

– A zarazem skarbem kultury. Isaac, to takie ekscytujące.

– Co sądzisz o planach Lyndsa dotyczących sprzedaży urządzenia Edisonowi?

Marion zamyśliła się.

– To dość ryzykowne. Edisonowi nie zależy na wynalazkach, chyba że własnych. Stosuje wszelkie możliwe chwytaki, aby utrzymać swój monopol w branży filmowej, poprzez sprzedaż licencji na użytkowanie swoich kamer i projektorów i zwalczanie konkurencji. Założył firmę Motion Picture Patents Company, znaną też jako Edison Trust, która wykorzystuje szeryfów federalnych i własnych prywatnych detektywów do tropienia wszelkich naruszeń patentów i ciąga po sądach niezależnych filmowców za najdrobniejsze uchybienia. Sądy zwykle biorą jego stronę, bo wyrobił sobie znajomości w legislaturze, popierając reformatorów, którzy głoszą nonsensy, że tanie kino to „rozsadniki nieobyczajności”. Najgorsze jednak jest to, że jeśli nie masz licencji wystawionej przez firmę Edisona, nie kupisz perforowanej taśmy filmowej Eastman Kodak, a to oznacza, że nie nakręcisz filmu dobrej jakości. Szczerze mówiąc, tylko dlatego robię ten *Świat w ruchomych obrazach* dla Prestona Whiteway. Tutaj Edison mnie nie dosięgnie. Aktualności ze świata to zupełnie inna sfera branży filmowej, a Preston jest zbyt bogaty, by dać się zastraszyć.

– I zbyt gburowaty – dodał Bell. – Do kogo więc powinien zgłosić się Clyde?

– W tym sęk, że nie ma wielkiego wyboru – odpowiedziała ostrożnie Marion. – Jeśli chodzi o sprzedaż, to jedynym potencjalnym kupcem jest Edison. Chyba że woli za ryzykować i wejść w spółkę z jakąś niezależną wytwórnią,

która może zostać w każdej chwili zmiażdżona przez Edison Trust. Wiesz co? Może sam byś zainwestował w zbożny cel, wykładając część fortuny odziedziczonej po dziadku?

– Dziadek Ebenezer powiedział mi na łożu śmierci, że bankier, który obsługuje siebie samego, ma głupiego klienta.

– Znam to powiedzenie, ale ono dotyczy adwokatów.

– Zwróciłem mu na to uwagę, ale stwierdził, że adwokaci zapożyczyli je od bankierów. A jego ostatnie słowa brzmiały: „Jeśli chcesz, przepuść wszystko na wino, kobiety i śpiew, ale obiecaj mi, że nie będziesz pakował pieniędzy w żadne interesy”. Zostawię więc inwestowanie profesjonalistom. Wpadłem za to na pomysł, żeby nakłonić Joego Van Dorna do zapewnienia Clyde’owi darmowej ochrony agencji w zamian za udział w ewentualnych zyskach.

– A właśnie, co z Lyndsem?

– Jest bezpieczny. Archie go pilnuje.

Marion zmarszczyła brwi.

– Zdaniem Lillian jeszcze całkiem nie wydobrałał.

– Archie obiecał od razu strzelać i unikać bijatyki.

– Ale czy on da sobie radę? Lillian twierdzi, że wciąż jeszcze miewa napady senności.

Bell pokiwał głową.

– Przydarzyło mu się to tydzień temu w Nicei, ale szybko wziął się w garść. Dla niego to bardzo ważne, że może robić, co do niego należy, a ja muszę to respektować, czy mi się to podoba czy nie – powiedział łagodnie, a jego poważną twarz rozjaśnił czuły uśmiech. – Dzięki temu będę miał trochę czasu dla siebie przed kolacją w towarzystwie kapitana Turnera. Może masz jakiś pomysł, jak spędzimy nasz ostatni dzień w morzu?

Marion wyciągnęła się w poprzek łóżka i sięgnęła do białego telefonu wiszącego obok na ścianie.

– Gdybyś zechciał zrzucić z siebie to wierzchnie tweedowe ubranie, w tamtej szafie znajdziesz jedwabny szla-

frok, który kupiłam ci u Selfridge'a – przerwała i powiedziała do słuchawki: – Steward? Dzień dobry. Zjemy dziś śniadanie w łóżku. – Znow zwróciła się do Isaaca: – Pytają, na co mamy ochotę.

– Na zestaw specjalny dla nowożeńców.

W ten wieczór, ostatni wieczór na statku, Isaac, Marion i Lillian Hennessy Abbott siedzieli w jadalni pierwszej klasy przy stole kapitańskim. Archibald Angell Abbott IV zawiadomił z ubolewaniem, że nie może im towarzyszyć. Był zajęty pilnowaniem Clyde'a Lynds.

Rozdział 12

Clyde Lynds z uwagą obserwował Archiego Abbotta. Detektyw wyraźnie przegrywał walkę z morzącym go snem. Chociaż siedział na niewygodnym krześle wciśniętym w róg kabiny, przez większość czasu drzemał. Co prawda budził się parę razy, ale już po chwili powieki znowu mu opadały.

Za dziesięć minut zaśnie na dobre, pomyślał Lynds. I rzeczywiście, rudowłosy kumpel Bella spał jak niemowlę już po ośmiu. Kiedy tylko Clyde zorientował się, że Archie przysypia, postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji. Odwiedził biuro intendenta i zaopatrzył się w pieniądze z portfeli, które on i profesor zostawili na przechowanie w okrętowym sejfie.

Teraz wymknął się z kabiny i skinął uprzedzonemu wcześniej stewardowi, jednocześnie kładąc palec na ustach, by ten zachował ciszę. Steward odszedł pospiesznie i po chwili wrócił z dwoma wysokimi, dobrze zbudowanymi kolegami. Wszyscy trzej poruszali się prawie bezgłośnie po wyłożonej linoleum podłodze korytarza i mieli zadowolone

miny, jak ludzie, którzy właśnie dostali solidną zapłatę za coś, co nie wymagało żadnego wysiłku.

– Gotowi? – spytał Lynds.

– Tak jest, sir.

– Nie spodziewam się żadnych kłopotów, ale wolę was mieć przy sobie, tak na wszelki wypadek.

– Proszę się o nic nie martwić, sir – zapewnił jeden ze stewardów.

– Jeśli ktokolwiek będzie szukał kłopotów, to je znajdzie – dodał buńczucznie drugi.

– Bez dwóch zdań – potwierdził trzeci.

Lynds wiedział, że to szalony pomysł, ale musiał obejrzeć maszynę, aby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Wcześniej próbował to zrobić nieszczęsny profesor i marnie skończył, dlatego on wołał dobrze zapłacić krzepkim stewardom, aby uniknąć podobnego losu.

– Znacie drogę.

– Niech pan idzie za nami, sir.

– Dokąd to, Clyde?

Lynds odwrócił się na pięcie i ujrzał rześkiego jak skowronek Archiego Abbotta, który patrzył na niego z chłodną dezaprobatą. Stewardzi już mieli rzucić się na pomoc, ale zatrzymali się w pół kroku.

– Hola, panowie, nie tak prędko! – Archie mierzył z pistoletu prosto w pierś Lyndsza. – Spokojnie, chłopcy. Dokąd się wybierasz, Clyde?

Lynds wyjaśnił, że wynajął stewardów, aby ochraniać go w drodze do bagażowni, gdzie chciał obejrzeć swoją maszynę.

– Muszę sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, panie Abbott. Rozumie pan? To bardzo ważne.

Archie przyjrzał się „ochroniarzom” Lyndsza. Stewardzi drugiej klasy sprawiali wrażenie większych twardzieli niż ci z pierwszej. Jeden wyglądał na byłego boksera.

– W porządku – powiedział Abbott, chowając broń. – Będę zabezpieczał tyły. Naprzód, panowie, pokazujcie drogę.

Stewardzi szli szybko płataniną korytarzy. Clyde bez trudu dotrzymywał im kroku, ale Archie ledwo za nimi nadązał. Mógłbym teraz jeść z żoną kolację, zamiast eskortować tę zbieraninę przez wnętrza oceanicznego liniowca, utyskiwał w myślach.

Zarówno oszust, jak i jego strażnik spali w najlepsze przykryci kocami. Nawet nie drgnęli, kiedy Abbott, Lynds i stewardzi weszli do bagażowni. Detektyw natychmiast poczuł ostrą, gryzącą woń, której na pewno tu nie było podczas jego poprzedniej wizyty. Zatrzymał się przed rzędem skrzyń, z których wydobywał się nieprzyjemny zapach.

– Coś tu śmierdzi – powiedział.

– Pewnie wino się zepsuło – odparł steward i zarechotał. – Może tykniemy trochę dla sprawdzenia?

Lyndsowi wcale nie było do śmiechu. Oblizał nerwowo wargi i wyraźnie zaniepokojony rozglądał się dookoła.

– O co chodzi, Clyde? – spytał Archie. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Czuje pan ten zapach?

– Tak, właśnie o nim mówiłem. Co to takiego?

– Nie wiem – odparł Clyde. Położył drżącą dłoń na skrzyni, pochylił się i powąchał drewno.

Kiedy się wyprostował, Archie zauważył przerażenie na jego twarzy. Był pewien, że Lynds doskonale wie, co to za woń. Zanim zdążył go o to spytać, chłopak wykrzyknął:

– Musimy natychmiast otworzyć wszystkie drzwi i luki prowadzące do bagażowni! Szybko! Otwierać wszystko!

Stewardzi rozglądali się niepewnie, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Co się dzieje, Clyde? – spytał Archie.

– Jeśli się nie mylę, w tych skrzyniach znajduje się niewywołana celuloidowa błona światłoczuła. Taśma

filmowa. Ten zapach oznacza, że się zestarzała i zaczyna się rozkładać.

– I co z tego?

– Podczas rozkładu uwalnia się z niej łatwopalny gaz.

To grozi wybuchem.

– Skąd o tym wiesz?

– Jestem naukowcem. Prowadziłem eksperymenty z filmem celuloidowym. Produkuje się go, rozpuszczając nitrocelulozę w kamforze i alkoholu.

– Bawełna strzelnicza. – Archie zrozumiał wreszcie, o co chodzi Lyndsowi. – Wyjątkowo łatwopalna.

– Właśnie. Ale gaz wydzielający się w procesie rozkładu jest jeszcze bardziej niebezpieczny. Najpierw on eksploduje, a potem zapali się film. Trzeba przewietrzyć pomieszczenie, zanim coś spowoduje detonację.

Archie zwrócił się do stewardów.

– Otwórzcie wszystkie drzwi! Szybko!

Rzucili się wykonać polecenie.

Lynds spojrział w górę na trzymetrowy kwadratowy otwór w suficie.

– Luk ładunkowy! – wykrzyknął.

– Co robisz? – spytał Archie.

Clyde wszedł na skrzynię i wspiął się na dolny szczebel drabiny prowadzącej w ciemną otchłań nad ich głowami.

– Jeśli uda mi się otworzyć pokrywę luku, gaz zostanie wyspany tędy jak przez komin – wyjaśnił.

Kilka pokładów wyżej i sto metrów dalej w kierunku rufy, w jadalni pierwszej klasy Marion powiedziała:

– Trudno nie zauważyć, kapitanie, że przy pańskim dwunastoosobowym stole aż osiem miejsc jest pustych. Bez wątplenia nie z braku osób pragnących zjeść kolację w pańskim towarzystwie. Wszak uczta jest doprawdy wspaniała, a pan jest czarującym gospodarzem.

– Dziękuję, pani Bell – odpowiedział Turner, ignorując spojrzenia siedzących przy sąsiednich stolikach gigantów przemysłu, londyńskich arystokratów i amerykańskich milionerów, którzy próbowali zwrócić na siebie jego uwagę. – Będę pamiętał pani komplement aż po kres moich dni. Zapraszam pasażerów tylko wtedy, kiedy mam na to ochotę, a to nie zdarza się często. Zazwyczaj są bandą napuszonych arogantów. Oczywiście nie dotyczy to szanownych państwa, którzy dziś mi towarzyszą.

– Czy to aby nie wbrew zasadom przyjętym przez kompanię żeglugową? Mogłoby się wydawać, że kapitan powinien zabiegać o względy najbogatszych pasażerów.

– Zarząd Cunard Line zwrócił uwagę na pewną zaskakującą okoliczność – odparł Turner. – Im dotkliwiej znieważam pasażerów pierwszej klasy, tym chętniej podróżują moim statkiem. Podobne zjawisko występowało na „Lusitanii”, którą uprzednio dowodziłem. Z jakiegoś powodu bogacze, a zwłaszcza nuworysze, zabiegają o to, by ich obrażać. Jak państwo zapewne wiecie – kapitan zniżył głos do konspiracyjnego szeptu – White Star Line wkrótce wprowadzi do eksploatacji „Olympica” i „Titanica”. Oczywiście żaden z nich nie dorówna „Mauretanii” prędkością, ale będą większe i, jak każda nowość, staną się nie lada atrakcją. Mając to na względzie, zasugerowałem prezesowi, że spróbuję zwiększyć sprzedaż biletów poprzez wprowadzenie dla pasażerów pierwszej klasy tradycyjnej chłosty, jak w Królewskiej Marynarce Wojennej.

Isaac i Marion wybuchnęli śmiechem.

– Jak dotąd nie otrzymałem odpowiedzi na tę propozycję – dodał Turner. – Zapewne prezes naradza się z pozostałymi członkami zarządu.

Jego ostatnie słowa zostały zagłuszone przez potężny wstrząs, od którego zabrzęczała srebrna zastawa. Melodyjnym

jękiem zawtórowały jej kryształy. Pięćset osób znajdujących się w olbrzymiej jadalni zamilkło jak na komendę.

Bell pomyślał, że albo zderzyli się z innym statkiem, albo gdzieś wewnątrz dwustusiedemdziesięciometrowego kadłuba liniowca doszło do potężnej eksplozji. A potem doszedł go najbardziej przerażający okrzyk, jaki można usłyszeć na morzu:

– Pali się!

Część 2

RUCHOME OBRAZY

Walka z pożarem w bagażowni



Rozdział 13

Pali się! Pożar w przedniej bagażowni!

Isaac Bell popędził główną klatką schodową w dół.

Kapitan Turner ruszył w przeciwną stronę, na mostek, i w biegu wykrzykiwał rozkazy, chcąc odrzucić „Mauretanię” od wiatru, aby ten nie podsyczał płomieni.

Bell zmierzał do bagażowni na dziobie, by ocalić swojego więźnia i pilnującego go strażnika, którzy znaleźli się w pułapce.

Zawyły buczone alarmu pożarowego.

Stewardzi próbowali uspokajać pasażerów kłębiących się bezładnie na pokładach, ale nie potrafili udzielić odpowiedzi na ich pełne lęku pytania. Statek położył się na burtę w ostrym zwrocie, ustawiając się rufą do wiatru. Zakołysały się pokłady. Nad tłumem niosły się wzmocnione megafonami głosy oficerów:

– Pasażerowie udadzą się na pokład łodziowy! Wszyscy pasażerowie udadzą się na pokład łodziowy!

Stewardzi zaczęli rozdawać ludziom kamizelki ratunkowe. Jakaś kobieta krzyknęła rozdzierająco.

Bell już z daleka poczuł dym – ostry, chemiczny odór smoły węglowej i prochu strzelniczego z dziwną nutą słodkawego aromatu brandy – a potem zobaczył płomienie buchające na końcu korytarza. Jeszcze nigdy nie widział tak

jasnego ognia o intensywnej biało-pomarańczowej barwie. Z odległości piętnastu metrów wyraźnie czuł jego żar.

Dostrzegł grupkę stewardów ciągnących korytarzem wąż gaśniczy i pobiegł im na pomoc. Dowodził nimi wysoki mężczyzna z włosami przypalonymi na połowie czaszki. W jego czarnej od sadzy twarzy błyszcząły zielone oczy.

– Archie?

– Jak tam kolacja? – spytał Abbott i wkroczył do bagażowni, kierując syczący strumień pary prosto w ogień.

– Jesteś cały?

– Jak najbardziej. Główny podmuch eksplozji poszedł w górę przez luk. Nasz konwojent może być z siebie dumny, udało mu się w ostatniej chwili wyciągnąć Blocka.

– Co się pali?

– Celuloidowa taśma filmowa. Clyde mówił, że podczas spalania wydziela tlen, dodatkowo podsycając płomień.

– Są tu jeszcze jakieś węże? – spytał Isaac Bell.

– Ten doprowadza parę. Koło zejściówki powinien być jeszcze jeden, z morską wodą.

Bell rozwinął wąż i wszedł za Archiem do płonącego pomieszczenia.

– Gdzie Clyde?

– Wspiął się po drabinie w górę luku ładunkowego, żeby otworzyć pokrywę i przewietrzyć bagażownię.

Isaac spojrział na kwadratowy otwór w suficie. Gryzący i niewątpliwie trujący dym był zasysany w górę.

– Co z nim?

– Nie wiem. Eksplozja nastąpiła wkrótce po tym, gdy zniknął mi z oczu. Wydaje mi się, że zdołał zdjąć pokrywę luku. Chyba że została zerwana podmuchem.

Pojawiło się kilkadziesiąt marynarzy, wyrwanych ze swych koi znajdujących się tuż nad płonącym pomieszczeniem. Dołączyli do nich stewardzi i wkrótce bagażownia zapełniła się ludźmi. Wszyscy kierowali liczne węże po-

żarnicze podające parę i morską wodę w rozżarzone źródło pomarańczowych płomieni i trującego dymu, które stanowiło poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa statku. Wydawało się, że strumienie wody tylko rozrzucają płonący film po całym pomieszczeniu. W tłumieniu ognia dużo lepiej sprawdzała się para. Gdy w bagażowni trwała walka z rozprzestrzenianiem się pożaru, farba na zewnętrznych powierzchniach grodzi wybrzuszała się z powodu gorąca. Ekspłodowały wszystkie trzy samochody. Steward z jadalni krzyczał, że brandy może zamienić cały „cholerny statek w płonąca pochodnię”.

Coraz liczniejsza ekipa walczyła z ogniem. Widząc, że jego sikawka z morską wodą nie radzi sobie najlepiej z tłumieniem pożaru, Bell zaproponował Archiemu, że zluzuje go przy niskociśnieniowym węźu podającym parę. Wobec zdecydowanej odmowy przyjaciela ruszył zejściówką na górę, aby odnaleźć Clyde'a. Dwunastometrowy stalowy luk prowadzący z pokładu dziobowego do bagażowni skierował energię wybuchu prosto w górę, jak kwadratowa lufa ogromnej armaty, omijając zatłoczone kwatery marynarzy i stewardów na górnym pokładzie oraz mesę oficerską na pokładzie ochronnym. Kiedy Bell stanął w końcu na otwartym pokładzie dziobowym, ujrzał słup ognia i dymu bijący w niebo z gardzieli luku. Blask rozświetlający maszt, nawiewniki i kominy „Mauretanii” sprawiał, że było jasno jak w dzień.

Clyde Lynds leżał przewieszony twarzą w dół przez zapasową kotwicę. Kaszląc i wymiotując, wyrzucał trujące opary z płuc. Dwaj usmoleni palacze siedzieli obok i poili go wodą z wiadra.

– Dobry chłopak. Napij się jeszcze i wyrzuć z siebie wszystko – mówił z troską jeden z nich, wmuszając w Lyndsa kolejną porcję wody. – Wyrzuć to z siebie. Zaraz poczujesz się jak nowo narodzony.

Palacze powiedzieli Bellowi, że właśnie wymknęli się na fordek, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, gdy nagle doszło ich gorączkowe łomotanie w pokrywę luku.

– Udało mu się odblokować pokrywę, ale nie dał rady jej unieść. Na szczęście byliśmy na miejscu i otworzyliśmy ją w mgnieniu oka. Ten chłopak to prawdziwy bohater. Uratował cały statek. No, wyrzuć to z siebie, chłopcze, wyrzuć to wszystko w diabły.

Jeszcze tej samej nocy Isaac Bell odbył rozmowy z Archiem Abbottem, Clyde'em Lyndsem i intendentem „Mauretanii”, a na koniec przepytął bosmana, który obsługiwał windę podczas załadunku frachtu i bagaży przez przedni luk w dniu wypłynięcia z Liverpoolu. Potem zgłosił się na mostek, by porozmawiać na osobności z kapitanem Turnerem.

– Jak już pan wie, doszczętnie spłonęła cała zawartość przedniej bagażowni. Temperatura była tak wysoka, że został tylko popiół. Ze sporą dozą pewności jestem w stanie określić przyczynę wypadku. Pożar został spowodowany samozapłonem ładunku, na który składała się duża ilość rozkładającej się celuloidowej taśmy filmowej. Zapewne orientuje się pan, że przemysłnicy czerpią zyski, omijając monopol Edison Trust i sprzedając taśmę filmową niezależnym wytwórniom, które nie mogą oficjalnie zaopatrywać się w Eastman Kodak.

Stary wilk morski aż pobladł z wściekłości.

– Gdybym dostał tych drani w swoje ręce, osobiście powiesiłbym ich na przednim maszcie „Mauretanii”. W zeszłym roku zdarzyło się kilka podobnych przypadków, zagrażających bezpieczeństwu statków na pełnym morzu.

– To było aż osiem skrzyń, oznakowanych jako transport cennych ksiąg dla pewnego bibliofila z Reistertown

w Marylandzie, który moim zdaniem spodziewał się co najwyżej jednej. Pomysł z książkami był sprytny, bo są one bardzo ciężkie, tak samo jak błona filmowa.

– Przekłęci przemytnicy! Narazili życie trzech tysięcy ludzi!

Kapitan Turner zgodził się z opinią palaczy, że Clyde Lynds jest prawdziwym bohaterem. Kiedy wczesnym rankiem na fordeku kilku marynarzy pokrywało farbą poczerniały luk ładunkowy, na mostku odbyła się krótka ceremonia, podczas której przypiął Lyndsowi medal.

– Za odwagę i szybką reakcję, dzięki czemu nie doszło do katastrofalnej w skutkach eksplozji. Na razie będzie pan nosił mój, do chwili oficjalnego uhonorowania przez kompanię.

– Ale tym palaczom także należą się medale.

– Nie martw się, chłopcze, ich także przedstawiłem do odznaczenia.

Clyde popatrzył pytająco na Bella, który lekko się zdziwił, że zazwyczaj arogancki naukowiec w nietypowy dla siebie sposób waha się, czy przyjąć nagrodę.

– Co pan o tym sądzi, panie Bell?

– Myślę, że zasłużyłeś na więcej. Mam nadzieję, że dzięki temu łatwiej ci będzie znieść utratę swojej skrzyni w pożarze.

O dziwo, wzmianka o zniszczonej skrzyni wywołała szeroki uśmiech na twarzy młodzieńca, pierwszy od czasu śmierci profesora Beiderbeckego.

– Czyżby ci na niej nie zależało? – spytał zdziwiony Isaac.

Lynds nie odpowiedział, lecz zwrócił się do Turnera:

– Dziękuję, panie kapitanie. Także za to, że pożyczył mi pan własny medal do czasu wybicia mojego. Czy mógłbym spytać, za co go pan otrzymał?

– Do widzenia szanownym panom – obcesowo odprawił ich Turner. – Obiecałem kompanii jak najkrótszy postój ze względu na Boże Narodzenie. Muszę z zawrotną prędkością dobić do brzegu, wygonić pasażerów i załadować węgiel oraz zaopatrzenie na rejs powrotny.

Rozległ się sygnał wzywający na śniadanie. Schodząc głównymi schodami, Bell ponownie zapytał Clyde'a:

– Czy ta skrzynia nie była aby bardzo ważna?

– Oczywiście, że była. Znajdował się w niej prototyp urządzenia Kino Dźwiękowe Beiderbeckego i Lyndsa.

– Więc dlaczego wciąż się uśmiechasz?

– Maszyna jest bezpieczna w mojej głowie. Dajcie mi trochę czasu i pieniędzy, a odtworzę ją nawet bez udziału nieszczęsnego profesora.

Isaac zatrzymał się w połowie schodów i chwycił Lyndsa za ramię.

– Jesteś patentowanym osłem, Clyde.

– Myśli pan, że się przechwalam? Nie twierdzę, że to będzie łatwe, ale dajcie mi dwa-trzy lata czasu, odpowiednie finansowanie i dostęp do nowoczesnego laboratorium, a zbuduję nawet lepszą maszynę niż poprzednia. A potem możemy się zastanowić, jak ją jeszcze bardziej udoskonalić. Przecież nie muszę zaczynać od podstaw. Pokonaliśmy większość najistotniejszych problemów, a rozwiązania siedzą bezpiecznie w mojej głowie.

Jakby na potwierdzenie swoich słów, puknął się palcem w skroń.

– Dokładnie tu, pod czaszką.

Bell popatrzył mu prosto w oczy i powiedział:

– Jeśli wiedzą o tym twoi wrogowie, grozi ci jeszcze większe niebezpieczeństwo niż dotychczas.

Hermann Wagner wypełnił blankiet radiotelegramu i wręczył go młodszemu intendentowi.

Ten nie okazał zaskoczenia na widok wiadomości napisanej szyfrem. Z racji zajmowanego stanowiska znał tożsamość wszystkim ważniejszych pasażerów „Mauretanii”, więc nie zdziwiło go, że niemiecki bankier prowadzi kodowaną korespondencję, zwłaszcza że adresatem depechy był niemiecki konsul w Nowym Jorku. Bankierzy pilnie strzegli swoich tajemnic, a dyplomaci tym bardziej.

Młodszy intendent zauważył natomiast, że Wagnerowi trzęsły się ręce, ale naturalnie pominął ten fakt milczeniem. Nawet powściągliwy niemiecki bankier mógł w ostatnią noc na morzu wypić o kilka sznapsów za dużo. Wystarczy, że prześpi się solidnie na łądzie, a od jutrzejszego ranka będzie mógł harować jak wół.

– Wiadomość zostanie wysłana natychmiast, panie Wagner. Czy życzy pan sobie, abyśmy zajęli się pańskim zakwaterowaniem w Nowym Jorku?

– Nie, dziękuję. Wszystko jest już przygotowane.

Rozdział 14

Ogromna to jedyne słowo, jakim można opisać nową przystań Chelsea Improvement dla parowców pasażerskich – powiedział Archie Abbott, będący niezmordowanym propagatorem Nowego Jorku jako rzecznik prasowy tutejszej Izby Handlowej. Z entuzjazmem wyliczał, że nabrzeża, które mogą jednocześnie przyjąć szesnaście ekspresowych liniowców wielkości „Mauretanii”, wchodzą dwieście metrów w nurt rzeki Hudson i ciągną się sześćdziesiąt metrów w głąb lądu na przestrzeni ponad kilometra, między ulicami Dwunastą Zachodnią i Dwudziestą Trzecią Zachodnią. – Zmieści się tam nawet „Titanic”, kiedy wejdzie do eksploatacji. Poczekajcie tylko, aż zobaczycie wejścia od

strony West Street. Różowy marmur! Stara, paskudna linia brzegowa uległa całkowitej przemianie!

– Nie do końca – mruknął Bell, obserwując nabrzeże przez lornetkę. Tłumy ludzi wyszły z poczekalni na górnym piętrze dwukondygnacyjnego terminala i teraz kłębiły się na tarasie, aby machaniem chusteczek powitać przyjaciół i krewnych na cumującym statku.

Wcześniej, gdy „Mauretania” płynęła przez port, Isaac, Marion i Archie stali przy relingu na pokładzie spacerowym i podziwiali widok miasta. Pogoda była piękna tego dnia, powietrze rześkie i przejrzyste. Północno-wschodni wiatr przegnał dym, który zwykle spowijał zabudowania portowe. Drapacze chmur na Manhattanie lśniły na tle błękitnego nieba.

Teraz, kiedy po wodzie niosła się muzyka ragtime’owej orkiestry, a holowniki, walcząc z przeciwnym wiatrem napierającym na wysoką nadbudówkę statku, dopychały do nabrzeża liczący trzydzieści dwa tysiące ton pojemności kadłub „Mauretanii”, detektywi skoncentrowali się na bezpiecznym wysadzeniu Clyde’a Lyndsa i więźnia na brzeg. Potem cała czwórka miała się spotkać w domu Archiego i Lillian przy Sześćdziesiątej Czwartej Zachodniej, gdzie nowożeńcy zamierzali się zatrzymać na zaproszenie gospodarzy.

– Jak to nie do końca? – zachnął się Archie. – Miesiąc temu odpływaliśmy z Hoboken, więc nie widziałeś ani wejść na przystań Chelsea, ani wspaniałych poczekalni. Windy są wykonane z brązu. W całym mieście nie ma drugiej takiej budowli.

Bell podał mu lornetkę.

- Ktoś zapomniał o wykorzenieniu szumowin.
- No cóż, kiedy statek przybija do nabrzeża, w tłumie zawsze może się znaleźć kilku kieszonkowców.
- Nie chodzi o kieszonkowców. Przyjrzyj się dokładnie.

Co najmniej tysiąc osób wyczekiwało liniowca na nabrzeżu numer 54. Dokerzy czekający na przybicie statku szykowali się do przyjęcia cum, rozładunku worków z pocztą i bagaży. Agenci z Departamentu Skarbu pojawili się na dolnym poziomie terminala, aby kontrolować bagaże w poszukiwaniu obciążonych cłem wieczorowych sukien i przewożonych nielegalnie kamieni szlachetnych. Na barkach z węglem po przeciwnej stronie basenu portowego widać było trymerów, którzy mieli się zabrać do uzupełniania bunkrów „Mauretanii” znacznie wcześniej niż zwykle, z powodu zarządzenia przez kapitana Turnera jak najkrótszego postoju. Stałe ekipy kieszonkowców pojawiły się na tarasie górnego piętra poczekalni, myszując między krewnymi i przyjaciółmi pasażerów, sprzedawców chrupiek, reporterów z gazet i operatorów kronik filmowych. Ale uwagę Bella przyciągnęło przede wszystkim sześciu gangsterów z Hell’s Kitchen.

– Gophersi! – wykrzyknął Archie.

Charakteryzujący się eleganckim ubiorem Gophersi nosili dopasowane garnitury, popielate meloniki, sztywne buty i kolorowe szaliky.

– Niech to licha, kto ich tu wpuścił?

– Pewnie znają kogoś z Tammany Hall – powiedział cierpko Bell. W Nowym Jorku politycy, przedsiębiorcy budowlani, księża, gliniarze i gangsterzy równo dzielili się łupami. System ten tylko z rzadka udawało się naruszyć nieprzekupnym stróżom prawa. – Spójrz, kogo ze sobą przyprowadzili.

– Swoje cizie – stwierdził Archie, wpatrując się w grupkę ekstrawagancko u fryzowanych kobiet w wysokich kapeluszach i obfitych sukniach.

– To zły znak.

Po niedawnym wprowadzeniu przez policję zaostrożonych przepisów dotyczących posiadania broni gangsterzy,

chcąc uniknąć odsiadki, ukrywali pistolety w kapeluszach i pod sukniami swoich przyjaciółek.

– Uzbrojeni po zęby. Jak sądzisz, komu wyszli na spotkanie?

Bell zabrał Archiemu lornetkę. Bandyci wyraźnie obserwowali rufową część statku, tam gdzie na ląd mieli schodzić pasażerowie drugiej klasy. Przysadzisty gangster wpatrywał się przez skradzioną komuś małeńką teatralną lornetkę z macicy perłowej prosto w wyjście na trap. Widok byłby nawet zabawny, gdyby nie to, że ktoś mógł tu wkrótce stracić życie.

– Archie, rozpoznajesz tego osiłka z lornetką teatralną?

Abbott, który w swym uwielbieniu dla Nowego Jorku szczyił się także tym, że właśnie w tym mieście działały najbardziej brutalne uliczne gangi, przyjrzał się wskazanemu mężczyźnie.

– To może być Blinky Armstrong.

– Awansował na szefa?

– Zdaje się, że jeszcze nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

– Chyba to on dowodzi tą zgrają. Jak tylko podłączą centralę telefoniczną, zadzwoń do firmy i ściągnij Harry'ego Warrena z jego oddziałem.

– Po co?

– Mam złe przeczucia.

Pokładowa centrala telefoniczna „Mauretanii” była podłączana do miejskiej sieci tuż po przybiciu statku do nabrzeża. Nowojorskie biuro Agencji Detektywistycznej Van Dorn mieściło się w hotelu Knickerbocker przy Czterdziestej Drugiej. Mimo nieuniknionych o tej porze korków detektyw Harry Warren i jego specjaliści od zwalczania przestępczości zorganizowanej mogli błyskawicznie przebyć dystans dzielący ich od portu dzięki „latającemu

dywanowi”, jak nazywano kursującą po estakadzie szybką kolejkę miejską.

– Harry będzie wiedział, czy to faktycznie Blinky.

Z powodu problemów spowodowanych ogromem statku i silnym wiatrem manewry holowników w basenie portowym trwały pełne pół godziny, zanim odległość między kadłubem a nabrzeżem pozwoliła na podanie rzutek na ląd i przerzucenie cum.

Na koniec odezwał się klakson oznajmiający przybicie statku do nabrzeża i odstawienie maszyn.

Z piętra budynku poczekalni wysunięto trap dla pasażerów pierwszej klasy. Jako jedni z pierwszych na brzeg zeszli ignorujący się konsekwentnie lord Strone i Karl Schultz. Kominowego barona uściskały na powitanie dwie śliczne dziewczyny. Radośnie ujęły go za ręce i pośród śmiechów powiodły przez tłum w kierunku wyjścia na West Street. Pewnie wnuczki, pomyślał Bell. Strone samotnie zszedł po schodach na dolny poziom za młodym człowiekiem, w którym Isaac domyślił się pracownika konsulatu. Przy nabrzeżu stał parowy jacht „Ringer”, który podążał w ślad za „Mauretanią” od Ellis Island i na którego pokładzie lord miał popłynąć do swojej amerykańskiej posiadłości w Connecticut.

Błyski magnezji koło trapu uświadomiły Bellowi, że reporterzy zauważyli schodzące na ląd Marion i Lillian. Wiedział z doświadczenia, że zasypią je gradem głośno wykrzykiwanych pytań. Czy panna Morgan wraca do Nowego Jorku, by kręcić kolejny film? Czy to prawda, że panna Morgan wyszła za mąż za dyrektora firmy ubezpieczeniowej? Czy kapitan udzielił im ślubu na pokładzie „Mauretanii”? Jak pani Abbott znajduje najnowszą modę londyńską? Czy prawdziwe są pogłoski, że jej ojciec potajemnie przejął pakiet kontrolny kolei ATSF?

Trap do wyjścia drugiej klasy miał zostać przerzucony zaraz po opuszczeniu statku przez pasażerów klasy pierwszej. Wcześniej Marion poinformowała Bella, że trzecia klasa zostanie na statku przez całą noc. Okazało się, że brakuje dwóch ludzi. Pomyłki w rachunkach zdarzały się dość często, ale w związku z tym wszyscy pasażerowie trzeciej klasy, wliczając w to członków ekipy filmowej, musieli zostać przeliczeni ponownie. Ciekawe, czy ci dwaj nieobecni nie byli przypadkiem współnikami Akrobaty, rozmyślał Bell. Starszy oficer, którego wywiódł w pole tamtej nocy w palarni, może też się nad tym zastanawiał.

– Już czas, Archie. Zadzwoń do Harry’ego Warrena, a ja idę po Clyde’a. Potem ściągnij Blocka i naszego chłopaka ze Służby Ochrony. Kiedy wszyscy będą gotowi, zejdziemy ze statku wyjściem dla drugiej klasy.

Isaac ruszył do pomieszczeń drugiej klasy. Znalazł Clyde’a Lyndsa w kolejce do wyjścia i wręczył napiwek marynarzom pilnującym go na polecenie kapitana Turnera.

– Teraz ja go przejmę, dziękuję panom.

Clyde, zacisnąwszy dłonie na barierce, wpatrywał się z niepokojem w tłum.

– Zauważyłeś kogoś znajomego? – spytał Bell, obserwując jego reakcję.

– Raczej nie – odrzekł Lynds w tym samym momencie, gdy jego wzrok padł na grupkę Gophersów, którzy wyraźnie gapili się na niego. – Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio tu byłem.

– Mówiłeś, że w teatrze.

– Mój przedostatni ojczym był inspicjentem.

– W którym konkretnie?

– Różnie. Najpierw w śródmieściu przy Czternastej. Potem przez jakiś czas na Broadwayu, u Hammersteina.

– Mieszkałeś w tej okolicy? – spytał Bell, który zauważył, że Blinky Armstrong wpatruje się przez teatralną lornetkę prosto w miejsce, gdzie stali z Clyde'em.

– Za rogiem przy Czterdziestej Szóstej.

– To w pobliżu Hell's Kitchen?

– Na szczęście nie – zaśmiał się nerwowo Clyde.

Chyba jednak dość blisko, pomyślał Bell, skoro gang Gophersów wyszedł mu na powitanie. Czyżby chłopak komuś podpadł? A może wynajął ich Krieg, aby dorwać Lyndsa, kiedy zejdzie ze statku? Z tego, co Isaac zdołał dostrzec przez okna poczekalni, siły Gophersów stale rosły. Naliczył w pobliżu rufy dwunastu gangsterów. Przepychali się przez tłum zebrany wokół trapu, który właśnie dostawiano do burty.

Coraz mniej podobała mu się ta sytuacja. Wprawdzie miał przy sobie broń, ale strzelanina w takim tłoku zagrażała osobom postronnym. Zauważył dwóch policjantów patrolujących poczekalnię i jeszcze kilku na dolnym poziomie, ale siły te nie wystarczały do odparcia skoncentrowanego ataku, o ile coś takiego planowali Gophersi.

Pojawił się Archie, prowadząc ze sobą strażnika ze Służby Ochrony, który skuł się kajdankami z wyglądającym na przygnębitego Lawrence'em Blockiem.

– Harry Warren już jedzie.

– Pilnuj Clyde'a – polecił mu Bell. – Nie pozwól mu zejść na ląd.

– Dokąd się wybierasz?

– Spróbuję ustalić, dlaczego Gophersi wpatrują się w niego, jakby chcieli go zjeść na obiad. A ty zostań z Archie'm – zwrócił się do Lyndsa. – Nie schodź ze statku, dopóki nie wrócę.

– Co się dzieje?

Bell przemknął obok marynarzy przy furcie wyjściowej i przeskoczył na koniec trapu dostawianego przez robotników

portowych. Do burty brakowało jeszcze dobre półtora metra. Podest zachybotał się pod jego ciężarem. Detektyw przebiegł po nim i wpadł do poczekalni.

– Stać! – krzyknął urzędnik kompanii żeglugowej Cunarda.

Bell otarł się o niego i ruszył w kierunku Blinky’ego Armstronga, który schował lornetkę do kieszeni i patrząc gniewnie na Clyde’a Lyndsa, uderzał potężną pięścią w wielką jak bochen dłoń. Dzieliło go od gangstera około sześciu metrów, ale jego ruchy spowalniał narastający ścisk. Nagle rozległ się głośny krzyk kobiety. Dźwięk, który wydobył się z jej ust, zabrzmiał jak bojowy okrzyk i wyrażał raczej nienawiść niż strach.

Dwaj gangsterzy zwarli się w gwałtownym starciu, kopiąc, szarpiąc i okładając się obciążniętymi skórą metalowymi pałkami. Trysnęła krew. Dwaj kolejni dołączyli do bójki. Przerażeni ludzie odskoczyli na boki, odsuwając się od walczących. Grupa opryszków wbiła się klinem w zwarty tłum, rozpychając mężczyzn, kobiety i dzieci stojące im na drodze. W ruch poszły pięści i ołowiane rurki. Dopiero wtedy Bell zrozumiał, że nowo przybyli, których wziął za posiłki Gophersów, należą do innego gangu i teraz przystąpili do ataku na rywali.

Bijatyka rozprzestrzeniała się w zastraszającym tempie. Po chwili już piętnastu mężczyzn tłukło się nawzajem. Doskoczył do nich wysoki posterunkowy, wymierzając celne uderzenia policyjną pałką. Pod ciosami silnego i zwinnego gliniarza trzech gangsterzy runęli niczym kręgle. Jeden z upadających podciął policjanta. Posterunkowy zachwiał się i zniknął, jakby się zapadł pod ziemię.

Błysnęły noże, rozległy się wściekłe okrzyki złości i bólu.

Nagle, zadziwiająco głośno, huknął pojedynczy wystrzał.

Rozpaleni bójką gangsterzy rozbiegli się do swoich kobiet stojących na obrzeżu pola walki, odebrali od nich broń

i otworzyli ogień z rewolwerów. Kule załomotały o wrota z blachy falistej, posypało się szkło. Ludzie padli płasko na ziemię. Zwarty tłum wokół Bella nagle zniknął niczym łan wysokiego zboża skoszony gigantyczną żniwiarką McCormicka. Mając czyste pole widzenia, detektyw natychmiast zauważył Blinky'ego Armstronga i dwóch innych Gophersów biegnących w kierunku wyjścia na West Street. Gangsterzy tratowali leżących i taranowali tych, którzy z przerażenia zamarli w bezruchu.

Isaac rzucił się w pościg za nimi.

W połowie drogi do wyjścia uciekinierzy wpadli do klatki schodowej.

Bell zbiegł w ślad za nimi po metalowych stopniach do hali bagażowej. Gangsterzy pędzili wzdłuż kadłuba „Mauretanii” w stronę rzędu wyjść prowadzących z nabrzeża na West Street. Zanim do nich dotarli, przybyły rezerwy sił policyjnych z pobliskich posterunków. Gophersi i ich przeciwnicy z konkurencyjnego gangu rozglądali się gorączkowo, chcąc uniknąć aresztowania.

Zamiast biec dalej do wyjść na West Street, gdzie mogliby spróbować rozproszyć się pośród okolicznej zabudowy, skręcili w kierunku basenu portowego, aby pozbyć się broni. Rewolwery i pistolety załomotały o czarny kadłub „Mauretanii” i z pluskiem wpadły do wody między statkiem a nabrzeżem.

Bell ściał łuk, który zatoczyli gangsterzy, skręcając w kierunku statku, i znalazł się tuż za nimi. Był tak blisko, że widział szwy na płaszczu Armstronga, i już miał rzucić się szczupakiem do kostek potężnego mężczyzny, ale właśnie w tej chwili minął dziób „Mauretanii”. Nagle ujrzał powierzchnię basenu portowego i oddalone o jakieś sześćdziesiąt metrów następne nabrzeże. Stały przy nim lichtugi, które miały odebrać ze statku pościel, ręczniki, serwetki i obrusy i przewieźć je do miejskich pralni.

Dostawcy czekali na swych łodziach, aby dostarczyć zamówione zapasy żywności. Holowniki manewrowały krypami z węglem bunkrowym dla „Mauretanii”.

Nie zważając na zamieszanie na nabrzeżu, albo wręcz wykorzystując odwrócenie powszechnej uwagi przez uciekających gangsterów i ścigających ich policjantów, dwaj rozlepiacze plakatów wpłynęli niewielką łodzią o napędzie parowym pod nawis dziobu „Mauretanii”, chwycili pędzle zatknięte na długich kijach i zaczęli w najlepsze przyklejać afisze do kadłuba ekspresowego liniowca jak do słupa ogłoszeniowego.

TEATR ELEKTRYCZNY
323 West 14th Street
Najwspanialszy
PAŁAC FILMOWY
w
Nowym Jorku
CODZIENNIE PREMIERY

W wejściach od West Street nagle zaroilo się od policjantów. Uciekinierzy gwałtownie zmienili kierunek i rzucili się w prawo. Isaac Bell nie przestawał ich gonić.

Gangster biegnący przed Armstrongiem ściał róg nabrzeża i przeskoczył na prostopadłą krawędź basenu, ale stracił równowagę i wpadł do wody. Potem skoczył Armstrong, udało mu się i zniknął za dziobem „Mauretanii”. Bell odbił się, przeleciał nad wodą i wylądował na krawędzi nabrzeża w pełnym biegu. Przyspieszył jeszcze bardziej i zebrał się, by skoczyć Armstrongowi do nóg. W ostatniej chwili na poły wyczuł, na poły dostrzegł kątem oka znajomą sylwetkę mężczyzny przy burcie statku.

Rozdział 15

Isaac Bell stanął jak wryty, nie wierząc własnym oczom. Otwory furt bunkrowych wzdłuż śródokręcia znajdowały się jakieś pięć metrów nad kryptami. Pod każdą z nich wisiała na linach drewniana platforma dla trymerów. Na ostatniej, najbliższej rufy „Mauretanii”, jakieś sto trzydzieści metrów w kierunku rzeki, przykucnął długoręki mężczyzna, sylwetką nieco przypominający małpę. Był to porywacz, którego Bell widział skaczącego za burtę z pokładu łodziowego w noc po wypłynięciu z Liverpoolu. Teraz znajdował się na platformie, skryty w cieniu i przysłonięty przez brygadę trymerów wciągających wiadra z węglem z barek do otwartych furt.

Bell zastanawiał się, w jaki sposób dostać się tam jak najszybciej. Powrót na statek zająłby zbyt wiele czasu. Najlepsza wydawała się droga wodna, po powierzchni basenu portowego. Jego wzrok zatrzymał się na przedsiębiorczych rozlepiających plakatów, oklejających „Mauretanię” afiszami z chybotliwego pokładu parowej łodzi.

– Hej tam, na łodzi! Do was mówię, rozlepiacze!

Zorientował się, że go usłyszeli, bo nagle schowali głowy w ramiona, ale ich jedyną odpowiedzią były jeszcze szybsze ruchy pędzli. Przyzwyczajeni, że zewsząd ich przeganiano, usiłowali nakleić jak najwięcej afiszów, zanim zostaną zmuszeni do ucieczki przed urzędnikami Cunarda lub władzami portowymi. Tymczasem człowiek, wobec którego profesor Beiderbecke używał określenia *Akrobat*, zsunął się w dół po linie zwisającej z platformy i wylądował lekko na krypie bunkrowej. Barka siedziała wysoko na wodzie, najwyraźniej trymerzy zdążyli już ją rozładować. Zbliżał się do niej holownik, aby odciągnąć ją od burty „Mauretanii” i zrobić miejsce dla następnej.

Bell zorientował się, że Akrobata celowo wybrał pustą barkę. Za sowitą opłatą wręczoną załodze zostanie przewieziony na odległe nabrzeże węglowe i tam zejdzie na ląd, omijając celników i przedstawicieli urzędu imigracyjnego czekających na pasażerów „Mauretanii”.

Isaac złożył dłonie wokół ust i krzyknął:

– Pięćdziesiąt dolarów za podwózkę!

Obaj rozlepiacze jak na komendę zwrócili wzrok w jego stronę. Detektyw wyciągnął portfel z kieszeni płaszcza i pomachał pieniędzmi.

Rozlepiacze natychmiast porzucili niedoklejony do końca afisz z napisem:

TEATR „KRAINA MARZEŃ”
9 West 9th Street
NOWE FILMY KAŻDEGO DNIA

Jeden z nich, posługując się pędzlem jak bosakiem, odepchnął dziób łodzi od kadłuba „Mauretanii” tak szybko, jakby na liniowcu wybuchł pożar, a drugi zwiększył obroty maszyny. Łódź błyskawicznie podeszła do nabrzeża. Bell z wysokości dwóch i pół metra skoczył na pokład, omal nie wywracając wąskiej łajby, po czym wyciągnął rękę w kierunku holownika sprzężonego burtą z pustą barką.

– Za tą krypą.

– Najpierw forsa! – krzyknął mężczyzna wciąż dzierżący pędzel na kiju.

Bell z rozmachem wetknął mu w dłoń banknoty.

– Robi się!

Zaterkotała maszyna parowa, szybko wzrosły obroty śruby. Niewielka łódź z ostrą dziobnicą nabrała prędkości i sunęła wzdłuż kadłuba „Mauretanii”. Właśnie mijali ostatnią otwartą furkę bunkrową, przy której detektyw zauważył Akrobatę, i weszli w ślad torowy holownika napędzającego barkę.

Ktoś gwizdnął przenikliwie na palcach. Zabrzmiało to jak naglące ostrzeżenie.

Był to sygnał Akrobaty, przeznaczony dla kogoś na „Mauretanii”.

Bell odwrócił się, aby zobaczyć, kim jest jego współnik.

Zauważył jakiś niewyraźny ruch w furcie bunkrowej i dostrzegł ostrokrawędzistą bryłkę węgla lecącą mu prosto w twarz. Zrobił unik, ale było już za późno. Czarny pocisk zbliżał się zbyt szybko. Nikt nie zdołałby cisnąć go z taką prędkością, zapewne został wystrzelony z procy. Dzięki unikowi detektyw ocalił twarz, ale kostropata gruda trafiła go w głowę, strącając mu kapelusz za burtę.

Usłyszał głuchy huk, jakby ktoś odpalił petardę w zamkniętej beczcze. Ostry ból przeszedł mu wzdłuż kręgosłupa. Kolana ugięły się pod nim i zdał sobie sprawę, że się przewraca. Mężczyzna u steru krzyknął:

– Łap go!

Ujrzał przed sobą pędzel podsunięty przez drugiego rozlepiacza i próbował go chwycić, ale ręka okazała się zbyt ciężka. Zebrał się w sobie i ostatkiem sił uniósł ramię, które wydało mu się zrobione z ołowiu. Dosięgnął pędzla i zacisnął na nim dłoń najmocniej, jak potrafił. Jednak włosie wysliznęło mu się z palców i już nic nie mogło go uchronić przed upadkiem do wody.

Rozdział 16

Isaac Bell uderzył plecami o wodę i zaczął tonąć jak kamień.

Leniwy przyptyw, podczas którego „Mauretania” wchodziła do portu, skończył się i zaczynał przechodzić w odpływ. Zimny nurt tworzył zawirowania, przepływając przez basen portowy. Im głębiej Bell się zanurzał, tym

silniej spychał go prąd. Poczłł, że przemyka pod kadłubem „Mauretanii”, i zaraz potem uderzył w coś twardego. Był to jeden z filarów podtrzymujących nabrzeże. Napór wody przyszpilił go do niego. Nagle coś chwyciło go za stopę. To coś było wprawdzie miękkie, ale nie puszczało. Co gorsza, zaczęło go ściągać w dół. Pewnie błoto, przemknęło mu przez głowę. Opadł na dno basenu, a błoto, niczym żywa i głodna istota, chciało go tam zatrzymać i wchłonać.

Coś zaczęło miarowo łomotać. Nagle poczuł dotkliwe zimno na twarzy, jakby ktoś chlusnął mu w twarz zawartością wiaderka do chłodzenia szampana. Nie „ktoś”. To Marion. Ochlapywała mu twarz lodowatą wodą.

– Obudź się, Isaac! Błagam cię, obudź się natychmiast!

Odzyskał świadomość i nagle wszystko stało się jasne. Ten łomot to tylko odgłos uderzeń jego serca. Lodowata woda to ożywczy chłodny nurt rzeki Hudson. Błoto oznaczało, że znajduje się na głębokości ponad dziesięciu metrów. Wiedział, że musi zaczerpnąć powietrza, inaczej zaraz umrze. Wyrwał nogi z błota i odepchnął się w górę. Woda stała się cieplejsza, nurt spychający go na śliski słup nieco osłabł. Poruszył mocniej nogami i coraz szybciej płynął ku powierzchni. Odruchowo wysunął rękę ponad głowę w obronnym geście i chwilę później uderzył w poziomą belkę między dwoma filarami. Brakowało mu powietrza. Świetlne refleksy zatańczyły mu przed oczami. Nie mógł dłużej wstrzymać oddechu. Otworzył usta, zrobił wdech i w tym samym momencie oślepiające słońce zaświeciło mu prosto w twarz.

– Isaac!

Wypluł wodę, wciągnął powietrze do płuc, zakaszał i ponownie zaczerpnął powietrza, a potem zaczął płynąć w kierunku, z którego dochodziły głośne nawoływania. Krzyczano o jakiejś drabinie. Faktycznie, ujrzał drabinę przymocowaną do filaru. Chwycił ją i postawił nogę na

metalowej poprzeczce. Nie zważając na krzyki, przyłgął na chwilę do drabiny, oddychając głęboko i zbierając siły.

Bell powoli wspiął się na nabrzeże. Był w fatalnym nastroju. Akrobata wymknął mu się z rąk. Bolała go głowa, oczy piekły od zalewającej je krwi. Na domiar złego szlag trafił jego kapelusz i ulubionego derringera.

– Jesteś cały, Isaac? – dopytywał się Harry Warren, szef sekcji do zwalczania gangsterów przy nowojorskim biurze Agencji Detektywistycznej Van Dorn. Harry wyglądał jak kwintesencja nijakości, ale był to zabieg celowy. Miał na sobie luźny garnitur z wieloma kieszeniami, w których mieścił cały podręczny arsenał, oraz nieodłączny melonik ze wzmocnioną główką. Jego twarz zwykle miała tyle wyrazu co pokrywa pojemnika na śmieci, ale teraz zdradzała głęboki frasunek. Niepokój ten wyraźnie udzielił się grupie jego niezłomnych detektywów, którzy przyglądali się zza pleców Harry'ego, jak Bell powoli podnosi się i staje chwiejnie na nogach.

– Krwawisz – powiedział Harry, podając Isaacowi chusteczkę.

– Lepiej dowiedz się, co to za ludzie wdali się w bójkę z Gophersami – odparł Bell.

– Co?

Isaac otarł krew z twarzy i przyłożył chustkę do rany na głowie.

– Muszę się wreszcie dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, do jasnej cholery! To nie może być przypadek, że akurat trafiliśmy na wojnę gangów. Gophersi czekali na kogoś na nabrzeżu. Na kogo i po co? I dlaczego druga banda pojawiła się właśnie w tym momencie? Bierz się do roboty, piorunem!

Kiedy Warren i jego ludzie odeszli, Bell począł przebierać się w suche ubranie.

Nazajutrz rano w bibliotece w domu Archiego Abbotta Marion czytała na głos opublikowaną w „New York Timesie” relację z wczorajszej strzelaniny na nabrzeżu numer 54. Zapewne pod wpływem przedstawicieli Cunard Line, którym zależało na utrzymaniu czystego konta kompanii żeglugowej w kwestiach bezpieczeństwa, a zdaniem Bella, także pod naciskiem policji i władz portowych, gazeta przypisała winę za powstałą sytuację „niezadowolonym włoskim robotnikom portowym”.

Isaac wybuchnął śmiechem, co przyprawiło go o dotkliwy ból głowy.

– „Korzystając z powstałego zamieszania, Włosi zdołali zbiec. Jak twierdzą władze, wkrótce nastąpią aresztowania” – dokończyła lekturę Marion.

Do pokoju wszedł kamerdyner Archiego i zaanonsował:

– Niejaki pan Harry Warren czeka na pana przy wejściu kuchennym, sir.

– Wprowadź go tutaj – poleciła Marion.

– Próbowałem, pani Bell, ale nie chce wejść dalej niż do kuchni.

Kucharka naląła Harry’emu kawy i ulotniła się.

Warren popatrzył z lekkim zdumieniem na Bella, który miał na sobie tradycyjny garnitur z białego lnu, a jasne włosy zaczesał tak, aby ukryć szwy na głowie.

– Gdybyś nie był blady jak te twoje ciuchy, trudno byłoby się domyślić, że wczoraj dostałeś zdrowo po łbie i o mało nie utonąłeś.

– Wygląda lepiej, niż się czuje – oznajmiła Marion. – Doktor twierdzi, że powinien leżeć w łóżku.

– Nic mi nie dolega.

Harry i Marion wymienili zatroskane spojrzenia.

– Szefie, pani Bell ma rację, podobnie jak doktorek. Z rozbitą makówką nie ma żartów.

– Dziękuję za wsparcie, Harry – powiedziała Marion. – Pomożesz mi zaprowadzić go na górę?

– Czego się dowiedziałeś? – spytał zniecierpliwiony Bell.

– Gophersi nie wierzą, że na „Mauretanii” był pożar.

– A co im do tego? Tak się składa, że był. Sam widziałem. Spłonęła cała zawartość przedniej bagażowni, łącznie z przemycaną taśmą filmową, od której zresztą wszystko się zaczęło.

– Właśnie w to nie wierzą Gophersi.

Isaac popatrzył na Marion. A więc to tak.

– Chcesz powiedzieć, że to oni szmuglowali tę taśmę?

– Włożyli w to sporo forsy. Kiedy usłyszeli o pożarze, doszli do wniosku, że gość, któremu zapłacili za przewiezienie tej kontrabandy do Nowego Jorku, zrobił ich w konia i sprzedał towar innemu kupcowi za większe pieniądze.

– Co im strzeliło do łbów?

– Przecież to gangsterzy! Taki mają sposób myślenia. Sami robią podobne przekręty, więc uznali, że tym razem ktoś próbuje przekręcić ich. To jak złota zasada: nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe, tyle że na odwrót. Przyszli więc do portu, żeby policzyć się z facetem, który, jak sądzili, puścił ich kantem.

– Kto to taki?

– Clyde Lynds.

Bell z niesmakiem pokręcił głową, wywołując kolejny atak bólu.

– Obawiałem się, że to powiesz. Clyde od razu wyczuł smród rozkładającego się filmu i dokładnie wiedział, o co chodzi, bo to był jego towar.

– A więc bohater ratujący statek okazał się przemytnikiem, który omal go nie zatopił – stwierdziła Marion.

– Krótko mówiąc, tak – przytaknęła Harry Warren, po czym wstał i nałożył melonik. – Kiedy chłopcy z Yorkville

pojawił się na nabrzeżu, Gophersi doszli do wniosku, że przyszedł odebrać taśmę filmową pierwotnie przeznaczoną dla nich. No i zaczęła się rozróżba.

– Krótko mówiąc...

– Dziękuję za kawę.

– Co to za chłopcy z Yorkville?

– Pochodzą z nowej niemieckiej dzielnicy Yorkville, na East Side.

– Niemcy?

– Po pożarze statku „Generał Slocum” Niemcy zaczęli wyprowadzać się ze śródmieścia. Pamiętasz tę katastrofę wycieczkowca? Zginęła wtedy cała masa niewinnych kobiet i dzieci. Nie chcieli tu zostać po tej tragedii i z całym dobytkiem przenosili się na północ.

– Jak nazywa się ich gang?

– Marzipan Boys.

– Jak cukierki?

– Stare gangi przeżywały ich tak, żeby im dopiec. Ale teraz są z tego dumni, odkąd pokazali, że potrafią wszystkim spuścić manto. To prawdziwe zakapiory.

Warren był już w połowie drogi do drzwi, kiedy Bell zadał jeszcze jedno pytanie:

– Wytłumacz mi w takim razie, co Marzipan Boys robili na nabrzeżu numer pięćdziesiąt cztery?

– Do czego zmierzasz?

– Taśma filmowa naprawdę spłonęła w pożarze – wyjaśnił Bell, z trudem zachowując cierpliwość. – Clyde Lynds nie okantował współników. Marzipansi nie podkupili towaru Gophersom i nie zjawili się tam, żeby go odebrać, bo nie wiedzieli o jego istnieniu. Z jakiego więc powodu wyszli na powitanie „Mauretanii”?

Wybladłe oblicze Harry’ego pobladło jeszcze bardziej.

– Tego jeszcze nie wiem.

– To się dowiedz! Potem zamelduj się u mnie w biurze.

– Isaac – zaproponowała Marion – doktor powiedział, żebyś chociaż ten jeden dzień spędził w domu.

– Dobrze – zgodził się Bell. – Zostaję w domu. A ty, Harry, zameldujesz się u mnie w biurze dzisiejszej nocy.

Rozdział 17

Glyde, chyba będziesz musiał zwrócić medal kapitanowi Turnerowi – powiedział Isaac.

– Dlaczego, panie Bell?

Detektyw zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

Lynds spuścił głowę.

– Przepraszam, panie Bell. Bardzo przepraszam.

– Za co?! – huknął detektyw. – Wykrztuś to wreszcie! Za co?!

– Ta taśma filmowa była moja.

– Mów dalej.

– Potrzebowaliśmy pieniędzy na ucieczkę z Niemiec – podjął Lynds. – To nam bardzo mi zależało, żeby nam się powiodło z Kinem Dźwiękowym, ale strasznie się bałem, że nas zabiją. Kiedy wojsko wystawiło ten lipny nakaz aresztowania, wiedziałem, że mnie wrobiono.

Bell nadal przeszywał go wzrokiem, ale spytał łagodnym głosem:

– A może ten przemyt zorganizował profesor Beiderbecke?

– Nie!

– Jesteś pewien?

– Biedny staruszek nie miał o niczym pojęcia. To był wyłącznie mój pomysł. Pamięta pan, jak mówiłem, że mi się poszczęściło? Całkiem przypadkiem spotkałem Gophersa, którego poznałem w Nowym Jorku. Był kiedyś maszynistą

teatralnym u Hammersteina. Kiedy przyszedł do gangu, wysłali go do Niemiec po taśmę filmową. Miał ze sobą kupę szmalu. W firmie, w której sam się zaopatrywałem, dostałem kontakt do dostawcy. Miał odpowiednio zapakować i zamaskować towar. No i ubiliśmy interes. – Ponownie zwiesił głowę i uśmiechnął się gorzko. – Pomyślałem sobie, a co mi tam, wszyscy szmuglują taśmę filmową, to ja też mogę. Nie wiedziałem, że wcisnęli mi jakieś stare zapasy, które już zaczęły się rozkładać. Dałem się podejść jak dzieciak. Siedem skrzyń śmieci.

– Śmiertelnie niebezpiecznych śmieci.

– Przysięgam, nie wiedziałem, że film był stary. Musieli go podmienić. Przecież nie narażałbym życia tylu ludzi.

– Jesteś pewien, że Beiderbecke nie miał z tym nic wspólnego?

– Powiedziałem mu o tym dopiero na statku. Co pan teraz zrobi?

Isaac westchnął.

– Niestety, nie mam wielkiego wyboru. Spróbuję nie dopuścić, żeby cię zabili albo porwali aż do czasu, kiedy zbudujesz nową maszynę.

– Dlaczego chce mi pan pomagać? Przecież zrobiłem coś strasznego. Wielu ludzi mogło zginąć przeze mnie.

– Pytasz dlaczego? Jesteś osłem, Clyde, ale przynajmniej osłem przyzwoitym. Właśnie dałem ci możliwość łatwego wybrnięcia z sytuacji, ale z niej nie skorzystałeś. Wystarczyło przecież zwalić winę na profesora. Nie zrobiłeś tego. To mi wystarczy.

– Ktoś zasiał przerażenie w sercach Marzipansów, a ich niełatwo nastraszyć – powiedział Warren.

Była już ciemna noc, kiedy spotkał się z Bellem w biurze agencji Van Dorna w hotelu Knickerbocker.

– Jak to możliwe?
– Kojarzysz gangstera, który dowodził nimi podczas awantury na nabrzeżu numer pięćdziesiąt cztery?

– Co z nim?

Detektyw Harry Warren specjalizował się w zwalczaniu nowojorskich gangów, takich jak Gophersi, Dustersi czy azjatyckie mafie z Chinatown. Niejednokrotnie stykał się w slumsach z przejawami czystego zła i nie robiło to już na nim większego wrażenia. Teraz jednak wyraźnie trzęsły mu się ręce, kiedy odkręcał piersiówkę wydobytą z bocznej kieszeni płaszcza. Pociągnął długi łyk i podał flaszkę Bellowi.

– Został spalony żywcem w kotłowni browaru – powiedział, odbierając piersiówkę z rąk Bella, po czym przetarł szyjkę rękawem i napił się jeszcze raz. – Wiem to od jego brata.

– Dlaczego ci o tym powiedział?

– Dobre pytanie. Widzisz, ci, którzy to zrobili, musieli być z zewnątrz, jakby z innej rzeczywistości. Wyobraź sobie ogromną dziurę w ulicy, powstałą po trzęsieniu ziemi czy coś w tym stylu. Po jednej stronie stoją Gophersi, Marzipansi, vandornowcy, nawet gliniarze, a po przeciwnej ci goście, którzy upiekli jego brata.

– Mówił coś jeszcze?

– Nie. Ani słowa więcej.

– W takim razie musimy z nim pogadać – orzekł Bell.

Isaac i Harry zrobili obchód po spelunkach Upper East Side i wreszcie natknęli się na brata spalonego gangstera przed wejściem do saloonu pod wiaduktem nadziemnej kolejki miejskiej. Miał na imię Frank i właśnie przetrzepywał puste kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy. Był wysokim, barczystym Amerykaninem niemieckiego pochodzenia. Tak

jak inni członkowie ulicznych gangów, miał pokiereszowaną twarz i pięści pokryte licznymi bliznami. Zmierzył Bella szybkim spojrzeniem i kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć, że jeśli będzie musiał, to może się z nim bić, ale na razie mu się nie chce. W tym geście pełnym rezygnacji Isaac dostrzegł potwierdzenie słów Harry'ego. Gangster był świadkiem czegoś, co wstrząsnęło nim do głębi.

Detektywi zabrali go do saloonu i postawili butelkę.

– Przykro mi z powodu twojego brata – zaczął Bell.

– Taa...

– Byliście blisko z Brunem?

– Kiedyś tak, jak byliśmy dziećmi. Ostatnio nie za bardzo.

– Czy brat powiedział ci, po co przyszlście na nabrzeże numer pięćdziesiąt cztery?

Frank wzruszył ramionami.

– Żeby dorwać pewnego faceta, który przyplłynął tym statkiem.

– Mielście jego rysopis?

– Dwadzieścia parę lat, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ciemne włosy, niebieskie oczy, cienki wąsik.

Wypisz, wymaluj Clyde Lynds.

– Brat mówił, kto zlecił wam tę robotę?

– Nie.

– Może chociaż widziałeś tego człowieka?

– Jak mogłem go widzieć? Bruno sam się z nim kontaktował.

– To może wiesz, ile miał zapłacić?

Frank pokręcił przecząco głową.

– Bruno nigdy mi nic nie mówił. Inkasował należność, a nam płacił tyle, ile chciał.

– Twarda sztuka ten twój braciszek.

– Oni okazali się jeszcze twardsi.

- Zdaje się, że tak... Mogę jeszcze o coś spytać?
- Cały czas pan pyta.
- A ty grzecznie odpowiadasz. Doceniam to, zwłaszcza że nie jest ci lekko.
- Załatwicie ich?
- Tak – powiedział stanowczo Bell.
- Frank kiwnął głową.
- Co chce pan wiedzieć?
- Czy brat wcześniej pracował już dla tych ludzi?
- Gangster zawahał się.
- Czy to był pierwszy raz? – drążył Bell.
- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Może to był ten sam facet, a może jakiś jego znajomy. Rozumie pan?
- Nie.
- No bo kiedy oni urządzają ubaw, to załatwiamy im koks i dziunie.
- O kim mówisz?
- Oni mogli polecić temu gościowi mojego brata.
- To możliwe – zgodził się Bell. – Ale kim oni są?
- Frank znów się zawahał.
- Nie chciałbym im nabruździć. Może to jednak nie oni powiedzieli o nas tamtemu. Nie chcę...
- Nie chcesz psuć sobie korzystnego układu – dokończył za niego Bell. – Nie mam o to pretensji.
- Ani ja – wtrącił Harry Warren.
- No właśnie, stały dopływ gotówki to podstawa.
- Teraz, kiedy zabrakło twojego brata, źródło dochodów może wyschnąć, przynajmniej na jakiś czas, aż twoi ludzie pozbierają się po tym, co zaszło. Posłuchaj, Frank, teraz Harry wstanie i zasłoni nas tak, aby nikt nie widział, że daję ci pieniądze. To tylko dwie stówki, żebyś jakoś przetrwał ten trudny okres.
- Dwie stówki? Chryste Panie! A co pan będzie z tego miał?

– Dopadnę tego, kto zabił twojego brata, ale musisz mi powiedzieć, kto ich ze sobą skontaktował. Czy byli to ci sami klienci, którzy płacą wam za kokainę i dziewczynki?

– Tak.

– Kim oni są?

– Są z konsulatu.

Bell wstrzymał oddech.

– Z którego konsulatu?

– Niemieckiego.

Isaac i Harry udali się pośpiesznie na stację kolejki i pojechali do śródmieścia, na południowy kraniec Manhattanu. Wysiedli przy South Ferry i poszli pieszo na Broadway. Zajęci rozmową minęli okazały piętnastopiętrowy biurowiec Bowling Green, nawet nie rzuciwszy okiem na utrzymaną w stylu greckiego renesansu fasadę z granitu, białej cegły i terakoty.

Z trzynastu rzędów wykuszowych okien, licząc od parteru do dachu, wszystkie poza dwoma były ciemne. Pracownicy biur przewozowych kompanii żeglugowych White Star i American Line, konstruktorzy statków, bankierzy i prawnicy, którzy prowadzili biznesy pod tym prestiżowym adresem, smacznie spali w swoich łóżkach. Jedyne dwa oświetlone okna znajdowały się na ósmym piętrze, gdzie mieściły się biura Generalnego Konsulatu Rzeszy Niemieckiej.

– Weź to miejsce pod obserwację – rozkazał Bell. – Spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej.

Rozdział 18

Dowiedziałem się, że w tysiąc dziewięćset drugim zawarliśmy kontrakt na zapewnienie ochrony z niemieckim

konsulem generalnym w Nowym Jorku – powiedział Isaac Bell, wchodząc do wyłożonego orzechową boazerią gabinetu Josepha Van Dorna w waszyngtońskiej centrali firmy w hotelu Willard, dwie przecznice od Białego Domu. W tych dniach jego szef spędzał w stolicy większość czasu na pozyskiwaniu nowych zleceń w Departamencie Sprawiedliwości, Kongresie i dowództwie Marynarki Wojennej.

Van Dorn roześmiał się serdecznie.

– Faktycznie, tak było i nigdy tego nie zapomnę.

Z rozbawienia aż poczerwieniała mu twarz – przyjazna, okolona gęstymi rudymi bokobrodami i zwieńczona lśniąca łysiną – a oczy pod opadającymi powiekami zmieniły się w szparki. Był potężnym, krzepkim mężczyzną. Miła powierzchowność i wesołe usposobienie skrywały ambicję, nieprzeciętną inteligencję i nieugięty szacunek dla prawa i sprawiedliwości, co czyniło go prawdziwym postrachem przestępców.

– Książę Henryk Hohenzollern wybrał się na wycieczkę po Stanach Zjednoczonych – rozpoczął wyjaśnienia dźwięcznym głosem, w którym można było się doszukać delikatnego echa irlandzkiego akcentu. – Po tych wszystkich zabójstwach w Europie obawiano się, że jakiś anarchista albo fanatyczny morderca może spróbować zrobić mu krzywdę. Oczywiście Niemcy mieli armię własnych agentów i wypożyczonych z Departamentu Skarbu pracowników Secret Service, ale zaangażowali także nas, lokalną policję, detektywów kolejowych i kilka pomniejszych prywatnych agencji. Powstało totalne zamieszanie. Trzyście różnych grup detektywów ochraniało dostojnego gościa, nie mając czasem zielonego pojęcia o sobie nawzajem. Miał dużo szczęścia, że udało mu się ująć z tego z życiem, zanim przez pomyłkę nie zastrzelił go jakiś smutas od Pinkertona.

– Czy to znaczy, że Niemcy mieli własnych agentów?

– Zagraniczne konsulaty sprowadzają funkcjonariuszy własnych tajnych służb, aby śledzili rodaków, którzy mieszkają albo podróżują po Ameryce. Mają też oko na anarchistów i przestępców, którzy mogliby wrócić do Europy i narobić tam kłopotów.

– Niemieckie konsulaty, o ile mi wiadomo, zatrudniają również regularnych szpiegów, zakamuflowanych na stanowiskach attaché wojskowych i handlowych – stwierdził Bell.

– To samo robią Brytyjczycy, Francuzi, Austriacy, Hiszpanie, Chińczycy i Japończycy. Dlaczego interesuje cię ten kontrakt?

– Czy ci ludzie nawiązują kontakty z lokalnym środowiskiem przestępczym?

– A więc do tego zmierzasz... Nie widzę nic dziwnego w tym, że konsulowie czy wicekonsulowie z placówek terenowych „nawiązują kontakty z lokalnym środowiskiem przestępczym”. Zwykle nie są to ludzie, jak mówią Niemcy: *hoffähig*, czyli „dobrze urodzeni”, w odróżnieniu od szczyjących się arystokratycznym pochodzeniem dyplomatów z waszyngtońskich ambasad. Na co dzień mają do czynienia z biznesmenami, policjantami i wszelkiej maści rozrabiakami, na których natykają się podróżujący obcokrajowcy.

Bell zmienił temat, a przynajmniej tak mogło się wydawać.

– Otrzymałem kilka telegramów od Arta Curtisa.

Van Dorn zmarszczył brwi.

– Za twoją namową Curtis wierci mi dziurę w brzuchu, żebym zatwierdził wysokie wydatki ponoszone w związku z pozyskiwaniem informacji na temat działalności Krieg Rüstungswerk GmbH. W dodatku jak dotychczas nikt nie był łaskaw mnie powiadomić, że prowadzimy w tej sprawie jakieś dochodzenie – zauważył cierpko. – Będąc właścicielem tej agencji detektywistycznej, dowiaduję się o tym ostatni i muszę snuć domysły, czy pożar na „Mauretanii”,

strzelanina na nabrzeżu numer 54 i zniknięcie dwóch ludzi z pokładu statku, którym akurat ty podróżowałeś, mają ze sobą coś wspólnego.

– Informacje Arta Curtisa są cenniejsze od złota – powiedział Bell. – O wiele cenniejsze. Udało mu się zwerbować sfrustrowanego pracownika Krieg Rüstungswerk zatrudnionego na kierowniczym stanowisku, który twierdzi, że koncern wypłaca prowizje członkom personelu niemieckich konsulatów w Nowym Jorku i Los Angeles za to, żeby działali jako nieoficjalni przedstawiciele handlowi.

– I to ma być cenna informacja? – prychnął Van Dorn. – Jednym z podstawowych zadań zagranicznych konsulatów jest wspieranie wymiany handlowej. Prezentacja, nawiązywanie kontaktów, sprzedaż.

– Tylko że pracownicy tych konsulatów niczego nie sprzedają, nie organizują żadnych prezentacji ani nie zdobywają amerykańskich klientów. A otrzymują prowizje, jakby właśnie to robili. Innymi słowy, Krieg potajemnie płaci niemieckim konsułatom. Chyba warto się zastanowić, czego od nich w zamian oczekuje.

Isaac z zadowoleniem stwierdził, że rozbawienie szefa ulotniło się bez śladu. Teraz nawet się nie uśmiechał. Za to oczy zapłonęły mu groźnym blaskiem, jak niedźwiedziowi, który zwęszył ofiarę.

– Rzeczywiście, to interesujące – przyznał.

– Art Curtis jest najlepszy – rzekł Bell. – Nie znam nikogo, kto potrafiłby zbadać sprawę tak dogłębnie w bardzo krótkim czasie. Ale pozyskiwanie wysoko postawionych informatorów jest kosztowne. Mówiąc wprost, należący do kadry kierowniczej kontakt Arta zwykł otrzymywać wynagrodzenie według najwyższej kategorii zaszeregowania.

Van Dorn wstał i poczłapał do narożnego okna swojego gabinetu na pierwszym piętrze, skąd miał widok na

ludzi zmierzających do głównego i bocznych wejść hotelu Willard. Potem podszedł do przeciwległej ściany i zajrzał do holu recepcji przez wizjer zamontowany w oku prezydenta Franklina, którego portret witał gości jego agencji detektywistycznej.

Bell ani drgnął. Czekał cierpliwie, zachowując milczenie.

W końcu szef spojrział na niego badawczo.

– I po to tylko jechałeś taki kawał drogi do Waszyngtonu, zamiast powiedzieć mi wszystko przez telefon?

– Nie. Mam jeszcze coś. I to jest jeszcze bardziej interesujące.

Hans Reuter, pieczołowicie hołubiony przez Arta Curtisa informator z koncernu zbrojeniowego Krieg Rüstungswerk, odmówił dalszych spotkań w ogródkach piwnych.

– Za dużo ludzi widzi nas razem – stwierdził.

Gdyby rozmawiali twarzą w twarz, a nie przez telefon, Arthur złożyłby ze spokojem ręce na wydatnym brzuchu i słuchałby ze współczuciem wypisanym na twarzy. Ale w rozmowie telefonicznej jedynymi środkami wyrazu, jakie mógł zastosować, były kojący głos i prosta logika.

– Przecież nikt nie wie, o czym rozmawiamy, ani że płacę panu za to.

– Ostatnim razem ktoś mnie śledził.

– Jest pan pewien? – spytał Curtis, siląc się na obojętny ton. W rzeczywistości po ostatnim spotkaniu, na którym Reuter odpalił prawdziwą bombę, że Krieg ma na swojej nieoficjalnej liście płac niemieckich konsuli w Ameryce, sam zastanawiał się, czy nie jest śledzony, i wrócił do biura okrężną drogą, stosując wszystkie znane mu sposoby zgubienia ogona, o ile takowy istniał naprawdę. To, co powiedział Reuter, pozwalało sądzić, że jednak istniał i w dodatku potrafił doskonale się maskować. Detektyw musiał przyznać, że ludzie od Kriega działali bardzo sprawnie.

Niezwykle szybko wpadli na jego trop. Wiedział, że powinien coś zrobić, aby odsunąć od siebie zagrożenie. Problem w tym, że w głowie jego wystraszonego agenta kłębiło się jeszcze wiele ciekawych informacji, tyle że dawkował je niezwykle oszczędnie.

– Tak, jestem pewien na sto procent – odparł Reuter. – Z tego, co wiem, linia telefoniczna, przez którą rozmawiamy, może być na podsłuchu.

– Musieliby być jasnowidzami, żeby podsłuchiwać budki telefoniczne w urzędach pocztowych na przeciwległych krańcach Berlina.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby tak właśnie było.

– Mam pewien pomysł – powiedział Curtis.

– Dość już tych pańskich pomysłów – rzucił Reuter i przerwał połączenie.

Wracając do swego biura, Curtis starał się zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Obserwował odbicia w oknach sklepowych, zmieniał kilkakrotnie tramwaje, wchodził do cukierni i kawiarni, po czym natychmiast je opuszczał. Wstrzymywał się też bardzo długo z wejściem do budynku, dopóki nie był całkiem pewien, że nie jest obserwowany.

Pauline siedziała za jego biurkiem i czytała pocztę.

– Już dawno powinnaś być w domu i leżeć grzecznie w łóżeczku. Jest bardzo późno.

– Nie chce mi się spać.

– Nie masz jutro szkoły?

– Do matki przyszedł z wizytą jej przyjaciel. Ma wyjść dopiero o północy.

– Jadłś kolację?

– Nie jestem głodna.

– Masz – powiedział, podając jej drożdżówkę, którą kupił na wszelki wypadek, a potem patrzył, jak pożera ją łapczywie, niczym wilk upolowaną sarnę.

W tym momencie stało się coś zupełnie nie do pomyślenia. Art Curtis zaczął się bać. Nie o siebie, lecz o tę małą. Co będzie, jeśli go dorwą, a ona wpadnie razem z nim? I kiedy już go wykończą, co się stanie z nią?

– Ruchome obrazy to żadna atrakcja, przecież istnieją już od ładnych kilku lat! – zaprotestował Joseph Van Dorn.

Isaac Bell właśnie opowiedział mu o Beiderbeckem, Lyndsie i ich maszynie nazwanej Kino Dźwiękowe. Na koniec zaproponował, aby jego agencja podjęła się ochrony Lyndsa podczas konstruowania nowej maszyny w zamian za udział w zyskach.

– Filmy przestaną być zwykłymi ruchomymi obrazami, kiedy dźwięk doda im ekspresji i sprawi, że będą silniej oddziaływać na emocje. Maszyna Kino Dźwiękowe doprowadzi do wielkiego przełomu.

Van Dorn wzruszył ramionami.

– Byłem kiedyś w Cincinnati na pokazie filmu z dźwiękiem. Nazywało się to Kinetofon czy jakoś tak. W reklamach zapewniano, że głos będzie idealnie odpowiadał ruchom warg aktorów, tymczasem był to kompletny miszmasz. Widać było, że aktorzy coś mówią, ale słowa padały w zupełnie przypadkowych momentach. Nie dało się tego oglądać.

– Synchronizacja to podstawa.

– Poza tym cały czas było słychać irytujące mechaniczne brzęczenie, jak z mówiącej maszyny.

– Wzmocnienie dźwięku to kolejny problem, który podobno udało się rozwiązać Beiderbeckemu i Lyndsowi.

– A żebyś wiedział, że to problem. Widziałem występ grupy Actologue w Detroit. Jeden z aktorów miał tak słaby głos, że nie był w stanie przebić się zza ekranu. Każdy dźwięk, który z siebie wydawał, ulatywał w górę i ginął gdzieś pod kopułą.

– Kupowałeś bilety – powiedział Bell – a więc wydawałeś pieniądze, aby obejrzeć różne próby z filmem dźwiękowym. To oznacza, że istnieje zapotrzebowanie na tego typu atrakcję. Ale ta metoda jest o wiele za droga. Marion twierdzi, że typowy zespół Actologue składa się z co najmniej ośmiu osób, wliczając w to kinooperatora, pianistę, śpiewaków, kierownika i aktorów podkładających dialogi i imitujących dźwięki zza ekranu. Ten sam film wyświetlany z maszyny Lyndsa można pokazywać jednocześnie w tysiącach kinoteatrów. Szpule z filmami nie muszą jeść ani spać i nie domagają się wypłaty. To będzie tak, jak w fabryce patelni, gdzie nie trzeba płacić robotnikom, bo maszyny produkują je automatycznie.

Bell, który nigdy nie spotkał biznesmena bardziej pragmatycznego i skąpego niż Van Dorn, zauważył uśmiech na jego twarzy, gdy tylko wspomniał o możliwości zaoszczędzenia na wypłatach dla pracowników.

– Potrafisz być bardzo przekonujący, Isaac. Skoro tak to ująłeś, być może warto zapewnić Lyndsowi ochronę.

Van Dorn potarł dłonią podbródek i zamilkł, przeżuając uzyskane informacje. W zamyśleniu przebiegł palcami po lichtarzowym telefonie i poruszył tubką słuchawki.

– Profesor Beiderbecke nie żyje. Czy Clyde Lynds poradzi sobie z rekonstrukcją maszyny?

– Beiderbecke mówił mi, że Clyde jest bardzo zdolny. Niemiecka armia najwyraźniej uważa, że potrafi tego dokonać. Podobnie jak ich konsulat.

– Trudno mi uwierzyć, że kajzerowska armia walczy tak zajadle tylko po to, żeby zbijać majątek na filmach.

– Masz rację – przyznał Bell. – Generałowie są żołnierzami, nie biznesmenami. Zapewne coś się za tym kryje.

Van Dorn energicznie pokiwał głową.

– Dowiedz się, o co im chodzi – polecił. – Kontynuujcie obserwację nowojorskiego konsulatu. Ja spróbuję powęszyć tu, w Waszyngtonie.

– Może zaprosisz niemieckiego ambasadora na lunch w Cosmos Club?

– Umówię się z nim na jutro, ale nie rób sobie wielkich nadziei. Wątpię, aby jego ekscelencja wiedział cokolwiek o tej operacji, zwłaszcza jeśli faktycznie zaplanowało ją wojsko.

– A co z Artem? Dasz mu wolną rękę w Berlinie?

– Dam, dam – burknął z ociąganiem Van Dorn.

– Lepiej by było, żeby nie tracił czasu na zatwierdzanie każdego wydatku przez ciebie.

Van Dorn skrzywił się niemiłosiernie.

– Już dobrze, niech ci będzie. Masz moje upoważnienie i możesz nie liczyć się z kosztami.

– Bez obawy, Art nie zmarnuje ani pensa.

– Miej na uwadze, że chociaż na razie nie wiemy, co kombinują Niemcy, jedno jest pewne – mają naszego młodego geniusza na celowniku. Trzeba zapewnić mu ochronę. A właśnie, co się z nim dzieje?

– Jest pod opieką Lipshera.

– Co to za jeden?

– Chłopak ze Służby Ochrony, który pilnował Blocka na statku. Kiedy trzeba, potrafi sobie poradzić – wyjaśnił Bell, podnosząc się z miejsca. – Powiadom naczelnego od Daggeta, że nadal będę udawał jednego z ich dyrektorów. Poza tym puszczyć w obieg informację, jakoby towarzystwo ubezpieczeniowe Dagget, Staples i Hitchcock było zainteresowane inwestowaniem w wynalazek Lyndsa. Niby że skostniała, staroświecka firma chce ożywić swój wizerunek.

– Dagget, Staples i Hitchcock ma wchodzić w układy z ludźmi z branży filmowej? – roześmiał się Van Dorn. –

Założyciele przewrócą się w grobach. Ale masz rację. Powinniśmy jak najdłużej pozostawać w cieniu. Lepiej nie odkrywać kart, dopóki nie wiadomo, kto siedzi po przeciwnej stronie stolika.

– I czego chce – dodał Bell, chwytając kapelusz, i ruszył żwawo do drzwi.

– Dokąd tak pędzisz?

– Na Union Station. Umówiłem się z Clyde'em w West Orange w New Jersey.

– W laboratorium Thomasa Edisona? Pilnuj się, żebyś nie wrócił w samych skarpetkach.

Rozdział 19

Po przybyciu do mieszczącego się w budynku z czerwonej cegły laboratorium Thomasa Edisona w West Orange Isaac Bell przeżył podwójne zaskoczenie. Po pierwsze, nie przypuszczał, że pracujący tu naukowcy są tak młodzi. Na każdym kroku wręcz roiło się od elegancko ubranych bystrych młodzieńców w rodzaju Clyde'a Lyndsa. Nie spodziewał się też, że Edison, znany z bezwzględności w interesach, potrafi się tak ujmująco uśmiechać, aż czuło się ciepło emanujące z jego głęboko osadzonych oczu.

Natomiast kiedy asystent zaprowadził go do dźwiękoszczelnego pomieszczenia, nie zdziwił go widok wielkiego wynalazcy, który próbował słuchać muzyki, ściskając zębami wieko fortepianu. Powszechnie wiadano o kłopotach Edisona ze słuchem. Gospodarz oderwał się od instrumentu, delikatnym skinieniem głowy odprawił pianistę i powiedział donośnym, lecz przyjaznym głosem:

– Głuchota to wstrętne kalectwo. Mam przyjemność z panem Bellem, nieprawdaż?

Isaac uściśnął krzepką dłoń Edisona, który następnie zwrócił się do Clyde'a.

– A pan, młodzieńcze, zapewne nazywa się Lynds – rzekł. – Pan Bell był łaskaw przysłać mi entuzjastyczny telegram w pańskiej sprawie. Sprytnie posunięcie z tym telegramem, panie Bell. Przez telefon byśmy sobie nie porozmawiali. Zapraszam do środka. Proszę spocząć i powiedzieć mi, co panowie ze sobą przywieźli.

Clyde podał mu szkicownik, w którym wcześniej narysował jakieś schematy i zapisał kilka zdań dużymi drukowanymi literami. Edison pokiwał głową z uznaniem.

– To o wiele lepsze od telegramu pana Bella – powiedział, przebiegłszy wzrokiem kilka stron. – Film dźwiękowy? Wielu już przychodziło do mnie z podobnymi urządzeniami, ale żadne nie działało.

Clyde Lynds zwrócił twarz w kierunku wynalazcy i powiedział powoli, starannie wymawiając kolejne słowa:

– Moja maszyna działa.

– Co pan powie? Świetnie, więc proszę mi ją pokazać. Gdzie pan ją ma?

Lynds popukał palcem w szkicownik, a potem wskazał na swoją głowę.

– Tutaj.

– Co to ma znaczyć?

Bell patrzył z podziwem, jak Clyde odwraca kartkę szkicownika. Na kolejnej widniało napisane dużo wcześniej zdanie: „Pierwsza maszyna uległa zniszczeniu. Potrzebne mi będzie laboratorium, warsztat mechaniczny i pieniądze, aby zbudować nową”.

– Jak to „uległa zniszczeniu”?! – wykrzyknął Edison.

Clyde znów przewrócił kartkę. Na następnej było napisane: „Na skutek pożaru”. Podziw Bella przerodził się w szczerą zachwyty. Biedny jak mysz kościelna młody na-

ukowiec zawczasu rozplanował przebieg rozmowy z najbogatszym i naj słynniejszym wynalazcą na świecie.

Edison spojrział na Isaaca. Co prawda wyraz jego oczu ginał w cieniu gęstych brwi, ale detektyw wyczuł wyraźną zmianę w zachowaniu wynalazcy.

– Panie Bell – powiedział rzeczowo Edison – mniemam, że czysto techniczna rozmowa, którą zaraz podejmiemy, byłaby dla pana nużąca. Może zechce pan zwiedzić moje laboratorium, a w tym czasie pan Lynds spróbuje mi udowodnić, że jego Kino Dźwiękowe jest lepsze od innych podobnych urządzeń.

– Dziękuję za troskę – odparł Bell, wstając. – Chętnie się trochę rozejrzę po pańskim gospodarstwie.

Zdawał sobie sprawę, że Edison chce się go pozbyć, ale był pewien, że Clyde potrafi sam zadbać o swoje interesy. Ponadto umówili się wcześniej, że Lynds nie podpisze żadnego kontraktu, zanim nie przeczytają go prawnicy Van Dorna.

Asystent wpadł do pokoju, jakby podsłuchiwał pod drzwiami, i poprowadził Bella standardową trasą dla gości odwiedzających zakłady Edisona. Isaac obejrzał pracownię chemiczną, warsztaty techniczne i laboratoria. W magazynie widział pracownika dzielącego skórę manata, z której miały powstać pasy napędowe, jak objaśnił mu jego przewodnik. Patrząc w dół z galerii, zobaczył dwupiętrowe biuro Edisona obramowane półkami pełnymi książek. Asystent zwrócił jego uwagę na stojącą na stercie rozbitych lamp naftowych marmurową figurę anioła ze świecącą się żarówką elektryczną.

– A co znajduje się tutaj? – spytał Bell, podchodząc do drzwi z napisem „Laboratorium Kinetofoniczne”.

Za szybą z grubego szkła widać było starszego brodatego mężczyznę pochylonego nad skomplikowanym zestawem drutów i rolek łączących projektor filmowy z fonografem.

Detektyw przypomniał sobie słowa Van Dorna, rozczarowanego działaniem Kinetofonu.

- Pytam, co jest tutaj? – powtórzył.
- Tu prowadzi się pewien eksperyment.
- Chciałbym się z nim bliżej zapoznać.
- To laboratorium nie jest przygotowane do zwiedzania.
- Nie szkodzi – odrzekł Isaac i wszedł do środka, nie zważając na protesty przewodnika. Brodacz uniósł głowę i zamrugął ze zdziwienia, najwyraźniej nieprzyzwyczajony do widoku gości.

- Nie powinniśmy tu wchodzić, panie Bell – upierał się asystent. – To bardzo ważny eksperyment. Wiele od niego zależy.

- Proszę zapytać pana Edisona o pozwolenie – odparł Bell. – Zaczekam tu. No już!

Asystent wypadł na zewnątrz, a Isaac zwrócił się do brodacza:

- Mój znajomy widział taki aparat w Cincinnati. Być może był to ten sam egzemplarz, który pan naprawia.

- Naprawiam? Niech mnie pan nie rozśmiesza. Sam Pan Bóg nie byłby w stanie naprawić tego złomu.

- Dlaczego uważa pan, że to złom?

- Proszę posłuchać.

Starszy mężczyzna nacisnął elektryczny przełącznik i maszyna wyświetliła na ścianie filmowy obraz śpiewającej kobiety. W tym samym momencie zaczął się obracać cylinder fonografu. Zabrzęczały druty, zaterkotały rolki, a z tuby fonografu wydobył się słaby, chrapliwy i drżący głos śpiewaczki, dokładnie tak, jak to przedstawiał Van Dorn. Po dziesięciu sekundach głos przestał się zgadzać z ruchami warg kobiety.

- Dźwięk nie jest najlepiej zsynchronizowany z obrazem – zauważył Bell.

– I nigdy nie będzie – powiedział brodacz.

Śpiew umilkł, ale kobieta z ekranu nadal otwierała szeroko usta, jakby ciągnęła wysokie tony. Z tuby rozległ się męski głos: „Jak pięknie pani śpiewa”. Po pięciu sekundach do śpiewaczki podszedł mężczyzna. Poruszył ustami, jakby wypowiadał słowa, które padły już wcześniej, i zawzięcie klaskał w dłonie, choć zamiast braw słyszeć było grę na skrzypcach. Po kolejnych pięciu sekundach na ekranie pojawił się skrzypek.

– Wygląda to dość zabawnie – stwierdził Bell.

– Ten film to dramat.

– Skoro nie można tego naprawić, po co pracuje pan nad tym urządzeniem?

– Bo to jedyne zajęcie, które zechciał mi przydzielić Edison – odpowiedział z goryczą brodacz. – Kilku młodszych pracuje nad podobnymi projektami, ale to wszystko szmelc.

– Dlaczego nie zatrudni się pan gdzie indziej?

Mężczyzna popatrzył na Bella dziwnym wzrokiem, zogniskowanym gdzieś daleko, jakby nie widział osoby, która stała tuż przed nim.

– Edison doprowadził mnie do bankructwa – wyjaśnił. – Miałem długi, z których nigdy bym się nie wypłacił. On je wykupił. Teraz jestem jego dłużnikiem, dlatego muszę tu pracować.

– Czemu Edison zmusza pana do pracy nad czymś, co nigdy nie będzie działać?

– Naprawdę pan nie rozumie? – Brodacz obrzucił detektywa takim spojrzeniem, jakby wątpił w jego zdolność logicznego rozumowania. – W ten sposób nie mogę konstruować innych urządzeń, które mogłyby zagrozić jego interesom. Ukradł mój największy wynalazek, a teraz chce być pewien, że już nie stworzę nic równie dobrego.

– Jaki wynalazek? – spytał Bell, któremu zrobiło się żal starego człowieka.

– Skonstruowałem niedrogi gramofon. Edison go skopiował, kiepsko i niechlujnie. Mój był lepszy, ale on zaniżył cenę i zalał rynek swoimi marnymi podróbkami. Nazwał to „fonografem”. Ludzie, jak to ludzie, są głupi, więc kupowali tańszy produkt. To przez niego splajtowałem.

– Kiedy to było?

– Bardzo dawno temu. – Twarz starego wykrzywiła się w bolesnym grymasie. – Mój gramofon był piękną maszyną. Edison to potwór, nie człowiek.

W tym momencie drzwi otworzyły się z trzaskiem. Asystent wrócił z jakimś osiłkiem, któremu pod marynarką odznaczały się mięśnie i zarys pistoletu.

– Wychodź pan stąd, bez gadania! – rozkazał wykidajło i chwycił Bella za ramię.

Detektyw obrzucił go lodowatym spojrzeniem i powiedział miękko:

– Nie rób tego.

Osilek puścił go, a wtedy Bell rozkazał:

– Zaprowadźcie mnie do pana Edisona.

Powrót Isaaca do dźwiękoszczelnego pokoju nie wywołał uśmiechu na twarzy Thomasa Edisona. Zawsze pogodny Clyde Lynds zaciskał usta ze złości.

– Jest pan wreszcie, panie Bell. Właśnie skończyliśmy rozmawiać. Clyde, niech się pan się ze mną skontaktuje natychmiast po konsultacji ze swoimi prawnikami. A teraz żegnam szanownych panów.

Cień uśmiechu przebiegł po twarzy Lynda, kiedy szybkim ruchem napisał w szkicowniku: „Do widzenia”.

– Może zostawi mi pan swoje rysunki? – spytał Edison. – Przejrzę je w wolnej chwili.

Ku zdziwieniu Bella, Clyde wręczył wynalazcy swój szkicownik.

Podczas jazdy tramwajem do Newark Lynds zachowywał milczenie, co było dość niezwykle w jego przypadku. Bell zaczekał, aż wsiądą do pociągu na Pennsylvania Station, i dopiero wtedy zadał mu pytanie:

– Co pan Edison sądzi o twojej maszynie?

– Uważam, że jest nią bardzo zainteresowany. Oczywiście nie powiedział tego wprost.

– A co powiedział?

– W zamian za udostępnienie laboratorium nie zadowolili się licencją na produkcję, lecz zażądał przeniesienia praw patentowych. Innymi słowy, maszyna stanie się jego własnością.

– To bardzo niekorzystne warunki.

Clyde uśmiechnął się.

– Dla mnie to najlepsze potwierdzenie jej ogromnej wartości. Skoro ktoś taki jak Thomas Edison zamierza ją ukraść, to znaczy, że można na niej zbić fortunę.

– Rzuciłem okiem na jego Kinetofon. Raczej nie wrózę mu sukcesu.

– Wszelkie mechaniczne metody synchronizacji są skazane na niepowodzenie – orzekł Clyde. – Jeszcze przed rozpoczęciem prac doszliśmy z profesorem do wniosku, że nie da się precyzyjnie zsynchronizować działania dwóch całkowicie odrębnych maszyn. Wiedzieliśmy, że trzeba pójść zupełnie inną drogą. I udało się nam osiągnąć cel w inny, dużo lepszy sposób.

– Przekazanie planów Edisonowi wydaje mi się niepotrzebnym ryzykiem.

Clyde parsknął śmiechem.

– Dałem mu lipne plany.

– Naprawdę? To bardzo zręczne posunięcie – powiedział Bell ze szczerym uznaniem. – Nie wpadłem na to.

– Dostał opis mikrofonu akustycznego, zamiast wynalezionej przez profesora mikrofonu elektrycznego,

i schemat synchronizatora pracującego na podobnej zasadzie, jak w Kinetofonie, który oglądał pan w laboratorium.

– Na podobnej zasadzie? A skąd wiedziałeś, jak działa Kinetofon?

– Zapoznaliśmy się z profesorem z każdym nawet najbardziej niedorzecznym pomysłem w tej dziedzinie. Podobnych wynalazków było sporo, we Francji, w Rosji, w Niemczech, w Anglii. Rozpracowaliśmy też wszystkie metody skopiowane od innych przez Edisona.

Isaac Bell doszedł do wniosku, że Clyde Lynds jest o wiele sprytniejszy, niż można by przypuszczać.

– Więc nie byłeś zaskoczony przebiegiem rozmowy z Edisonem?

Lynds westchnął ciężko i posmutniał.

– Spodziewałem się, że tak to będzie wyglądało, ale jestem trochę rozczarowany. Mieliśmy z profesorem nadzieję, że dzięki naszej doskonałej maszynie zdołamy przekonać Edisona, aby potraktował nas jak partnerów. A teraz będę musiał wszystko robić sam.

– Nie całkiem sam – odparł Bell z uśmiechem.

– Jak to?

– Moja żona pociągnęła za kilka sznurków, tak na wszelki wypadek, gdyby współpraca z Edisonem nie wypaliła. Udało się jej dotrzeć do niezależnego producenta, zwanego Królem Piratów, i umówiła cię z nim na spotkanie. Człowiek ten wie prym wśród wszystkich tych, którzy nie chcą kręcić filmów pod auspicjami Edison Trust.

– To wspaniale! Jak ja się jej odwdzięczę za tę przysługę?

– Marion ma w tym swój interes. Wspiera cię, bo zamierza nakręcić pierwszy prawdziwy film dźwiękowy.

Rozdział 20

Nigdy nie przeszkadzaj filmowcom, kiedy świeci słońce – powiedziała Marion do męża ostrzegawczym tonem. – Nie znoszą marnować światła.

Isaac rozglądał się po niebie, wypatrując z nadzieją choćby najmniejszej chmurki. Właśnie przeprawili się promem przez rzekę Hudson z zamiarem dotarcia do Fort Lee w New Jersey. Wiatr niósł ciepłe, przesycone wilgocią powietrze z południowego zachodu, co pozwalało mieć nadzieję na pojawienie się chmur.

– Przy odrobinie szczęścia powinno zachmurzyć się do południa – powiedział Bell do Lyndsa.

Wypożyczyli forda ze sklepu wielobranżowego, przed którym stała pompa benzynowa, i wjechali na stromy, urwisty brzeg. W miasteczku Fort Lee minęli kilka wytwórni filmowych działających pod egidą Edison Trust. Przez szklane ściany i dachy podobnych do stodoł hal filmowych widzieli lampy łukowe zwisające z krokwi oraz całe zestawy żarówek rtęciowych Cooper-Hewitt, wykorzystywanych do wspomagania światła dziennego. W przybudówkach z surowej cegły mieściły się dekoracje, magazyny rekwizytów i kostiumów, biura, laboratoria fotochemiczne, warsztaty naprawy kamer filmowych i dynamy do zasilania lamp rtęciowych.

Siedzący za kierownicą Bell skręcił na północ w wąską drogę prowadzącą na najwyższy pagórek w okolicy. Posiłkując się wskazówkami Marion, zjechał z głównej drogi w samym środku pustkowiec i ruszył na zachód, zagłębiając się coraz dalej w wiejską okolicę. Wreszcie dotarł na podjazd przed niewidoczną z drogi stodołą mlecznej farmy, gdzie niezależny Król Piratów, czyli Jay Tarses, kręcił plenerowe ujęcia z grupą aktorów odzianych w kostiumy krzyżowców, Arabów i westalek.

W zagrodzie biegało nerwowo w kółko stado wierzchowców, spłoszonych przez wielbłądy, które Tarses sprowadził dla Arabów. Zdaniem Marion, wielka kamera systemu Bianchi, przy której pochylał się operator, służyła jedynie za obudowę, kryjąc w sobie typową kamerę opatentowaną przez Edisona.

Isaac zatrzymał auto w pewnej odległości, z dala od planu filmowego. Asystentka Tarsesa, jedna z kilku drobnych brunetek, które zawsze się przy nim kręciły, podeszła do nich, z trudem skrywając zaniepokojenie.

– Proszę się nie obawiać, nie jesteśmy opryszkami od Edisona. Nazywam się Isaac Bell. Moja żona Marion umówiła pana Clyde’a Lyndsa i mnie na spotkanie z panem Tarsesem.

– Ależ tak, oczywiście! – wykrzyknęła dziewczyna. – Przekażę mu, że już jesteście.

– Nie chcemy przeszkadzać w zdjęciach – powstrzymała ją Bell. – Zaczekamy, aż się zachmurzy.

O wpół do pierwszej słońce skryło się za chmurami. Aktorzy zabrali się za jedzenie przygotowanych wcześniej kanapek, a asystentka zaprowadziła Bella i Lyndsa do Króla Piratów. Jay Tarses, nieogolony mężczyzna w filcowym kapeluszu, kamizelce i koszuli z podwiniętymi rękawami, rozmawiał z jakimś okularnikiem z palcami uwalanymi atramentem.

– Dwadzieścia pięć dolarów – oznajmił. – To moja najwyższa stawka za scenariusz przekształcony na kompletny scenopis.

– Uważam, że zasługuję na pięćdziesiąt – odparł okularnik.

Tarses zapalił pięciocentowe cygaro.

– Jeśli wyjdzie z tego przebój, doślemy drugi czek na tę samą kwotę.

– Przecież tygodniki płacą dwieście dolarów za krótkie opowiadanie.

– Ludzie, którzy chodzą na moje filmy, nie umieją czytać – odparł Tarses i odwrócił się plecami do rozmówcy.

Na widok Isaaca Bella przywołał na twarz szeroki uśmiech.

– Każdy mąż Marion jest moim przyjacielem, panie Bell. Już swoim pierwszym filmem zdobyła uznanie. *Gożąca noc w Old Town* to pełna realizmu historia z życia wzięta. W czym mogę panu pomóc?

Bell zaczął od „picowania”, jak to określił Clyde Lynds.

– Reprezentuję firmę Dagget, Staples i Hitchcock z Hartford w Connecticut.

– Niestety – przerwał mu Tarses – nigdy nie miałem przyjemności pożyczyc od nich pieniędzy, a to z tej przyczyny, że oni nie robią interesów z takimi jak ja.

– Ten stan rzeczy może wkrótce ulec zmianie. Dagget, Staples i Hitchcock rozważają akces do branży filmowej.

– Zamieniam się w słuch – powiedział Tarses. Pieniądze miały zasadnicze znaczenie w biznesie, w którym zaciąganie pożyczek było na porządku dziennym, dlatego bardzo go interesowało, co ma mu do powiedzenia dyrektor firmy ubezpieczeniowej odziany w szyty na miarę garnitur i buty robione na zamówienie.

– Na początek zainwestujemy w Kino Dźwiękowe, czyli maszynę pana Lyndsa. Szukamy partnerów w środowisku filmowców, doświadczonych producentów, którzy potrafią kręcić doskonałe obrazy dorównujące jakością i starannością wykonania filmom francuskim. Pan Lynds wyjaśni szczegóły techniczne.

W odpowiedzi Tarses zmienił temat.

– Czy pańska żona nadal robi te migawki ze świata dla Whitewayy?

– Może pan być pewien, że będzie reżyserowała filmy dźwiękowe, kiedy pan Lynds udoskonali swą maszynę – odparł Bell, cedując dalsze picowanie na Clyde'a, który miał teraz zareklamować swój produkt. Isaac nie wątpił, że doskonale sobie z tym poradzi.

– Chwileczkę. – Tarses znów zwrócił się do Bella. – Czego pan ode mnie oczekuje?

– Na początek panu Lyndsowi potrzebne będzie laboratorium, warsztaty oraz chemicy i mechanicy doświadczeni w produkcji filmowej.

Tarses rozejrzał się dookoła, wskazując cygarem konie, wielbłądy i aktorów.

– Nie dysponuję żadnym z wymienionych elementów.

– Może pan to wszystko załatwić w mgnieniu oka – zapewnił Bell. – Żona dobrze wiedziała, kogo mi polecić. Zna pan wszystkich w tym biznesie i jest pan urodzonym menedżerem. Powszechnie wiadomo, że gdyby nie pańska nienawiść do Edison Trust, zarządzałyby pan własną prężną firmą.

– No cóż, nie da się ukryć, że nie lubię, kiedy ktoś usiłuje dyktować mi warunki.

– Po ukończeniu maszyny panu Lyndsowi będzie potrzebny producent, który zna się na rzeczy i podejmie wyzwanie. Dostanie pan wolną rękę w zakresie produkcji i dystrybucji filmów.

– A na co komu potrzebne to całe Kino Dźwiękowe?

Clyde osłupiał, słysząc to niedorzeczne pytanie. Przecież Krieg Rüstungswerk i niemiecka armia dowiodły niezbitcie, jak bardzo zależy im na tym wynalazku.

– Na co komu potrzebne?! – wykrzyknął. – Cały świat tylko na to czeka! Zaczną powstawać pierwszorzędne filmy, pełne naturalnych dźwięków, dynamiczne, skrzące się życiem. To będą realistyczne opowieści, które się wszystkim spodobają, a każdy racjonalnie myślący człowiek zdaje so-

bie sprawę, że właściciele kinoteatrów chętnie wprowadzą nową atrakcję dla publiczności.

Jay Tarses skrzyżował ręce na piersiach i oznajmił kategorycznym tonem:

– Filmy dźwiękowe nigdy się nie przyjmą.

– Niech pan poda chociaż jedną przyczynę, dlaczego tak się nie stanie.

– Proszę bardzo, podam panu nawet cztery. Po pierwsze, publiczność jest zadowolona. Ludzie nie chcą słuchać drętwej gadki z ekranu, tylko oglądać ruchome obrazy. Po drugie, cudzoziemcy nie rozumieją kwestii wypowiedzianych przez aktorów. Po trzecie, kto zapłaci za zainstalowanie maszyn Kina Dźwiękowego w każdym kinoteatrze? Właściciele sal nie lubią wydawać pieniędzy. Po czwarte, kto odważy się je rozpowszechnić? Jeśli będą coś warte, Edison Trust zablokuje ich dystrybucję.

– On się myli – powiedziała ze złością Marion, kiedy po powrocie do domu Abbottów Bell zrelacjonował jej, jak zostali odprawieni z kwitkiem. – Tarses myśli tylko o tym, jak ustrzec się przed stróżami prawa. Nic nie zrozumiał. Tak mi przykro, sądziłam, że jest bystrzejszy. Isaac, musimy pomóc Clyde'owi, to bardzo ważne.

– Do kogo jeszcze moglibyśmy się zwrócić?

– Właśnie się zastanawiam...

Bell czekał cierpliwie. Byli w bibliotece Archiego. Z salonu dochodziły odgłosy przyjęcia, właśnie podano koktajle.

– Idź się przebrać – powiedziała Marion. – Spróbuj coś wymyślić.

Kiedy po kilkunastu minutach Isaac wrócił w granatowym wieczorowym garniturze, Marion była podekscytowana i wyraźnie zadowolona z siebie.

– W wytwórni Biograph pracuje pewien utalentowany reżyser, bardzo śmiały i pomysłowy – oznajmiła.

– Przecież Biograph należy do Edison Trust – przypomniawszy jej.

– On ma w nosie zasady obowiązujące w firmie. Chce robić filmy autorskie. Ma bardzo nowatorskie podejście, robi z kamerą różne sztuczki własnego pomysłu. Powinien się poznać na możliwościach maszyny Lyndsa.

– Więc spotkajmy się z nim.

– Właśnie wyjechał z pięćdziesięcioosobową ekipą do Kalifornii. Kręci film dla Biographu w jakiejś małej miejscowości koło Los Angeles.

– Jak się nazywa?

– Griffith. David Wark Griffith. Na pewno widziałeś jego filmy.

– Oczywiście! To on reżyserował *Czy to miejsce jest wolne?*

– Tak, on.

– Będzie mi przykro zostawiać cię samą tuż po ślubie – powiedział z żalem Bell – ale powinienem pojechać do niego z Lyndsem.

– Bardzo chętnie odwiedzę tatę w San Francisco – odparła Marion. – Muszę mu opowiedzieć o naszym ślubie.

– Wspaniale! To zaledwie pięć godzin pociągiem. Spotkamy się w połowie drogi.

Marion poprawiła mu muszkę i przysunęła się bliżej.

– Nie dałoby się tak tego zorganizować, żebyśmy razem pojechali do Kalifornii?

Bell uśmiechnął się smutno i pokręcił głową.

– Bardzo bym chciał, ale nic z tego.

– Uwielbiam jeździć z tobą pociągiem – powiedziała Marion i dodała z uśmiechem: – Teraz, jako małżeństwo, nie musielibyśmy rezerwować dwóch osobnych przedziałów ze względu na konwenanse.

– Niestety, nie będę mógł spuścić Clyde'a z oka, więc pojedę w jednym przedziale z nim.

- Obawiasz się, że Krieg spróbuje go porwać?
- Nie, ale ostrożności nigdy za wiele. Nie martw się, po spotkaniu z Griffithem oddam Clyde'a na przechowanie do naszego biura w Los Angeles i urządzimy sobie randkę w Santa Barbara.
- A ja po spotkaniu z ojcem pojedę do Los Angeles i poszukam sobie jakiejś pracy.

Stary dworzec kolejowy Grand Central przestał istnieć. Klasycystyczna fasada i dwustumetrowe przeszklone zadachnienie nad peronami zostały wyburzone. Parowe koparki i ekipy górnicze wgrzyzały się teraz na dwadzieścia metrów w głąb twardej skały Manhattanu, aby zrobić miejsce pod nowy dwukondygnacyjny budynek.

Bell poprowadził Lynda na tymczasową stację obok mieszczącego centrum kongresowo-targowe budynku Grand Central Palace za rogiem Lexington Avenue i skierował się ku prowizorycznej bramce wyjściowej na peron z napisem „20th Century Limited”. Zamieszanie z budową nowego dworca nie stanowiło wystarczającego powodu do obniżenia wysokich standardów podróżowania najbardziej luksusowym ekspresem do Chicago. Choć stacja była tymczasowa, na całej długości peronu rozwinęto słynny czerwony chodnik.

– Zaczekaj chwilę – rzucił Bell. – Muszę poprawić sznurowadło.

Oparł stopę na wystającej ze ściany końcówce hydrantu i zaczął manipulować palcami przy butcie.

– Jak to? – zdziwił się Clyde. – Przecież te buty nie mają sznurowadeł.

– Nikomu o tym nie mów. – Bell wyprostował się i ruszył w kierunku telefonów. – Muszę zadzwonić do biura. Trzymaj się blisko mnie.

– Zdaje się, że w pociągu jest telefon.

– Będzie do niego kolejka biznesmenów. Zawsze dzwonią do swoich biur, żeby powiedzieć, że jednak nie spóźnili się na pociąg. Trzymaj się blisko – powtórzył i rzucił do telefonisty za ladą: – Agencja Detektywistyczna Van Dorn, hotel Knickerbocker.

Wszedł do wskazanej kabiny, a kiedy zgłosiła się centrala agencji, poprosił o połączenie z dyżurującym detektywem.

– Mówi główny śledczy Isaac Bell. Dwaj wysocy blondyni w ciemnych ubraniach i melonikach szli za mną od Czterdziestej Drugiej do Grand Central Palace. Teraz kręcą się po poczekalni, udając, że nie obserwują wejścia na peron, przy którym stoi Twentieth Century. Jeden z nich ma wąsy i zielony krawat wiązany na cztery. Drugi bez zarostu, ciemna muszka. Zatelefonuję ponownie podczas zmiany lokomotyw w Harmon.

Zapłacił za rozmowę i powiedział do Clyde'a:

– Chodźmy kupić jakieś czasopisma. Tylko nie próbuj oglądać się za siebie.

Rozdział 21

Czterdzieści pięć minut po odjeździe z Nowego Jorku ekspres 20th Century Limited zatrzymał się w Harmon w celu zmiany elektrycznej lokomotywy ciągnącej skład przez tunele Manhattanu na pospieszny parowóz Atlantic 4-4-2, który miał poprowadzić pociąg w kierunku północnym do Albany z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Gdy załogi lokomotyw i pracownicy stacji dokonywali zamiany, Bell pobiegł do biura dyspozytora linii New York Central, wylegitymował się jako detektyw Van Dorna i poprosił o udostępnienie telefonu.

Detektyw pełniący dyżur w agencji poinformował go, że wywiadowcy obserwują obu „podejrzanych dżentelmenów”, którzy szli za nimi Czterdziątą Drugą.

W Albany, gdzie do składu dołączono świeżą lokomotywę i wagon restauracyjny, czekał na Bella lakoniczny telegram:

NA RAZIE NIC.

Nic nie było także w Syracuse, dokąd dotarli po kolacji.

Bell zarezerwował oddzielny przedział sypialny z dwoma wąskimi łózkami. Rozciągnął się na dolnym, nie zdejmując ubrania.

– Taniej by było, gdybym spał w zwykłym pulmanie – powiedział Lynds.

– Wierz mi, Clyde, nie jesteś dla mnie wymarzonym współtowarzyszem podróży, ale dzięki temu mam cię stale na oku.

– Co to za ludzie? Czyżby od Kriega?

– Powiem ci to jutro rano.

– Skąd wiedzieli, że mają nas śledzić, kiedy wyjdziemy z pańskiej agencji?

– Śledzili nas od wyjścia z hotelu, nie z agencji.

Bell na wszelki wypadek wynajął dla Clyde’a pokój w Knickerbockerze tuż obok wejścia do głównej sali biurowej agencji Van Dorna. Hotel był ogromny, więc ludzie od Kriega nie mieli powodu skojarzyć go z vandornowcami.

– Jak im się udało namierzyć hotel?

– Prawdopodobnie śledzili nas od wyjścia z laboratorium Edisona. Pewnie wspomniałeś o nim podczas negocjacji z Kriegem.

– Oczywiście. Chciałem im dać do zrozumienia, że możemy sprzedać maszynę komu innemu.

– Więc na pewno obserwowali laboratorium Edisona od przyjazdu „Mauretanii”, czekając, kiedy się tam pojawiysz.

Bell zaryglował drzwi i zamknął oczy, wspominając noce spędzone w 20th Century, podczas których raczyli się z Marion szampanem w kameralnym wnętrzu sąsiadujących ze sobą apartamentów.

Telegram czekający w Rochester brzmiał:

PD WIDZIANI Z ATTACHE Z KN.

Isaac uśmiechnął się i pokiwał głową. Z depeszy wynikało, że „podejrzeni dżentelmeni” śledzący ich w drodze na dworzec nawiązali kontakt z jednym z dyplomatów pracujących w niemieckim konsulacie, który pozostawał pod obserwacją detektywów Van Dorna. Innymi słowy, agenci Kriega i niemieckiej armii wiedzieli, że Clyde jedzie pociągiem do Chicago. Nie byli jednak świadomi, że o tym, że to wiedzą, wiedział także Bell.

Tak zwany „stół komiwojażerów” w sali śniadaniowej ekskluzywnego hotelu Palmer House w Chicago funkcjonował na zasadzie prywatnego klubu, ale każdy przedstawiciel handlowy, który mógł sobie pozwolić na najdroższy hotel w mieście, był przy nim mile widziany. Klubowicze, niezależni reprezentanci największych firm, pracujący wyłącznie na prowizji i pokrywający z własnej kieszeni wszelkie wydatki, ubierali się po pańsku, mieli rumiane twarze i dumnie wypięte brzuchy. Ponadto śmiali się dużo głośniej i ze zdecydowanie świeższych dowcipów niż siedzący przy sąsiednich stołach bogacze, którzy dorobili się fortun na hutach i rzeźniach.

Najskuteczniejszy handlowiec firmy Locomobile Company of America opowiadał właśnie anegdotę, którą usłyszał ledwie dwa dni wcześniej od recepcjonisty w Bridgeport w stanie Connecticut. Zabawną opowieść o tym, jak dom towarowy omyłkowo dostarczył pewnej damie prezent w postaci intymnego elementu kobiecej bielizny zamiast

rękawiczek, przerwał nagle przedstawiciel Victor Talking Machine Company.

- Panowie, Fritz przyjechał! – wykrzyknął.
- Witaj, Fritz! Nie widzieliśmy się całe wieki!

Panowie ścieśnili się, by zrobić miejsce dla nowego gościa. Był to barczysty, poruszający się z gracją trzydziestoparolatek, który podróżował po Ameryce, szukając klientów na kościelne organy i pianina.

- Kelner! Śniadanie dla pana Wunderlicha.
- Poproszę tylko o kawę. Spieszę się na pociąg do Los Angeles.

Fritz Wunderlich wyglądał trochę dziwacznie ze swoimi wydatnymi łukami brwiowymi, kwadratową szczęką i rękami długimi jak u goryla, ale jego uśmiech – szeroki jak bezkres oceanu i promienny jak słońce – działał na klientów jak najsilniejszy na świecie magnes.

Fritz harował jak wół, osiem dni w tygodniu, trzynaście miesięcy w roku. Najwyraźniej opłacało mu się to, sądząc po kroju jego wytwornego czarnego garnituru, nieskazitelnej bieli koszuli, drogim kapeluszu, grubej złotej dewizce i idealnie wyglansowanych butach.

- Kawa dla Fritza!
- *Mit schlag!*
- Słyszałeś pan, panie starszy? *Mit schlag.*
- O co chodziło w tej opowieści, którą wam przerwałem?

Przedstawiciel Locomobile zaczął od nowa, powtarzając początek o zamianie damskich rękawiczek na desusy.

- Wkrótce potem dama obdarowana majtkami otrzymuje list od dżentelmena, który był pewien, że wysłał jej rękawiczki. Oto jego treść...

W tym miejscu Fritz wyrecytował puentę anegdoty:

- „Ktokolwiek w nich panią ujrzy, zachwyci się moim dobrym gustem i pani subtelnym urokiem”.

Klubowicze ryknęli śmiechem.

– Doskonale! Boki zrywać!

– Nie pojmuję, przecież to najnowszy dowcip – powiedział skonfundowany komiwojazer z Bridgeport. – Gdzie zdążyłeś go usłyszeć? Przywiozłem go prosto do Chicago ekspresem Pennsylvania Limited.

– W zeszłym tygodniu w San Francisco – odparł Fritz.

– We Frisco? Jak to możliwe? Czy ktoś przy tym stole znał go już wcześniej?

Panowie jak jeden mąż pokręcili przecząco głowami.

– Nie znaliśmy go, Jake.

Najmłodszy, miejscowy klubowicz z Chicago, który robił grube pieniądze na produktach Gillette Safety Razor Company, znalazł rozwiązanie:

– Elektryczność jest szybsza od pary.

– O co ci, do diabła, chodzi? – zdziwił się ten od Locomobile.

– Chodzi mu o to – powiedział Fritz Wunderlich – że kiedy ty jechałeś pociągiem, twój dowcip dotarł do San Francisco po kablach telegraficznych.

– A kogo stać na telegraficzne przesyłanie kawałów?

– Nikt nie zamierza ponosić takich kosztów. Ale późno w nocy, kiedy na łączach nie ma ruchu, znudzeni telegrafści opowiadają sobie morsem najnowsze dowcipy.

Sprzedawca od Quaker Oats pokiwał głową.

– Kolegują się ze sobą. Potrafią rozpoznać kumpla po sposobie nadawania. Kolega wystuka coś koledze z jednego miasta do drugiego i kawały rozchodzą się po drutach na cały kontynent.

– Fritz, jak stoją twoje notowania w Lipsku?

– Z zadowoleniem muszę stwierdzić, że Amerykanie wciąż pozostają narodem bogobojnych, kochających muzykę chrześcijan, więc w Lipsku cenią mnie bardzo wysoko. Zwłaszcza wytwórcy organów. A jak wam idzie, panowie?

– Doskonale, Fritz. Zdaje się, że ostatnio próbowałeś wcisnąć nowe organy temu wielkiemu kościołowi w St. Louis? I jak, udało ci się?

– O ile pamiętam, to było w Detroit. Owszem, *danke*, dobiliśmy targu.

– Kupili nowe organy?

– Dwie sztuki.

– Niesamowite. Dwie sztuki do jednego kościoła? Po co im?

Wunderlich obdarzył siedzących przy stole swym czarującym uśmiechem, a jego odpowiedź zabrzmiała jak hymn wszystkich komiwojażerów:

– Bo uznali to za świetny pomysł.

Zebrani rechotali głośno i długo, klepiąc się z uciechy po udach. Kilku zwolenników napojów wysokowych skinęło na kelnerów, aby nalali drugą kolejkę.

– Muszę już iść – oznajmił Fritz. – Czas to pieniądz. *Ach so*, prawie zapomniałem. Wszedłem w nowy asortyment. Śpiewniki kościelne i zbiory hymnów. Mam tu parę przykładowych stron.

Otworzył wiszącą na ramieniu raportówkę z cielejcej skóry z mosiężnymi zdobieniami i puścił wokół stołu kilka pięknie wydrukowanych pojedynczych kartek.

– Naprzód, żołnierze Chrystusa, maszerujący jak na wojnę – zaśpiewał, pakując je z powrotem do torby. Jego piękny, przejmujący tenor liryczny sprawił, że w sali uci-chły wszystkie rozmowy.

Komiwojażerowie dołączyli się, wystukując rytm fili-zankami i szklaneczkami, a potem pomachali na pożegnanie pocziwemu Fritzowi, który ruszył pędem do wyjścia, nie chcąc spóźnić się na pociąg.

– Oto domokrażca doskonały – powiedział głośno przedstawiciel Locomobile, tak aby Wunderlich go usłyszał.

- Osiem dni w tygodniu – zachichotał inny, kiedy Niemiec zniknął za drzwiami. – Trzyście miesięcy w roku.
- Czas to pieniąż!
- *Mit schlag!*
- A jednak trochę to dziwne – zauważył człowiek od Gillette Razor.
- Co takiego?
- Wszedłem kiedyś w Akron do sklepu jednej z firm, które on reprezentuje. Powiedzieli, że nie przyjmują żadnych zamówień, bo nie mają wolnych terminów.
- Słyszałeś, co mówił Fritz. Interes się kręci.
- Owszem, tylko że to miejsce nie pasowało do moich wyobrażeń o sklepie z instrumentami muzycznymi. Przypominało jakąś spelunę, a facet siedzący za biurkiem wyglądał raczej na wykidajkę z saloonu, a nie sprzedawcę pianin. Nie sądzę, żeby ktokolwiek coś od niego kupił.
- Może trafiłeś na zły dzień?
- Pewnie tak.

Generał major Christian Semmler z wywiadu wojskowego Armii Cesarstwa Niemieckiego wybiegł z Palmer House opromieniony życzliwym śmiechem i serdecznym pożegnaniem zaprzyjaźnionych przedstawicieli handlowych. Wychowywał się w cyrku i już jako dziecko dowiedział się od klaunów, że aktor, który występuje pod odpowiednim pseudonimem, nigdy nie wychodzi z roli.

W każdym dobrym hotelu w Ameryce znajdował się „stół komiwojażera”. W tym towarzystwie „Fritz Wunderlich”, akwizytor organów i pianin, był uznawany za swego.

„Fritz Wunderlich” mógł podróżować, dokąd chciał.

Christian Semmler, mózg planu „Donar”, nie musiał się przed nikim tłumaczyć.

Rozdział 22

Po przesiadce w Chicago Bell i Lynds kontynuowali podróż w poprzek kontynentu zestawionym wyłącznie z pulmanów ekspresem Golden State Limited, który zmierzał do Los Angeles. Detektywi agencji Van Dorna eskortowali ich tak dyskretnie, że w drodze ze stacji La Salle Street na dworzec Dearborn sam Bell dostrzegł ich tylko dwukrotnie.

Gdy po wejściu do pociągu spytał detektywa przebranego za konduktora, czy ktoś ich śledził, ten odpowiedział, że na pewno nie. Isaac uznał, że faktycznie tak było. Joseph Van Dorn założył swoją agencję właśnie w Chicago. Miejscowi detektywi, mający siedzibę w Palmer House, należeli do najlepszych w swoim fachu i byli z tego dumni.

Transkontynentalny ekspres Golden State Limited zatrzymywał się tylko w największych miastach na liczącej niemal cztery tysiące kilometrów trasie, która prowadziła najpierw na południe, a potem prosto na zachód nizinnym szlakiem El Paso. W skład luksusowego pociągu wchodził wagon z dużymi przedziałami wyposażonymi w dodatkową sofę, wagon z dużymi przedziałami z sofą i bez sofy oraz wagon z mniejszymi przedziałami – i taki właśnie przedział zarezerwował Bell. Dalej znajdował się wagon restauracyjny, a na końcu wagon obserwacyjny z salonem i bufetem. Wagony pocztowy, bagażowy i kurierski jechały z przodu składu, zaraz za tendrem wiozącym węgiel i wodę dla lokomotywy Pacific 4-6-2.

Pięć minut przed planowym odjazdem z Chicago na peron wjechał opancerzony motorowy furgon Bellamore na kołach z pełnej gumy noszący oznaczenia Continental & Commercial National Bank i zatrzymał się obok pociągu. Uzbrojeni konwojenci przenieśli ogromną metalową kasetę z samochodu do wagonu kurierskiego.

Przypominająca trumnę podłużna kasetka była zaadresowana do Los Angeles Trust and Savings Bank przy 561 South Spring Street. Sądząc po miejscu przeznaczenia i grobowych minach milczących konwojentów, mogła zawierać złoto, obligacje na okaziciela, banknoty albo szczególnie wartościową kombinację tych trzech elementów. Na przyjazną uwagę kuriera, że podczas jego ostatniej bytności w Los Angeles budynek banku przy South Spring Street wciąż był w budowie, konwojent zareagował lodowatym spojrzeniem i szorstko polecił:

– Proszę tu podpisać.

Kurier Pete Stock, spokojny facet z dobrze naoliwionym rewolwerem Smith&Wesson przy boku, zbliżał się już do emerytury, z wszelkimi widokami na nagrodę za wierną służbę w postaci zegarka marki Waltham. Woził niezliczone przesyłki zawierające bilon, banknoty oraz sztabki srebra i złota i niejednokrotnie zdarzało mu się strzelać do bandytów usiłujących „nawiązać kontakt biznesowy z wagonem kurierskim”. Dlatego zanim złożył swój podpis, dokładnie przeczytał dokument podsunęty mu wraz z listem przewozowym przez opryskliwego konwojenta.

Na każdej stacji, na której zatrzymywał się pociąg, Isaac Bell wysyłał i otrzymywał telegramy.

W Kansas City odebrał depeszę od Marion, która nigdy nie marnowała pieniędzy na niepotrzebne słowa:

GRIFFITH CZEKA NA CLYDE’A.
MŁODA TĘSKNI ZA MŁODYM.

Griffith, równie oszczędny jak wytworny, napisał:

OCZEKUJĘ.

Rozmyślając o Akrobacie, Bell zatelegrafował do Harry’ego Warrena:

PRZEOCZYLIŚMY?

BRUNO NIE POWIEDZIAŁ BRATU, KTO GO WY-
NAJAŁ.

MOŻE POWIEDZIAŁ SWOJEJ DZIEWCZYNIE?

Odpowiedź Warrena dotarła następnej nocy. Przed wje-
chaniem na tereny górzyste dołączono do pociągu drugą,
pomocniczą lokomotywę w Deming na terytorium Nowego
Meksyku, sto dziesięć kilometrów na wschód od granicy
Terytorium Arizony. Depesza brzmiała:

BRUNO MÓWIŁ DZIEWCZYNIE O PALACZU PO-
DOBNYM DO MAŁPY.

BRZMI ZNAJOMO?

Znajomo i złowrogo. Wyglądało na to, że ten czło-
wiek potrafił być niemal jednocześnie w kilku miejscach.
Niewątpliwie zaliczał się do śmiertelnie niebezpiecznego
rodzaju przestępców, rzadko spotykanych w szeregach
kryminalnego podziemia. Był prawdziwym geniuszem
zbrodni, który w dodatku pracował sam. Bez względu na
to, czy chodziło o lokalnego bandytę, czy o zagranicznego
szpiega, samotnika zawsze trudniej namierzyć, bo działa
bez współników, którzy mogliby go zdradzić, choćby przez
zwykłą nieostrożność.

Bell obserwował precyzyjny dworcowy balet w wy-
konaniu hamulcowych z Deming, którzy doczepiali do
składu dodatkową lokomotywę, i zastanawiał się, kim jest
Akrobata. Sądząc po wojskowej precyzji jego ataku, który
o mały włos zakończyłby się skutecznym uprowadzeniem
Lyndsa i Beiderbeckego z pokładu „Mauretanii”, mógł być
żołnierzem. Ale nie zwykłym żołnierzem, bo ci z zasady
nie działają samotnie. Otrzymują rozkazy od przełożonych
i przekazują je podwładnym. Więc Akrobata to prawdo-
podobnie albo były żołnierz, albo taki, który znalazł sobie

jakąś specyficzną niszę, gdzie był wolny od kontroli i ograniczeń istniejących w każdej armii.

Doszedłszy do tej konkluzji, Bell zatelegrafował do Arta Curtisa:

AKROBATA? BYŁY ARTYSTA CYRKOWY? ŻOŁNIERZ?

TERAZ BIZNESMEN ZWIĄZANY Z KRIEG RÜSTUNGSWERK GMBH?

Zdawał sobie sprawę, że wymaga zbyt wiele, polecając jednoosobowej placówce w Berlinie ustalenie faktów na poparcie swoich spekulacji, nawet jeśli miał się tym zająć detektyw tej klasy co Art Curtis, dlatego wysłał identyczną depeszę do pozostającego w Nowym Jorku Archiego Abbotta. A kiedy maszynista Golden State Limited zagwizdał dwa razy, sygnalizując gotowość do odjazdu, postanowił wysłać jeszcze jedną kopię do Waszyngtonu, do Josepha Van Dorna.

Dwadzieścia kilometrów na zachód od Deming i około piętnastu kilometrów od linii kontynentalnego działu wodnego, gdzie szlak kolejowy pnie się stromo pod górę, w świetle gwiazd widać było człowieka, który pochylał się nad podkładami i wielkim kluczem torowym odkręcał łubki łączące końce dwóch sąsiadujących ze sobą szyn.

Jego współnik wyciągał gwoździe mocujące stopę szyny do drewnianych podkładów. Z każdą odkręconą śrubą i wyciągniętym gwoździem solidne łączenie, skonstruowane tak, by wytrzymać ciężar stutonowych lokomotyw, stawało się coraz słabsze. Pod dużym naciskiem poluzowany koniec szyny przesunie się na zewnątrz toru. Szyny nie muszą rozsunąć się daleko. Wystarczy kilka centymetrów, aby bezpieczny przejazd zamienił się w podróż do wieczności.

Chcąc mieć pewność co do skutków swoich zabiegów, po usunięciu śrub i gwoździ mężczyźni przewlekli dłuższy pręt przez jeden z otworów do przykręcania łubków i połączyli go z ostatnim ogniwnem mocnego łańcucha. Wcześniej rozwinęli łańcuch na pełną długość wzdłuż koryta wyschniętego strumienia, wystarczająco głębokiego, aby ukryć w nim rolls-royce'a skradzionego bogatemu turyście w Lordsburgu.

Zdążyli w samą porę. Na wschodzie już było widać poświatę czołowych reflektorów lokomotywy.

Jeden z mężczyzn gwizdnął na palcach, aby zaalarmować trzeciego współnika, który czekał z końmi na pobliskim pagórku. W odpowiedzi rozległ się gwizd potwierdzający odebranie sygnału. Trzeci współnik ściągnął popręgi wierzchowcom i zarzucił na ich grzbiety wypchane sakwy z zapasami żywności i wody, które miały wystarczyć na długą drogę do Meksyku.

Mężczyźni przy torach wsiedli do auta, uruchomili silnik i podjechali kilka metrów do przodu, aby wybrać luz łańcucha. Potem czekali, a cichy warkot rolls-royce'a stopniowo rozmywał się w coraz bardziej ogłuszającym dudnieniu pracujących w tandemie lokomotyw Pacific. Kiedy pociąg znalazł się w odległości uniemożliwiającej zatrzymanie, nawet gdyby maszynista zauważył rozsunięte szyny, kierowca wcisnął pedał gazu. Koła zabuksowały na piaszczystym podłożu, bo szarpnięta szyna stawiała opór, ale to wystarczyło, by przesunąć ją o kilka centymetrów.

Gdyby Golden State Limited pędził ze zwykłą podróżną prędkością, wynoszącą niemal sto kilometrów na godzinę, cały pociąg zjechałby z szyn, spadł z nasypu, zapalił się od rozżarzonego węgla rozsypanego ze skrzyń ogniowych obu lokomotyw i spłonął po ostoje wagonów. Jednak sprawcy byli doświadczonymi sabotażystami i celowo wybrali miejsce

na stromym podejździe. Mimo dodatkowej lokomotywy w momencie wyrwania szyny spod pociągu jego prędkość nie przekraczała pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Lokomotywy, tendry i jadący jako pierwszy wagon kurierski spadły między rozsunięte szyny i zgruchotały drewniane podkłady, sypiąc dokoła drzazgami i tłuczniami z podsypki. Przez chwilę, która jadącym pociągiem zapewne wydawała się wiecznością, skład sunął wzdłuż toru pośród kakofonii zgrzytającej stali.

Na skutek rozłączenia sprzęgu między wagonami kurierskim i pocztowym zerwane zostały przewody elektryczne, hydrauliczne i pneumatyczne. Spadek ciśnienia powietrza spowodował zadziałanie hamulców w ostatnim wagonie. Dodatkowy opór sprawił, że wagony pocztowy, restauracyjny i sypialne wreszcie się zatrzymały, częściowo na torach, częściowo na podsypce. Nadal stały na kołach, choć przechylone pod niebezpiecznym kątem. Miejsce wypadku pograżyło się w mroku nocy.

Rozdział 23

Kiedy pogasły światła, Niemiec, którego profesor Beiderbecke nazywał Akrobatą, wydostał się z metalowej kasety należącej do Continental & Commercial National Bank of Chicago. Kurier Pete Stock szybko zlokalizował latarkę, ale zastygł z niedowierzaniem na krótką, zaledwie półsekundową chwilę, zanim sięgnął do pasa po rewolwer. To kosztowało go życie.

Akrobata wyciągnął cienką plecioną linkę ze skórzanego mankietu zapiętego na nadgarstku i zarzucił ją na szyję kuriera. Gdy ciało Stocka zwiotczało, ruszył na poszukiwanie Clyde'a Lyndsa. Był pewien, że jego ludzie przygotowali

wszystko, co trzeba do szybkiej, szczegółowo zaplanowanej ucieczki: konno przez meksykańską granicę, dalej specjalnym pociągiem do Veracruz, a potem na pokładzie frachtowca linii żeglugowych North German Lloyd do ojczystych Prus, gdzie wynalazca zostanie zmuszony do zrekonstruowania swojej maszyny.

Wyskoczył z pociągu i pobiegł w kierunku pulmanów, licząc wagony w słabym świetle gwiazd. Minął wagon bagażowy, restauracyjny i dwa sypialne z powiększonymi przedziałami, po czym wspiął się do przedsiönka wagonu ze standardowymi przedziałami. W jednym z nich Clyde Lynds właśnie się budził, wyrwany ze snu zgiełkiem wypadku.

Isaac Bell wyrobił sobie nawyk układania się do snu z nogami skierowanymi ku przodowi pociągu. Obudziło go gwałtowne uderzenie stóp o ściankę przedziału. Naciągnął buty i założył naramienną kaburę.

– Co się dzieje? – spytał Clyde zaspanym głosem z górnego łóżka.

– Wypadliśmy z torów.

– Pociąg się wykoleił?

Bell wyciągnął z kabury swojego browninga i wprowadził nabój do komory.

– Podczas powolnej wspinaczki na wzniesienie? Założę się, że ktoś mu pomógł.

– Co pan robi?

– Po moim wyjściu natychmiast zarygluj drzwi. Nie wpuszczaj nikogo, nawet konduktora.

Bell wyszedł z przedziału na pogrążony w mroku korytarz i zamknął za sobą drzwi. Z tego, co zdołał zauważyć w ciemności, korytarz był pusty. Z sąsiednich przedziałów dochodziły stłumione okrzyki pasażerów, w których po-brzmiewało raczej zaskoczenie niż przerażenie. Każdy podróżny liczył się z możliwością wypadku, ale zatrzymanie

pociągu, chociaż dość gwałtowne, nie zakończyło się wśród potrzaskanego drewna, poskręcane go metalu, połamanych kości i skwierczących w ogniu ciał ludzi, których nazwiska znalazłyby się w jutrzejszych gazetach na listach zabitych i rannych.

Bell stał oparty o drzwi. W kilka sekund jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Wąski korytarz wciąż był pusty. Kontury okien na przeciwległej ścianie wagonu rysowały się poświata gwiazd nad pustynną wyżyną. Nagle dostrzegł jakiś ruch. Przyjrzał się dokładniej. W odległości około stu metrów od pociągu stało obok siebie kilka koni. Było zbyt ciemno i za daleko, aby mógł zobaczyć, czy są osiodłane, ale huk i łoskot towarzyszący wykolejeniu się pociągu przegoniłyby dzikie rumaki na drugą stronę pasma pobliskich gór. Tych koni musi pilnować jakiś człowiek, uznał.

Gdzieś z przodu wagonu błysnęło światło latarki. Ubrany w nieskazitelnie biały mundur steward imieniem Edward obudził się z drzemki w przedziale służbowym. Isaac zamknął jedno oko, aby nie stracić zdolności widzenia po ciemku. Jakiś cień zamajaczył za plecami Edwarda. Zanim detektyw zdążył ostrzec stewarda, ten osunął się na podłogę. Promień latarki, która upadła obok niego, oświetlał korytarz w kierunku Bella.

Nagle otworzyły się drzwi jednego z przedziałów i wyszedł z nich jakiś grubas w pizamie, wołając:

– Steward!

Natychmiast otworzyły się kolejne drzwi i pasażerowie wylegli na korytarz. Bell zrozumiał, że sytuacja rozwija się niezgodnie z planem Akrobaty. Widział, jak ciemna postać, która powaliła stewarda, wykonuje dziwny ruch jedną ręką i jednocześnie drugą zasłania twarz.

Poczuł znajomy zapach i zamknął oczy. Usłyszał odgłos podobny jak przy otwieraniu szampana. Korytarz przeszył błysk intensywnego białego światła. Rozległy się przera-

żone okrzyki oślepionych pasażerów, którzy wycofali się do swoich przedziałów.

Tylko Bell stał na drodze Akrobaty do przedziału, w którym znajdował się Clyde Lynds.

Z dawnych cyrkowych czasów zapamiętał specyficzną woń nitrocelulozy. Klowni często wykonywali numer polegający na podpaleniu nasączonej nią tkaniny, co dawało efekt ognia tryskającego z palców. Natychmiast rozpoznał ten zapach i dzięki temu uniknął oślepienia.

Teraz ruszył biegiem prosto w ciemność ku mającej w nocnej poświacie małej sylwetce Akrobaty.

– Nic nie widzę! – krzyknął grubas, wytaczając się z powrotem na korytarz. Bell zderzył się z nim. Obaj zaczęli się przewracać, tworząc splątany kłęb rąk i nóg. Detektyw wyswobodził się przewrotem, ale gdy jego stopy zetknęły się z podłogą, grubas z zadziwiającą siłą zacisnął dłoń na jego kostce.

Wyrwawszy się, detektyw pobiegł na przód wagonu, minął przedsiónek i wpadł do następnego pulmana. Na jego przeciwległym końcu w płomieniu spirytusowego palnika do gotowania wody na herbatę mignął mu barczysty mężczyzna z długimi rękami. Kolejny steward leżał na podłodze, nieprzytomny lub martwy. Bell uniósł pistolet. Nie zamierzał tracić czasu na wzywianie Akrobaty do zatrzymania się. Wycelował w nogi i ściągnął spust.

W chwili, gdy iglica uderzała w słonkę naboju, detonując ładunek prochowy, Isaac z całej siły poderwał pistolet w górę. Z przedziału wysunęła się kobieta w białej koszuli nocnej, dobrze widocznej nawet w słabej poświacie zza okna. Wydała z siebie rozziewający wrzask, a osłupiały Bell zobaczył, jak czepek do spania spada jej z głowy.

– Nic się pani nie stało?! – zawołał przerażony. Ten koszmar prześladował go od dawna: osoba postronna wchodząca mu na linię ognia. Podbiegł do niej, przesuwając ręką

po drzwiach do przedziałów. Nagle jego dłoń natrafiła na coś kłującego. Były to drzazgi odłupane z drzwi pociskiem z jego pistoletu. W tym momencie zdał sobie sprawę, że kobieta trafiona w głowę nie krzyczałaby tak długo i głośno. Upewnił się, że nie została nawet draśnięta, odprowadził ją do przedziału i pobiegł za Akrobatą.

W przeciwieństwie do Bella, Niemiec nie tracił czasu. Przedzierał się przez zdezorientowanych pasażerów, którzy wypadali z przedziałów na korytarz i wołali stewarda. Po prostu przewracał ich, tratował albo wypychał razem z szybami przez okna. W wykolejonym pociągu pogasły wszystkie światła, więc nikt nie mógł go zobaczyć. Zresztą w tym momencie nie rozpoznałaby go nawet własna żona, gdyż jego twarz wykręcał ohydny grymas nieprawdopodobnej wręcz wściekłości. Już po raz drugi Isaac Bell zniweczył misternie zaplanowaną i precyzyjnie realizowaną operację.

Kiedy dobiegł do wagonu pocztowego, którego sprzęgi rozłączyły się w trakcie wypadku, zeskoczył na ziemię i mknął dalej po podsypce, mijając wagon kurierski i tender. Słyszał za sobą tupot nóg Bella. Dostrzegłszy szansę powstrzymania go raz na zawsze od wtrącania się w nie swoje sprawy, Niemiec zaczął się wspinać na pomocniczą lokomotywę. Nagle pod nim wyrósł jak spod ziemi hamulcowy i złapał go za kostkę. Niemiec powalił mężczyznę na ziemię potężnym kopnięciem, które złamało kolejarzowi kark. Sam jednak stracił równowagę i zaczął przewracać się do tyłu. Zareagował spokojnie, z kocią zręcznością wyrzucając przed siebie lewą rękę. Z mankietu zapiętego na nadgarstku wystrzeliła obciążona ciężarkiem linka, którą wcześniej udusił kuriera, i owinęła się na poręczu.

Rozdział 24

Isaac Bell widział, jak Akrobata wskakuje na korbowód łączący tłok z kołem napędowym lokomotywy pomocniczej. Zauważył też, jak kolejarz, który próbował go zatrzymać, spada na ziemię. Przez moment myślał, że Akrobata również spadnie, ale wtedy ten wykonał osobliwy ruch ręką zza głowy. W następnej chwili odbił się od korbowodu i pofrunął do góry, chwytając się poręczy nad osłoną kół. Wykonał wymyk, jego małpia sylwetka zamajaczyła przez chwilę nad kotłem wielkiego parowozu i już go nie było, rozwiął się jak dym.

Bell rzucił się za nim. Lokomotywa była naszpikowana uchwytnymi i stopniami, które ułatwiały obsłudze dostanie się do każdego elementu wymagającego oliwienia, smarowania, czyszczenia i regulacji. Osłona dwumetrowych kół parowozu tworzyła pomost biegnący wzdłuż kotła. Bell wskoczył na korbowód, wciągnął się na pomost, wstał i sięgnął do poręczy. Kiedy zacisnął na niej dłonie i napiął mięśnie ramion, aby podciągnąć się w górę, dostrzegł zarys buta zmierzającego z ogromną prędkością prosto w jego twarz. Akrobata wcale nie uciekł, czekał na niego na górze.

Detektyw szarpnął głową do tyłu i w bok, chcąc uniknąć kopnięcia. But przemknął mu koło ucha i trafił w ramię. Bell zorientował się, że Akrobata nosi obuwie na gumowych podeszwach i obcasach. Gdyby podeszwa była wykonana z twardej skóry, kopniak zgruchotałby mu kość.

Impet uderzenia zrzucił go z lokomotywy. Poleciał do tyłu i w powietrzu zwinął się w kłębek, aby chronić głowę. Próbował kontrolować lot, by wylądować nie na szczycie nasypu, lecz na jego stromym zboczu. Wtedy miałyby szansę przeżyć upadek. Rozgwieżdżone niebo zawirowało jak obraz w czarno-białym kalejdoskopie. Czarna ziemia

skoczyła mu do oczu. Spadł na samą krawędź nasypu i stoczył się po pochyłości do wyschniętego rowu.

Rozciągnął się jak długi na ziemi, ale gwiazdy wciąż wirowały. Słyszał głośnie łupanie w głowie, przypominające odgłos końskich kopyt. Zastanawiał się, czy aby znów nie ma pękniętej czaszki. Jednak nie. Głowa była jedyną częścią ciała, która – w odróżnieniu od reszty – nie powinna go boleć przez najbliższy tydzień. Stał na nogi, nie zważając na ostry ból w ramionach i kolanach. Wtedy usłyszał, jak ten dźwięk zanika gdzieś w oddali. Przypomniał sobie, że w pobliżu torów widział konie, które teraz najwyraźniej oddalały się galopem.

Wspiął się z powrotem na nasyp i stanął oko w oko z Clyde'em Lyndsem.

– Jest pan cały, panie Bell?

– Kazałem ci zostać w przedziale i zarygłować drzwi.

– Już ich nie ma. Odjechali konno.

– Widziałeś może twarz któregoś z nich?

– Nie. Ale...

– Co takiego? – naskoczył na niego Bell, chcąc znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia.

– Jeden z koni był bez jeźdźca – powiedział Lynds, zerkając z niepokojem na rosnącą grupę pasażerów zbierających się obok pociągu. – Może jednak on wciąż tu jest...

– Nie, Clyde. To puste siodło było zarezerwowane dla ciebie.

– Czy zechciałby pan łaskawie zejść z parowozu? – zadudnił rudowłosy olbrzym kierujący kolejową ekipą ratowniczą. – Chcielibyśmy postawić ten pociąg z powrotem na szynach.

Świt zastał Bella na lokomotywie pomocniczej ekspresu Golden State, gdy ze szkłem powiększającym w dłoni badał pozostawione na niej ślady. Pociąg techniczny z Deming

wspiął się wreszcie na wzniesienie, a drugi dotarł na miejsce wypadku od zachodniej strony, z Lordsburga. Ich załogi szykowały się do wciągnięcia Limited na tory.

– Jeszcze chwila, zaraz schodzę – odpowiedział detektyw.

– Wynocha z mojego pociągu! – ryknął olbrzym, gramoląc się na podest nad kołami.

Bell odwrócił się z uśmiechem i wyciągnął do niego rękę.

– Mike Malone. Wszędzie rozpoznam ten irlandzki akcent.

– Niech mnie licho, Isaac Bell! Grabuła.

Obaj wysocy mężczyźni, jeden smukły jak sosna, drugi z kończynami niczym podkłady kolejowe, uściśli sobie dłonie.

– Co tu robisz?

– Ochraniam kogoś – odpowiedział enigmatycznie Bell. Poznał Mike’a jakiś czas temu, kiedy obaj ledwie uniknęli rozerwania na kawałki przez ładunek dynamitu przemysłnie zainstalowany pod torami Southern Pacific Railroad Osgooda Hennessy’ego. – Dla niepoznaki – dodał, unikając w ten sposób pytania Mike’a, jaki związek ma szkło powiększające z funkcją ochroniarza, nie mówiąc o znalezionym w wagonie uduszonym kurierze i samochodzie połączonym łańcuchem z zerwaną szyną.

Malone mrugnął porozumiewawczo.

– Ani słowa.

Bell pokazał mu wąski rowek na poręczy.

– Co mogło pozostawić ten ślad?

Mechanik przejechał po wgłębieniu stwardniałym paluchem.

– Piłka do metalu?

– A może cienka stalowa plecionka?

Malone pokiwał głową.

– Możliwe.

– Masz może małe cęgi do cięcia drutu w swoim po-
ciągu technicznym? Chciałbym je pożyczyć.

– Chodzi ci o nożyce monterskie?

– Z dłuższymi kleszczami i ostre jak diabli, ale małe,
żeby zmieściły mi się w rękawie.

– Takich małych chyba nie robią. Pogadam ze swo-
im ślusarzem, powinien coś wykombinować. Dokąd ci je
wysłać?

– Do Los Angeles.

Bell był pewien, że napastnicy nie zamierzali zrobić
krzywdy Lyndowski, lecz chcieli go uprowadzić. Niewie-
le brakowało, a osiągnęliby cel. Clyde był autentycznie
przerazony. Przestał zgrywać chojraka, a jego niedbała
elokwencja gdzieś się ulotniła. Co chwilę strzelał oczami
na boki jak zagonione zwierzę.

Isaac nie chciał rezygnować ze śledztwa przeciwko
Kriegowi. Z drugiej strony czuł moralny obowiązek zapy-
tania młodego naukowca, czy nie wolałby dla własnego
bezpieczeństwa sprzedać wynalazku Edisonowi. Gdyby
się zdecydował, Niemcy natychmiast daliby mu spokój.

– W ten sposób uwolnisz się od tego wszystkiego
w mgnieniu oka.

Clyde spytał, czy Bell ma zamiar przestać mu pomagać.

– Ależ skąd. Mówię o tym dlatego, że ostatnio byli bli-
scy sukcesu, a następnym razem może im się udać, mimo
że ludzie z agencji Van Dorna, a ja w szczególności, nie
zawahają się poświęcić życia w twojej obronie.

– Dlaczego tak panu na tym zależy? Przecież mogą
minąć całe lata, zanim Van Dorn zobaczy jakiegokolwiek
pieniądze zarobione na Kinie Dźwiękowym.

Bell w głębi ducha uważał, że życie niewinnych ludzi
jest święte i zawsze należy je chronić. Ale w odpowiedzi
rzucił tylko z uśmiechem:

– Już ci mówiłem. Marion wierzy, że twój wynalazek pomoże jej kręcić najlepsze filmy. Dla mnie to wystarczy.

– Skoro tak pan twierdzi – odparł Clyde, wciąż strzelając oczami – to mnie chyba też.

– Jesteś pewien? Nie potrafię zagwarantować ci bezpieczeństwa. Zrobię wszystko, żeby nie spadł ci włos z głowy, ale nie wiem, czy mi się uda. Ten Akrobata nie jest w ciemię bity.

Clyde zdobył się na uśmiech.

– A co z mottem vandornowców? „Nigdy się nie podajemy. Nigdy!”

– No cóż, w końcu i tak go dorwiemy.

– To dla mnie słaba pociecha, gdyby on miał dopaść mnie wcześniej.

– Dlatego właśnie pytam, czy jesteś pewien.

Clyde zrobił głęboki wdech.

– Tak.

– Dzielny chłopak.

Tymczasem w Berlinie Arthur Curtis kręcił się przy wejściu do Tiergarten, mniej więcej raz na dwadzieścia minut wychodząc na zewnątrz i wracając przez potężne egipskie wrota parkowej bramy. Bojaźliwy Hans Reuter nie przyszedł na umówione spotkanie. Curtis miał tylko nadzieję, że jeśli nie nienawiść do pracodawców, to przynajmniej chciwość sprawi, że wróci mu odwaga. Elegancko ubrany, zażywny detektyw agencji Van Dorna zamierzał po raz trzeci wejść do parku, ale zrezygnował, gdy poczuł na sobie wzrok policyjnego tajniaka.

Widząc jego niedbały krok, nikt nie zdołałby się domyślić, że Arthur Curtis żyje w stanie ciągłego napięcia i wracając do swojego biura, próbuje wszelkich możliwych sztuczek, aby ustalić, czy ktoś go nie śledzi. Jego kontakt mógł go przecież sygnąć. Było mało prawdopodobne, ale

jednak możliwe, że przyznał się zwierzchnikom do sprzedawania sekretów firmy Krieg Rüstungswerk. Mógł nawet pójść z tym na policję. Poczucie winy czyni ludzi bardziej podatnymi na ataki paniki, a w panice popełnia się najgorsze głupstwa.

Zachowując wszelkie zasady ostrożności, Curtis szedł przez przylegający do parku kwartał zamieszkały przez dyplomatów. Nie spieszył się, mijając zlokalizowane przy schludnych ulicach posiadłości ambasadorów. W sąsiedztwie mieszkało też wielu wojskowych. Można było odnieść wrażenie, że co drugi Niemiec chodzi w mundurze. Nagle, całkiem przypadkiem, nadział się na znajomego pracującego na jakimś niezbyt eksponowanym stanowisku w ambasadzie brytyjskiej, który owionął go zapachem francuskiego koniaku, mówiąc:

– Wyglądasz kwitnąco, Arthurze. Czyżbyś wygrał na loterii?

Curtis mrugnął porozumiewawczo.

– Właśnie wracam od przyjaciółki.

Wyjaśnienie wywołało lubieżny uśmiech na twarzy rozmówcy i łatwe do przewidzenia pytanie:

– Może ma siostrę?

– Spytam następnym razem – odparł Curtis, po czym panowie roześmieli się i rozeszli, każdy w swoją stronę.

Dotarłszy do dzielnicy handlowej, Curtis zaczął obserwować odbicia w oknach witryn sklepowych. Nie zauważył niczego szczególnego aż do chwili, gdy na chodniku przed sobą ujrzał człowieka w eleganckim gabardynowym płaszczu, którego widział dwadzieścia minut wcześniej.

Jak na detektywa czy tajniaka mężczyzna miał zbyt drogie ubranie, ale zarówno Krieg, jak i wojsko z pewnością mogły sobie na to pozwolić. Spostrzegli chwilę później umundurowanego oficera konnej policji, który

wyraźnie przekazał komuś sygnał skinieniem głowy, Curtis wskoczył do tramwaju. Zamierzał zyskać trochę czasu, aby przemyśleć sytuację, a poza tym chciał zobaczyć, kto wsiądzie następny. Na kolejnym przystanku do tramwaju wpadł korpulentny facecik w drogim filcowym kapeluszu typu homburg, mocno zdyszany po szybkim biegu. Na ten widok Cutris uznał, że albo ma paranoję, albo poważne kłopoty. Postanowił dostosować dalsze postępowanie do tej drugiej ewentualności.

Z drugiej strony miał za sobą piętnaście lat pracy w zawodzie detektywa – a nawet prawie dwadzieścia, jeśli liczyć praktykę w stacjonującym w Denver oddziale ochrony transportów złota, którym dowodziło dwóch starych wygów, pamiętających jeszcze wojny z Indianami – dlatego od chwili przyjazdu do Niemiec poświęcał każdą wolną chwilę na poznawanie topografii Berlina. Z tą myślą wyskoczył z tramwaju i przesiadł się do innego.

Wkrótce ruch uliczny zmienił charakter, mniej było samochodów, więcej rowerzystów i furmanek. Curtis wysiadł w robotniczej dzielnicy, w której pośród czteropiętrowych czynszowych kamienic i licznych składów węgla każdy homburg czy gabardynowy płaszcz byłby widoczny na kilometr. Szedł zdecydowanym krokiem, jak człowiek wracający do domu lub raczej, mając na względzie jego elegancki ubiór, idący ściągnąć zaległy czynsz. Minął kilka przecznic, przesuwał palcami w kieszeni po spiętych zaciskiem banknotach. Skręcił za róg, machnął jakimś nastoletniemu kolarzowi plikiem marek przed nosem i, przepłacając podwójnie, kupił od niego rower. A potem odjechał z prędkością co najmniej trzykrotnie większą od prześladowcy, gdyby ten zechciał za nim biec. Miał tylko nadzieję, że żaden z tajniaków, których zostawił daleko w tyle, nie wpadnie na pomysł, aby zaświecić policyjną odznaką w oczy jakiemuś innemu rowerzyście.

Wyglądało na to, że zdołał się wyrwać. Ale skuteczna ucieczka to nie to samo co skuteczne wykonanie zadania. Bell domagał się informacji, a Arthur Curtis bardzo chciał mu ich dostarczyć. Skoro jednak nie zdołał skontaktować się ze swoim człowiekiem u Kriega, jak miał się dowiedzieć, czy na jednym z wysokich stanowisk w tej firmie pracuje obecnie jakiś były oficer niemieckiej armii?

Rozdział 25

Isaac Bell pierwszy wysiadł z Limited w Los Angeles.

Zeskoczył na peron, zanim pociąg zatrzymał się na La Grande Station. Potem, trzymając Clyde'a Lyndsa za łokieć, pociągnął go do wyjścia, wymienił dyskretny ukłon z detektywem przebranym za kolejarza i wraz z wynalazcą wyszedł z budynku dworca na skąpaną w porannym słońcu ulicę. Poszukał wzrokiem oliwkowozielonego elektrycznego tramwaju do Santa Monica z umieszczonym niżej napisem „via Hollywood”. Pół godziny później wysiedli koło ceglanego budynku hurtowni obsługującej okoliczne farmy.

Po odjeździe tramwaju Bell przyjrzał się dokładnie turystom, którzy przyjechali wraz z nimi, i uzyskał nieme potwierdzenie od kupującego widokówki vandornowca, że nikt ich nie śledzi. Wszedł do najbliższego hotelu i zapytał recepcjonistę:

- Gdzie pan D.W. Griffith kręci swój film?
- Tuż za rogiem. To dwuaktówka pod tytułem *W dawnej Kalifornii*. Ale roli i tak pan już nie dostanie. W kolejce przed panem jest czternastu aktorów. Ja jestem dwunasty.
- Dziękuję za ostrzeżenie – powiedział Bell i rzucił do Clyde'a: – Idziemy.

Lynds najwyraźniej zdążył się już pozbyć lęków po ostatnich wydarzeniach w pociągu, bo rzekł swobodnym tonem:

– Kogo może obchodzić dawna Kalifornia? Griffith powinien wymyślić jakiś bardziej chwytliwy tytuł, na przykład *Dziewczyny z dawnej Kalifornii*.

– Trzymaj się blisko mnie – napomniął go Bell.

Trafili na plan filmowy, kierując się warkotem generatora zasilającego oświetlenie. Kręcono zdjęcia plenerowe na opuszczonej parceli, z widokiem na dalekie, majestatyczne szczyty gór. Isaac naliczył w ekipie około pięćdziesięciu osób – masztalerzy, techników, aktorów i dekoratorów oraz operatora kamery, którego znał z widzenia. Człowiek ten nazywał się Bitzer i pracował kiedyś dla Marion. Miał opinię najlepszego w swoim fachu.

Reżyser, szczupły, mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna, siedział na krześle. Jego twarz ginęła w cieniu ogromnego słomkowego kapelusza z opadającym rondem. Mówił z miękkim akcentem z Kentucky, a za pasek miał zatknięty rewolwer.

– Teraz, młoda damo – zwrócił się do aktorki ubranej w staromodną suknię i chustę hiszpańskiej señority – ponownie spróbuj przejść z miejsca, w którym teraz stoisz, do tamtego drzewa.

– Dobrze, panie Griffith.

Reżyser podniósł do ust półmetrową tubę głosową i wydał polecenie:

– Światło!

Rozbłysły lampy rtęciowe, zwielokrotniając efekt olśniewającego słońca.

– Kamera!

Operator poprawił ostrość i poruszył korbką.

– Kręcić!

Teraz Bitzer przyspieszył obroty, uzyskując prędkość przesuwu odpowiadającą trzystu metrom taśmy filmowej na dwanaście i pół minuty.

– Akcja!

Señorita wyciągnęła rękę w kierunku drzewa.

– Kamera stop!

Operator przestał kręcić. Griffith osunął się trochę niżej na krzesło i powiedział grzecznie, choć stanowczo, nieco przeciągając samogłoski:

– Billy kręci cię na zbliżeniu, więc bardzo bym prosił o powstrzymanie się od nadmiernej gestykulacji.

– Przecież muszę pokazać widzom, dokąd idę.

– Nawet najgorszy dureń spośród nich za chwilę sam zobaczy, dokąd idziesz. Nie pokazuj. I przestań gapić się w kamerę.

– Dobrze, panie Griffith.

– Kręcić!

Señoricie w końcu udało się dotrzeć do drzewa. Ogłoszono przerwę na lunch. Griffith schronił się w cieniu parasola i zdjął swój ogromny kapelusz, pokazując światu kruczoczarne włosy z zaczątkami zakoli, wydatny orli nos i głęboko osadzone, smutne oczy. Kiedy Bell się przedstawił, reżyser uśmiechnął się promiennie.

– Proszę przyjąć moje gratulacje z okazji ślubu z cudowną damą, a zarazem wybitną reżyserką filmową.

– Dziękuję panu. Podczas naszego przyjęcia weselnego na „Mauretanii” mieliśmy przyjemność oglądać pański film *Czy to miejsce jest wolne?* z udziałem trupy Humanova.

Griffith przewrócił oczami.

– Zapewne z drętwyimi tekstami, które kierownik trupy włożył w usta moich aktorów.

– Obawiam się, że tak. Właśnie o tym chcieliśmy z panem porozmawiać. Towarzyszy mi pan Clyde Lynds, wy-

nalazca cudownej maszyny, która pozwala na realizację i wyświetlanie filmów dźwiękowych.

- Były już takie próby.
- Ale moja maszyna naprawdę działa – zapewnił Lynds.
- Jak dotąd nigdy nie widziałem, aby prawidłowa synchronizacja dźwięku i obrazu trwała dłużej niż pięć sekund.
- Dzięki mojemu wynalazkowi przetrwa całe pięć aktów.

Griffith przeniósł wzrok z aroganckiego naukowca na zachowującego stoicki spokój wysokiego detektywa.

– Firma Dagget, Staples i Hitchcock, którą reprezentuję, pokłada spore nadzieje w wynalazku pana Lyndsa – powiedział Bell. – Clyde opracował całkiem nową metodę wraz z profesorem elektroakustyki Franzem Beiderbeckem z wiedeńskiego Cesarsko-Królewskiego Instytutu Politechnicznego.

– Bardzo chciałbym robić filmy dźwiękowe. Ludzki głos dodałby im wiele wyrazu, zwłaszcza w chwilach wzrostu napięcia. Niestety, nie stać mnie na taką inwestycję.

– Nie potrzebuję pańskich pieniędzy – wypalił Lynds. – Muszę tylko mieć dostęp do laboratorium, takiego, jakie urządził pan w tamtej szopie, oraz do warsztatu mechanicznego, w którym naprawia się i konserwuje kamery. I jeszcze...

– Przede wszystkim – przerwał mu Bell – Clyde musi znaleźć renomowanego reżysera, który chciałby kręcić filmy dźwiękowe z zastosowaniem jego maszyny.

– To mogę być ja – zgodził się Griffith. – Tylko że będę tu tylko do zakończenia zdjęć do *W dawnej Kalifornii*. Potem wracam do Nowego Jorku i szczerze wątpię, by Biograph zainteresował się maszyną konkurującą z wytworami Edisona. Niemniej – tu zrobił dramatyczną pauzę i dla zwiększenia efektu uniósł palec wskazujący – co za zbieg okoliczności, zaledwie wczoraj skontaktowali się ze mną

przedstawiciele Wytwórni Produkcyjnej Filmów Imperial i zaproponowali mi przejście z Biographu do ich wytwórni.

Bell nie lubił zbiegów okoliczności.

– Co to za wytwórnia?

– Pokazali mi swoją siedzibę i muszę przyznać, że to najlepsze studio filmowe na całym Zachodzie. Ponad dwustu pracowników, armia inspicjentów, wspaniałe hale filmowe, doskonale wyposażone laboratoria, ciemnie i warsztaty. Musieli wpakować w to mnóstwo pieniędzy, ale są finansowani przez Syndykat Artystów.

– Syndykat Artystów? Nie słyszałem.

– To kartel bankierów z Wall Street, którzy mają w nosie Edison Trust. Musi pan odwiedzić Imperial. Dysponują nowoczesnym sprzętem pozwalającym na masową produkcję filmów i zatrudniają najlepszych aktorów teatralnych, zarówno dramatycznych, jak i wodewilowych. Są przygotowani do kręcenia długich, wieloaktowych widowisk.

– Zdaje się, że ci z Imperialu są dobrze poinformowani – powiedział Clyde do Bella.

– Panie Griffith, czy mógłby pan umówić nas na spotkanie z nimi?

– Oczywiście, a nawet pójde o krok dalej. Powiem im, że nakręcę pierwszy film dźwiękowy, gdy tylko skończy pan prace nad swym wynalazkiem. To powinno ich zainteresować.

– A co z pańskim kontraktem z Biographem?

Griffith położył prawą rękę na sercu.

– Obiecuję go natychmiast zerwać w zamian za możliwość reżyserowania filmów, w których aktorzy będą mówili naturalnym ludzkim głosem. Teraz wszystko zależy tylko od tego, czy pan, panie Bell, sprzeda im tę cudowną maszynę, a pan, panie Lynds, zdoła ją zbudować. Natychmiast zatelefonuję do Imperialu.

– Czy zanim pójdzie pan do telefonu – powiedział Isaac – mógłbym w podzięce za pańską uprzejmość udzielić panu pewnej rady?

– O czym pan mówi?

– Zauważyłem, że nie rozstaje się pan z bębenkowcem.

– To stary nawyk z czasów, gdy Biograph nie należał jeszcze do Edison Trust – odparł Griffith, mrużąc teatralnie jedno oko. – Już od lat nie zastrzeliłem żadnego opryska od Edisona.

– Czy mógłbym go obejrzeć?

– Oczywiście. – Griffith wyciągnął rewolwer zza paska.

Bell odchylił bębenek, sprawdził, czy wszystkie komory są załadowane, i wyciągnął jeden z sześciu naboju.

– Wszyscy znani mi dżentelmeni noszący sześciopalcówkę zatkniętego za pasek mają zwyczaj zostawiać pustą komorę naprzeciwko kurka. To na wypadek gdyby kiedyś w przyszłości chcieli zostać ojcami.

Po powrocie do Los Angeles Isaac Bell zostawił Clyde'a Lynda pod dobrą opieką w miejscowym biurze Agencji Detektywistycznej Van Dorn i wybrał się samotnie na spotkanie w Imperialu, nie chcąc rozpraszać uwagi na pilnowanie wynalazcy. Stał teraz przed nowiutkim dziesięciokondygnacyjnym budynkiem z czerwonego piaskowca, zwieńczonym szklanym penthousem, który górował nad całym kwartałem wystawionych na sprzedaż posesji. Okolica wkrótce miała stać się kolejnym centrum handlowo-usługowym w rozbudowującym się mieście, a reprezentacyjna, nowoczesna siedziba świadczyła o tym, że niezależna wytwórnia filmowa dysponuje solidnym wsparciem na Wall Street, pozwalającym na przeciwstawienie się Edison Trust.

Posłańcy na motocyklach z kosztami co chwilę przywozili i wywozili całe sterty kaset mieszczących szpule z filmami. Dział dystrybucji znajdował się na parterze i opatrzony był

licznymi napisami „Palenie wzbronione”. Zakazu nie przestrzegał żaden z motocyklistów rozwijających łatwopalne kopie do kinoteatrów. Na spisie wiszącym w holu widniały laboratoria, warsztaty, magazyny rekwizytów i kostiumów, mieszczące się na górnych piętrach budynku. Na dachu, w przeszklonej nadbudówce, znajdowało się główne studio, złożone z hal zdjęciowych numer 1 i 2.

Całe pierwsze piętro zajmował firmowy kinoteatr Imperial. W artykułach prasowych wywieszonych w gablotach nazywano go „Pałacem Filmowym”. Obserwując szczegóły konstrukcji budynku oraz wchodzących i wychodzących ludzi, Bell czytał o złotych amorkach w „luksusowo urządzonym wnętrzu, będącym skutecznym magnesem dla zamożniejszych obywateli, którzy na co dzień niechętnie odwiedzają kinoteatry, jeśli nie liczyć prywatnych »szemranych« pokazów”.

Isaac nigdy dotąd nie widział większych drabów od tych patrolujących hol w uniformach portierów, które zresztą bogactwem złocien nie ustępowały galowemu mundurowi kapitana Turnera. Tak silna drużyna osiłków zabezpieczająca niezależną wytwórnię filmową, zlokalizowaną prawie pięć tysięcy kilometrów od New Jersey, wymownie świadczyła o potędze Edison Trust. Jeden z nich z uwagą przyglądał się czytającemu wycinki prasowe Bellowi i w końcu podszedł do niego zdecydowanym krokiem.

Detektyw zagadnął go uprzejmie:

– Piszą tu, że panie przyjeżdżające do miasta na zakupy spędzają godzinę w Imperialu.

– A następnym razem przyprowadzają przyjaciółki. Co pan szanowny uważa?

– Mam umówione spotkanie z dyrektorem generalnym.

– Zapraszam na siódme piętro, sir.

O dziwo, windziarze byli bardzo młodzi i dobrze zbudowani. Na siódmym piętrze recepcjonista, który przypo-

minał zawodowego gracza w futbol, przeprowadził Bella przez zamknięte drzwi i przekazał sekretarce, która wpuściła go do obszernego gabinetu z zaciągniętymi kotarami. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu, w kobiecie, która wstała z uśmiechem zza dyrektorskiego biurka, Isaac rozpoznał przyjaciółkę swojej żony, piękną czarnooką Rosjankę Irinę Viorets.

Ubrana była w stylowy, dopasowany kostium złożony z długiej spódnicy i żakietu. Jak większość kobiet będących reżyserkami, swoje piękne włosy zebrała z tyłu głowy, aby nie przeszkadzały podczas patrzenia w wizjer kamery.

– Wyglądasz na zaskoczonego, Isaac – powiedziała na powitanie. – Zapewniam cię, że ja jestem zaskoczona nie mniej niż ty.

Bell ujął jej wyciągniętą dłoń.

– Pozwól, że ci pogratuluję najszybszej, jak sądzę, kariery zrobionej przez imigranta w Ameryce. Powiedzieć, że dajesz sobie radę, to za mało.

– Czysty przypadek. Spotkałam starego przyjaciela, który wiedział, czym zajmowałam się w Rosji. Przedstawił mnie pewnemu bankierowi, a ten z kolei zarekomendował mnie grupie finansistów z Wall Street, którzy właśnie zainwestowali w produkcję filmową. Zbudowali tę wytwórnię i nie mieli nikogo, kto mógłby ją poprowadzić. Wykorzystałam swoją szansę. Przemysł filmowy będzie się rozwijał w Kalifornii, bo tu codziennie świeci słońce.

– Spory krok naprzód – powiedział Bell z podziwem. – Od reżyserowania filmów po kierowanie całą wytwórnią.

– Jak wiesz, mam pewne doświadczenie w branży, zdobyte jeszcze w Petersburgu. – Spuściła skromnie oczy. – Zresztą nie przeceniaj mojej pozycji. To bankierzy z Wall Street nadają ton całemu przedsięwzięciu. Ja jestem tylko zwykłym grajką w orkiestrze. Co najwyżej aranżerem. Łączy telegraficzne rozgrzewają się od poleceń wysyłanych

dniem i nocą z drugiego końca kontynentu. A gdzie twoja śliczna żona? Filmuje krajobrazy w Jersey?

- Pojechała do San Francisco odwiedzić ojca.
- A jakie są jej dalsze zamiary?
- Zastanawia się nad kolejnym filmem.
- Doskonale. Musimy ściągnąć Marion do nas. Tu będzie mogła kręcić dużo ciekawsze rzeczy niż widoczki z Jersey.
- Przypuszczam, że to by jej odpowiadało. Tak jak i mnie.
- Tymczasem chodźmy na lunch. Opowiesz mi o Kinie Dźwiękowym.

Zjechali windą do bufetu dla personelu, gdzie posilali się aktorzy przebrani za plutokratów, policjantów, praczki, hrabiny, kowbojów i Indian. Niektórzy mieli na sobie specjalny makijaż: purpurowe usta, zielonkawą skórę i pomarańczowe włosy, dla zachowania odpowiedniego kontrastu w żółtawym świetle lamp rtęciowych. Irina przeszła niespiesznie między nimi, pozdrawiając niektórych gestem lub skinieniem głowy, w drodze do wspaniałej prywatnej jadalni, która wyglądała, jakby przeniesiono ją kawałek po kawałku z londyńskiego klubu i złożono na powrót w tym nowoczesnym budynku.

– Czy Clyde opowiadał ci o swojej maszynie podczas rejsu?

– Coś wspominał. W każdym razie kiedy zatelefonował do mnie pan Griffith, od razu pomyślałam, że to może zainteresować moich inwestorów z Syndykatu Artystów.

Isaac Bell dobrze się bawił podczas lunchu, prowadząc frywolną rozmowę z Iriną Viorets, choć z miejsca zadeklarował dozgonną wierność kobiecie swego życia, czyli Marion. Odniósł przy tym wrażenie, że kokieteryjne uśmiechy, spojrzenia i muśnięcia dłoni w wykonaniu Iriny były wyłącznie na pokaz i nic się za nimi nie kryło.

– Już na statku chciałem cię zapytać, skąd u ciebie tak doskonała znajomość angielskiego. Czasami mówisz prawie jak rodowita Amerykanka.

– Prawie, ale nie do końca. Choć cały czas ćwiczę. To cudowny język.

– W jakich okolicznościach się go nauczyłaś?

– W Petersburgu mój ojciec był pianistą w amerykańskiej ambasadzie. Przyjaźniłam się z wieloma dziećmi dyplomatów.

Kierując się intuicją, Bell postanowił zlecić analitykom Van Dorna zweryfikowanie tej historii. Cała sytuacja zalaatywała mu fałszem. Być może jego podejrzenia wzbudziła niezwykle szybka kariera Iriny, a zwłaszcza odgrywający w niej główną rolę element przypadkowości. Albo przypomniał sobie to, co mówiła Marion na temat opowieści Iriny o ucieczce przed Ochraną, której szczegóły zmieniały się w zależności od liczby kieliszków wina wychylonych przez jej rzekomą bohaterkę. W każdym razie podczas tego lunchu nie podano alkoholu, tylko sok pomarańczowy i wodę.

– Kiedy to było?

– Niech pomyślę... aż wstyd się przyznać, jak dawno temu. Jeszcze zanim ten cholerny Mikołaj zasiadł na tronie.

– To znaczy przed rokiem tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym?

– Krótko przed tym – potwierdziła Irina, rozchylając usta w uśmiechu. – Pozwól mi, jako kobiecie, zachować pewną swobodę w określaniu swego wieku.

– Proszę o wybaczenie.

Bell uśmiechnął się przepaszająco, ciesząc się w duchu, że Grady Forrer – błyskotliwy szef analityków agencji, pojętny mężczyzna, w którego obecności natychmiast wygaszały najbardziej zażarte knajpiane awantury, a przy tym niezrównany tropiciel wszelkich śladów – wkrótce zada kilka

pytań amerykańskim dyplomatom, którzy pełnili służbę w Rosji w ostatnich latach panowania cara Aleksandra III.

– Powiedz mi, Irino, czy teraz, kiedy prowadzisz tę wytwórnę, nie tęsknisz za reżyserowaniem filmów?

– Czy brakuje mi starannego ustawiania kamery i czekania godzinami na słońce, aby w pełni przenieść piękno obrazu na negatyw? Tak, i to bardzo. Czy brakuje mi obecności na planie bankiera, który pożyczył pieniądze na film, a teraz godzinami przekonuje mnie, żeby ustawić kamerę w tym, a nie w tamtym miejscu? Nie, ani trochę. Teraz moim jedynym „szefem” jest Syndykat Artystów, a jego założyciele są prawie pięć tysięcy kilometrów stąd, w Nowym Jorku.

– Kim są inwestorzy zrzeszeni w Syndykacie Artystów?

– To pilnie strzeżona tajemnica. Nigdy nie spotkałam żadnego z nich, nie znam nawet żadnego nazwiska.

– Jak sądzisz, dlaczego tak bardzo zależy im na anonimowości?

– Z dwóch powodów – odpowiedziała, usiłując uśmiechem pokryć wyraźne zakłopotanie, co nie uszło uwagi Bella. – Prawdopodobnie są szanowanymi bankierami i nie chcą, aby ich żony, członkowie klubu oraz koledzy dowiedzieli się, z kim się zadają. Nie zapominaj, że producenci filmowi uzyskują przychody z okrytych jak najgorszą sławą tanich kinoteatrów, a kariery zaczynali najczęściej od organizowania zabaw karnawałowych lub wystawiania wodewili dla pospólstwa. Słyszałam, że takie podejście jest charakterystyczne dla Amerykanów, ale z podobnym snobizmem spotkałam się w Londynie.

– A drugi powód?

– Podejrzewam, że to jest główna przyczyna. Są bardzo bogaci, ale nie tak potężni, jak Edison. Mogą się bać, że kiedy udziałowcy Edison Trust poznają ich tożsamość, mogą im przeszkodzić w prowadzeniu innych interesów, nie tylko w branży filmowej.

Bell przyjrzał się uważnie Rosjance. Było w niej coś, co mu się podobało. Coś na kształt poczucia przyzwoitości, w połączeniu z żywiołowością, pomyślał. Niewątpliwie była też przyjemna dla oka. Jednocześnie zastanawiał się, czy kiedykolwiek zadała sobie pytanie, kim w rzeczywistości są sponsorzy, dzięki którym ziszcilo się jej marzenie bycia wielkim szefem. Możliwe, że wybujale ambicje wyciszyły jej wątpliwości, o ile takowe miała.

– Mamy takie przysłowie – powiedział. – Kto jada kolację z diabłem, powinien się zaopatrzyć w długą łyżkę.

Irina Viorets roześmiała się.

– My, Rosjanie, też mamy pewne przysłowie: Kiedy diabeł spotyka leniwą kobietę, zagania ją do pracy. Przyznaję, mam wiele wad, ale gnuśność do nich nie należy. Nie zapominam też, że Rosjanie mawiają: Bóg dba o tych, którzy potrafią zadbać o samych siebie.

Isaac pojął, że chyba znalazł jej słaby punkt. Tak czy inaczej, postanowił zatelegrafować do Grady’ego Ferrera z kolejnym pytaniem:

KTO FINANSUJE IMPERIAL???

Po lunchu wrócili do rozmowy o interesach, w której Bell występował jako dyrektor towarzystwa ubezpieczeniowego Dagget, Staples i Hitchcock, zamierzającego inwestować w branżę filmową. Pamiętając o kategorycznej odmowie Króla Piratów Tarsesa, zaczął od argumentów, które podsunęła mu Marion.

– Bez dialogu ekran czyni z każdego dramatu, tragedii czy farsy zwykłą pantomimę.

– Ale ekran to demokracja – odparła Viorets – a nawet socjalizm. Opowiadamy tragedie, komedie czy farsy z życia bogaczy, a forma pantominy sprawia, że stają się one dostępne dla każdego.

– Dzięki wynalazkowi Clyde’a będzie można opowiadać te historie słowami i muzyką, nie tylko za pomocą gestu.

Irina pokiwała głową.

– Słyszałam, że twoja firma ubezpieczeniowa zainwestowała w jego maszynę. Dlatego tak zaintrygował mnie telefon od Giffitha.

– Gdzie o tym słyszałaś?

– Od ludzi z branży filmowej, z którymi rozmawiałeś w New Jersey.

– Więc już wiesz, że szukamy producentów, którzy potrafią robić świetne filmy, dorównujące jakością zdjęć i starannością wykonania tym, które tworzą Francuzi.

Irina Viorets nachyliła się nad stolikiem i nakryła swoją zgrabną dłonią rękę Bella.

– Zapewniam cię, Isaacu, że Imperial zostawi Francuzów daleko w tyle. Choć ze mną, coś ci pokażę – powiedziała i zabrała go na zwiedzanie siedziby Imperialu, dzięki czemu Bell utwierdził się w przekonaniu, że Irina Viorets kieruje rosnącym w siłę przedsiębiorstwem.

Pokazała mu laboratoria, warsztat produkcyjny, naprawczy i stolarnię, którymi zachwycał się Griffith. Obejrzał ciemnie z urządzeniami do kopiowania i perforowania taśmy filmowej, magazyny rekwizytów i kostiumów dla setek żołnierzy, policjantów i kowbojów oraz całe rzędy czarno-białych płacht z namalowanymi sceneriami. Na czwartym piętrze znajdowała się podobna jak u Edisona dźwiękoszczelna sala nagrań, której ściany i podłoga wyłożone były korkiem. Do rejestrowania dźwięków służyły zestawy tub akustycznych.

Potem wyprowadziła go na zewnątrz. Na pustej działce przy południowej ścianie budynku można było zbudować makietę dowolnej oświetlonej słońcem ulicy, która mogła udawać Nowy Jork, Londyn lub średniowieczny Paryż.

Obok budynku rozpięta była siatka zabezpieczająca. Podobną rozciągali strażacy, aby ocalić ludzi skaczących z górnych pięter płonących budynków, tę jednak zamocowano na stałe.

– Do łapania aktorów – zaśmiała się Irina, wskazując gzyms na wysokości trzydziestu metrów nad ziemią. – Tuż poza polem widzenia kamery.

Bell przytoczył słowa Clyde'a Lyndsa:

– Aby wywołać u widzów dreszczyk emocji, na którym tak zależy właścicielom kinoteatrów.

Wrócili do środka i pojechali windą na dach.

– W tych halach zdjęciowych wkrótce będą powstawać filmy, jakich świat jeszcze nie widział – powiedziała Irina.

Hale miały przeszklone sufity, przepuszczające światło słoneczne. W każdej z nich było dość miejsca na urządzenie kilku planów filmowych. Na jednej z krawędzi dachu zbudowano kamienny mur, który mógł służyć jako urwisko nad przepaścią albo ściana budynku. Bell wychylił się przez krawędź i spojrział w dół. Z tej wysokości siatka zabezpieczająca wydawała się mniejsza od znaczka pocztowego.

Irina pociągnęła go z powrotem do windy.

– Muszę pokazać ci coś jeszcze.

Zjechali na ósme piętro, gdzie znajdowały się magazyny sprzętu. Wszystkie kamery i projektory lśniły nowością. Tuż obok mieściło się laboratorium.

– Mamy najnowocześniejszy sprzęt i wyposażenie. Zechcesz skorzystać z usług naszej wytwórni?

– A co na to Syndykat Artystów?

– Ich biorę na siebie. Ty i Clyde będziecie współpracowali wyłącznie ze mną.

– Wobec tego załatwione – powiedział Bell. – Z jednym zastrzeżeniem. Moja firma obsadzi warsztaty Lyndsa naszymi technikami.

– Bardzo proszę, choć my mamy najlepszych fachowców w całym Los Angeles.

– I jeszcze jedno, zatrudnimy własnych ochroniarzy.

– A po co? Przecież ten budynek to twierdza.

– Zauważyłem to. Jednak moi szefowie są nieco staroświeccy i bardzo ostrożni. Chcą zrobić wszystko, aby zapewnić Lyndsowi pełne bezpieczeństwo.

– Spróbuj ich przekonać, że to miejsce jest całkowicie bezpieczne.

– Niestety, zbyt dobrze pamiętają, co wydarzyło się na „Mauretanii”. Profesor Beiderbecke został zabity, a maszyna spłonęła w pożarze. Teraz chyba pojmujesz, dlaczego tak bardzo upierają się przy zapewnieniu najwyższego stopnia bezpieczeństwa swojej inwestycji.

– Rozumiem – odpowiedziała z ociąganiem Irina.

– Mam nadzieję, że Syndykat Artystów nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Już ci mówiłam. Sama załatwię wszystko z Syndykatem. A teraz uściśnijmy sobie dłonie na potwierdzenie zawarcia umowy.

W drodze powrotnej do biura agencji detektywistycznej Bell wynajął dom, w którym miał zamieszkać Lynds wraz z Lipsherem i dwoma dodatkowymi strażnikami ze Służby Ochrony.

Irina Viorets zamknęła na klucz drzwi swojego gabinetu w budynku Wytwórni Produkcyjnej Filmów Imperial. Następnie przesunęła na półce podręcznej biblioteczki oprawione w skórę wydanie *Wojny i pokoju*. Biblioteczka odsunęła się, odsłaniając ukryte wejście na schody. Irina weszła dwa piętra wyżej, do tajnego apartamentu na dziedziątym piętrze. Okna były zasłonięte ciężkimi kotarami, przez co we wnętrzu panował półmrok. Był to idealny azyl

dla mieszkańca północnej Europy, z dala od słonecznego i upalnego Los Angeles.

Siedzący za biurkiem mężczyzna z twarzą ukrytą w cieniu czekał na jej relację.

– Niedobrze – powiedziała Irina. – Bell upiera się przy zatrudnieniu własnych ochroniarzy.



Część 3

HOLLYWOOD

Pauline na torach kolei Kanonenbahn



Rozdział 26

Generał Christian Semmler skwitował nowiny Iriny Vio-
rets gromkim śmiechem.

– To naturalne, że chce sprowadzić własnych straż-
ników. Jest ostrożny. Czego innego spodziewałaś się po
„agencie ubezpieczeniowym”?

– Dlaczego w ogóle miałam się czegoś spodziewać? Nie
jestem żołnierzem, tylko artystką.

– Jesteś w takim stopniu „tylko artystką”, w jakim ko-
bra jest tylko wężem.

– Skąd te przytyki? Przecież zrobiłam wszystko, co
mi kazałeś.

– I będziesz robić dalej. – Christian Semmler obserwo-
wał uważnie, jak kobieta mobilizuje w sobie odwagę, by
w kulminacyjnym momencie podciąć jej skrzydła. – Nie!
W odpowiedzi na to pytanie, które w sobie dusisz, nie mam
żadnych wiadomości od twojego narzeczonego.

– Obiecałeś – powiedziała cicho.

– Obiecałem, że się postaram.

Patrzył, jak w kącikach jej oczu zbierają się łzy. Posta-
nowił podnieść ją na duchu, ale nie był to gest łaski, tylko
kolejna metoda, by podporządkować ją swojej woli.

– Mogę cię zapewnić, że w dalszym ciągu jest cały
i zdrowy w Niemczech.

– W więzieniu.

– Gdyby mnie ścigały carskie tajne służby – w jego głosie słychać było nieskrywaną pogardę dla jej lekkomyślnego kochanka – wolałbym być w niemieckim więzieniu, niż błąkać się po lasach. Ludzie z Ochrony są równie nieugięci, jak okrutni. Myśl, że twój kawaler jest bezpiecznie ukryty w pewnym niemieckim więzieniu wojskowym w Prusach, powinna więc być pocieszająca. Nikt nie może wejść do tego więzienia bez mojego osobistego pozwolenia. Ani z niego wyjść.

– Czy mogę już odejść? – spytała, wstając pewnie i z godnością.

Semmler musiał przyznać, że kobieta była twarda. Dobrze wybrał. Znacznie lepiej niż ona. Głupiec, z którym się zaręczyła, jeden z tysięcy niczego nieświadomych książątek, które w mgnieniu oka straciły całe majątki, uwikłał się w desperacki napad na cara w imię jakiś mętnych rosyjskich ideałów, demokracji pomieszanej z socjalizmem. Dzięki temu Semmler miał w garści idealny bodziec, by zmusić Irinę Violets do służby na rzecz planu „Donar”.

– Możesz odejść – rzekł. – Dopilnuj, żeby Lynds niezwłocznie rozstawił się w laboratorium, i zadbaj o wszystko, by zapewnić mu maksymalną wydajność pracy.

Rozdział 27

Isaac! Co cię sprowadza do Los Angeles?

– Nadzieja, że będziesz w stanie mi pomóc, wujaszku Andy.

– Nie nazywaj mnie tak. Czuję się wtedy staro, a nie jestem nawet twoim wujem.

Bell popatrzył w szelmowskie oczy Andrew Rubenoffa i uśmiechnął się szeroko.

– Jesteś szczególnym przyjacielem mojego ojca. Czyli dla mnie jak wujek.

Rubenoff, ciemnowłosa mężczyzna po czterdziestce, był ubrany w idealnie dopasowany garnitur z wełny czesankowej, a na głowie miał jedwabną jarmułkę, symbol żydowskiej wiary. Podobnie jak ojciec Bella był bankierem i obecnie wyprowadzał swój kapitał z węgla, stali i kolei, by zainwestować go w trzech najmłodszych gałęziach przemysłu amerykańskiego: samochodach, samolotach i ruchomych obrazach. Koledzy po fachu, którzy uważali go za wariata, dopóki nie podwoił swojego majątku, byli tym bardziej zbulwersowani, gdy postanowił przenieść się z Nowego Jorku do Los Angeles. Ojciec Bella nie podzielał opinii większości. „Zachowują się, jakby prezydent Taft nagle postanowił przenieść Biały Dom do Tokio – orzekł. – A prawda jest taka, że Andrew przeprowadzał się już z Rosji do Nowego Jorku, potem do San Francisco, a stamtąd z powrotem do Nowego Jorku. Musi mieć w sobie chociaż trochę cygańskiej krwi”.

– Potrzebuję twojej pomocy. – Isaac wrócił do tematu. – Nie chciałbyś zostać na jakiś czas detektywem?

– Chyba żartujesz. Wolałbym grać na pianinie w jakimś burdelu w Berberii.

– Ale to już robiłeś. Ja proponuję ci zupełnie nowe doświadczenie.

Andrew Rubenoff wskazał ręką widok rozciągający się z okien jego położonej na szczycie wzgórza posiadłości. Można tu było podziwiać łańcuchy górskie wyrastające na północy i wschodzie, płaskie prairie ciągnące się aż do błękitnego Oceanu Spokojnego i niewyraźne zarysy wybrzeża Catalina Island. Z kolei wewnątrz jego gabinetu wypełniały kunsztownie wykonane meble, płótna nowatorskich malarzy, Marcela Duchampa i Johna Sloana, oraz fortepian

Mason&Hamlin, tak drogi sercu Rubenoffa, że przywiózł go aż z Nowego Jorku.

– W zupełności wystarczają mi obecne doświadczenia. Życzysz sobie herbaty?

Przystojny sekretarz przyniósł im wysokie szklanki. Bell przypominał sobie, że w Nowym Jorku sekretarką Andrew była dostojna matrona. Rubenoff sączył swoją herbatę przez kostkę cukru. Isaac poszedł w jego ślady i, jak zwykle, okrutnie się poparzył.

– Co wiesz o Wytwórni Produkcyjnej Filmów Imperial?

– Słyszałem dzisiaj rano, że usuwają słowo „Produkcyjna” ze swojej nazwy. Jak wszystkie inne firmy zajmujące się ruchomymi obrazkami. W końcu pojęli, że filmy przyciągają znacznie więcej uwagi niż odlewnie. I są dużo bardziej skomplikowane.

– A co słyszałeś o tej firmie przed dzisiejszym rankiem?

– Wielka i bogata.

– Ale przecież dopiero co weszli na rynek. Postawili drogi budynek, ale pierwsze filmy wypuszczają raptem od kilku dni. Skąd mają to całe bogactwo?

– Syndykat Artystów.

– Kim są inwestorzy Syndykatu Artystów?

– W końcu zadałeś jakieś ciekawe pytanie. Niestety, bardzo trudne.

– Jesteś specjalistą w udzielaniu odpowiedzi na bardzo trudne pytania – rzekł Bell z uśmiechem.

– Wiesz cokolwiek o tworzeniu filmów? – spytał Rubenoff. – Poza tym, że ożeniłeś się z kobietą, która się tym zajmuje.

– Sporo się od niej dowiedziałem – odparł Isaac. – A przy okazji, jeszcze raz dziękuję za srebrną zastawę. Kiedy znów będziemy mieli gościć trzydzieści sześć osób na obiedzie, będzie jak znalazł.

– Nie ma o czym mówić... – Rubenoff zbył podziękowania i powiedział w zamyśleniu: – Widzisz, Isaac, to mnie niepokoi. Ja po prostu nie wiem, kto wykłada pieniądze na Syndykat Artystów i wytwórnię Imperial.

– Dlaczego to cię niepokoi?

– Bo powinienem wiedzieć takie rzeczy. To moja potencjalna konkurencja – lub wspólnicy, pewnego dnia. Powinienem wiedzieć, czy mam do czynienia z garbarzami z Manhattanu, spółką dystrybutorów ze Springfield, magnatem meblowym z Ohio, który zna pewną młodą damę pragnącą zostać gwiazdą, czy też kupcami odzieżowymi z Filadelfii, rękawicznikami z Gloversville albo Francuzami od braci Pathé. A może jeszcze z angielskimi lordami chętnymi do skorzystania na kolejnym amerykańskim interesie. Dlaczego ludzie z Syndykatu Artystów tak bardzo dbają o zachowanie anonimowości?

Bell niechętnie pokiwał głową. Bankier potwierdzał jego własne obawy, że skierował Clyde'a Lyndsa prosto do paszczy lwa. Wprawdzie Grady Forrer dotarł do ludzi z Departamentu Stanu, którzy potwierdzili historię Iriny Violets o dzieciństwie spędzonym z dziećmi z amerykańskiej ambasady, ale analitycy Van Dorna w dalszym ciągu nie byli w stanie stwierdzić, kto w rzeczywistości opłacał rachunki wytwórni Imperial.

Nie zapominał też o depeszy od Arthura Curtisa, z której dowiedział się, że Krieg Rüstungswerk ma w zwyczaju przejmować firmy z innych branż.

– Teraz pytam już zupełnie poważnie, Andrew. Dasz się namówić na to, by zostać detektywem?

– Czy będę musiał nosić broń? – zapytał Rubenoff, uśmiechając się wymownie.

– Tylko jeżeli czujesz się zagrożony w towarzystwie pięknej kobiety.

Arthur Curtis odpieczętował kopertę zawierającą zaszyfrowaną depeszę od Isaaca Bella. Pauline czytała przez jego ramię na głos, odszyfrowując znaki o wiele szybciej niż on. Bez wątpienia miała fotograficzną pamięć, zarówno do obrazów, jak i dźwięków.

POTRZEBUJĘ WIĘCEJ O KRIEG RUSTUNGSWERK.
ZDOBYĆ INFORMACJE O AGENCIE KRIEG W AMERYCE.

SZEF ZATWIERDZIŁ NIEOGRANICZONY BUDŻET
NA ŁAPÓWKI.

PIORUNEM!

- Co to znaczy „piorunem”? Tak, jak brzmi?
- Dokładnie tak, jak brzmi. Zmykaj stąd. Natychmiast.
- Co będzie pan robił piorunem, detektywie Curtis?
- Odeślę cię do domu i zabiorę się do pracy.

Arthur zarzucił płaszcz i upewnił się, że w kieszeniach ma kupione wcześniej dwa jabłka.

- Czy nie powinnam iść z panem? – spytała dziewczyna.
- Do domu. Pora spać. Trzymaj. – Oddał jej owoce. – Daj jedno mamie.

Wyprowadził ją i zamknął drzwi od środka. Następnie zgasił wszystkie światła i wyglądał przez okno, dopóki Pauline nie zniknęła za zakrętem. O tej porze ulice były całkowicie wyludnione, miał więc pewność, że jego biuro nie jest obserwowane. Wyszedł oknem na tyłach budynku, zsunął się na dół po drabinie ewakuacyjnej, a następnie skierował do znajdującego się nieopodal Kintopp, licząc na to, że dopisze mu szczęście.

Za kilka fenigów kupił sobie piwo Topp i wejściówkę do kina, w którym filmy wyświetlano w długim, wąskim pomieszczeniu utworzonym z trzech połączonych mieszkań. Obrazy pokazywane tego wieczoru z pewnością nie

przeszłyby przez cenzorów. Arthur Curtis był detektywem już dość długo, by nie zawracać sobie głowy filmami, które za czasów swojej młodości nazwałby „niegrzecznymi”. Z kolei Hans Reuter, jego wtyczka w berlińskim biurze Krieg, bardzo sobie cenił ten rodzaj rozrywki, a to robotnicze kino znajdowało się na tyle daleko od eleganckiej dzielnicy, w której mieszkał, że mógł tu przychodzić bez obaw, że spotka sąsiada gotowego wypaplać wszystko jego żonie. Tak więc Arthur sączył swoje piwo, udając, że jest bardzo zainteresowany wyświetlanym filmem, a jednocześnie dyskretnie lustrował spojrzeniem każdego mężczyznę odchodzącego od baru.

Spędził w ten sposób dwie godziny. Kino powoli pustoszało, a Curtis z coraz większym trudem powstrzymywał opadające powieki, gdy nagle do środka wszedł wreszcie jego człowiek, przyciskając do piersi kufel piwa i rozglądając się za wolnym miejscem na swojej ulubionej tylnej ławce. Kiedy Reuter wreszcie usiadł, pociągnął solidny łyk i wlepił oczy w ekran, detektyw ruszył w jego stronę. Podszedł bezgłośnie i przycupnął obok niego.

Niski i znacznie zaokrąglony Curtis był równie niemy jak pokazywane w tym przybytku filmy; ciszę przerwało dopiero wołanie barmana: „Piwa?” Gdy cała sala głośno składała zamówienia, Arthur nachylił się do Reutera i szepnął mu na ucho:

– Potrójna stawka.

– Słucham? – Niemiec odwrócił się. Uświadomił sobie, że cały czas siedział obok Arthura Curtisa, i jego usta wykrzywiły się w nieprzyjemnym grymasie. – Mówiłem już, nic więcej.

– Mogę zapłacić panu potrójnie – kontynuował niezrażony detektyw. – Trzy razy więcej. Jeśli to pana interesuje, proszę dołączyć do mnie przy barze.

Reuter kazał na siebie czekać, ale niezbyt długo. Jak mawiał główny śledczy Isaac Bell, chciwość potrafi czynić cuda.

– Potrójnie? – upewnił się Niemiec.

– Tak – potwierdził Curtis, podał mu zamówionego przed chwilą Toppa i pociągnął łyk z własnego kufła. – Ale tylko za coś wyjątkowego.

– To znaczy?

– Coś szczególnego. Orientuje się pan w działalności pańskich pracodawców. Sam powinien pan wiedzieć najlepiej, co mogłoby mi się szczególnie przydać. Prawda?

– A skąd miałbym to wiedzieć? – zafrasował się Hans Reuter.

– Pomogę panu – odrzekł Curtis. – Ilu dyrektorów i kierowników średniego szczebla Krieg jest emerytowanymi oficerami?

– Bardzo niewielu.

– Zna pan choć jednego?

– Nie osobiście. To znaczy nikt taki nie pracuje w Berlinie.

– Czy może pan zdobyć ich nazwiska?

– Muszę się nad tym zastanowić.

– W tym czasie – dodał Curtis – proszę do swoich rozważań dołączyć to, czy któryś z nich często podróżuje za granicę.

Twarz Reutera na moment stężała. Detektyw był pewien, że trafił w czuły punkt. Może jego kret już wiedział, jakie nazwisko powinien podać, ale obawiał się to zrobić.

– Jednym z pańskich obowiązków jest rozdzielanie funduszy zagranicznych, zgadza się?

– Skąd pan to wie?

– Ze słyszenia. – Ta krotochwilna odpowiedź nie poprawiła humoru Niemca. Curtis postanowił go docisnąć. – Potrzebuję nazwiska.

– Nazwiska?

– Tak, nazwiska odbiorcy funduszy.

Kuj żelazo, póki gorące, powtarzał sobie w duchu Curtis. Tak, żeby nie miał czasu się rozmyślić.

– Dwa dni – powiedział. – Spotkamy się tutaj. Siódma wieczór.

– To ryzykowne.

– Proszę się nie obawiać, to będzie pańska ostatnia przysługa.

– Ostatnia? – powtórzył Reuter, po części z ulgą, a po części z rozczarowaniem, że wyczerpało się dodatkowe źródło dochodów.

– Oprócz potrójnej stawki – rzekł Curtis – postaram się o premię rozłąkową dla pana. By okazać naszą wdzięczność.

Najwyraźniej drugie imię Reutera brzmiało: Chciwość. Natychmiast odkrył w sobie odwagę.

– Za nazwisko, o które mnie prosicie, będę musiał zapłacić komuś innemu.

Pewnie kłamie, skurczybyk, pomyślał Curtis. Reuter był wystarczająco wysoko w hierarchii Krieg, by znać to nazwisko.

– Dobrze. Jeśli to konieczne, zapłacę też „komuś innemu”.

Reuter mógł kłamać. Ale mógł też mówić prawdę. Najważniejsze, by okazał się na tyle pazerny, żeby podjąć ryzyko.

Wracając do swojego biura, Curtis wstąpił do całonocnej stacji telegraficznej i wysłał telegram do Isaaca Bella.

PRZEŚLIJCIE ŚRODKI.

NAZWISKO BYĆ MOŻE ZA DWA DNI.

Andrew Rubenoff wyznał Isaacowi, że Irina Viorets zrobiła na nim duże wrażenie.

– Jestem zaskoczony – odparł Bell. – Uznałem za bardzo podejrzane, że tak szybko znalazła się na kierowniczym stanowisku w wielkim przedsiębiorstwie.

– Ta kobieta ma ogromną wiedzę na temat filmów. Nie tylko ich tworzenia, ale także dystrybucji, co jest niezbędne, by całe przedsięwzięcie mogło generować dochody. Ona doskonale rozumie, że aby osiągnąć sukces, nie wystarczy wyświetlać kilku podobnych do siebie filmów. Widzowie są spragnieni nowości. Właściciele kin muszą być w stanie zaoferować im całkowicie nowy spektakl. „Dbaj, żeby twoje propozycje były nowe i atrakcyjne, a zawsze będziesz miał pełną salę” – tak mi powiedziała.

– To brzmi, jakby chciała cię namówić do współpracy.

– Podałem się za właściciela kilku kin w Indianie.

– Dobra przykrywka – przyznał Bell z podziwem.

– Nie do końca – stwierdził Rubenoff ze skromnym uśmiechem. – Naprawdę mam kina w Detroit, Toledo, Battle Creek i Indianapolis.

– Więc twoim zdaniem Viorets jest naprawdę dobra?

– W tym biznesie co i rusz trafia się na bubków, którzy gardłują, że każdy może robić ruchome obrazy. To nieprawda, o czym powoli zaczyna się przekonywać Thomas Edison, marnując przy tym tysiące dolarów. Podobnie nie każdy nadaje się do tego, by dystrybuować filmy. Panna Viorets zna się na swojej robocie. A co ważniejsze, wie, w jakim kierunku kino będzie się rozwijać.

– Chyba się w niej nie zakochałeś, co, wujaszku?

– Potrafię rozdzielić podziw dla pięknej kobiety od pożądania – odpowiedział wymijająco Rubenoff.

– Skąd Irina ma tak dobre pojęcie o przyszłości przemysłu filmowego?

– Podobno robiła jednoszpulowe filmy w Rosji. Tak jak twoja żona, kiedy nie musi kręcić kroniki filmowej dla tego potwora Whitewaya.

– Ale jak reżyserka z Rosji zdobyła doświadczenie w dystrybucji i wyświetlaniu filmów?

– Jesteś krwią z krwi swojego ojca, Isaacu – odparł Rubenoff i uśmiechnął się. – Zawsze zmierzasz do sedna. A teraz odpowiem na twoje pytanie – dodał już bez cienia uśmiechu.

Bell po raz kolejny uświadomił sobie, że rozmawia z imigran-tem, który dorobił się fortuny, kilka razy ją podwajał, a obecnie jest u progu kolejnego sukcesu finansowego.

– Podejrzewam – zaczął Rubenoff – że Viorets nauczyła się wszystkiego, co wie o dystrybucji i wyświetlaniu filmów, od kogoś, kto skupił kontrolę nad całym procesem produkcyjnym i marketingowym w jednej nowoczesnej firmie.

– Czyli od kogo konkretnie?

– Za pomysłodawcę takiej metody działania jest uważany Andrew Carnegie.

– Przyjmijmy, że nasza młoda dama nie spędziła połowy życia, siedząc na kolanach wiekowego filantropa. Kto jeszcze wchodzi w grę? Czy mógł to być jakiś Niemiec?

– Niemiec? Krupp mógłby napisać książkę o tym, jak to się robi w niemieckich realiach.

– A co z Krieg Rüstungswerk?

– Wprawdzie są mniejsi od Kruppa, ale mają o wiele lepsze układy z najbliższymi kręgami kajzera. Niezależnie od tego, kto uczył Viorets, ta kobieta wie, że przyszłość filmowego interesu będzie należeć do ludzi, którzy zdołają nadzorować wszystkie jego aspekty, od zatrudniania aktorów począwszy, a na wyświetlaniu gotowego filmu w kinie skończywszy. Tylko w ten sposób można zagwarantować sobie miejsce do pokazywania swoich produkcji i produkcje do pokazywania w swoich miejscach.

– Można odnieść wrażenie, że sam przygotowujesz takie przedsięwzięcie, wujaszku Andy.

– Tobie mogę się przyznać. Ale nie rozpowiadaj tego, jeśli łaska.

– Powęszysz jeszcze, kto tak naprawdę za nią stoi?

– Już zasięgnąłem języka – odparł Rubenoff.

– Cisza jak makiem zasiał – meldowali pracownicy Służby Ochrony Van Dorna, ilekroć Bell przechodził w pobliżu mieszczącego się w budynku Imperial laboratorium, w którym Clyde Lynds wylewał siódme poty. – Pracuje od śniadania do kolacji, a nierzadko jeszcze pół nocy. Pszczoły to przy nim lenie patentowane.

– Czy kręcą się tu jacyś ludzie?

– Nie. Tylko on, my i jego pomocnicy – a wie pan przecież, że sprawdzaliśmy ich bardzo dokładnie.

– Żadnych cieni w drodze do domu?

– Nie, panie Bell. Ani w drodze do pracy. Chłopaki obstawiający jego dom też nie widzieli nikogo podejrzanego. Może po prostu dali za wygraną i się wynieśli?

– Mało prawdopodobne. Bądźcie gotowi na wszystko. I pamiętajcie, najtrudniejsze w pilnowaniu człowieka jest to, że ewentualny atak może nastąpić w każdym momencie dnia i nocy.

Ale Bell sam miał wątpliwości. Czyżby ludzie z Krieg jednak zrezygnowali? Czy tylko przyczaili się, uznawszy, że Lynds nie wyjdzie z laboratorium, dopóki nie skończy swojej maszyny, a wtedy będą dokładnie wiedzieli, gdzie uderzyć?

Rozdział 28

Joseph Van Dorn przyjechał pociągiem, zupełnie niespodziewanie.

Bell od razu się zorientował, że szef ma wątpliwości, czy jego główny śledczy jest na właściwym tropie, ale pierwsze słowa Van Dorna, który łatwo ulegał emocjom, były bardzo wyważone.

– Nasi przyjaciele z Dagget, Staples i Hitchcock – rzekł – są zaniepokojeni napływem wniosków od różnych podejrzanych typów.

– Jakich podejrzanych typów? – zainteresował się Isaac.

– Jakiś kuśnierz wraz z kuzynem handlującym rękawiczkami domagali się pożyczki na budowę zakładu produkcji ruchomych obrazów. Przez tę twoją maskaradę finansową wśród filmowców rozeszły się pogłoski, że Dagget chce pożyczać pieniądze.

– Jesteś pewien, że to nie byli ludzie z Krieg próbujący nas rozpracować?

– Sprawdziłem ich. Wygląda na to, że są tymi, za kogo się podali.

– Więc dlaczego podejrzani? – spytał Bell z krzywym uśmiechem.

– Bo to kuśnierz i rękawicznik, a zachowywali się po wielkopańsku. Jak idą prace nad maszyną?

– Postępują. Lynds jest podekscytowany nową koncepcją przeniesienia dźwięku bezpośrednio na taśmę filmową.

– Mam nadzieję, że będą postępować szybciej. Pilnowanie człowieka w dzień i w nocy to kosztowne przedsięwzięcie.

– Jak ci poszło z niemieckim ambasadorem? – zmienił temat Bell.

– Mamiliśmy się półsłówkami. Ja udawałem, że pytam o oficerów ich armii piastujących stanowisko attaché ze zwykłej ciekawości, a on udawał, że wcale go nie interesuje, czemu udaję zwykłą ciekawość. Opuściłem klub Cosmos z wrażeniem, że ambasador nie ma bladego pojęcia,

co wyprawiają jego konsulowie, nie mówiąc już o armii niemieckiej. I nie chce mieć.

- Innymi słowy, to konsulowie odwalają brudną robotę.
- Tak jak ci mówiłem jeszcze w Waszyngtonie.
- Więc nie dowiedzieliśmy się od ambasadora niczego nowego?

Van Dorn westchnął.

– Powiedz mi, Isaac, czy to możliwe, że ci ludzie z Krieg zrezygnowali?

- Nie. Po prostu czekają na odpowiedni moment.
- Czyli jaki?
- Kiedy Clyde będzie bliski zakończenia prac nad maszyną.

– Przecież to może potrwać lata! – wykrzyknął Van Dorn. – Sam tak mówił!

– Wątpię, by zamierzali czekać aż tak długo – odparł Bell. – Raczej chcą się upewnić, że maszyna naprawdę działa.

– A niby jak mają się upewnić? Przecież zamknąłeś Lyndsa w istnej fortecy. Detektywi pilnują go dzień i noc, w laboratorium, w domu i w drodze do pracy i z pracy.

– W pobliżu laboratorium Clyde'a kręcą się dziesiątki pracowników. Wystarczy im jeden szpieg, spostrzegawczy i z dobrą pamięcią. Ktoś, kto jest zwykłym technikiem albo mechanikiem.

– Skoro tak, Lynds pozostaje bezpieczny dopóty, dopóki pracuje nad swoim wynalazkiem.

– Względnie bezpieczny – podkreślił Bell. – Próbowali porwać Clyde'a niewątpliwie po to, aby go wywieźć do Niemiec i tam zmusić do zbudowania maszyny. Zrobiliśmy to za nich, więc teraz tylko obserwują i czekają. Podejmą kolejną próbę, jeśli Clyde dokona przełomu albo jeśli my zmniejszymy czujność.

– Bardzo trudno zachowywać pełną czujność przez dłuższy czas – zauważył Van Dorn.

– Właśnie dlatego próbuję ustalić, co planuje Krieg Rüstungswerk. Kiedy się tego dowiemy i powstrzymamy, to Clyde i jego wynalazek będą bezpieczni.

Van Dorn westchnął po raz drugi.

– A co, jeśli jedyne, co planują, to przechwycenie Clyde'a i jego maszyny? Chcą tego urządzenia. Gdybyś ich nie powstrzymał na „Mauretanii”, już dawno zamknęliby Clyde'a i Beiderbeckego w jakimś pruskim zamczysku, żeby budowali ją dla nich. Reszta świata dowiedziałyby się o tym dopiero wtedy, gdy Niemcy pokazaliby pierwszy film dźwiękowy.

– Niemcy dotarli tu już wcześniej – stwierdził Bell.

– Kiedy? – spytał Van Dorn, szczerze zdziwiony.

– Jeszcze zanim udaremniłem próbę porwania – odparł Isaac.

– Skąd ten pomysł?

– Przypomnij sobie napad na pociąg. W Chicago przemycili Akrobatę na pokład ekspresu, a zaledwie trzydzieści sześć godzin później w Nowym Meksyku – niemal po drugiej stronie kontynentu – wykoleili pociąg i mieli przygotowanych ludzi na koniach, którzy przewieźliby Clyde'a przez granicę z Meksykiem. Stawiam dolary przeciwko orzechom, że w Veracruz czekał na nich statek. I wszystko zorganizowali raptem kilka dni po tym, jak Clyde wymknął się Marzipansom w Nowym Jorku. Naprawdę tego nie widzisz, Joe? To potężna organizacja działająca na terenie całego kontynentu. Założę się, że Krieg jest właścicielem wielu amerykańskich fabryk, farm i hoteli, w których trzyma swoich agentów.

Christian Semmler wędrował w górę i w dół po schodach w tajnym szybie budynku wytwórni Imperial. Miał stąd dostęp do każdej kondygnacji, od piwnicy po dach. Mógł obserwować wszystko, sam pozostając niewidoczny.

Zatrzymał się na poziomie apartamentów i przytknął oko do sekretnego wizjera. Operator kamery fotografował parę całującą się na pożegnanie w swoim salonie, zanim mężczyna będzie musiał ruszyć na wojnę.

Semmler zszedł trzy piętra niżej, by zobaczyć, jak Iri-na Viorets siedzi zapracowana przy swoim biurku z telefonem przy uchu, po obu jej stronach zawzięcie pracują stenografki, a posłaniec biegnie z najnowszą wiadomością do stukającego w kącie telegrafisty.

Schodził coraz niżej, a na każdym piętrze zaglądał przez wizjer i patrzył na dekoratorów, cieśli i szwaczki, na chemików pracujących w czerwono oświetlonych ciemniach i na ludzi ładujących gotowe rolki filmu do pudełek. Zatrzymał się trochę dłużej, by zobaczyć prezentację dziesięciominutowego filmu dla handlowców, którzy niebawem mieli go dostarczyć wystawcom i dystrybutorom w całej Ameryce. Wszystko było nowoczesne, dostosowane do najwyższych standardów, z jednym rażącym wyjątkiem – studia nagrywania dźwięku na czwartym piętrze.

Christian Semmler obejrzał studio dźwiękowe okiem fachowca. Mimo że wypełniały je najnowsze dostępne na rynku urządzenia, było przestarzałe, bo dialogi i muzykę nagrywano tu równie nieporadnie jak trzydzieści lat temu, gdy Edison i jego rywale po raz pierwszy zaczęli eksperymentować z fonografami i gramofonami. Najsmutniejszy dowód tej staroświeckości stanowił zespół instrumentów grających do tuby akustycznej: trąbki, klarnety i saksofony. A gdzie skrzypce? Gdzie kontrabas? Fortepian? Kotły? Nigdzie! Żadnego z tych instrumentów nie dało się wier- nie nagrać. Saksofon zastępował kontrabas. Klarnet robił za skrzypce. Banjo wyznaczało rytm. Niewykształcony odbiorca tak nagranej płyty mógłby dojść do wniosku, że coś takiego jak fortepian w ogóle nie istnieje.

Generał major Christian Semmler wszedł z powrotem na ósme piętro, aby jeszcze raz popatrzeć na człowieka, który mógł to zmienić. Przyglądał się przez wizjer krzątaniu gorliwych asystentów Clyde'a Lynds'a. Z dużym uznaniem zauważył, że Lynds umieścił w laboratorium łóżko polowe, by móc pracować w nocy. Naukowiec, który był kluczem do przewyciężenia impasu rozgrywającego się na czwartym piętrze, należał do ludzi, których obwoźni przyjaciele Fritza Wunderlicha nazywali „wulkanami energii”. Pracuje równie ciężko, pomyślał Semmler i na jego ustach wykwitł zimny uśmiech, jak gdyby siedział teraz w pruskim lochu z pistoletem przystawionym do głowy.

Wrócił do swojej prywatnej kwatery na dziewiątym piętrze utwierdzony w przekonaniu, że Clyde Lynds znajduje się na właściwym miejscu, by ocalić Niemcy przed katastrofalną wadą nadchodzącego *Der Tag*. Pomimo wszystkich natrętnych prób Isaaca Bella kolejna faza wielkiego planu „Donar” przebiegała zgodnie z oczekiwaniami.

Generał major Christian Semmler służył za granicą. Podczas walk w Chinach i w Afryce dobrze poznał słabe i mocne strony żołnierzy z innych krajów i rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny w cesarskiej armii, że Niemcy nie mogą wygrać wojny z resztą świata.

Plan „Donar” – sposób Semmlera na ocalenie Niemiec – narodził się podczas ulewy w Katrinahall, domku myśliwskim w Puszczy Rominckiej, który był najcenniejszym klejnotem w posagu jego żony. Kajzer Wilhelm II przyjechał tam, by zapolować na dziki. Wizyta samego cesarza była zaszczytem, o który najsilniej rywalizowano na dworze. Semmler miał to na uwadze podczas wyposażania posiadłości, ale prawda była taka, że władca zawsze miał szczególną słabość do swojego najmłodszego generała. Nazywał Semmlera wiernym przyjacielem i najodważniejszym z żołnierzy i z nieskrywaną przyjemnością słuchał

jego opowieści o pojedynkach na śmierć i życie z czasów szkolnych, jak również relacji z okrutnych walk w Pekinie czy z Burami za liniami Anglików.

Semmler wiedział, skąd bierze się ta szczególna sympatia cesarza. Był świadomy, jak wyglądają jego długie ręce i małe czoło. Zdawał sobie również sprawę, że w niemieckiej armii żołnierz przypominający goryla byłby skazany na wieczną służbę w randze szeregowca, ceniono w niej bowiem piękny wygląd znamionujący osobników lepszej rasy, a wszelkie symptomy brzydoty bezlitośnie wyśmiewano. Szczęśliwie dla Semmlera sam cesarz również miał pecha urodzić się z defektem – wychudzonym ramieniem, które zwisało mu bezwładnie z barku jak u lalki. Zapewne dlatego czuł naturalne pokrewieństwo z drugą ofiarą lustra.

Gdy deszcz zagnał wszystkich pod dach, Semmler zaprosił kajzera do swojej biblioteki, gdzie umiłał mu czas wyświetlaniem filmów przedstawiających galopujące oddziały kawalerii, opancerzone pociągi, najnowsze maszyny latające i wzburzające morskie fale drednoty ukochanej Cesarskiej Marynarki Wojennej Wilhelma.

– Proszę spojrzeć, Wasza Wysokość, oto najnowsza broń ze wszystkich.

– Gdzie? – spytał cesarz, zezując na ekran.

– Filmy są bronią, Wasza Wysokość.

– Nie rozumiem.

– Wasza Wysokość wie, że klasy wyższe od zawsze spędzają wolny czas w teatrach i operach.

– Tak, jak być powinno.

– Filmy stanowią dla robotników jeszcze większe przeżycie. Tysięczne tłumy zbierają się w Kintoppach i kamienicznych kinach. Oglądają wszystko, co tylko pojawi się na ekranie. Jak zahipnotyzowani. Proszę sobie wyobrazić setki tysięcy ludzi codziennie ustawiających się w kolejce,

by obejrzeć to samo – by dać się zahipnotyzować. Domagających się tego. To idealne narzędzie propagandy.

– Propagandy? – zdziwił się cesarz. – W Anglii twierdzą, że filmy tworzą propagandę demokracji.

– Ale jeszcze lepiej sprawdzą się w propagowaniu miłości i nienawiści. Przyjaźni i wojny. Miliony chcą ją oglądać. Niech zatem oglądają przekaz Waszej Wysokości.

– Jaki przekaz, generale?

Christian Semmler spojrział prosto w oczy cesarza Wilhelma i odpowiedział:

– Przyjaźń.

– Przyjaźń?

Semmler wziął głęboki oddech, napominając się w duchu, że cierpliwość jest najwyższą cnotą myśliwego. Otrzymał się z pierwszego impulsu, który kazał mu złapać cesarza za kołnierz i wyrzucić mu prosto w twarz, że skoro propaganda mogła przekonać Niemców do wyłożenia pieniędzy na flotę nikomu niepotrzebnych okrętów wojennych, to znaczy, że może przekonać kogokolwiek do czegokolwiek. Nie mógł zrobić czegoś równie nierozważnego, jeśli nie chciał w ciągu pięciu sekund stracić szczególnych względów kajzera.

– Z całym szacunkiem należnym wspaniałej armii i flocie Waszej Wysokości, jest niemal pewne, że gdy nadejdzie *Der Tag*, będziemy musieli walczyć jednocześnie z Anglią, Francją i Rosją.

– I zwyciężymy – odparł Wilhelm z przekonaniem. – Nasze koleje będą przerzucały żołnierzy z frontu na front, ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód. Nie musimy się bać wojny na dwa fronty.

– Z pewnością, Wasza Wysokość. Ale co z wojną na trzy fronty? Nawet Niemcy będą miały kłopot z prowadzeniem wojny w trzech kierunkach jednocześnie...

– Ameryka.

– Wasza Wysokość sam powiedział. Ameryka.

W tym momencie cesarz wreszcie zrozumiał.

– Sojusz!

– Sojusz, Wasza Wysokość – potwierdził Semmler. –

Filmy mogą zniszczyć wrogów Niemiec, obracając ich przeciwko sobie nawzajem. Pokażemy filmy propagandowe, w których Niemcy i silna mniejszość niemiecko-amerykańska są najlepszymi przyjaciółmi Amerykanów, podczas gdy Brytyjczycy, Francuzi i Rosjanie to ich wrogowie. Czy można sobie wyobrazić potężniejszą broń? Niemcy przyjacielem, a Anglicy wrogiem.

Cesarz popatrzył na niego bacznie.

– Sporo myślałeś o tej sprawie, prawda? Nie przyszło ci to do głowy ot tak, przypadkiem?

– To prawda, Wasza Wysokość. Od dłuższego czasu nie myślę prawie o niczym innym. *Der Tag* musi przynieść nowy początek Niemiec, nie ich koniec.

Wilhelm II objął Semmlera zdrowym ramieniem.

– Zrób to – powiedział. – Bierz wszystko, co będzie ci potrzebne.

– Będę potrzebował armii, korpusu dyplomatycznego, banków i linii parowców.

– Dostaniesz dostęp do wszystkiego.

Semmler miał dar dostrzegania prawdziwej natury ludzi i ich najskrytszych pragnień. Zamiast zasalutować po żołniersku, podał cesarzowi silną, męską dłoń. Uścisnęli sobie ręce.

– Składam uroczystą przysięgę – rzekł generał – że nie zawiodę Waszej Wysokości.

Ale cesarz miał zmienną naturę. Nim Semmler zdążył zaproponować, by wraz z rzedniejącym deszczem kontynuowali przerwane polowanie, twarz władcy przybrała marzycielski wyraz i Wilhelm wypowiedział zdanie, które okazało się prorocze:

- Czyż nie byłoby miło, gdyby w filmach była muzyka?
- Muzyka, Wasza Wysokość?
- Muzyka! Żeby tysiące widzów w wielkich kinach mogły również słuchać i odczuwać emocje wywoływane dźwiękiem. Muzyka jest kluczem do skutecznej propagandy. Muzyka porusza duszę.
- Wasza Wysokość ma całkowitą rację. Zobaczę, co da się zrobić.

Niestety niewiele teatrów w amerykańskich miastach zatrudniało orkiestrę, a samo pianino raczej nie mogło w nikim wzbudzić głębszych emocji. Zbadał możliwości wprowadzenia muzyki do samych filmów i w ten sposób dowiedział się o wszystkich żałosnych próbach z tym związanych.

I nagle zdarzyło się coś niesłychanego. Semmler zaczął już wprowadzać plan „Donar” w życie, z zamiarem pokazywania proniemieckich filmów w Ameryce. Utworzył Wytwórnę Produkcyjną Filmów Imperial i rekrutował kolejnych dystrybutorów i wystawców, by mieć całkowitą kontrolę nad produkcją, rozpowszechnianiem i wyświetlaniem, gdy ni z tego, ni z owego, niczym grom z jasnego nieba, z Wiednia nadeszła wiadomość o *Sprechendlichtspieltheater* – maszynie do tworzenia filmów dźwiękowych, która naprawdę działa.

Sam cesarz niemal to przepowiedział i stało się. Wynalazek, który Beiderbecke i Lynds nazwali maszyną do tworzenia filmów dźwiękowych, miał zmienić kino w jeszcze skuteczniejsze narzędzie perswazji, pochlebstwa i wywoływania pożądanych emocji. Mariaż muzyki i ludzkiej mowy z ruchomymi obrazami mógł przekonać miliony, by ruszyły na wojnę w imię miłości.

Arthur Curtis przybył na spotkanie z Hansem Reuterem w Kintoppie godzinę przed czasem. Kino było już wypełnione

po brzegi, ponad setka widzów, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, tłoczyła się w wąskiej sali, by popatrzeć na Sarę Bernhardt. Detektyw odebrał piwo z baru i ruszył w stronę ekranu, udając, że rozgląda się za dobrym miejscem, podczas gdy w rzeczywistości szukał drugiego wyjścia. Nie znalazł go, co oznaczało, że nagły wybuch pożaru mógł się tu skończyć katastrofą, a tym bardziej ewentualna zdrada ze strony Reutera.

W tej sytuacji bezpieczniej było nie wchodzić do kina i wypić piwo przy barze. Ogarnięty złym przeczuciem Curtis wynurzył się z zaciemnionej sali i usiadł przy konuarze. O osiemnastej czterdzieści pięć do budynku wszedł stolarz ze skrzynką na narzędzia w rękę i pyłem ze ścinek na spodniach. Zamówił piwo i sączył je powoli, nie zwracając uwagi na kino, tylko spoglądając od czasu do czasu na wejście, jakby na kogoś czekał. Arthur Curtis przyglądał mu się uważnie. Złe przeczucie narastało, ale zbyt długo błędził w poszukiwaniu jego źródła.

W końcu zrozumiał, że niepokoją go wióry na spodniach przybysza. Niemieccy robotnicy byli bardzo dokładni. Każdego dnia starannie sprząтали po zakończeniu pracy. Żaden nie wyszedłby na ulicę upaprany w pyle, nawet gdyby bardzo spieszyło mu się do domu, a temu tutaj wyraźnie się nie spieszyło. Ledwie muskał kufel ustami.

Curtis jednym haustem dokończył swoje piwo, rzucił zdawkowe pożegnanie barmance i wyszedł na ulicę. Wciągnął głęboko do płuc wieczorne powietrze i rozejrzał się dookoła po okolicznych tętniących życiem sklepach i kamieniczkach.

Na szczęście Hans Reuter również postanowił pojawić się przed czasem. Szedł szybko, z pochyloną głową, albo nie przejmując się tym, że jest śledzony, albo przyjmując taktykę strusia, zgodnie z którą czego nie widzę, to mnie nie zrani.

Curtis podjął błyskawiczną decyzję i zaryzykował, uznawszy, że jego pobieżne oględziny, które nic nie wykazały, były wystarczające.

Reuter wzdrygnął się, gdy detektyw złapał go za ramię i rzucił półgłosem:

– Lepiej się przejdźmy.

– Czemu? – spytał Niemiec, chociaż jego głód pieniędzy był za silny, by kłócić się z decyzją Curtisa.

– Możemy załatwić nasze sprawy w pół minuty. Pan poda mi nazwisko, ja dam panu pieniądze i rozejdziemy się każdy w swoją stronę.

Na myśli miał raczej „popędzimy każdy w swoją stronę”. W jego przypadku była to francuska granica, pal diabli biuro. Ale uprzedzenie Reutera, że są w tej chwili obserwowani, z pewnością nie dodałoby mu odwagi.

– Nazwisko?

– Mówią na niego Małpa.

– A jak brzmi jego prawdziwe nazwisko? – Curtis pamiętał, że Isaac Bell nazwał tego człowieka Akrobatą.

– Nie wiem.

– Nie płacę za „nie wiem” – warknął detektyw, badając wzrokiem ulicę przed nimi i za ich plecami. Widział robotników wracających do domów, ludzi z torbami pełnymi zakupów, trzymające się za ręce młode pary zmierzające do Kintoppa. Co dziwne, nie zauważył ani jednego policjanta.

– To oficer.

– Tyle sam wiedziałem.

– Ale nie wiedział pan, że to generał – odparował z satysfakcją Reuter.

– Jego stopień nic dla mnie nie znaczy bez nazwiska – skłamał Curtis. W rzeczywistości tak wysoka ranga mogła zawęzić krąg poszukiwań do dosłownie kilku osób.

– Czy wystarczy rysopis? – spytał Reuter.

– Lepiej, żeby był diablo dokładny.

Przechodzili akurat pod latarnią i Curtis mógł przyjrzeć się twarzy Niemca. Był wyraźnie pewny swego, co dało się słyszeć również w jego głosie.

– Trzydzieści pięć lat, średni wzrost, potężnie zbudowany, włosy blond, zielone oczy, ręce długie jak u małpy.

Trzydzieści pięć lat to bardzo mało jak na generalski stopień w armii niemieckiej. Ale reszta opisu była zbyt niedorzeczna, by być kłamstwem.

– Jeśli mógł mi pan powiedzieć to wszystko, z pewnością zna pan jego nazwisko. Nie wierzę, żeby w waszej armii było dwóch generałów w tym samym wieku i wyglądających podobnie. Nie ma nazwiska, nie ma pieniędzy.

W tym momencie dwóch mężczyzn przejeżdżających obok nich na rowerach wyciągnęło z zawieszonych na kierownicy koszyków pistolety P08 Luger, a Arthur Curtis usłyszał, jak za ich plecami z Kintoppa wybiega stolarz, upuszczając przy tym swoją skrzynkę.

Rozdział 29

Hans Reuter biegł.

Rowerzyści zastrzelili go bez trudu. Ciało znieruchomiało w rynsztoku. Wszystko zagłuszył wrzask przechodniów padających plackiem na bruk lub wbiegających do sklepów. Tymczasem Art Curtis zdążył już wyciągnąć swojego browninga. Okręcił się przez ramię i powalił stolarza na ziemię fartownym strzałem w pierś. Natychmiast obrócił się z powrotem i oddał dwa kolejne strzały, raniąc przejeżdżającego bliżej rowerzystę. Ten, którego nie trafił, odpowiedział ogniem.

Detektyw poczuł potężne niczym końskie kopnięcie uderzenie pocisku 9 mm i nagle znalazł się na plecach ze

wzrokiem wbitym w ciemniejące niebo. Gdyby ktokolwiek w pobliżu krzyknął *Polizei!*, pewnie zostałby na ziemi. Ale nikt nie krzyknął, mężczyźni na rowerach strzelali do niego z wojskowej broni, a policja została najwyraźniej odesłana z tej okolicy. To mogło znaczyć tylko jedno – że wydano na niego wyrok śmierci – a ta przerażająca perspektywa zmobilizowała Curtisa do desperackiej walki. Z trudem podniósł się na nogi, co niepomrotnie zaskoczyło przyglądającego mu się rowerzystę. Mężczyzna uniósł pistolet i zaczął się przymierzać do strzału.

Art nie marnował czasu na celowanie z odległości dwóch metrów. Pociągnął za spust browninga, przeskoczył nad padającymi zwłokami i pobiegł przed siebie.

– Jesteś błądy, jakbyś ducha zobaczył, przyjacielu – zawołał stary sierżant, gdy Arthur Curtis opadł ciężko na krzesło obok.

– Wypiłem wczoraj o kilka sznapsów za dużo.

Powtarzał sobie, że to tylko postrzelone ramię, ale czuł, że kula, która wciąż tkwiła w ranie, poczyniła poważne szkody. Na szczęście nie połamała żadnych kości, a na jego płaszczu nie było krwi, tylko maleńka dziurka, którą równie dobrze mógł wygryźć mól. Jednak każdy oddech sprawiał mu ból, miał też coraz silniejsze zawroty głowy, a dotarcie do piwnego ogródka sierżanta omal go nie zabiło.

– Dobry niemiecki lager zaraz to wyleczy! Kelner! Piwo dla mojego przyjaciela.

Czekając na piwo, Curtis próbował trochę się pozbierać. Wykonał gest kuflem w stronę staruszka, po czym zapytał przez zaciśnięte zęby:

– Przypominasz sobie może emerytowanego generała majora o przezwisku Małpa?

– Nie – sierżant pokręcił głową.

– Tak mi się ostatnio obilo o uszy. Dziwne przewisko dla kogoś tak wysokiego stopniem.

– No, w tamtych czasach nie był tak wysoko.

– Co? To znaczy co konkretnie masz na myśli, mówiąc, że w tamtych czasach nie był tak wysoko? Czyżbyś go znał?

– Odszedłem z armii jakieś... ile to było? Sześć lat temu. Wtedy był tylko pułkownikiem, bardzo młodym pułkownikiem. Co za człowiek! I jaki żołnierz! Nikt nie mógł się z nim równać. Mówią, że zrezygnował z nominacji na oficera, aby móc walczyć w Afryce. Był w partyzantce z burskimi komandosami.

– Znałeś go osobiście?

– Ja? Sierżant z Berlina miałby znać pruskiego arystokratę? Cóż to za pomysł, przyjacielu?

Curtis złapał się kurczowo za stół, by utrzymać wyprostowaną pozycję w obliczu nagłego ukłucia potwornego bólu. Mnóstwo wysiłku kosztowało go, by powiedzieć spokojnym tonem:

– Chodziło mi o to, czy służyłeś pod nim.

– Znałem go tylko z opowieści. Był powszechnie podziwiany. Sądzę, że nadal jest.

– Czemu nazywano go Małpą?

– Na pewno nie prosto w oczy. – Sierżant zachichotał do swoich wspomnień. – *Mein Gott*, po czymś takim pułkownik Semmler odciąłby ci uszy i kazał ci je zjeść.

– Semmler... No a jak było z tą Małpą?

– Po prostu tak wyglądał. Długie łapy i ogromne łuki brwiowe, jak u małpy. – Sierżant rozejrzał się i dodał dużo ciszej: – Nie był typowym pruskim arystokratą czystej krwi, jeśli wiesz, co mam na myśli. Przypominał raczej twardego chłopca ze wsi, jak ja.

– Wydawało mi się, że Semmler to pruskie nazwisko.

– Oczywiście. Mówiono też, że jest spokrewniony z Rothami. W jego żyłach płynęła najprzedniejsza pruska

krw, chociaż brakowało mu najprzedniejszego wyglądu. Ale czy z tobą na pewno wszystko w porządku, przyjacielu? Wyglądasz, jakbyś miał wyzionąć ducha.

– Jak on ma na imię?

– Christian.

Arthur Curtis zmobilizował wszystkie siły, żeby wstać.

– To chyba nie tylko za dużo sznapsów. Raczej zepsute ostrygi. Zjadłem dzisiaj z tuzin na obiad. Lepiej już pójdę. Ureguluję tylko rachunek.

– Nie, nie, przyjacielu. Zawsze ty płacisz. Dzisiaj ledwo pocałowałeś kufel. Ja zapłacę i dokończę twoje piwo. Ty lepiej wracaj do domu i prześpij się.

Punkty telegraficzne przy większych dworcach kolejowych były czynne przez całą noc. Curtis zamierzał przekazać Bellowi nazwisko i rysopis Semmlera przez biuro w Nowym Jorku i jeszcze dla pewności przesłać je ponownie do biura w Paryżu. Ruszył w stronę najbliższego dworca z nadzieją, że jego chwiejny chód nie zwróci niczyjej uwagi na dobrze oświetlonych ulicach Berlina. Zatrzymał się na chwilę przed samym wejściem, by przejrzeć się w szybie i upewnić, że na płaszczu nie ma żadnych śladów krwi. Kątem oka zauważył, że przed zakładem telegraficznym stoją policjanci i legitymują wszystkich klientów. Uświadomił sobie z narastającą paniką, że to samo dzieje się w tej chwili przy każdym innym nocnym punkcie telegraficznym i zapewne także we wszystkich szpitalach. A za kilka godzin, gdy ulice, bary i restauracje zaczną się wyludniać, policjanci będą sprawdzać każdego człowieka włączającego się jeszcze po mieście.

Znajdująca się ponad siedemset dwadzieścia kilometrów na zachód francuska granica stała się dla niego tylko marzeniem. Ledwie był w stanie chodzić. Nie mógł też wrócić do swojego pokoju w pensjonacie.

Kręciła się tam zgraja wścibskich lokatorów, ustępujących pod tym względem jedynie zręczliwej gospodyni. Każdy, kto by go zobaczył w jasno oświetlonym przedpokoju, natychmiast zorientowałby się, w jakim jest stanie i zgłosił to na policję. Przeklinając samego siebie za to, że wolał wygodę wynajętego pokoju od prywatności własnego mieszkania, Curtis uznał, że jedynym miejscem, w którym ma szansę się ukryć, jest jego biuro. Tam będzie mógł odpocząć, odzyskać nadwątlone siły i czmychnąć w kierunku granicy wraz z nastaniem dnia. W Berlinie mieszkało półtora miliona ludzi i gdy wszyscy wychodzili rano do pracy, dworce były zbyt zatłoczone, aby policja mogła sobie pozwolić na drobiazgową kontrolę. Skupiając całą uwagę na tym, by stawiać jedną nogę za drugą, ruszył do tramwaju. Przystawały kursować dopiero o jedenastej, więc miał jeszcze dużo czasu. Z nadludzkim wysiłkiem wgramolił się do środka, wysiadł na swoim przystanku, cudem tylko nie upadając, i skierował się do biura.

Po drugiej stronie ulicy stał mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym.

Curtis sięgnął do kieszeni i ścisnął w dłoni swojego browninga, który miał jeszcze jedną kulę w komorze i dwie w magazynku. Rozejrzał się za partnerem tego w płaszczu i po chwili dostrzegł go w jednej z klatek schodowych. Zszedł z chodnika na ulicę, zmuszając ich do wyjścia z kryjówek. Mężczyźni popatrzyli po sobie i ruszyli za nim. Pozwolił, by podeszli blisko. Gdy wyciągnęli broń – znów wojskowe lugery – wystrzelił dwa razy z kieszeni, po czym pospiesznie wsunął klucz do zamka, wcisnął się do środka i zamknął za sobą drzwi, zastanawiając się, czy będzie miał siłę zmienić magazynek. W każdej chwili mogli przyjść następni.

Lampka na biurku zapaliła się, a Curtis zamarł gotowy do oddania ostatniego strzału.

– Co się dzieje? – spytała Pauline. Miała zaspane oczy i czerwoną pręgę na twarzy w miejscu, w którym opierała się policzkiem o swój rękaw.

Rozdział 30

Nic. Idź do domu. No już! Uciekaj stąd!

– Przepraszam. Odrabiałam lekcje i zasnęłam. Nie mogę iść do domu, przyjaciel mojej mamy...

– Uciekaj stąd! – wrzasnął Curtis.

Dziewczyna wzdrygnęła się przestraszona, a w jej oczach zalśniły łzy. Tymczasem detektyw, wycieńczony nagłym wybuchem, rozkaszał się. Przysłonił usta dłonią i po chwili miał ją całą we krwi.

– O mój Boże – szepnęła Pauline. – Postrzelili pana.

– Zgaś światło.

Posłuchała go natychmiast.

– Przyjdą tu?

– Tak, niedługo – odparł. – Uciekaj. Wyjdź oknem.

Poderwała się z krzesła. W świetle padającym z ulicznych latarni widział zarys jej postaci. Stała nieruchomo.

– Prędko! – nalegał. – Uciekaj stąd!

– Nie mogę pana zostawić w takim stanie.

– Uciekaj!

– Niech pan idzie ze mną.

– Chciałbym. Ale nie dam rady nawet dojść do drzwi, a co dopiero zejść po drabinie. Ale ty dasz. Proszę cię, odejdź stąd, zanim oni przyjdą.

– Nie bez pana.

– Zabiją cię, Pauline!

Otworzyła swoją torbę z książkami i coś z niej wyciągnęła. Usłyszał ostry dźwięk odciaganego kurka.

- Co to jest, u licha?
- Kupiłam sobie pistolet.

Arthur Curtis miał wrażenie, jakby właśnie umarła część jego duszy. Ta naiwna gąska, przekonana, że jestem jej Sherlockiem Holmesem, zostanie tu ze mną i zginie, pomyślał z rozpaczą. Nie ma gorszego sposobu na pożegnanie się z tym światem niż ciągnięcie za sobą dziecka.

Był tylko jeden sposób, by uratować jej życie.

- Oddaj mi to!

Podawała mu broń, lufą do siebie. Był to niewielki rewolwer. Pod palcami wyczuł rdzę przy spuście.

– Zaciągnij zasłonę na oknie. Stań najpierw przy ścianie. Właśnie tak. A teraz pochyl lampkę tak, żeby oświetlała tylko biurko. Dobrze, teraz ją zapal.

Roztoczyło się słabe światło.

– Usiądę tutaj. – Curtis zatoczył się za biurko i wgramolił na krzesło. Odłożył jej pistolet, wyjął z kieszeni płaszcz własny i położył na blacie. – Teraz popatrz.

Wyciągnął magazynek i nabój z komory, a następnie rozmontował zasuwę i sprężynę. Wszystkie elementy przetarł dokładnie szmatką ze swojego zestawu do czyszczenia broni. Potem złożył pistolet z powrotem, załadował świeży magazynek i całość podał dziewczynie.

- Teraz twoja kolej.

Pauline bezbłędnie odtwarzała jego ruchy, jeden za drugim. Curtisa już to nie dziwiło. Była najbystrzejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek spotkał.

– Bardzo dobrze. Pamiętaj, żeby zawsze upewnić się, czy nie zostawiłaś naboju w komorze, bo możesz sobie odstrzelić głowę. OK, teraz weź go do ręki. Tak się go odbezpiecza.

Pokierował jej dłońmi i z ulgą przekonał się, że jest wystarczająco silna, by odciągnąć zasuwę i załadować nabój.

– Masz drobne dłonie, tak jak ja. Będzie ci pasował. Czyść go regularnie. Tutaj masz zapasowy magazynek –

powiedział, wyciągając go z szafki. – Razem to czternaście nabojów.

– Chce mi pan oddać swój pistolet?

– Jeśli ktoś będzie próbował ci go odebrać – a to się na pewno zdarzy, bo jesteś małą dziewczynką – zrób tak: wyceluj mu prosto w twarz i popatrz tak, jakbyś widziała przez niego na wylot, jakby był ze szkła. Jakby go tam w ogóle nie było. Wtedy uwierzy, że jesteś gotowa go zabić. Rozumiesz?

Kiwnęła głową z powagą.

– Dalej chcesz zostać detektywem?

– Bardziej niż kiedykolwiek.

– Od tej chwili jesteś młodszym detektywem agencji Van Dorna. Oto twoje pierwsze zadanie: złożyć meldunek w biurze agencji w Paryżu.

– W Paryżu?

– Przy Rue du Bac. Szefuje tam mój stary znajomy Horace Bronson. Zaopiekuje się tobą. Jest jednym z najlepszych. Kiedyś prowadził biuro agencji w San Francisco. Weź pieniądze, będą ci potrzebne. – Wytrząsną z kieszeni wszystkie banknoty i monety i włożył jej do ręki. Potem otworzył kolejną szufladę. – A tu masz franki. Powiedz panu Bronsonowi, że masz wiadomość dla głównego śledczego Van Dorna w Ameryce... – zachłysnął się. Każdy kolejny oddech był coraz bardziej bolesny. – Wiadomość brzmi: „Agentem Krieg Rüstungswerk GmbH w Stanach jest generał major Christian Semmler”. Powtórz!

Pauline bez zająknięcia powtórzyła jego słowa.

– Druga część wiadomości: „Semmler znany jest również z przezwiska Małpa. Trzydzieści pięć lat, średniego wzrostu, potężnie zbudowany, blond włosy, zielone oczy i długie ręce. Jak u małpy”. Powtórz!

Powtórzyła.

– A teraz uciekaj.

– Ale przecież nie mogę tak pana zostawić.

– Detektyw Van Dorna musi wykonywać wszystkie polecenia przełożonych. – Ujął wiotczącymi dłońmi jej głowę i spojrzał prosto w oczy. – To jest bardzo ważne, Pauline. Tylko ty możesz rozwiązać tę sprawę i uratować życie wielu ludzi. Idź. Proszę cię, idź!

Odepchnął ją lekko.

Przygryzając wargę, Pauline włożyła płaszcz i kapełusz, a browninga schowała do kieszeni. Curtis wyłączył światło. Z ogromną ulgą przyjął dźwięk otwieranego okna. Chwilę później usłyszał zsuwane schody pożarowe. Starał się nasłuchiwać jej kroków na ulicy, ale zagłuszył je tupot ciężkich butów na schodach.

Arthur Curtis podniósł z biurka zardzewiały rewolwer Pauline i wycelował w drzwi, zastanawiając się, czy przestarzałe ustrojstwo nie wybuchnie mu w rękę. Na dobrą sprawę dla niego nie miałyby to już większego znaczenia. Ale im dłużej będzie w stanie ich powstrzymać, tym dalej ona zdąży uciec.

– Telegram z Paryża dla pana Bella.

Isaac odebrał wiadomość z uśmiechem rozbawienia. Młodszy detektyw, który ją dostarczył, smukły młodzieniec w nieskazitelnie białej koszuli, spodniach jak spod igły i lawendowym krawacie, wyraźnie naśladował słynną elegancję agentów z Los Angeles. Brakowało mu tylko lawendowego melonika, na który pewnie odkładał swoją pensję.

– Poczekaj na wiadomość zwrotną.

Bell rozciął kopertę i przeczytał:

NIEMIECKA POLICJA DONOSI: ART CURTIS ZA-
STRZELONY.

WYŚLAŁEM LUDZI DO BERLINA PO SZCZEGÓŁY.
BRONSON

Rozdział 31

Jak brzmi pańska wiadomość, panie Bell?

Głos chłopaka docierał do Isaaca jak zza ściany. Gdy spojrzął na niego, młodzieniec drgnął na widok kipiących gniewem oczu detektywa.

– Odpowiedź, panie Bell? – powtórzył chłopak odważnie.

– Nadaj, co następuje:

ZWRÓCIĆ CIAŁO DENVER.
NA MÓJ KOSZT.
BELL

– Zapisz to sobie, chłopcze – dodał i odwrócił się, by ukryć ogarniający go żal.

Młodzieniec pomacał się bezradnie po pustych kieszeniach.

– Mój drogi, nigdy nie wychodź z domu bez ołówka – powiedział Bell. – Jako detektyw będziesz musiał wciąż zapisywać swoje przemyślenia i spostrzeżenia. Jak się nazywasz?

– Młodszy detektyw Adams, sir. Mike Adams.

– Dobra, Mike, tym razem użyj mojego. – Isaac podał mu ołówek i kartkę papieru ze swojego biurka.

Adams zanotował wiadomość, dla pewności przeczytał ją na głos i odszedł pośpiesznie.

Bell podszedł do okna i wyjrzał na zaludnioną First Street, ledwo dostrzegając odbywającą się na niej paradę tramwajów, samochodów, ciężarówek, wozów i policjantów na rowerach.

Joe Van Dorn wpadł do gabinetu bez pukania.

– Właśnie się dowiedziałem. Strasznie mi przykro, Isaac. Wiem, że go lubiłeś.

– Na własne oczy widziałem, jak bezwzględny jest ten Akrobata – powiedział Bell bezbarwnym głosem. – Utopił

własnych ludzi, żeby zataić swoją tożsamość. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, że tym bardziej może zabić Arta Curtisa?

– Widziałem kiedyś Arta podczas strzelaniny. Większość ludzi traci głowę, gdy zaczynają padać strzały. – Joseph Van Dorn pokręcił głową. – Ale nie on.

– Dzięki za pociechę, Joe. Wiem, że Art umiał się o siebie zatroszczyć. Nie zmienia to faktu, że wykonywał moje polecenia.

– Chyba nie muszę mówić, że dam ci całkowicie wolną rękę, dopóki nie dorwiemy sprawcy.

– Dziękuję.

– O ile Bronson nie dowie się czegoś nowego, musimy przyjąć, że zabili go ludzie z Kriega.

– Albo z niemieckiej armii.

– Nie zastanawiasz się, co takiego znalazł, że postanowili go zabić? – spytał Van Dorn.

– Znalazł nazwisko – odparł Bell.

– Skąd wiesz?

– Przedwczoraj przysłał mi wiadomość z prośbą o pieniądze. Powiedział, że za dwa dni odeśle je z powrotem albo przyśle nazwisko.

– Co mu odpowiedziałeś?

– „Bierz, ile chcesz”.

– Jeśli nawet poznał to nazwisko, zabrał je ze sobą do grobu.

– Na to wygląda – przyznał Bell.

– Co teraz? – spytał Van Dorn.

– O ile tymi drzwiami nie wejdzie zaraz jakiś nowy ślad, to zaczynamy od zera.

I właśnie w tym momencie ktoś zapukał. Do gabinetu wszedł recepcjonista w szkarłatnej kamizelce i z dopasowaną kaburą.

– Panie Bell... Ach, tu pan jest, panie Van Dorn. Był telefon z Levy's Cafe od komisarza, pytał, co się z panem stało.

– Oddzwoń i powiedz, że będę tam za dziesięć minut – rzekł Van Dorn, zerkając na zegarek. – Umówiłem się na lunch z komisarzem policji – wyjaśnił Bellowi, kierując się do drzwi. – Potem jadę do Chicago. Daj znać, gdy tylko czegoś się dowiesz.

– Panie Bell, przyszedł ktoś do pana. Żydowski dżentelmen. Ma na głowie tę dziwną czapkę.

– To się nazywa jarmułka. Proszę go wprowadzić.

Andrew Rubenoff wkroczył do gabinetu z uśmiechem, który natychmiast mu zrzędł, gdy popatrzył na stojącego przy oknie Bella.

– Nie wyglądasz najlepiej, Isaac.

– Zginął mój przyjaciel – odpowiedział krótko Bell. – Co nowego?

Świeżo upieczony filmowiec przeszedł prosto do sedna.

– Z nieskrywaną radością donoszę, że Syndykat Artystów to fikcja.

– Co masz na myśli?

– To, że syndykat, o którym nic nie wiedziałem, mimo że powinienem, to zwykłe oszustwo. Istnieje wyłącznie na papierze. Rzekomi inwestorzy z Wall Street to duchy.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie.

– Więc kto zapłacił za dziesięciopiętrowy budynek Wytwórni Imperial?

– Tego jeszcze nie wiem. Ale z pewnością nie był to Syndykat Artystów.

– Ktoś wyłożył na to bardzo dużo pieniędzy.

– Bez wątpienia. Ale póki co, wszelkie pytania na Wall Street o osobę, która mogła to zrobić, odbiły się od wielkiej ściany milczenia.

- Mam rozumieć, że bankierzy kryją wytwórnię?
 - Nie, nie. Fundusze Imperialu prawie na pewno pochodzą z innego źródła. Podejrzewam, że z zagranicy.
 - Z Niemiec?
 - Być może. Ale najwięcej zagranicznych pieniędzy pochodzi z Anglii. Tamtejsi bankierzy inwestują w amerykańską kolej, rancza i kopalnie. Dlaczego więc nie mieliby wejść też w biznes filmowy?
 - A co z Niemcami?
 - Od razu widać, że z góry nastawiłeś się na Niemcy w tej sprawie. Przekonamy się. Bądź spokojny, dopiero zacząłem się temu przyglądać.
 - Zadbam, by zajęli się tym również nasi badacze.
 - Jestem pewien, że pomoc specjalistów Van Dorna będzie... korzystna – stwierdził Rubenoff, uśmiechając się pod nosem.
 - W jaki sposób tak szybko ustaliłeś, że nikt z Wall Street nie inwestuje w Syndykat Artystów?
 - Isaac! Rozmawiasz przecież z Andrew Rubenoffem. Kiedy nadejdzie Mesjasz, to mnie zapyta o dobrego maklera – roześmiał się i dodał już poważniej: – Nie chcę przesadnie podsycać twoich nadziei. Wall Street to betka. Zagranica jest o wiele bardziej skomplikowana. Już zacząłem, ale nie mogę obiecać równie szybkich rezultatów.
- Bell usłyszał nagle dochodzący z ulicy stukot końskich kopyt, niecodzienny dźwięk w centrum Los Angeles. Po raz kolejny wyjrzał przez okno. Dwudziestu aktorów ubranych w kowbojskie kapelusze lub ucharakteryzowanych na Indian jechało stępa, zapewne do pobliskiego Elysian Park, gdzie kręcono najnowszy film. Przyglądał się im, marszcząc brwi w zamyśleniu. Po chwili chwycił słuchawkę interkomu Kellogg.
- Prześlijcie młodszego detektywa.

Chłopak zjawił się w mgnieniu oka. Był to ten sam młodzieniec – Adams w lawendowym krawacie.

– Mike, wyślij prywatną linią telegram dla Texasa Walta Hatfielda. Biuro w Houston będzie wiedziało, gdzie go znaleźć.

Adams miał już w ręku notes i ołówek.

– Tak jest, panie Bell. Jaka będzie treść wiadomości?

PRZYJEŹDŹAJ LA.

ZATRUDNIJ SIĘ W WYTWÓRNI IMPERIAL JAKO KOWBOJ.

– Leć, Mike, to wszystko.

– Mam podpisać „Bell”?

– Podpisz „Isaac”.

Mike Adams pobiegł do telegrafisty.

Andrew Rubenoff okazał swoje zaintrygowanie uniesieniem brwi.

– Walt Hatfield przed przejściem do agencji Van Dorna był teksańskim rangerem – wyjaśnił Isaac. – Bez trudu znajdzie pracę stażysty jako kowboj w filmach o Dzikim Zachodzie. Kto wie, może nawet zrobią z niego gwiazdę. Wygląda, jakby wystrugano go z kaktusa.

– Zgaduję, że Texas Walt jest twoim dobrym przyjacielem?

– Z czego to wnosisz?

– Są takie chwile, gdy potrzebujemy mieć w pobliżu przyjaciela.

– Może i tak. Ale w tej chwili potrzebuję przede wszystkim najlepszego detektywa w Wytwórni Imperial.

– Co może zdziałać jeden detektyw? Imperial to ogromna firma, zatrudniająca czterystu ludzi.

– Nie mówiłem, że będzie jedyny.

Bell wysłał prywatną linią agencji Van Dorna depeşe do Grady'ego Forrera z pytaniem o postępy w sprawie inwestorów Imperialu.

Niebawem nadeszła odpowiedź szefa analityków:

MOI CHŁOPCY PRZETRZĄSAJĄ WSZYSTKO DO-
KŁADNIE.

PAMIĘTAJ: BANKI CENIĄ TAJEMNICE.

MAM NADZIEJĘ, ŻE WKRÓTCE ZNAJDĘ WIĘCEJ.

PRZYKRO MI Z POWODU ARTA. DOBRY CZŁO-
WIEK.

Isaac Bell odpisał:

SKUPCIE SIĘ NA TRANSATLANTYCKICH NIEMIEC-
KICH BANKACH HANDLOWYCH POWIĄZANYCH
Z ARMIĄ.

SZUKAJCIE ZWIĄZKU MIĘDZY KRIEG I IMPERIAL.

Rozdział 32

Pauline Grandzau obudziła się na kupie słomy z czterema zębami wideł przed nosem. Stal błyszcząca od częstego używania i niedawnego ostrzenia. Trzy zęby zwężyły się prosto, aż do ostrych jak u igły czubków. Czwarty był wygięty, jakby farmer przypadkowo uderzył w kamień na chwilę, zanim ją znalazł.

Zastanowiła się, co jest najlepsze w tej nie najlepszej sytuacji. I od razu znalazła odpowiedź: w tej sytuacji najlepsze było to, że jej przebranie zadziałało.

Nie wyglądała już jak dziewczynka. W szmacianej czapce, ciężkiej wełnianej kurtce i takich spodniach wyglądała jak chłopiec, twardy berliński chłopak z fabryki.

Zeszłej nocy wymieniła u swojej przyjaciółki Hildy sukienkę, płaszcz i śliczny kapelusz na rzeczy jej brata. Za pięćdziesiątfenigów z pieniędzy od detektywa Curtisa kupiła jeszcze plecak brata Hildy. Włożyła do niego skarpety na zmianę, gruby sweter, jabłko i kilka ciasteczek (które zdążyła już zjeść), magazyn „Strand”, kupione na dworcu mapę Francji i przewodnik Baedekera *Paryż i okolice* i pistolet Curtisa.

Jej przebranie okazało się tak skuteczne, że farmer, który ją znalazł, był wyraźnie wystraszony. Stóg siana znajdował się na tyłach stodoły. Za polem rozciągał się gęsty las, a za nim były tory kolejowe, po których docierali tu włóczędzy, Cyganie i inne rzezimieszki z Berlina.

Pauline zastanawiała się, co dalej. Co zrobiłby Sherlock Holmes, przekonawszy się, że jego przebranie działa? Przemówiła nienaturalnie niskim i opryskliwym tonem:

- Czemu straszysz mnie widłami?
- Kim jesteś? – spytał farmer.

Co zrobiłby Sherlock Holmes? Odpowiedź: Sherlock Holmes przyjrzałby się wszystkim detalom, nie tylko stalowym kolcom wymierzonym w jego twarz. Farmer był bardzo młody, więc pewnie nie jest właścicielem pola, ale synem właściciela.

– A kim ty jesteś? – odparowała. – Dlaczego zamierzasz się na mnie widłami? Co z ciebie za Niemiec? Wstydu nie masz?

Chłopak zamrugał nerwowo.

- Ale skąd się tu wziąłeś?
- Nic ci nie powiem, dopóki nie zabierzesz ode mnie tych wideł.

Młodzieniec opuścił narzędzie.

Pauline wstała powoli, rozglądając się uważnie. Chłopak miał krótkie nogi. Krótsze od niej. Mogła biec szybciej od niego. Dostrzegła wyrzucenie na jego kurtce i kawałek

białego materiału wystający z kieszeni – zapewne śniadanie przygotowane przez matkę.

– Jestem głodny – warknęła. – Masz coś do jedzenia?

Wyjął zawiniątko z kieszeni i Pauline natychmiast poczuła zapach szynki. Była owinięta w pajdę chleba posmarowaną masłem. Pochłonęła ją żarłocznie, w zaledwie dwóch gryzach.

– Hans! – rozległ się nagle męski głos. – Co ty tam robisz?

To mógł być tylko ojciec chłopaka. Jego nie da się już tak łatwo oszukać.

Pobiegła do lasu, po którym błędziła nocą, oddalając się od torów. Wtedy było ciemno, a pociąg, który złapała, zatrzymał się na bocznicy, gdzie lokomotywa została odczepiona i odesłana z powrotem do Berlina.

Słyszała za plecami krzyki farmerów.

– Łap go! – wołał ojciec.

Hans biegł ile sił w krótkich nogach, a jego ojciec kuśtykał o lasce.

Pomiędzy drzewami Pauline widziała już bocznice i porzucony wagon, na którym uciekła z Berlina. Ominęła go i wskoczyła na główne tory. Biegła po podkładzie kolejowym tak długo, aż ból w nogach zaczął być nieznośny, pieczenie w płucach ledwo pozwalało zaczerpnąć powietrza, a krew pulsująca w skroniach ogłuszyła ją do tego stopnia, że nie słyszała pędzącego za jej plecami pociągu.

W Griffith Park, bezludnej głuszy na wzgórzach na północ od Los Angeles, Jay Tarses uskarżał się drobnej brunetce, która pełniła rolę jego kochanki i zarazem menedżerki.

– Chcę wracać do New Jersey.

– Do Jersey? Zwariowałeś? Zaczeplenie się w Kalifornii to nasz największy sukces. Tu jest pięknie. Słońce świeci przez cały dzień. Zdążyłeś już nakręcić ponad dwieście

czterdzieści metrów taśmy. Przed zmrokiem skończysz cały film, a jutro będziesz mógł zacząć western.

– To jest najgorszy dzień mojego życia.

Miasto Los Angeles właśnie ukarało Tarsesa dwudziestopięciodolarową grzywną, ponieważ huk wystrzałów podczas walki jego Francuskiej Legii Cudzoziemskiej z porywającymi filmową piękność Arabami przepłoszył bytujące w Griffith Park łosie. Potem jego wielbłądy przegnały stado koni, które nie były przyzwyczajone do ich specyficznego zapachu. A teraz, gdy pomocnicy zdołali wreszcie sprowadzić wszystkie konie z powrotem, by można było nakręcić kolejną scenę, na plan zajechało auto, z którego wygramoliła się zgraja zakapiorów z zamiarem puszczenia w ruch pałek, jeśli film nie powstaje przy użyciu jednej z pieruńsko drogich kamer Edisona.

Herszt bandziorów, smukły zabijaka z kościstymi pięściami i akcentem z Hoboken, od razu zauważył, że tak właśnie jest.

– Wydaje ci się, że Kalifornia jest tak daleko, że pan Edison się nie kapnie? – zagaił arogancko.

– Puśćcie kobiety – odpowiedział Tarses. – Wszystkie razy przyjmę na siebie.

– Tym razem wszystkim się dostanie. To będzie przykład dla wszystkich niezależniaków.

Chwycił Tarsesa za kłapy i przytrzymał, zamierzając się do pierwszego ciosu.

– Stać! – rozległ się krzyk.

Iskierka nadziei na ratunek natychmiast opuściła Jaya Tarsesa, gdy zobaczył wynurzającą się z pobliskiego lasu postać Joego McCoya, najślynniejszego rzezimieszka Edisona. McCoy podlegał bezpośrednio Dyerowi, pilnującemu przestrzegania monopolu adwokatowi słynnego i równie pazernego wynalazcy. Miał bary jak palacz okrętowy i mniej litości niż rozżarzony węgiel.

– Pan Tarses – rzekł i zarechotał. – Rozpoznałbym pański plan wszędzie po smrodzie wielbłądów.

– Jest szansa, żebyśmy się wykupili? – spytał Tarses, nie spuszczać wzroku z pałki olbrzyma.

McCoy uniósł umięśnione ramię. Pałka, opadając, przecięła powietrze ze świstem, a bandyta trzymający Tarsesa poleciał w bok, odbił się od jednego z wielbłądów i padł na ziemię. Do przerażonego filmowca dopiero po chwili dotarło, że w dalszym ciągu stoi na nogach, cały i zdrowy. Oprócz tego nie rozumiał kompletnie nic.

Tymczasem McCoy podał mu wizytówkę. Starszy kropkę krwi, która skapnęła z pałki, Tarses odczytał:

SEKCJA OCHRONY WYTWÓRNI IMPERIAL
„PRZYJACIELE NIEZALEŻNYCH”

– Na odwrocie jest numer telefonu – poinformował go McCoy. – Dyżurny jest zawsze na stanowisku, w dzień i w nocy.

– Nie pracujesz już dla Edisona? – spytał coraz bardziej zdumiony Tarses.

McCoy uśmiechnął się szeroko.

– Teraz jestem pogromcą monopoli. Jak Teddy Roosevelt.

– Co to jest Sekcja Ochrony Wytwórni Imperial?

– To przyjaciele niezależnych. Nie umiesz czytać?

– Przyjaciele? Już to widzę. Ile mnie to będzie kosztowało?

– Nic.

– Nie zalewaj, Joe. O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie zaglądał darowanemu koniowi w zęby, Joe. – McCoy zarzucił mu na szyję swoje potężne ramię. – I nie zadawaj głupich pytań.

Tarses doskonale zdawał sobie sprawę ze swoich licznych wad, ale głupota nie była jedną z nich, odpowiedział więc tylko:

– Dziękuję.

– Nie dziękuj mnie. Podziękuj Wytwórni Imperial. No, słońce wciąż jest wysoko. Domyślam się, że chcesz już wrócić do pracy... A swoją drogą, jak się nazywa twój nowy film?

– *Kawalerzysta Imperium.*

McCoy uchylił kapelusza przed urodziwą menedżerką Tarsesa, przerzucił przez plecy nieprzytomnego oprycha i odszedł.

Tarses kazał aktorom wsiadać na wierzchowce.

– Kamera...

Wieczorem, gdy wypłacał pieniądze statystom, ostatni w kolejce zagadał do niego, charakterystycznie przeciągając samogłoski:

– Kim były te typy, co się do pana przyczepiły?

Tarses już miał powiedzieć mężczyźnie, że powinien pilnować własnego nosa, ale rozpoznał w nim wysokiego, chudego jak patyk kowboja, któremu kostiumografka zamieniła tradycyjny amerykański kapelusz na kepi Legii Cudzoziemskiej z obietnicą ponownej wymiany już po pracy, przy lampce wina. Tarses pamiętał, że podczas zdjęć gość zachowywał się, jakby urodził się w siodle, a teraz, patrząc na niego w blasku zachodzącego słońca, zauważył, że ostre rysy i wysokie kości policzkowe nadają jego obliczu dzikiego wyrazu.

– Jak ci na imię? – spytał.

– Tex.

– Przyjdź jutro, Tex. Będę kręcił film o Dzikim Zachodzie.

Texas Walt Hatfield wszedł niedbałym krokiem do biura agencji Van Dorna w Los Angeles, otaksował morderczym spojrzeniem modne fatałaszki mężczyzny

siedzącego w recepcji, po czym podał dłoń nadchodzącemu Isaacowi Bellowi.

Bell wyczuł, że Teksasńczyk wzdrygnął się podczas uścisku.

– Co ci się stało w rękę?

– Poobijałem się, spadając z konia, psia krew. Wielbłąd go wystraszył.

Bell oniemiał. Wszak rozmawiał z najlepszym jeźdźcem w całych Stanach.

– Kiedy ostatnio spadłeś z konia? – spytał, gdy nieco ochłonął.

– Nie licząc postrzałów? – Texas Walt z upodobaniem przeciągał sylaby. – Jak miałem trzy lata i posadzili mnie na narowistym źrebaku.

– Dotarłeś do Joego McCoya?

– Aha. Koleś, tak jak mówił Tarses, objął mordy dla Edisona. Albo, jak sam to określił, „był zatrudniony w dziale prawnym pana Edisona”. Odszedł albo go wylali, tego nie jestem pewien. Przyjechał tutaj i dostał robotę w ochronie Imperialu. Mówi, że ostro łupią ludzi od Edisona.

– Sam widziałem przed chwilą poobijaną zgraję odjeżdżającą pociągami na wschód – powiedział Bell. – McCoy ma jakieś pojęcie, o co chodzi z tą ochroną?

– Nie jest specjalnie rozmowny. Ale na ile się orientuję, to porządny facet.

– A jego szefowie?

– Wiem tylko, że nie biorą pieniędzy za ochronę. Ale skoro to nie przekręt, właściwie dłączego Imperial staje po stronie niezależnych w wojnie z monopolem? Z dobroci serca?

– Podejrzewam, że odpowiedź jest wypisana na ich wizytówkach – stwierdził Bell.

– „Przyjaciele niezależnych”? I co to niby ma znaczyć?

– Jeśli firma rozpowszechniająca i wyświetlająca filmy zaskarbi sobie przyjaźń wszystkich niezależnych reżyserów, to będzie mogła liczyć na wiele nowych produkcji.

– Zupełnie jak handlarz bydła skupujący wszystkie sztuki przy końcowej stacji. – Texas Walt zsunął kapelusz na tył głowy, dając do zrozumienia, że pojął, w czym rzecz.

– Albo rzeźnik skupujący hurtowo w Chicago. Przyjaciele niezależnych mogą przejąć kontrolę nad dystrybucją i wyświetlaniem wszystkich filmów niezależnych.

– Jesteś pewien, że to ta sama firma, którą rozpracowujesz?

Bell kiwnął głową.

– Larry Saunders sprawdził numer telefonu. Aparat znajduje się w budynku Imperialu.

– I jesteś przekonany, że Wytwórnia Imperial to tylko przykrywką dla czegoś innego? – dopytywał się Hatfield.

– Właśnie to musimy sprawdzić – odparł Bell.

– Rozumiem, że mam dalej jeździć dla Tarsesa?

– Nie. Chciałbym, żebyś dostał się do budynku. Na poziomie apartamentów mają studia filmowe. Zgłoś się na przesłuchanie do jednego z ich filmów.

– Nie tak łatwo wkręcić się do filmu, Isaac. Zgłaszają się setki ludzi. Każdy chce być sławny.

– Ale ty masz przewagę, Walt. Wyglądasz, jakbyś był stworzony do filmu. I zdążyłeś już w kilku zagrać. Jutro do południa masz wejść do siedziby Imperialu.

Texas Walt nie wyglądał na zadowolonego.

– Coś nie tak? – spytał Bell.

– Trochę mi głupio zostawiać Tarsesa na lodzie.

– Tarsesa? A co on ma wspólnego ze sprawą Kina Dźwiękowego?

Texas Walt zawiązał butem skraj dywanu.

– Tak się składa, że zaproponował mi większą rolę.

– W takim razie czemu nie poprosisz pana Van Dorna o urlop? – Bell zadał to pytanie tak gładko, jakby jego język był rozwijającą się rolką aksamitu.

Texas Walt Hatfield nie wyczuł ironii.

– Myślisz, że szef na to pójdzie?

– Jak zamkniemy sprawę.

Dywan zawinął się jeszcze bardziej.

– Wybacz, Isaac. Wcale nie zamierzam zostawić niedokończonych roboty.

– Cieszę się – powiedział Bell. – Posłuchaj, jak wygląda sytuacja: nasi ludzie pilnują Clyde'a na ósmym piętrze budynku. Ty masz się znaleźć w studiu na najwyższym piętrze. Gabinet panny Viorets znajduje się na siódmym, a ja sam wybieram się teraz na czwarte, gdzie zajmują się nagrywaniem dźwięku.

– Jak zamierzasz się tam dostać?

– Mam pewien plan.

Pilnujący budynku Imperialu ochroniarze w kapiących od złoceń uniformach początkowo nie byli przyjaźnie nastawieni do Bella, ale detektyw odwiedzał Clyde'a Lyndsa na tyle często, że rozpoznawali go już i witali po nazwisku.

– Dobry wieczór, panie Bell – zagadnął odźwierny, po czym znacznie ostrzejszym tonem rzucił do tłoczących się za jego plecami rosnących mężczyzn, którzy nieśli futerały na trąbki, saksofony, klarnety, skrzypce i kontrabas. – Proszę zaczekać, panowie. Zajmę się wami za chwilę.

– Ci panowie są ze mną – wyjaśnił Isaac.

– Wszyscy?

– Tak. Pan Lynds potrzebuje orkiestry.

– Muszę sprawdzić te futerały.

– Panowie – zwrócił się detektyw do swoich towarzyszy – tutejsza obsługa jest w gorącej wodzie kąpana. Pokażcie im instrumenty.

W futerałach rzeczywiście znajdowały się błyszczące trąbki, saksofony, klarnety, skrzypce i ogromny kontrabas.

– Czwarte piętro – rzucił Bell łypiącemu spode łba windziarzowi, który nawet nie drgnął, dopóki stojący w korytarzu przełożony nie dał mu znaku, że wszystko w porządku.

W studiu nagrywania dźwięku był już zniecierpliwiony Lynds.

– Co tak długo?

– Ochrona przy wejściu myślała, że chłopaki ukrywają w futerałach karabiny maszynowe.

– Kretyni... W porządku, panowie, rozsiądźcie się wokół tuby nagraniowej. Skrzypce z przodu, potem trąbki i saksofon, a kontrabas tam z tyłu.

– A gdzie ja mam usiąść? – spytał niewysoki, elegancko ubrany klarncista, którego Bell ostatnim razem widział w pewnym banku, gdzie pomógł dwóm złodziejom rozstać się ze strzelbami.

– Stań za skrzypcami i nie zaczynaj grać, dopóki nie dam znaku – odparł Lynds.

Kontrabasista, znany w agencji z infiltracji skorumpowanego wydziału policji w San Francisco, zaczął stroić swój instrument.

– Podczas tworzenia akustycznych nagrań muzyki – oznajmił Clyde – musimy zastępować skrzypce trąbkami i klarnetami, wzmacniać kontrabas za pomocą saksofonu, a perkusję dźwiękiem banjo. Jednym z moich celów jest udoskonalenie opracowanej przez Edisona metody nagrywania. Maszyny Edisona nie są w stanie zarejestrować dźwięków strun czy bębnów ani fortepianu, który w praktyce składa się ze strun i bębenków. Próbne nagrania wychodzą płaskie i brzękliwe.

Bell obejrzał się za siebie, bo ogarnęło go dziwne wrażenie, że jest obserwowany. Jedynymi ludźmi w zasięgu wzroku byli asystenci Clyde'a, wnoszący do pomieszczenia

urządzenie, z którego wystawały jakieś druty. Gdy zajęli się ich podłączaniem do szlifierki dyskowej, Isaac podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Nie było tam nikogo, ale nieprzyjemne uczucie nie opuszczało go.

Asystenci przynieśli jeszcze drewnianą skrzynkę, na której wieku stał gruby dysk z wydrążonymi dziurkami. Ustawili ją obok tuby.

– To jest mikrofon węglowy, taki jak w telefonie, tylko dużo większy – wyjaśnił Lynds. – W skrzynce znajduje się naładowany elektrycznie szklany zawór próżniowy, który wzmocni i odtworzy każdy dźwięk wyłapany przez mikrofon. Według mojej teorii zapis elektryczny pozwoli nam na odtworzenie jednej oktawy więcej, dając tym samym możliwość nagrywania skrzypiec, a w przyszłości, miejmy nadzieję, również fortepianu. Ostatecznie zamierzam skonstruować mikrofon, który będzie wyłapywał bardziej leniwe dźwięki, w przeciwieństwie do mikrofonu Edisona, który jest niezwykle wymagający. Po przejściu przez tubę Edisona dźwięk jest wycieńczony, zupełnie jak przepracowany robotnik. A teraz zajmijcie się strojeniem instrumentów, dopóki moi pomocnicy nie skończą podłączać kabli.

Powiedziawszy to, Clyde dołączył do stojącego przy drzwiach Bella i razem przeszli do wyciszonego pomieszczenia obok. Było tam okno z kilku warstw szkła, przez które mogli obserwować poczynania muzyków, oraz wielka cynowa tuba gramofonowa przymocowana do drewnianej skrzynki, z której biegły kable ciągnące się do sali nagrań.

– O co chodzi z tym mikrofonem? – spytał detektyw. – Myślałem, że chcesz zapisywać dźwięk bezpośrednio na taśmie.

– Na wszystko przyjdzie pora. Najpierw muszę stworzyć czyste elektryczne nagranie. Nie ma sensu wprowa-

dzać do filmu nagrania akustycznego, którego nie będę w stanie odtworzyć wystarczająco głośno, by widzowie mogli je usłyszeć.

– A kiedy już będziesz w stanie to zrobić?

– Posłuchaj. – Clyde zasunął łącznik nożowy, który przytrzymał tubę.

Natychmiast usłyszeli kakofonię dźwięków towarzyszącą odbywającemu się w drugim pokoju strojeniu skrzypiec i banjo. Bell nadstawił uszu, próbując rozróżnić dźwięki poszczególnych instrumentów.

– Nie słyszę większej różnicy między skrzypcami a klarinetem – stwierdził.

– Sam fakt, że w ogóle słyszysz skrzypce, świadczy o tym, że jestem na dobrym tropie. – Clyde zwolnił łącznik i dźwięki ucichły. – Przekaż panu Van Dornowi, że warto sprzedać taki mikrofon Aleksandrowi Grahamowi Bellowi, bo umożliwi on prowadzenie rozmów telefonicznych na jeszcze większe odległości. Na przykład stąd do Nowego Jorku.

– Przekażę – zapewnił Bell, a po chwili dodał cierpko: – Powiem mu też, że przed nami jeszcze daleka droga.

– Miałem lepszy mikrofon, ale ktoś go ukradł.

– Ukradł? Kto?

– Nie wiem. – Clyde wzruszył ramionami. – Gdy przyszedłem wczoraj rano, mój najlepszy do tej pory egzemplarz zniknął. Żaden z moich asystentów niczego nie widział. Podobnie twój ludzie.

– Sądzisz, że ktoś się tu włamał?

– Wróciłem do domu, żeby się wykąpać i porządnie wyspać. Myślałem, że sprzątacze wyrzucili go razem ze śmieciami, ale wszyscy zaprzeczają.

Isaac nie był pewien, czy młody naukowiec mówi prawdę, czy też kłamie, aby usprawiedliwić wolne postępy swojej pracy.

– Od dziś ktoś będzie pilnował laboratorium podczas twojej nieobecności – oznajmił.

– Rzadko wychodzę – odparł Clyde.

– Wiem. Pan Van Dorn bardzo sobie ceni twoją pracowitość. Dowiedziastes się czegoś o Imperialu?

Lynds łatwo nawiązywał kontakty, więc zdążył poznać wiele osób, krążąc po korytarzach budynku i jeżdżąc windą. Podzielał podejrzenia Bella co do tajemniczej bogatej firmy.

– Spotkałem reżysera, który kręci filmy w plenerach – rzekł. – Zatrudnili go, bo jego kumpel jest jakąś grubą rybą w firmie. Może on coś będzie wiedział. A może jest tylko kolejnym zwykłym wyrobnikiem.

– Jak się nazywa film, który kręci?

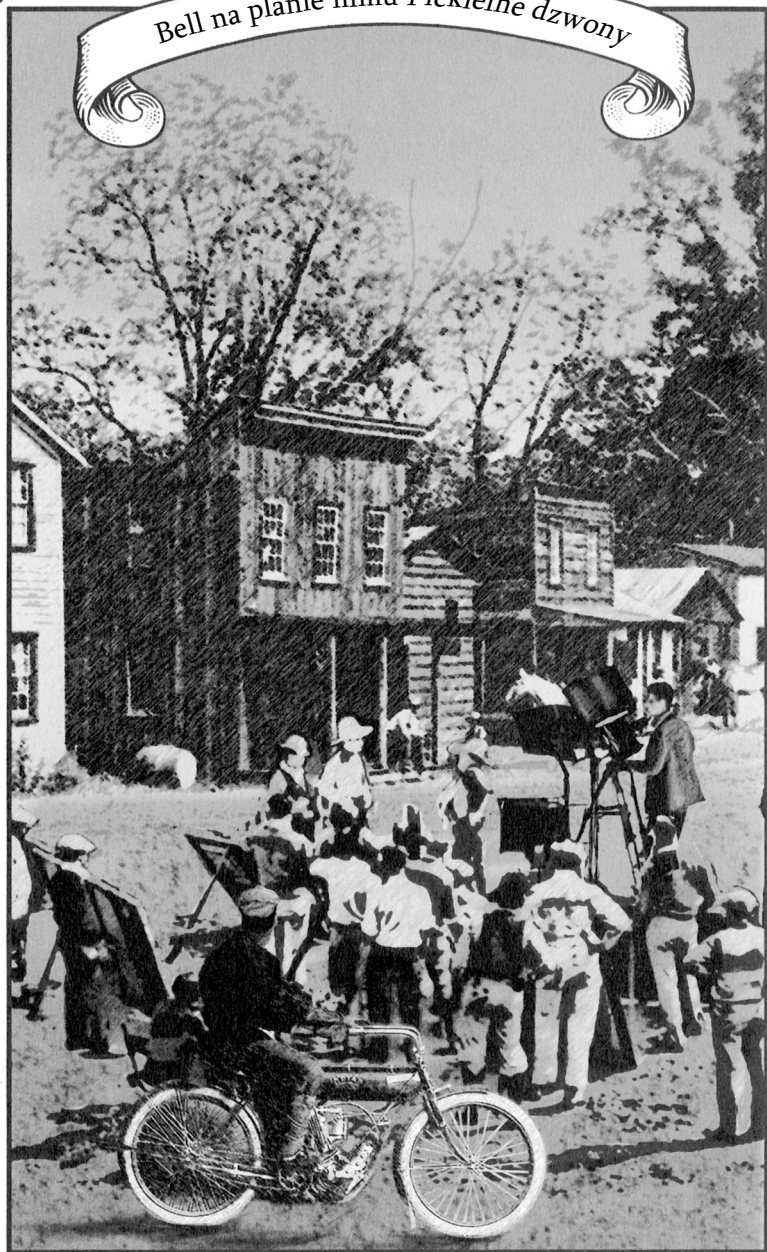
– *Córka piwowara.*

– O czym jest?

– Główny bohater żeni się z córką niemieckiego imigranta i żyją długo i szczęśliwie.

– Sprawdzę to.

Bell na planie filmu *Piekielne dzwony*





Rozdział 33

Isaac Bell umoczył wąsy w mieszance pasty do butów i wosku Pinaud Clubma, ukrył charakterystyczne złote włosy pod skórzanym kaskiem pilota maszyny latającej, a na błękitne oczy założył duże gogle. Następnie dosiadł błyszczącego czarnego motocykla Indian i ruszył z warkotem przez Second Street, lawirując między tramwajami, samochodami, ciężarówkami i wozami konnymi z zawrotną prędkością. Jego motocykl był jednym z najnowszych modeli, wyposażonym w automatyczną pompę olejową, dwa biegi umożliwiające błyskawiczne ruszanie i w sprężyste przednie widły, które, miał nadzieję, będą amortyzować lądowanie przy skokach.

Pochyliwszy się do skrętu, przeciął tory linii kolejowej Southern Pacific i pojechał w stronę Aliso. Stamtąd pognął prosto do skrzyżowania, przy którym stały ogromny browar i rozlewnia z czerwonej cegły. Zbliżając się do budynków, zobaczył przy oddzielnym taśmie pustym skwerze tablicę z napisem:

WYTWÓRNIA IMPERIAL
CÓRKA PIWOWARA

Statystyci proszeni o czekanie w tym miejscu

Pod skwerem tłoczyła się spora gromadka poprzebie-ranych statystów: wąsaci złoczyńcy, policjanci w kaskach,

grubasy w krzykliwych garniturach, całe tuziny upapra-nych pyłem kowbojów (wielu co i rusz zakręcało lassem), cyrkowi klauni i aż trzy stojące na koniach woltyżerki w kombinezonach z koziej skóry. Texas Walt miał rację, konkurencja była naprawdę duża. Wszyscy w Los Angeles chcieli trafić do filmu. A żeby mieć choć cień szansy, trzeba się było wyróżniać.

Bell dostrzegł przy żelaznej bramie browaru operatora kamery, który kręcił z przejęciem. Obok niego stał reżyser z megafonem w rękę, a po drugiej stronie cały zestaw świecących ostro lamp Cooper-Hewitt. Po chwili przed bramą zajechała limuzyna Pierce-Arrow. Wysiadła z niej piękna aktorka w wieczorowej sukni.

Isaac dodał gazu, wrzucił niższy bieg i pochylony nisko nad kierownicą, skierował się na długą rampę, po której ciężarówki i konne wozy z piwem zjeżdżały z browaru. Zakręcił ostro, wjechał na rampę i sekundę później skręcił ponownie. Silnik zarzęził z pretensją, gdy koła motoru odrywały się od podłoża.

Motocykl poszybował z samego szczytu rampy w stronę limuzyny. Wylądował tuż za zderzakiem samochodu, nawet nie muskając karoserii, i zahamował efektownie z paleniem gumy tuż przed kamerą.

Widząc, że operator kamery zachował zimną krew i cały czas kręci, Bell wyciągnął rękę w stronę aktorki i uklonił się zawadiacko. Ta ujęła jego dłoń, uznawszy zapewne, że całe zamieszanie jest częścią filmu, o której nikt jej nie uprzedził.

- Co pan wyprawia, do cholery?! – krzyknął reżyser.
- Ja w sprawie pracy – powiedział Isaac, udając prowincjusza szukającego szczęścia w wielkim mieście.
- Z byka pan spadł?
- Słyszałem, że w tej *Narzeczonej piwowara* będziecie mieli scenę pościgu.

– Film nazywa się *Córka piwowara*... Ale chwileczkę! Skąd pan wie, że chcę zrobić pościg?

– Od znajomego, co też robi w tym interesie.

Reżyser, jeden z nowych znajomych Clyde'a Lyndsa, pochwalił mu się, że w finałowej scenie para bohaterów będzie uciekała na rowerze przed ścigającymi ich ciężarówkami i wozami, rozrzucającymi beczki z piwem.

– Gdzie pracuje ten znajomy? – spytał.

– Dla pana Griffitha – odparł Bell.

– D.W. słyszał, że będę robił scenę pościgu? – Reżyser cały się rozpromienił.

– Tak mi powiedział mój znajomy.

– Czy pan Griffith mówił coś konkretnego o moim filmie?

– Tak. Powiedział, że gdyby to był jego film, użyłby czegoś ciekawszego niż rower.

Reżyser wyraźnie zmarkotniał, ale po chwili podniósł wzrok na Bella i mruknął:

– Już rozumiem. Ubzdurałeś sobie, że będę potrzebował wariata na motorze.

– Niech pan obejrzy obrazki z tej kamery. – Isaac wskazał palcem obiektyw. – Czy nie jestem najlepszym motocyklistą filmowym?

Na niewielkiej opuszczonej bocznicy stał *Bremserhäuschen*, czyli brankard. Detektyw Curtis mówił Pauline, że taki wagon nazywano w Ameryce *caboose*. Miał duże, szprychowe koła jak wagon towarowy, wieżyczkę na jednym końcu, trzy prostokątne okna, cynowy komin i wentylatory na dachu, które kręciły się teraz wolno na wietrze. W samym środku były drzwi, a dwoje innych znajdowało się na przedniej i tylnej platformie.

Znów zaczynało padać. Zapadał zmrok. Pauline była zmarznięta, wygłodzona i wciąż znajdowała się kilkaset

kilometrów od francuskiej granicy. Co byłoby najlepsze w tej sytuacji, zastanawiała się w myślach.

W żadnym z okien nie paliło się światło, a z komina nie wydobywał się dym.

W pobliżu nie było nikogo. Cały dzień nie mogła się nadziwić kompletnej pustce otaczającej tory kolejowe. Liczba mieszkańców Niemiec wzrastała w zastraszającym tempie nawet podczas jej krótkiego życia, spodziewała się więc, że pociągi towarowe będą przejeżdżały przez ogromne miasta i zatłoczone przedmieścia. Zamiast tego mijały farmę za farmę i zdecydowanie więcej zwierząt niż ludzi. Wreszcie spotkało ją niespodziewane szczęście w postaci tego opuszczonego wagonu. W środku będzie mogła się wysuszyć i skryć przed porywistym wiatrem. Może nawet znajdzie coś do jedzenia.

Upewniwszy się po raz dziesiąty, że w okolicy nikt się nie kręci, pobiegła ile sił w nogach przez błotniste pole i wspięła się po niskiej drabinie na tylną platformę. Drzwi były zamknięte. Zeszła na ziemię i spróbowała środkowych drzwi. To samo. Podeszła do przedniej platformy tylko po to, by się przekonać, że tutaj również wejście jest zamknięte.

Z zimna zaczęła się trząść. Wieżyczka! Może na szczycie jest właz, którego nikt nie zamknął. Z boku przybudówki była drabina. Wspięła się po mokrych metalowych szczeblach, weszła na dach i uklękła, by mu się przyjrzeć. Po chwili zorientowała się, że cały dach służy za właz, który chybotął luźno, niezamknięty. Zeszła po drabinie w ciemność, zamykając właz za sobą, aby nie wpuszczać deszczu.

Po omacku znalazła lampę i pudełko zapalek. Początkowo bała się ją zapalić, bo ktoś mógł zauważyć światło, ale potem zdała sobie sprawę, że kolejarze śpią tutaj, gdy nie pracują. Nie pomyliła się. W oknach były zasłony. Pomagając sobie dłońmi, dotarła do okien, zasunęła zasłony, wróciła do latarni i zapaliła knot.

Rozejrzała się po pomieszczeniu.

Było tu czysto i przytulnie jak w domku dla lalek. Pod ścianami stały kuszetki z grubymi kocami, a w rogu piecyk naftowy z czajnikiem, którego widok natychmiast wywołał u niej gwałtowny napad pragnienia. W czajniku była woda. Rozpaliła naftę i w czasie, gdy woda się grzała, znalazła dwie puszki, z herbatą i z cukrem. Gdy natknęła się jeszcze na słoik z dżemem z jeżyn, miała ochotę rozplakać się ze szczęścia.

Łyzeczką wyjadała dżem, jednocześnie uważnie studiując wiszący na ścianie plan linii kolejowych. Szybko zrozumiała, czemu okolica jest tak wyludniona. Tory biegły niemal całkiem prosto na południowy wschód od Berlina, przez Güsten, Wetzlar i Koblenz do Metz w Alzacji-Lotaryngii. Trasa Berlin-Metzer Bahn omijała większe miasta, jak Lipsk czy Frankfurt, prowadząc w prostej linii do celu. Był to słynny *Kanonenbahn*, strategiczna linia wojskowa z łagodnymi zakrętami i biegnąca na wyrównanym gruncie, która miała służyć do szybkiego transportu dział i żołnierzy na granicę w przypadku francuskiej napaści. Patrząc na wschodnią część mapy, Pauline zobaczyła podobną prostą linię, ciągnącą z Berlina przez Polskę do granicy z Rosją.

Popijając herbatę – pierwszy ciepły napój od dwóch dni – Pauline sprawdziła swoją trasę z Berlina i zorientowała się, że czeka ją jeszcze bardzo daleka droga. Nagle usłyszała gwizd lokomotywy. Nadjeżdżała ze wschodu, kierując się w stronę Francji.

Pauline zgasiła lampę, otworzyła drzwi, wyskoczyła na podkład i schowała się za wieżyczką, zamierzając wskoczyć do pędzącego pociągu. Robiła to już dwa razy i nie zabiła się tylko dzięki temu, że detektyw Curtis był pewnego wieczoru w wyjątkowo rozmownym nastroju. Opowiedział jej, że kiedy jako chłopak często łapał pociągi na gapę,

starsi ulicznicy nauczyli go, że należy wskakiwać na przód pędzącego wagonu, nie na tył. Przyczyna była prosta: jeśli nie trafiłeś w przód, odbijałeś się tylko od ściany wagonu; jeśli jednak nie trafiłeś w tył, wpadałeś pod koła.

Ukucnęła na nasypie i zasłoniła dłonią oczy, by nie oślepiły jej reflektory lokomotywy. Miała wrażenie, że pociąg jedzie za szybko, ale gdy tylko lokomotywa ją minęła, pobiegła za nią, starając się chwycić drabinki przy jednym z wagonów. Potknęła się o podkład, upadła i zatoczyła się po nasypie, ale natychmiast wskoczyła na górę. Niestety, za późno. Ostatni wagon już zniknął w oddali.

Zrezygnowana wróciła do brankardu na bocznicę, nakryła się kocami i zasnęła na twardym materacu. Była wycieńczona i spała jak kamień. Śniła jej się, że coś nią potrząsa, ale wkrótce przestało. Później śniła jeszcze, że jedzie tramwajem po Berlinie, i czuła szarpnięcie za każdym razem, gdy przestawiano tory. W pewnym momencie tramwaj stanął. Po jakimś czasie ruszył znowu.

Nagle Pauline usiadła na łóżku, całkiem rozbudzona. Wagon się poruszał. Dосkoczyła do okna i odsłoniła zasłonę, zza której uderzyła ją seria świateł. Wagon pędził przez jakieś miasto, przyczepiony na końcu rozpędzającego się pociągu.

Jechał na zachód – do Paryża czy na wschód – do Berlina?

Naraz pośród łoskotu kół rozległ się dźwięk odsuwanych drzwi. Kolejarze, którzy doczepili wagon do pociągu, przyszli odpocząć.

Irina Violets i Christian Semmler siedzieli w apartamencie Semmlera na dziewiątym piętrze i oglądali najnowszy film Imperialu przed zaprezentowaniem go dystrybutorom. Finałowa scena przedstawiała chaotyczny pościg, w którym brały udział ciężarówki gubiące beczki z piwem, buchająca parą lokomotywa oraz motocykl, który przeskakiwał

nad beczkami i lądował tuż przy limuzynie Pierce-Arrow. Z samochodu wysiadła panna młoda w długiej sukni i wskoczyła na motor, który popędził dalej, zostawiając w tyle piwne ciężarówki. Po chwili wjechał na tory i teraz goniła go lokomotywa.

W pewnym momencie Semmler pochylił się bliżej ekranu i zaczął przyglądać się uważniej migoczącym obrazkom.

- Kim jest ten motocyklista? – spytał.
- Mam nadzieję, że to jakiś statysta, a nie aktor – odparła Violets. – Jak tak dalej pójdzie, to nie pożyje długo.
- Wygląda jak Isaac Bell.

Rozdział 34

Jak możesz to stwierdzić w tych gogłach?

- Po tym, jak prowadzi motor.
- Ale przecież Isaac Bell jest dyrektorem agencji ubezpieczeniowej z Connecticut. To nie może być on.
- Oczywiście, że nie – zamyślił się Semmler. – To mało prawdopodobne, żeby człowiek od ubezpieczeń podejmował się tak niebezpiecznych wyczynów.

Film skończył się szczęśliwie: młoda para pobrała się w luterańskim kościele i odpłynęła na miesiąc miodowy do Niemiec.

- Irino, chciałbym, żebyś zatrudniła Marion Bell.
- Żonę Bella?
- Jak szybko możesz ją tu sprowadzić?
- Choćby jutro, jeśli tylko się zgodzi. Akurat odwiedza ojca w San Francisco.
- Powinna się zająć naszą historią zachodniej kolei.
- Dlaczego właśnie ona?
- Jestem pewien, że tylko czeka na jakiś duży projekt.

Irina popatrzyła na siedzącego w cieniu Semmlera. Niemiecki generał był dziwny i pozwalał sobie na jeszcze dziwniejsze zachowania, ale jego pomysły zwykle przynosiły bardzo dobre rezultaty. *Żelazny rumak*, przygotowywany przez Imperial film o historii zachodnich linii kolejowych, miał być ambitną produkcją na dwie albo nawet trzy szpule. Marion Bell mogłaby wnieść do niego elementy reportażowe, a poza tym miała duże doświadczenie w kręceniu zdjęć w plenerze.

– Zadzwoń do niej. Oby tylko nie okazało się, że robi już coś nowego dla Prestona Whitewaya.

– Powiedz jej, że jeśli odejdzie od Whitewaya, dostanie do swojej dyspozycji całą flotę lokomotyw. Obiecuj jej, że zatrudnisz dla niej Theda Bara, Kinga Baggota i Florence Lawrence.

– Ona nie należy do osób, które zrywają umowy.

– To dodaj jeszcze, że może przywiązać Billy'ego Bitzera razem z kamerą do lokomotywy, jeśli sobie zażyczy. Chcę ją tutaj mieć. Natychmiast!

– Zadzwoń do San Francisco.

– Dobrze, a potem zabieraj się do pisania scenariusza z przystojnymi niemieckimi imigrantami kładącymi tory.

– Tego szczegółu domyśliłam się już sama – stwierdziła Viorets.

Gdy wyszła, Semmler zablokował drzwi.

Jak na kogoś, kto podaje się za bogatego dyrektora firmy ubezpieczeniowej, Isaac Bell zdecydowanie zbyt często pojawiał się w najmniej odpowiednich momentach z bronią w ręku. Teraz bawił się w statystę – i to akurat w filmie Imperialu.

Bell już od dłuższego czasu spędzał sen z powiek generała. Za pomocą prywatnej sieci telegraficznej niemieckiego wicekonsula z Los Angeles Semmler polecił konsulatowi w Nowym Jorku dokładne zbadanie firmy Dagget, Staples

& Hitchcock. Wkrótce dowiedział się, że agencja istnieje naprawdę, a Isaac Bell jest jednym z właścicieli.

Semmlera to nie przekonało. Firma Organy i Pianina z Lipska również sprawiała wrażenie prawdziwej. Kto wśród handlowców nie słyszał o sympatycznym komiwojażerze z Niemiec Fritzu Wunderlichu?

Isaac Bell uniemożliwił mu porwanie Lyndsa i profesora Beiderbeckego z pokładu „Mauretanii”. Potem przeszkodził mu w próbie uprowadzenia Lyndsa z pociągu Golden State Limited. A teraz ktoś niezwykle do niego podobny zaczął występować w jego filmach jako kaskader. Musiał sprawdzić, czy to rzeczywiście Bell.

A dopóki nie upewni się co do tego ponad wszelką wątpliwość, chciał mieć żonę Isaaca Bella w zasięgu ręki.

Słyszając, jak kolejarze otwierają zamek w środkowych drzwiach wagonu, Pauline porwała jeden z koców i wskoczyła na drabinę. Wpełzła na dach dokładnie w tym samym momencie, w którym pierwszy mężczyzna wszedł do środka, uskarżając się na zimno. Pęd powietrza na dachu pędzącego pociągu uderzył ją jak cios pięścią. Czuła w nim zapach palonego węgla i deszczu. Ponad drzewami i pastwiskami unosiły się gęste czarne chmury, znacznie ciemniejsze niż dym z lokomotywy. Przykucnęła za wieżyczką, próbując skryć się przed wiatrem.

Co zrobią ci ludzie, kiedy znajdą jej kubek z herbatą i pusty słoik po dżemie?

Pociąg jechał za szybko, aby można było z niego wyskoczyć, ale nawet gdyby stał, skok z dachu wagonu był zdecydowanie zbyt ryzykowny.

Spojrzała za siebie. Niebo było szare.

Popatrzyła przed siebie. Pociąg wyglądał jak długi czarny wąż. Z odległej lokomotywy strzelały iskry. Jeszcze nigdy w życiu nie jechała tak szybko. W sporadycznie

prześwitującym zza chmur słabym światłem poranka dostrzegła przyczynę. To był pociąg wojskowy. W niskich wagonach wieziono pojedyncze długie armaty i dwukołowe jaszczce artyleryjskie. Gdy pociąg wjechał w długi zakręt, dostrzegła wagony dla zwierząt, w których zapewne trzymano konie artyleryjskie, oraz wagony osobowe, prawdopodobnie wypełnione żołnierzami.

Co jest teraz najlepsze?

Nadzieja, że kolejarze pomyślą, że jacyś włóczędzy włazili się do wagonu i zabrali trochę jedzenia. Ale jak wyszli, skoro drzwi były zamknięte? Przez właz w wieżyczce? Nadzieja była jedynym, co jej w tej chwili pozostawało; nadzieja, że nie czytali Sherlocka Holmesa.

Chmury rozbłysły od uderzeń piorunów. Poczowała mroźny powiew wiatru. Okryła ramiona przywłaszczonym kocem i modliła się o cud. Nagle, zgodnie z jej najgorszymi obawami, właz na wieżyczce zaczął się unosić. Któryś z kolejarzy chciał sprawdzić, czy włamywacz nie chowa się na dachu.

Niespodziewanie huknął grom, tak mocno, że wieżyczką aż zatrzęsło.

Właz zamknął się z trzaskiem.

Kolejny piorun trafił w lokomotywę. Gromy uderzały raz po raz, zupełnie jakby sam Donar zobaczył pociąg i stwierdził, że mu się nie podoba. Ale Pauline była w tej chwili najszczęśliwszą dziewczyną na świecie: bóg piorunów ocalił ją przed kolejarzami.

Drugi piorun trafił w lokomotywę, która zapłonęła niebieskim ogniem. Pociąg zaczął zwalniać i po chwili stanął przy huku dobijanych łączników.

Kule energii elektrycznej tryskające z kół lokomotywy przeskoczyły na stojące przy torach drzewo. Żywica eksplodowała w obłokach rozgrzanej pary, rozrywając pień na miliony kawałków. Pauline zobaczyła zbliżający się w jej

kierunku po dachach wagonów zielony jęzor płomienia i poczuła pierwsze ułtucia prądu elektrycznego. Ściskając plecak z całych sił, zeszła po drabinie i uciekła w las.

Isaac Bell porwał Marion w ramiona, gdy tylko wyszła z pociągu Coast Line Limited z San Francisco. Pocałował ją, a potem ona pocałowała jego. Wziął torbę żony i przekazał bagażowemu jej kwit, adres ich hotelu i sowity napiwek.

– Dziękuję, jest pan bardzo hojny – powiedział uradowany mężczyzna.

– Bo bardzo się cieszę na widok mojej pięknej żony – odparł Bell.

– Trudno sobie wyobrazić, by mogło być inaczej, proszę pana.

Małżonkowie pocałowali się jeszcze raz.

– Andrew znalazł nam dom do wynajęcia, niedaleko jego posiadłości na Bunker Hill – powiedział Isaac do Marion. – Trwają jeszcze przygotowywania, więc wynająłem pokoje w hotelu Van Nuys.

Zeszli z peronu, trzymając się za ręce.

– Jaka była twoja pierwsza myśl, gdy Irina zaproponowała ci tę pracę?

– Ucieszyłam się, że cię zobaczę.

– A potem?

– Pomyślałam, że *Żelazny rumak* będzie bardzo skomplikowaną produkcją. To bardzo rozbudowana historia jak na trzy rolki filmu, więc natychmiast zaczęłam się zastanawiać, jak namówić Irinę na cztery.

– A następna myśl?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Cóż, to kwestia techniczna. Chciałabym odświeżyć metodę „wędrujących obrazków”, którą stosowano lata temu. Polega na tym, że kamera porusza się razem z akcją.

Od jakiegoś czasu jest to bardzo niepopularne. Wszyscy mają fioła na punkcie zbliżeń twarzy. Ale gdyby poprowadzić kamerę na wózku toczącym się płynnie po prostym torze... zwłaszcza biorąc pod uwagę, że w pierwszych scenach chcę pokazać galopujących pracowników Pony Express, jeszcze sprzed czasów kolei... Sam widzisz, że to techniczne sprawy.

– Nie zastanawiałaś się, dlaczego Irina chciała cię zatrudnić?

– Nie.

– Ani przez chwilę?

– Przy filmach pracuje sporo kobiet, ale mężczyźni jest zdecydowanie więcej, a przekonałam się, że kobiety zwykle lepiej dogadują się z innymi kobietami. Poza tym Irina wie, że robię filmy o bieżących wydarzeniach, więc jestem przyzwyczajona do pracy w plenerze. A czemu pytasz?

– Chyba znasz moje zdanie o zbiegach okoliczności – odpowiedział Bell z uśmiechem.

– Bardzo ich nie lubisz.

– Irina pracuje w firmie, która przyciągnęła moją uwagę w związku ze sprawą Kina Dźwiękowego.

– Wytwórnia Imperial. To tam zainstalowałeś Clyde'a.

– Okazuje się, że Imperial jest jedną wielką zagadką.

Wydaje o wiele więcej pieniędzy, niż zarabia. Nikt nie wie, skąd biorą dodatkowe fundusze. I zatrudniają małą armię prywatnych detektywów do sukcesywnego wypędzania twardzieli Edisona z Los Angeles.

– To wspaniale!

– Najprawdopodobniej robią to, by zyskać sympatię niezależnych reżyserów.

– To świetna metoda na zdobycie wielu nowych filmów.

– A teraz ni z tego, ni z owego zatrudniają moją żonę.

Bardzo dziwne.

– Możesz przestać się tym przejmować. Irina nie zadzwoniła do mnie, żeby zaoferować mi tę pracę.

– Nie?

– Zadzwoniła, żeby spytać, czy zamierzam w najbliższym czasie wpaść do Los Angeles, i jeszcze żeby spytać mnie o radę, kogo powinna zatrudnić do nakręcenia *Żelaznego rumaka*. Wymieniłam kilka osób, które moim zdaniem by się do tego nadawały – na przykład Christinę Bialobrzeską. Pamiętasz ją?

– „Polska hrabina” z nowoorleańskim akcentem.

– Irina była bardzo wdzięczna, a kiedy się już żegnaliśmy, zupełnie spontanicznie zapytała, czy może ja byłabym zainteresowana.

– Dlaczego nie zapytała cię o to od razu?

– Sądziła, że robię już coś dla Prestona. Zapewniłam ją, że jestem wolna. I tak trafiłam tutaj. Najprawdziwszy zbieg okoliczności.

– Miło mi to słyszeć. Ale zawsze lepiej dmuchać na zimne, więc... czy nie chciałabyś zostać detektywem?

– Pod twoją kuratelą? – spytała z uśmiechem.

– W pewnym sensie. – Bell odwzajemnił uśmiech.

– I co miałabym robić?

– Być bardzo uważną i mówić mi o wszystkim, co choćby w najmniejszym stopniu odbiega od normy. A przy okazji podwójnie dbać o swoje bezpieczeństwo.

– Na razie mogę ci powiedzieć, że wszystko, co usłyszałam od Iriny na temat *Żelaznego rumaka*, było najzupełniej normalne w przypadku tak wielkiej produkcji.

– Chcę wiedzieć, czym oprócz robienia filmów zajmuje się Wytwórnia Imperial.

Biuro Agencji Detektywistycznej Van Dorn w Los Angeles mieściło się w dwupiętrowym magazynie przy Second Street, na końcu alei zajmowanej przez tartaki, sklepy

z narzędziami, różnymi maszynami i sprzętem malarskim. Miejscowi detektywi żalowali, że ich siedziba nie ma równie prestiżowej lokalizacji jak siedziby ich kolegów z Nowego Jorku, Chicago czy Waszyngtonu. Doceniali natomiast fakt, że dzięki wielu tylnym wyjściom i połączeniom ze stojącymi obok sklepami złoczyńcy mieliby utrudnione zadanie, gdyby kiedykolwiek chcieli obserwować ich działalność.

Texas Walt Hatfield dostojnie wkroczył do biura, ścierając bandaną drewniane wióry z butów, a zaraz po nim przybył Isaac Bell, strzepując ze swoich niewielkie fragmenty metalu. Obaj mężczyźni byli w swoich przebraniach: Hatfield w stroju kowboja, a Bell w kasku i goglach motocyklisty.

Tex nie zauważył niczego podejrzanego w studiach w budynku Imperial, Isaac również nie dowiedział się niczego nowego. Tego popołudnia zakończyli zdjęcia do *Córki piwowara* i reżyser od razu zaproponował Bellowi kolejną rolę, w niemającym jeszcze tytułu filmie o motocykliście i porwanym pociągu towarowym.

– Mogę cię o coś spytać, Walt?

– Dawaj – odparł Hatfield, ciekawy, o co może chodzić, bo jego przyjaciel rzadko rozpoczynał rozmowę w ten sposób. Musiał mieć na myśli coś szczególnego.

– Czy podczas pracy w budynku Imperial nie czułeś się nigdy dziwnie?

– To znaczy jak?

– Tak jakbyś był... – Isaac urwał w pół słowa i spojrzał Tekszańcykowi w oczy. Nie zadałby takiego pytania zwykłemu detektywowi, ale Hatfield był urodzonym łowcą, wychowanym przez Komanczów. Ze wszystkich współpracowników Bella właśnie on był najbardziej wyczulony na zmiany w otoczeniu.

– Obserwowany? – dokończył za niego Tex.

– Zauważyłeś to, prawda?
– Owszem, miałem wrażenie, że ktoś mi się przygląda z ukrycia. Nie zwracałem na to uwagi, bo przecież cały czas kręcili mnie ci goście od kamer.

Bell pokiwał głową.

– Ty też to czułeś? – zapytał Hatfield.
– Owszem, raz.
– Gdzie?
– W studiu nagrań na czwartym piętrze.
– A w laboratorium Clyde’a?
– Być może, ale na pewno nie tak wyraźnie.
– Sądzisz, że ktoś zagląda przez ukryty wizjer z pokoju obok?

– Jest sposób, żeby się przekonać.

Bell przeszedł na koniec korytarza do Larry’ego Saundersa, świeżo upieczonego szefa biura w Los Angeles. Saunders, gładko przyczesany elegancki mężczyzna, miał na sobie białą płócienną marynarkę, idealną na upały. Bell nosił podobną, ale jego marynarka została skrojona w taki sposób, by można było pod nią schować pistolet automatyczny i zapasowy magazynek, a w rękawie czy w kieszeni ukryć pistolet na szczególne okazje. Marynarka Saundersa była dopasowana tak idealnie, że trudno byłoby w niej ukryć jakąkolwiek broń większą od sztyletu. Na wieszaku w jego gabinecie wisiał biały melonik i kilka jedwabnych szalików. Bell miał nadzieję, że przynajmniej pod melonikiem dało się schować niewielkiego derringera. Bo z pewnością nie w skórzanych sandałach.

– Larry – zwrócił się do Saundersa – kogo od ciebie powinienem posłać do ratusza, żeby przejrzał plany architektoniczne budynku Imperialu?

– Holiana.

– Chyba go już spotkałem. Porządnie zaokrąglony, przypomina trochę barmana?

– Tak, to Tim, choć muszę zaznaczyć, że widziałem, jak równie przekonująco udawał wykidajkę w burdelu.

– Nie chcę, żeby to dotarło do właściciela budynku.

– O to proszę się nie martwić, panie Bell. Urzędnicy miejscy jedzą Holianowi z ręki. Nie ma w tym mieście grobu, którego nie mógłby rozkopać. Zrobią wszystko, o co poprosi, i to z uśmiechem na ustach. – Saunders musnął dłonią swój nienaturalnie cienki wąsik, który Walt Hatfield porównał kiedyś do kobiecej brwi, i dodał: – Nie zaszkodziłoby, gdyby Holian miał do dyspozycji trochę pieniędzy podczas swoich poszukiwań.

– Zapisz, ile ci będzie potrzeba, na rachunek Kina Dźwiękowego. Przekaż mu, że interesują mnie plany czwartego i ósmego piętra oraz poziomu apartamentów – każdy pokój i każdy schowek.

Rozdział 35

Isaac Bell otrzymał długi, oparty na przypuszczeniach raport od Grady’ego Forrera przez telegraf, który był sto razy szybszy niż poczta, ale nie zapewniał przejrzystości i precyzji listu ani możliwości prowadzenia aktywnej wymiany informacji, jak w przypadku rozmowy telefonicznej. Lynds twierdził, że jego mikrofon elektryczny przyczyni się do stworzenia w niedalekiej przyszłości urządzeń wzmacniających słaby sygnał elektryczny, co pozwoli na wykonywanie telefonów do dowolnego miejsca na kontynencie. Dla Isaaca Bella ta przyszłość była już spóźniona.

Regularnie wymieniali się z Gradym Forrerem telegramami przez prywatną sieć Van Dorna. Poszukiwania Grady’ego wreszcie przyniosły rezultaty w postaci prywatne-

go niemieckiego banku handlowego Hamburg Bankhaus, który prawdopodobnie przekazywał pieniądze Wytwórni Imperial.

NA PEWNO?

W GRANICACH ROZSĄDKU.

POWIĄZANIA KRIEG Z IMPERIAL?

JESZCZE NIE.

POWIĄZANIA KRIEG Z HAMBURG BANKHAUS?

JESZCZE NIE.

Isaac Bell zaprosił telefonicznie Andrew Rubenoffa, przedstawił mu podejrzenia analityków i spytał:

– Czy ten bank z Hamburga jest prawdziwy, czy to również podpucha?

– Kto go namierzył?

– Sekcja analityczna Van Dorna.

– Jestem pod wrażeniem – przyznał Rubenoff. – Chylę czoło. Mało kto spoza kręgów finansowych słyszał o Hamburg Bankhaus.

– Przekażę im twoje pochwały. A więc, czy to prawdziwy bank, czy kolejna przykrywka?

– Jak najbardziej prawdziwy. Obsługują głównie niemieckie przedsiębiorstwa prowadzące działalność w Stanach. Są głównym źródłem finansów przede wszystkim dla firmy Organy i Pianina z Lipska.

– Sklepy z pianinami?

– Na pewno je znasz. Firma operuje na terenie całej Ameryki – w niemal każdym mieście otworzyli filię z instrumentami. Swoją drogą to ciekawe, że o nich rozmawiamy.

– Dlaczego?

– Byłem w jednym z tych sklepów kilka dni temu, szukając nut. Ale nie mieli już na składzie muzyki do *Słodkiej tajemnicy życia*.

– To bardzo popularny utwór.

– No właśnie. Jeżeli w sklepie muzycznym brakuje nut do najnowszej piosenki Victora Herberta, to znaczy, że z firmą dzieje się coś złego.

– Albo z wydawcą.

– Wydawcy zawsze obarczają winą za wszystko sklepy. Albo dlatego, że nie zamówili wystarczająco wielu egzemplarzy, albo za zwłokę ze spłacaniem rachunków. Ale w tym przypadku to może być prawda. Wybór w tym sklepie był naprawdę bardzo skromny. Najnowsza piosenka, jaką udało mi się znaleźć, to *Kocham swoją żonę, dziecko*. Nuty zdążyły już pożółknąć.

– A jak wyglądały ich pianina?

– W porządku. Dobra niemiecka jakość.

– Gdzie znajduje się główna siedziba firmy?

– W Lipsku, zgodnie z nazwą.

– A tutaj, w Stanach?

– O ile wiem, mają przedstawiciela handlowego.

– Więc jak prowadzą interesy?

– Przedstawiciel handlowy ma szerokie upoważnienia i wysoką prowizję. Załatwia wszystkie sprawy, które trzeba prowadzić na miejscu. Resztą zajmuje się centrala w Lipsku.

– Ta firma nie należy przypadkiem do koncernu Krieg?

– Gdyby tak było, nie musieliby pożyczać pieniędzy z Hamburga. Przez Krieg mieliby o wiele korzystniejszy procent.

Bell zastanawiał się nad swoim kolejnym krokiem.

– Opowiedz mi o pianinach, wujku Andy.

Szklana witryna sklepu firmy Organy i Pianina z Lipska była lśniąca i przezroczysta, jakby sklep otwarto ledwie wczoraj, skonstatował Isaac Bell, przechodząc szybkim krokiem obok budynku. Pomimo ewentualnych braków w asortymencie od frontu sklep prezentował się bez zarzutu. Bell zatrzymał się przy szybie, wyciągnął z kieszeni

zegarek na grubym złotym łańcuszku, udał, że sprawdza, czy ma chwilę wolnego czasu, i wreszcie wszedł do środka.

Wzdłuż ścian stały pianina, każde opatrzone fantazyjną złotą tabliczką z nazwą „Lipsk”. Na obrotowych półkach z mahoni umieszczono nuty, a na przeszklonej ladzie wystawiono metronomy i zbiory hymnów.

Sprzedawca, mężczyzna w średnim wieku o postawie byłego wojskowego, wstał zza swojego biurka przy drzwiach na zaplecze.

– Tak? – zapytał chłodno.

– Szukam pianina dla swojej siostrzenicy – odparł Bell. – Jej nauczycielka bardzo ją chwali i doradza regularne ćwiczenia.

– Mamy listę oczekujących na nowe zamówienia.

– Ile czasu musiałbym czekać?

– Trudno powiedzieć.

– Miesiąc? Dwa?

– Raczej sześć miesięcy do roku. Każdy z naszych wyrobów jest przygotowywany niezwykle starannie. Bardzo dbamy o jakość.

– Używacie strun produkcji Stahl und Drahtwerk?

Szczęka sprzedawcy drgnęła.

– Czy może raczej tych od Moritza Poehlmana z Norymbergi?

Mężczyzna patrzył przed siebie, prosto na zawiązany na cztery krawat Isaaca Bella.

– Nie wiem tego – powiedział wreszcie. – Ale płyty rezonansowe wykonujemy z odlewane go żelaza.

– Mam nadzieję – stwierdził Bell. – Czy mógłby pan zagrać dla mnie na kilku? Chciałbym usłyszeć różnice.

– Może pan sam wypróbować, jeśli pan sobie życzy.

– Niestety, nie potrafię. Więc gdyby pan mógł to zrobić...

Ponowne drgnięcie szczęki.

– Niestety, to niemożliwe – odparł mężczyzna po chwili wahania.

– Sprzedawca w sklepie muzycznym nie umie grać?

– Mam uraz dłoni.

– Bardzo mi przykro. Czy mógłby pan zatelefonować do swojego przedstawiciela handlowego?

– W jakim celu?

– Chciałbym go zapytać, czy mógłbym kupić pianino w terminie krótszym niż sześć miesięcy.

– Przykro mi, nie ma go w pobliżu.

– W takim razie może ktoś z waszej centrali mógłby mi pomóc?

– Niestety nie.

– A czy mógłbym prosić chociaż o adres waszego reprezentanta? Napiszę do niego.

– Jest ciągle w podróży.

Bell podszedł do okna i zatrzymał się przy nim na dłuższą chwilę.

Na chodniku przed sklepem pojawiła się grupka modnie ubranych młodych ludzi w szampańskich nastrojach. Chi-chocząc i poszturchując się wzajemnie, weszli do środka. Gromko przywitani się ze sprzedawcą i, przekrzykując się jedno przez drugie, zaczęli pokrętnie tłumaczyć, że chcą wypożyczyć pianino na wieczór. Informację, że sklep nie prowadzi wypożyczalni, skwitowali gromkim śmiechem.

– W takim razie kupujemy.

– Zrobimy zrzutkę.

– Mam czek od ojca. Ja stawiam.

– Może to? – zawołała jedna z dziewcząt i po chwili cała grupa zebrała się wokół wskazanego modelu.

Dwoje usiadło obok siebie na ławeczce. Unieśli klapę i zaczęli grać popularny duet ragtime'owy.

Sprzedawca wyszedł zza lady, pokrzykując:

– Nie na sprzedaż! Nie na sprzedaż!

Gdy w końcu udało mu się wyprosić niedoszłych hałaśliwych klientów, zorientował się, że wysoki złotowłosey dżentelmen szukający pianina dla siostrzenicy zdążył w międzyczasie również opuścić sklep.

No i chwała Bogu, pomyślał, zamykając drzwi na klucz.

– Dobra robota – powiedział Bell, zwracając się do młodszych detektywów i sekretarek z biura w Los Angeles. – Idealnie zagraliście „bananową młodzież” szukającą hecy. Biedaczysko zupełnie nie wiedział, co się dzieje.

– Znalazł pan to, czego pan szukał, panie Bell? – zapytał ktoś.

Spojrzenia wszystkich skupiły się na twarzy legendarnego głównego śledczego Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

– Dzięki wam udało mi się zabrać z jego biurka list i wizytówkę – odparł Isaac. – Firmę Organy i Pianina z Lipska reprezentuje niejaki Fritz Wunderlich, odbierający pocztę w hotelu Brown Palace w Denver.

Isaac Bell skontaktował się telegraficznie z biurami agencji Van Dorna na terenie całego kraju, polecając, by sprawdzono lokalne sklepy firmy z Lipska i spróbowano dowiedzieć się czegoś więcej. Szefowie oddziałów zatrudniających młodszych detektywów wysłali ich do miejscowych pod pretekstem zakupu pianina dla szkoły lub kościoła. Agenci pracujący samodzielnie albo w dwuosobowych zespołach powtarzali manewr Bella i twierdzili, że szukają instrumentu dla swoich pociech.

Sam Bell pojechał wieczornym pociągiem do Salt Lake City, tam przesiadł się na skład linii Overland Limited i nad ranem był już w Denver. Z dworca przeszedł się spacerkiem do hotelu Brown Palace, jednego z ulubionych miejsc spotkań w mieście. Minął recepcję i zapukał do pierwszych

drzwi po lewej. Otworzył mu Omar P. Armstrong, jeden z właścicieli hotelu, i zaprosił na śniadanie.

Gdy szli przez szerokie atrium udekorowane elementami z marmuru i żeliwa, w którym kolejne piętra łóż sięgały aż do sufitu na wysokości trzydziestu metrów, Bell zapytał:

– Czy spotkałeś kiedyś handlowca o nazwisku Fritz Wunderlich?

– Fritza? Oczywiście.

Isaac spodziewał się takiej odpowiedzi. Armstrong znał chyba każdą mniej czy bardziej znaczącą postać na zachód od Missisipi.

– A widziałeś go ostatnio?

– Pojawia się tu regularnie, co dwa, trzy tygodnie.

– Co to za facet?

– Sympatyczny – odparł Armstrong zdawkowo.

Bell zdawał sobie sprawę, że każdy, kto zarządza tak dużym hotelem, musi być spostrzegawczy jak czujka na statku wielorybniczym i dyskretny jak burdelmama w przybytku dla elity. Innymi słowy, Omar nie udzieli żadnych informacji o gościu swojego hotelu, chociaż na pewno sporo o nim wie.

– Długo go znasz?

– Skoro chcesz dowiedzieć się czegoś o Wunderlichu, zapytaj jego przyjaciół.

Zatrzymali się przy wejściu do jadalni. Goście jedli śniadania przy dużych stołach nakrytych białymi jak śnieg obrusami i zastawionych błyszczącym srebrem i drogą chińską porcelaną. Armstrong ruchem głowy wskazał stolik pod wysokim wykuszowym oknem. Siedziało przy nim trzech niezwykle elegancko ubranych mężczyzn zajętych ożywioną rozmową.

– Mogę cię przedstawić, jeśli sobie życzysz.

– Co to za komiwojażer, którego trzeba przedstawiać – odparł z uśmiechem detektyw i pewnym krokiem ruszył do

stolika. – Dzień dobry, panowie. Isaac Bell, ubezpieczenia. Mogę się przyłączyć?

Mężczyźni zlustrowali jego szyty na miarę garnitur, starannie wypastowane buty i uśmiech wart milion dolarów.

– Siadaj, bracie. Śmiało. Kelner! Kawa dla pana Bella. Albo coś mocniejszego, jeśli sobie życzy.

– Kawa będzie w sam raz. Czeka mnie długi dzień.

Wszyscy wymienili z nim uścisk dłoni i przedstawili się. Przedstawiciel firmy Gillette Safety Razor, handlowiec z Locomobile i wysłannik producenta płatków śniadaniowych.

– Panie Bell, proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę, ale czy nie jest pan właścicielem jednego z naszych mobilów? – zapytał człowiek z Locomobile.

– Tak mi się właśnie wydawało, że to ty, Jake – odparł Isaac. – Spotkaliśmy się w Bridgeport, gdy odbierałem swój wóz z fabryki.

– Czerwony, dobrze pamiętam?

– Czerwony jak wóz strażacki.

– I jak się sprawuje?

– Jak marzenie. Jak ten świat jest mały. Kilka dni temu spotkałem jeszcze jednego handlowca. Kiedy rozmowa zeszała na automobile i wspomniałem mu o moim cudeńku, przyznał, że zna człowieka, który robi w tym interesie. Może chodziło mu o ciebie.

– Bardzo możliwe. Jak się nazywał ten jegomość?

– Był Niemcem. Fritz Wunderlich.

– Fritz! No jasne, spotkaliśmy go niedawno w... no, gdzie to było?

– W Chicago?

– Tak, w Chicago. Niezły z niego numer, co? *Mit schlag!*

– „Czas to pieniądz”.

– „Osiem dni w tygodniu”.

– Musi być dobry – stwierdził Bell.

– Świetny, bez dwóch zdań.

– Ma fart, że urodził się z takim uśmiechem – zauważył ten od płatków.

– Co masz na myśli? – spytał Isaac.

– No przecież sam widziałeś... Fritz jest pracowity jak mrówka, ale wygląda trochę jak małpa.

– Trochę? – parsknął Jake. – Wygląda, jakby jeszcze wczoraj wcinał banany prosto z drzewa.

– Chodzi wam o te długie ręce?

– Dokładnie jak u małpy. Twarz zresztą też.

– Jak dla mnie, wcale nie wygląda tak źle – zaprotestował Bell.

– A dla mnie owszem – stwierdził Jake.

– Przesadzasz – odparł Isaac. Wyjął z kieszeni notatnik i wieczne pióro i naszkicował twarz mężczyzny z wydatnymi łukami brwiowymi. – Wprawdzie marny ze mnie rysownik, ale Fritz wygląda mniej więcej tak.

– Nie, raczej tak – powiedziały płatki zbożowe, sięgając po swój rejestr zamówień i długopis.

– Obaj jesteście ślepi – zaśmiały się żyletki, gdy facet od płatków skończył swój rysunek. Handlowiec z Gillette otworzył własny rejestr i naszkicował w nim portret. – Fritz wygląda tak.

– Zero podobieństwa – orzekł Bell, przy żarliwym poparciu płatków śniadaniowych. – A jak ty sądzisz, Jake?

Przedstawiciel Locomobile z Bridgeport wyciągnął swój rejestr. Isaac obserwował ruchy jego dłoni z zapartym tchem. Jake był jego ostatnią nadzieją na portret, który choć trochę przypominałby Fritza Wunderlicha. Po chwili okazało się, że rzeczywiście miał przynajmniej trochę artystycznego zacięcia.

– Sądzę, że wygląda tak – powiedział, naszkicowawszy pociągłą twarz o głęboko osadzonych oczach i wydatnych łukach brwiowych.

Pozostali patrzyli na efekt jego pracy z niedowierzaniem.

– Trafiłeś w sedno – orzekły żyletki. – To właśnie Fritz, bez dwóch zdań.

– Chyba masz rację – zaryzykował Bell, szukając ostatecznego potwierdzenia w płatkach śniadaniowych.

– Zdecydowanie – przytaknęły płatki.

– A niech mnie, Jake! Jesteś urodzonym grafikiem.

Świeżo upieczony artysta uśmiechał się promiennie.

– Mogę na chwilę? – Isaac podniósł rysunek i przyjrzał mu się w świetle padającym z okna. – Tak, właśnie tak go zapamiętałem. Naprawdę masz talent, Jake.

– No nie, przestańcie już. – Jake aż się zarumienił. – Po prostu zanim wszedłem do handlu, zaczynałem przy desce kreślarskiej. Naprawdę myślicie, że to dobry rysunek?

– Jasne! – zapewnił Bell. – Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli go sobie zatrzymam?

– Powinieneś mu zapłacić – oznajmił ze śmiechem ten od żyletek. – To prawdziwe dzieło sztuki.

– Racja – przyznał Isaac i sięgnął po portfel. – Ile?

– Nie, nie! – Jake aż podskoczył. – Weź go sobie, nie ma sprawy.

– Dobrze. Ale możesz być pewny, że gdybym potrzebował nowego samochodu, uderzę prosto do ciebie.

– Tylko nie pokazuj tego Fritzowi – zarechotały płatki.

– I tak nieważne, jak on wygląda – stwierdził Jake. – Kiedy pokaże ten swój uśmiech, każdy kupi od niego wszystko.

– Nie byłbym taki pewien – wtrąciły żyletki.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Bell

– A ten znowu swoje – zbulwersowały się płatki.

– Jakiego swoje? – drążył Bell.

– Chodzi o te sklepy jego firmy. Po prostu nie zauważyłem, żeby sprzedawały zbyt dużo. Na moje oko z tą firmą coś jest nie tak.

– Widziałem jeden z ich sklepów w Los Angeles – powiedział Isaac. – Był bardzo elegancki.

– Możliwe, ale spróbuj tam kupić jakiś instrument, a pokażę ci listę oczekujących dłuższą niż moje ramię.

– Albo ramię Fritza – rzucił Jake i wszyscy wybuchli śmiechem.

– Wiecie, gdzie on teraz jest? – spytał Bell.

– Mam nadzieję, że nie słucha tego zza stolika obok – odparł Jake, a pozostali rozejrzeli się wokół z przestraszeniem.

– Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy go widziałem – kontynuował Isaac. – Jakies dwa tygodnie temu, może trochę więcej. Jak ten czas leci... Czy któryś z was widział go ostatnio?

– W Chicago mówił chyba, że wybiera się do Los Angeles.

Isaac Bell zaniósł podobiznę Fritza Wunderlicha do redakcji „Denver Post” i u tamtejszego rysownika zamówił kilkanaście kopii, które polecił dostarczyć na wszystkie dworce w mieście. Do południa kopie wyruszyły na pokładach pociągów linii Adams Express, American Express i Wells Fargo do biur agencji Van Dorna w Nowym Jorku, Bostonie, Chicago, Cincinnati, St. Louis, San Francisco i Los Angeles – miastach, gdzie znajdowały się niemieckie konsulaty.

Nelson Mills, młodszy detektyw z oddziału agencji Van Dorna w Nowym Jorku, wyszedł ze sklepu firmy Organy i Pianina w dzielnicy Heights. Idąc do stacji metra Hudson, które miało go zabrać z powrotem na Manhattan, przeglądał swoje notatki i układał w głowie pierwsze zdania raportu: „Co najmniej rok oczekiwania na pianino, brak organów i nuty kończące się na roku 1905 skłaniają do sformułowania wniosku, że firma Organy i Pianina z Lipska to tylko przykrywką dla jak na razie nieokreślonego niegodziwego przedsięwzięcia”.

Wtem przypomniał sobie pouczenie detektywa Harry'ego Warrena, że jeśli naprawdę chce, aby szefowie przeczytali jego raport, to powinien każde trzy słowa zastępować jednym. Natychmiast przekreślił w myślach sformułowanie „skłaniają do formułowania wniosku”, zastępując je słowem „wskazują”, i zaczął się zastanawiać nad wyrzuceniem słowa „niegodziwego”, gdy nagle wpadł na stojącego na chodniku wielkiego mężczyznę.

– Niezmiernie pana przepraszam.

W odpowiedzi na przeprosiny dostał pięścią w twarz.

Chłopak upadł na plecy, z nosa pociekła mu krew. Szybkość uderzenia zdezorientowała go całkowicie, ból zagłuszał myśli, a łzy oslepiały. Bardziej wyczuł, niż zobaczył, jak mężczyzna pochyła się nad nim, i wydusił z siebie:

– Za co?

Olbrzym wyszarpnął Millsowi notatnik i podarłszy na strzępy, resztki rzucił mu na uwalaną krwią koszulę.

– Hej, to moje...

Ciężki but wbił mu się w bok. Po jego żebrach rozszedł się przeraźliwy ból. Nelson zrozumiał, że napastników jest dwóch, ale było już za późno, by ta wiedza mogła mu się na coś przydać. Grad kopniaków zdawał się nie mieć końca.

Rozdział 36

W biurze w Los Angeles na Isaaca Bella czekał stos nieprzyjemnych telegramów. Agenci z Cincinnati, Chicago, Ohio i New Jersey donosili, że ich podopieczni zostali pobici krótko po przeprowadzeniu działań operacyjnych związanych ze sklepami Organy i Pianina z Lipska. Dwóch trafiło do szpitala, a jednemu chłopakowi z New Jersey udzielono ostatniego namaszczenia.

Wzburzeni szefowie biur domagali się pozwolenia na aresztowanie właścicieli sklepów, ale po krótkiej wymianie wiadomości Bell uświadomił sobie, że nie mają żadnych dowodów przeciwko sklepikarzom. Do napaści dochodziło zawsze z dala od ich przybytków.

Jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji jako główny śledczy, było przypomnienie stałego polecenia w kwestii zidentyfikowanych rzeźmieszków i zabijaków napadających na detektywów:

ZNIECHĘCIĆ SPRAWCÓW DO KOLEJNYCH NAPAŚCI.

Do gabinetu Bella zajrzał Larry Saunders z kilkoma rolkami planów budowlanych pod pachą.

– Jak ci poszło w Denver?

Isaac podał mu szkic sprzedawcy z Locomobile.

– Przekaż to ludziom obstawiającym rezydencję wicekonsula. Wunderlich istnieje, ale ostatnio nikt go nie widział. Czego dowiedział się Holian w ratuszu?

Saunders rozwinął plany na biurku, brzegi przygnietli swoimi pistoletami.

– Czwarte piętro. Ósme piętro. Apartamenty. Nie widzę tu miejsca, z którego można by prowadzić obserwację. Tylko zwykłe pokoje i schody. Może ewentualnie w tym składziku na ósmym piętrze.

Bell przyjrzał się planom i przyznał mu rację. Ukryte wizjery nie wchodziły w grę.

– Co ciekawe – dodał Saunders – Holian zwrócił uwagę, że urzędnik, który dawał mu te plany, zachowywał się bardzo nerwowo.

– O czym to może świadczyć jego zdaniem?

– Może facet wiedział więcej, niż chciał zdradzić. Holian chciał tam powęszyć dokładniej, ale powiedziałem mu, że sam się tym zajmę.

Bell uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Wszyscy w ratuszu wiedzą, że Holian pracuje dla nas. Mnie nigdy nie widzieli.

– W takim razie do dzieła – odparł Isaac.

Wychodząc, Saunders minął się z recepcjonistą.

– Przesyłka od kuriera z linii Southern Pacific, panie Bell.

Była to niewielka paczka owinięta w brązowy papier. Ważyła sporo jak na swoje gabaryty i czuć było od niej smar maszynowy. Isaac zawahał się, ważąc ją w dłoni.

– Znasz tego kuriera?

– Oczywiście. Benson pracuje tutaj od lat.

– Więc to chyba nie bomba, co? – Bell zaśmiał się i przeciął papier swoim nożem do rzucania. W środku znajdowało się drewniane pudełko. Otworzył je. W ochronnej warstwie bawełny spoczywał niewielki metalowy przedmiot.

– Co to tam jest, panie Bell?

– Nożyce do drutu.

Do paczki dołączona była krótka wiadomość nabazgrana wielkimi, koślawymi literami przez Mike'a Malone'a: „Wybacz, że tak długo. Miałem problemy z rozmiarem. Mam nadzieję, że będziesz zadowolony”.

– Nie wiedziałem, że mogą być takie małe. – Recepcjonista z podziwem przyjrzał się narzędziu. – Myśli pan, że będą działać?

Mike zapewne przewidział te wątpliwości, bo w pudełku znajdował się jeszcze kawałek plecionej drucianej linki. Bell przyłożył do niej ostrza nożyc i ścisnął uchwyt. Drut rozpadł się na dwoje z głośnym trzaskiem.

Pauline Grandzau wyskoczyła z pociągu towarowego przy starodawnym, warownym mieście Metz. Obawiała się, że dalej mogliby ją złapać strażnicy kolejowi. Okrążyła gęsto porośnięte szańce, chowając się przed policjantami

i innymi ciekawskimi za krzakami i wysokimi drzewami, po czym ruszyła wzdłuż ruin jeszcze dawniejszego rzymskiego akweduktu, które, według mapy kolejowej, biegły równolegle do torów, kończąc się przy brzegu Mozeli. Przeszła wiele kilometrów w bardzo rzadkim świetle, orientując się na stosy kamieni lub widoczne gdzieś łuki budowli.

Nagle z jednego z gospodarstw wybiegły ujadające wściekle psy. W panice wdrapała się na grzyzy rzymskiej konstrukcji i wspięła na sam szczyt jednego z łuków. Tam, bezpieczna od krwiożerczych bestii, zjadła resztki sera, który podwędziła w Koblenz, i poszła spać. Obudziła się nad ranem i rozejrzała dokoła. Z wysokości około dwunastu metrów nad ziemią miała świetny widok na rzekę i jej drugi brzeg.

Francuska ziemia mieniła się w promieniach wschodzącego słońca odcieniami czerwieni i złota. Nawet zimny deszcz, który prześladował ją przez całą drogę z Berlina, wreszcie ustał, zupełnie jakby nie miał odwagi padać przy granicy. Ze swojego punktu obserwacyjnego na szczycie akweduktu Pauline widziała łagodnie opadający krajobraz. Nad samą rzeką tłoczyły się czerwone dachówki domów z Novéant-sur-Moselle, a dalej rozciągały się liczne farmy, lasy i winnice. Rzekę przecinał wiszący most. W oddali na zachodzie, poza jej polem widzenia, znajdowało się miasto Batilly z dworcem kolejowym. Za czterdzieści franków od detektywa Curtisa miała szansę na pokonanie ostatnich trzydziestu kilometrów do Paryża w wygodzie i spokoju.

Zauważyła dwie flagi powiewające nad budynkiem stojącym po drugiej stronie mostu. Czerwono-biało-czarny prostokąt, czyli flagę Niemiec, oraz symbol służby celnej. Była to ostatnia niemiecka placówka na jej drodze, komora celna. Każdy, kto przekraczał most – pieszo, w pociągu czy na rowerze – musiał tu pokazać swoje dokumenty.

Popatrzyła w dół rzeki na farmy i otaczające je lasy i dostrzegła płaski obszar zalewowy. Po jej stronie zejście było szerokie, ale po stronie zachodniej dużo węższe i strome, bo biegło wzdłuż pasma wzgórz. Na najwyższym z nich, półtora kilometra na zachód od Mozeli, wznosiła się wieża fortu Driant, której ogromne armaty strzegły całej doliny rzeki. To pierwszy punkt obrony miasta przed francuskim atakiem z południowego zachodu, pomyślała Pauline i w tym momencie zdała sobie sprawę, że od dłuższego czasu usiłuje porzucić swoją ojczyznę i uciec do kraju wrogów. Ale w głębi duszy wiedziała, że to nie jest ucieczka i że wcale nie zamierza porzucać Niemiec. Była teraz prywatnym detektywem, służyła swojej agencji i klientowi, który potrzebował pomocy. Ponadto pragnęła pomścić detektywa Curtisa, a jedyną szansą, by to zrobić, było dostanie się do Paryża.

Jaką drogę powinna obrać? Co tak naprawdę widzi?

Brzegi rzeki po obu stronach opadały łagodnie ku wodzie. *Opa Grandzau*, dziadek, który w Alpach uczył Pauline jazdy na nartach, pokazywał jej również, jak pływać w lodowatych górskich potokach. W porównaniu z takimi bystrzymi strumieniami Mozela wyglądała na ciepłą i spokojną. Wytyczyła w myślach trasę ze swojego punktu obserwacyjnego do najwęższego odcinka rzeki przez niewielki zagajnik, w którym pozostanie niezauważona.

Zapamiętawszy każdy jej szczegół, zeszła z kamiennego akweduktu i ruszyła między drzewami na zachód, pilnując, by wschodzące słońce cały czas świeciło jej na plecy. Mijała wąskie ścieżki poślizgnięte śladami kół, przeszła przez tory, upewniwszy się uprzednio, że nic nie jedzie, i pobiegła ile sił w nogach przez krótki odcinek łysego pola, modląc się, by żaden farmer jej nie zauważył.

Dotarła do drugiej partii lasu i kontynuowała marsz już spokojniej, dostrzegając między drzewami błękitną tafłę

wody. Po chwili była już nad samym brzegiem. Natychmiast dostrzegła dwie trudności, których nie mogła przewidzieć, patrząc ze swojej wysokiej kryjówki. Na wąskim odcinku woda płynęła o wiele szybciej, a silny prąd będzie ją znosił w stronę szerszych partii koryta. Poza tym, jeśli ktoś z mostu lub jednego z okolicznych budynków popatrzy w tym kierunku, może ją zauważyć.

Musiała przepawić się po zmierzchu.

I koniecznie na tratwie.

Przeczesała cały zagajnik, zbierając gałęzie. Nie było ich wiele, zapewne farmerzy zbierali je regularnie na opał. Dopiero po dwóch godzinach zdołała zebrać ilość wystarczającą do zbudowania tratwy na tyle dużej, by unosiła ją na wodzie podczas przeprawy i by mogła na niej postawić swój plecak.

Teraz właśnie z plecaka wyjęła zapasowe skarpetki. Przyjrzała im się i dostrzegła niewielką szczelinę w wełnie. Zaczęła pruć przędzę, zwijając ją starannie, żeby się nie poplątała. Następnie ułożyła zebrane gałęzie w kwadrat, położyła drugą warstwę na krzyż i związała je ze sobą przy każdym połączeniu. Zabrakło jej wełny, więc musiała zniszczyć drugą parę skarpet, żeby dokończyć dzieła. Efektem jej starań była niebezpiecznie giętka tratwa o boku mierzącym niewiele ponad metr. Wiedziała, że konstrukcja na pewno jej nie utrzyma, ale miała nadzieję, że przynajmniej ułatwi utrzymanie się na wodzie.

Teraz pozostawało tylko czekać na zapadnięcie zmroku. Była głodna, wręcz umierała z głodu. Nagle z zarośli nieopodal wyskoczył królik, akurat kiedy ścisnęła w rękę ostatni patyk, zastanawiając się, w którym miejscu tratwy go przymocować. Spojrzała na zwierzątko i doszła do wniosku, że nie jest aż tak głodna. Zamknęła oczy i spróbowała zasnąć.

Obudziło ją przejmujące zimno. Było już po zmroku. Drżąc na całym ciele, zdjęła ubranie i buty i włożyła do plecaka, który następnie przywiązała do tratwy, ustawiając otworem do góry w nadziei, że uda jej się nie zamoczyć pistoletu detektywa Curtisa. Potem jak najdelikatniej, by nie uszkodzić żadnego elementu, pociągnęła tratwę po piaszczystym zboczu na brzeg.

Nocne światła miasta odbijały się na powierzchni wody. Pomyślała, że jeśli prąd rzeczywiście ją porwie, to ściągnie ją dalej od ludzi. Weszła do ciemnej, bardzo zimnej wody i wciągnęła za sobą tratwę, która natychmiast zaczęła unosić się na powierzchni. Prąd niemal wyrwał jej tratwę z dłoni. Przytrzymała ją mocno, zrobiła krok na głębszą wodę i w tym momencie tratwa pognała z biegiem rzeki, ciągnąc dziewczynę za sobą.

Teraz miejskie światła okazały się jej jedynym ratunkiem. Bez nich nie miałyby zielonego pojęcia, dokąd niesie ją woda. Świetliste punkty były jak Gwiazda Polarna i za każdym razem, gdy nurt nią zakręcał, starała się zapamiętać ich pierwotne położenie. Miała wrażenie, jakby rozsierdziła ducha rzeki i ten postanowił ją porwać i utopić. Ale gdyby teraz puściła tratwę, by wyjść na drugi brzeg, straciłaby ubranie, pieniądze i pistolet, więc trzymała z całej siły i z najwyższym trudem starała się zachować cierpliwość. Prąd musi osłabnąć, gdy koryto stanie się szersze. Musi.

Kiedy wreszcie poczuła, że nurt wyraźnie zwalnia, światła, którymi się kierowała, były już bardzo daleko. Z ich położenia wywnioskowała, że prąd przyciągnął ją znacznie bliżej drugiego brzegu. Puściła jedną ręką tratwę i zaczęła nią poruszać jak wiosłem, jednocześnie pracując nogami. Wysilek ją rozgrzewał. Po kilku chwilach dostrzegła zarysy brzegu, a po paru następnych dotknęła stopami dna. Wytoczyła się z wody, odwiązała plecak i wytarłszy się kurtką, włożyła resztę ubrań, buty i skarpetki.

To jeszcze nie Francja, ale była już bardzo blisko.

Na północy widziała kontury fortu Driant. Aby iść na zachód, musiała ustawić się do niego prawym bokiem. Niebawem dostrzegła prawdziwą Gwiazdę Polarną i kierując się według niej, wkrótce minęła fort na wzgórzu i dotarła do ogrodzenia w szczerym polu, z dala od jakichkolwiek dróg. Przepisnęła się przez pasma drutu kolczastego i skręciła w kierunku Paryża, trzymając się z dala od świateł bijących od wiejskich domów i nasłuchując gwizdu lokomotywy, który nakierowałby ją na dworzec w Batilly.

Rozdział 37

Światła! – krzyknął przez megafon reżyser filmu *Piekierne dzwony*.

Zatrzeszczała prądnica. Lamy Cooper-Hewitts rozbrzysły.

– Kamera! Kręcić!

Isaac Bell, ubrany w swój sztandarowy już czarny kostium, kask lotniczy i gogle, dodał ostro gazu, rozgrzewając motocykl.

Operator zawzięcie kręcił korbą kamery.

Reżyser jeszcze raz rzucił okiem na scenę. Lokomotywa stała na swoim miejscu, na podwyższonym torze w zapomnianym kącie placu załadunkowego linii Southern Pacific. Z komina buchały gęste kłęby dymu i pary. Inżynier wychylił głowę i ramiona z okna kabiny maszynisty. Ogromny wiatrak elektryczny, stojący tuż poza kadrem, rozwiewał dym i parę wzdłuż lokomotywy i szarpał długą brodą inżyniera, nadając całej scenie wrażenie pędu.

Z rury wydechowej motocykla Bella wydobywał się biały dym. Kątem oka Isaac widział, że Marty, chudy jak

tyczka mechanik Wytwórni Imperial, który zmodyfikował silnik jego maszyny, by wytwarzał dym, przygląda mu się uważnie. Po chwili mężczyzna uniósł kciuk na znak, że wszystko w porządku, i odszedł z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Bell dokręcił gaz do końca i zwolnił sprzęgło.

Pojazd wbił się między światła, ciągnąc za sobą spektakularną smugę dymu, podczas gdy Isaac wykręcał ciasne kółka wokół lokomotywy i wyskakiwał w powietrze za każdym razem, gdy docierał do torów z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Po czwartym takim skoku zauważył, że przednie koło chwieje się nieznacznie. Kamerzysta nie przestawał kręcić. Światła prażyły. Bell dodał gazu przed ostatnim lotem.

I wtedy koło odpadło.

Motocykl upadł ciężko na przedni widelec. Tył pojazdu podskoczył w górę, wystrzeliwując Bella nad kierownicą niczym katapulta.

Isaac leciał głową prosto na lokomotywę. Próbował się obrócić, by wylądować na nogach, ale leciał przecież z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Gdy tak miotał się bezradnie, doznał wrażenia, jakby czas stanął w miejscu. Kamerzysta zaczął kręcić o wiele wolniej, dając odpocząć ramieniu. Ziemia pod detektywem przesuwiała się w żółtym tempie. Widział, jak motor stoi na przednim końcu, a tylne koło wciąż obraca się w powietrzu, widział kamerę stojącą na potężnym trójnogu, widział wiatrak, widział tłum aktorów, dekoratorów, pracowników obsługi planu i poganiaczy koni, patrzących na niego, jakby wszystko było w porządku, jakby kaskaderzy spadali z pędzących motorów prosto na lokomotywy każdego dnia.

W końcu całe pole widzenia przesłonił mu stalowy olbrzym, czarny jak noc i przepastny jak niebo. W następnej chwili w niego uderzył. Przeszywający ból w kostce

uświadomił mu, że próba obrotu ocaliła czaszkę. Odbił się od kotła, upadł na tory i potoczył po sztucznym nasypie, orząc nogami i ramionami po pokruszonych kamieniach.

Leżał potłuczony i oszołomiony w piachu. Dopiero po chwili usłyszał krzyki otaczających go ludzi.

Unióś się i usiadł, by uspokoić resztę zespołu. Bolało go dosłownie wszystko, ale był pewien, że za kilka minut zdoła wstać o własnych siłach.

Krzyki umilkły, tylko reżyser w dalszym ciągu dał się do megafonu:

– To było genialne! Zrobmy to jeszcze raz!

Isaac Bell wyprostował się z trudem i poczłapał niespiesznie do zniszczonego motocykla. Przyklęknął i obejrzał go dokładnie.

Upewnił się, że jego browning wciąż tkwi w kaburze i w każdej chwili może go wyciągnąć. Błyskawiczna reakcja właśnie ocaliła go przed zemstą za wizytę w sklepie Organy i Pianina z Lipska.

– Żwawiej tam! – wrzeszczał reżyser. – Marnujemy światło!

– Mogę zaczynać, jak tylko załatwicie mi nowy motocykl – odparł Bell i odszedł chwiejnym krokiem w poszukiwaniu mechanika, który rzekomo przerobił mu silnik.

Ekipa *Piekielnych dzwonów* zorganizowała tymczasowy warsztat w opuszczonym brankardzie stojącym na przerdzewiałej bocznicy. Nie zważając na ból kostki, Isaac wszedł szybkim krokiem po rampie, po której zwykle wprowadzał swój motocykl, do ciemnego pomieszczenia.

– Marty – odezwał się złowieszco spokojnym głosem – powiedz, kto rozciął przednią oś w moim motocyklu.

Marty nie odpowiedział.

Bell odnalazł go po chwili za jednym z biurk. Leżał na ziemi z szeroko otwartymi oczami wpatrującymi się w pustkę. Detektyw zapalił lampę i przyjrzał mu się

uważniej. Mechanik został uduszony garotą, która niemal odcięła mu głowę. Wyglądało na to, że Akrobata uciszył swojego współnika takim samym drutem, jakim udusił kuryera z linii Golden State Limited w Nowym Meksyku. I to najprawdopodobniej za jego pomocą zdołał przeskoczyć nad lokomotywą oraz „sfrunąć” z pokładu „Mauretanii”.

Isaac Bell zaczął głośno mówić. Zwracał się do Akrobaty, jakby morderca wciąż czaił się gdzieś w wagonie.

– Coraz bardziej cię denerwuję – powiedział, przypominając sobie poszczególne elementy śledztwa i zastanawiając się, który z nich zmusił złoczyńcę do wykonania kolejnego ruchu. – Zaczynasz się bać, że cię dorwę.

Najwyraźniej Akrobata wyczuł, że kolejne odkrywane nici układają się w zarzucaną na niego siatkę. Ale które? Który z wielu tropów napędził mu stracha?

Grady Forrer szukał powiązania pomiędzy Hamburg Bankhaus a Wytwórnią Imperial. Andrew Rubenoff znalazł związek między Hamburg Bankhaus a firmą Organy i Pianina z Lipska, a teraz szukał zagranicznych bankierów Imperialu. Agenci Van Dorna w całym kraju udowodnili, że sklepy firmy z Lipska to przykrywka. Bell dotarł śladem Fritza Wunderlicha do Denver, dzięki czemu ludzie obserwujący niemieckie konsulaty byli teraz wyposażeni w jego podobiznę. Joe Van Dorn wykorzystywał swoje znajomości w Waszyngtonie, by określić stopień zaangażowania niemieckiego korpusu dyplomatycznego. Larry Saunders grzebał w ratuszu Los Angeles, szukając planów budynku Imperial. Texas Walt sprawdzał Wydział Ochrony Imperialu i pracował jako statysta w siedzibie wytwórni.

Jeśli to Akrobata kazał zabić Arta Curtisa w Berlinie, znaczyłoby to, że już wie, że ściga go agencja Van Dorna. Potwierdzała to seria napadów na detektywów. Z kolei dzisiejszy zamach na życie Bella świadczył, że morderca przejrzał również jego fałszywą tożsamość „człowieka

z ubezpieczeń” i uważał go albo za sojusznika agencji, albo za jednego z jej pracowników.

– Cały czas nie wiem, jaki masz plan – ciągnął Isaac – ale wygląda na to, że jestem dużo bliżej prawdy, niż sądziłem.

I wtedy doznał olśnienia. Jeśli – co prawdopodobne, ale cały czas niepotwierdzone dowodami – Wytwórnia Imperial jest częścią wielkiego spisku Krieg Rüstungswerk, to nowa praca Marion nie była żadnym zbiegiem okoliczności, ale przerażającym asem w rękawie Akrobaty.

Bell przyjechał rozciągniętą nad stromą pochyłością kolejką linową Angels Flight do dzielnicy mieszkalnej na szczycie Bunker Hill, gdzie razem z Marion wynajęli dom po tym, jak Irina Viorets złożyła swoją ofertę. Ukrywając ból kostki, wszedł tylnymi schodami do kuchni.

– W samą porę na nasz pierwszy małżeński obiad domowy – przywitała go żona, popierając słowa mocnym uściskiem i pocałunkiem. – Och, Isaac, co za wspaniały dzień. Chcesz jakiś koktajl, żeby odreagować po tym, co najwyraźniej zrobiłeś sobie w nogę?

– Sam przygotowuję – odparł Bell z uśmiechem. Po raz kolejny przekonał się, że o ile kobiety ogólnie są bardziej spostrzegawcze od mężczyzn, o tyle kobiety kręcące filmy nie przegapiają żadnego szczegółu.

– Czuję się jak w niebie. – Oczy Marion aż skrzyły się z radości. – Irina daje mi wszystko, czego zapagnę: lokomotywy, pulmany, juczne muły, wozy Conestoga. Zatrudniła nawet Billy’ego Bitzera do kamery, specjalnie dla mnie.

– Winszuję.

– Billy przyjechał razem z Dave’em Davidsonem, swoim najlepszym asystentem, żeby stał za drugą kamerą, więc mam w tej chwili dwóch najlepszych operatorów na świecie. A jakby tego było mało... Czy pamiętasz Franklina Mowery’ego?

– Oczywiście. Konstruktor mostów, który pracował dla ojca Lillian.

– Franklin przeszedł na emeryturę i mieszka niedaleko. Zaprosiłam go na plan, żeby mi wyjaśnił kilka kwestii technicznych. Ten człowiek to istna kopalnia wiedzy na temat historii kolei. Opowiada fenomenalne historie. A teraz najlepsze. Dave Davidson ma oko urodzonego portrecisty. Gdy tylko zobaczył posągowy profil Franklina, bez słowa zaczął kręcić, udając, że tylko coś majstruje. Później pokazał mi sześć metrów taśmy z Mowerym. On jest wprost stworzony do pracy przed kamerą! Postanowiłam więc dołączyć go do filmu. Och, Isaac, jestem taka podekscytowana!

– Istotnie – przyznał Bell, cały czas zastanawiając się, jak ją nakłonić na rzucenie tej pracy tylko ze względu na jego podejrzenia.

– O nic się nie martw – powiedziała Marion. – Uprzedziłam Franklina, że pracujesz incognito, więc nikomu nie zdradzi, że jesteś detektywem.

– Teraz to już i tak nieważne.

– Czy dlatego kulejesz?

– Moja kostka to nic w porównaniu z motocyklem – odparł Bell i opowiedział jej, co zaszło podczas zdjęć. Potem zrelacjonował dokładnie przebieg śledztwa w sprawie Kina Dźwiękowego, od rewelacji Grady’ego i Rubenoffa, do bezowocnych badań jego i Texa w Imperialu.

– Skoro nie udało mu się cię zabić – spytała Marion, gdy skończył – to co teraz zrobi?

– Sama mi powiedz. – Isaac spojrzał prosto w oczy swojej pięknej małżonki.

– Wiem, czego się obawiasz – powiedziała. – Myślisz, że coś mi grozi, bo „przypadkiem” kręcę film dla tej samej wytwórni, w której zatrudniłeś Clyde’a Lyndsa.

– Sam bym lepiej tego nie ujął – pochwalił ją. – Wytwórnia Imperial coś ukrywa.

– Nigdy nie uwierzę, że Irina mogłaby brać udział w czymś, co miałoby mi zaszkodzić. Poza tym nie masz żadnego dowodu na to, że wytwórnia jest w cokolwiek zamieszana.

– Jej fundusze są bardzo podejrzane.

– Wszystkie fundusze w przemyśle filmowym są podejrzane. Ta gałąź biznesu urodziła się ledwie wczoraj. Nikt jeszcze dokładnie nie wie, jak to działa. Każdy ustala reguły na poczekaniu. Dlatego bankierzy nie pożyczają pieniędzy na więcej niż jeden film naraz.

– Jesteś pewna, że nie zauważyłaś niczego podejrzanego podczas kręcenia zdjęć do *Żelaznego rumaka*? Niczego odbiegającego od normy? Niczego, czego byś się nie spodziewała albo co przy innych filmach odbywa się inaczej?

Marion zastanawiała się chwilę, zanim odpowiedziała.

– Tylko jedno. Brakuje taśmy filmowej. Mówi o tym całe Los Angeles. Od około miesiąca taśma stała się trudno dostępna i niezwykle droga. Billy i Dave przyszli do mnie wczoraj z ponurymi minami. Ich taśma była tak stara, że zdążyła już zaśmiardnąć. Stwierdzili, że zdjęcia wyjdą potwornie prześwieczone. Postanowiłam zwrócić się do Iriny. Niecałą godzinę po moim telefonie na plan zjechała ciężarówka wypełniona po brzegi taśmą najlepszej jakości. Było jej więcej, niż moglibyśmy zużyć przez rok, kręcąc z obu kamer jednocześnie. Idealnie perforowana i pachniała świeżo jak poranna bryza. Billy i Dave zacierali ręce z radości, zupełnie jak Silas Marner, licząc swoje złoto.

– Skąd mieli tę taśmę?

– To taśma Eastman Kodak, prosto z fabryki.

– Przecież Imperial jest wytwórnią niezależną. A Eastman ma umowę z Edisonem – nie mogą sprzedawać niezależnym twórcom.

– Nie wiem, jak ją zdobyli. Ale jedno jest pewne, nie-dobry nie dotyczą Wytwórni Imperial. Dobrze, a teraz, jeśli tylko zdołasz dokuśtykać do stołu, podam obiad.

– Co zjemy na nasz pierwszy małżeński obiad domowy?

– To samo co na pierwszy obiad domowy w ogóle. Pamiętasz, co wtedy przyrządziłam?

– Pamiętam, że to ty mnie zaprosiłaś i zrobiłaś dla nas duszone mięso z warzywami. Było przepyszne, choć z tego, co pamiętam, coś nam przeszkodziło, zanim dobrnęliśmy do deseru... Marion, domyślam się, że do pracy przy *Żelaznym rumaku* potrzebujesz kowbojów.

– Mam ich na pęczki.

– A znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego?

– Texas Walt?

– Na wszelki wypadek – przytaknął Bell.

– Jeśli poprawi ci to humor.

– Świadomość, że o twoje bezpieczeństwo dba mój bli-ski przyjaciel i zarazem doskonały strzelec, rzeczywiście poprawi mi humor.

– Bardzo możliwe, że jego kariera strzelecka dobiega końca – zaśmiała się Marion. – Ludzie z branży cały czas przerzucają się opowieściami o wysokim Teksańczyku gra-jącym kowboja. Niektórzy uważają, że zostanie gwiazdą.

– Błagam, nie nakręcaj go w tym kierunku, dopóki będziemy pewni, że nic ci nie grozi.

Rozdział 38

Pauline Grandzau musiała przerwać lekturę fragmentu bedekera dotyczącego St. Germain, żeby uciec przed żan-darmem, który zażądał od niej dokumentów, gdy pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. Ostatnie kilka kilometrów

spodziewanej dwunastogodzinnej podróży rozciągnęło się na cały dzień, podczas którego kurczowo trzymała się podwozia wlokącego się jak żółw wagonu z węglem. W końcu wagon zatrzymał się w pobliżu jednego z paryskich bazarów. Znowu padało. Mimo zapadającego zmierzchu z pomocą przewodnika turystycznego i planu miasta bez trudu znalazła Rue du Bac. Wlokąc się noga za nogą, pokonała schody i weszła do paryskiego biura Agencji Detektywistycznej Van Dorn skrajnie wyczerpana, przemoczona do suchej nitki i głodna jak wilk.

– Czego tu szukasz, panienko? – zapytał zwalisty mężczyzna siedzący przy biurku, na którym stała lampa rzucająca wyjątkowo mocne światło.

A przynajmniej tak odczytała sobie sens jego słów, bo mężczyzna mówił po francusku, w języku całkiem Pauline obcym. Zgadywała, co sobie myśli, po tym, jak na nią patrzył: ulicznica z umorusaną twarzą i potarganymi włosami weszła do jego biura albo żebrać, albo ukryć się przed policją.

Mężczyzna powtórzył pytanie. Lampa na biurku świeciła tak jasno, że niemal ją oślepiła. Mężczyzna wstał i w tym samym momencie całe pomieszczenie, z pokrytą linoleum podłogą, biurkiem, krzesłem i drugimi drzwiami prowadzącymi w nieznaną, zawirowało jej przed oczami.

– Czy to jest paryskie biuro Agencji Detektywistycznej Van Dorn? – zdołała wykrztusić.

Mężczyzna był wyraźnie zaskoczony, że dziewczyna zna angielski.

– Tak, zgadza się – odpowiedział z takim samym akcentem, jaki miał detektyw Curtis. – Czym mogę służyć, młoda damo?

– Czy jest pan detektywem Horace Bronsonem?

– Tak, to ja. A kim ty jesteś?

Pauline wyprostowała się dumnie na całe swoje sto pięćdziesiąt dwa centymetry.

– Młodsza detektyw Pauline Grandzau z Berlina.

Próbowała zaskłonić, ale ręka okazała się za ciężka, a nogi odmówiły posłuszeństwa. Zobaczyła, jak linoleum pędzi na spotkanie z jej twarzą. Bronson zerwał się z niespodziewaną szybkością i złapał ją, nim upadła.

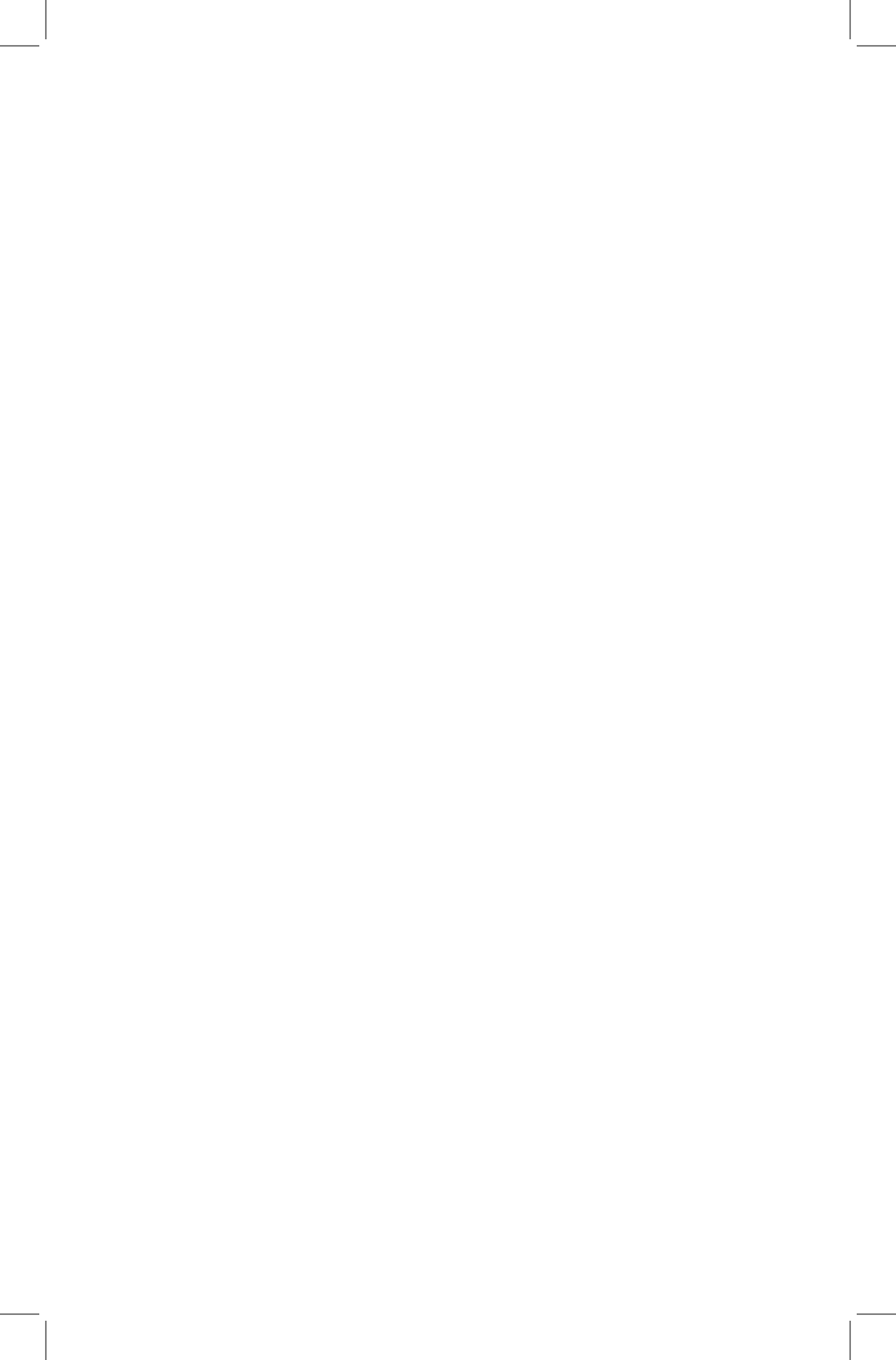
– Telegram z biura w Paryżu, panie Bell.

Wiadomość od Bronsona.

Długa i konkretna.

Isaac przeczytał ją dwa razy.

W jego oczach pojawił się błysk łowcy. Uśmiech ponurej satysfakcji rozjaśnił jego poważną twarz niczym promień światła odbijający się w zamrożonej rzece. Poprzysiągł Fritzowi Wunderlichowi, Krieg Rüstungswerk, cesarzowi Wilhelmowi II i przede wszystkim generałowi armii niemieckiej Christianowi Semmlerowi, że detektyw Arthur Curtis nie zginął na darmo.



Część 4

ŚWIATŁO! KAMERA! AKCJA!

Marion skacze w ramiona Bella



Rozdział 39

Telegrafista! – Bell zawołał człowieka odpowiedzialnego za nadawanie wiadomości alfabetem Morse’a.

– Telegram do pana Josepha Van Dorna: „Zapytać w armii i w Departamencie Stanu o niemieckiego generała majora Christiana Semmlera. Pokazać podobiznę Wunderlicha”.

– Telegram do szefa analityków Grady’ego Forrera w Nowym Jorku: „Kim jest niemiecki generał major Christian Semmler? Zdobyć zdjęcie lub podobiznę z gazety”.

– Telegram do Horacego Bronsona w Paryżu: „Kim jest niemiecki generał major Christian Semmler? Zdobyć zdjęcie lub podobiznę z gazety”.

– Telegram do detektywa Archiego Abbotta w Nowym Jorku: „Zapytać lorda Strone’a o niemieckiego generała majora Christiana Semmlera. Pokazać podobiznę Wunderlicha”.

– Wysłać. Natychmiast!

Spośród odpowiedzi, jakie nadeszły w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin, najbardziej intrygująca była ta od szefa. Joe Van Dorn ustalił, że Christian Semmler jest żonaty z Sophie Roth Semmler, jedyną dziedziczką majątku Krieg Rüstungswerk. To tłumaczyło, w jaki sposób jeden człowiek był w stanie działać na tak ogromną skalę, niedostępną nawet wysokim oficerom niemieckiej armii.

Niestety, informatorzy Van Dorna z armii i korpusu dyplomatycznego nie wiedzieli o Semmlerze praktycznie nic więcej. Generał unikał rozgłosu. Obserwator armii amerykańskiej z Chin słyszał, że Semmler odznaczył się wzorową służbą podczas powstania bokserów. Pewien emerytowany dyplomata powtarzał pogłoski o sławie, jaką zdobył Semmler podczas wojny w Afryce Południowej, gdzie rzekomo dowodził oddziałem burskich komandosów za liniami Brytyjczyków. Żaden z waszyngtońskich informatorów nigdy nie widział Semmlera, więc podobizna Fritza Wunderlicha okazała się bezużyteczna.

Ludzie Forrera nie zdołali znaleźć żadnego zdjęcia generała. Nie było w tym nic szczególnego; amerykańskie gazety zainteresowałyby się niemieckim generałem, tylko gdyby znalazł się w jakiejś oficjalnej delegacji albo pracował w niemieckiej ambasadzie.

Bell liczył na coś więcej od Bronsona, który miał dostęp do prasy europejskiej. Niestety, z Paryża przyszło tyle samo co z Nowego Jorku. Nawet nowy człowiek w Berlinie nie był w stanie nic znaleźć w niemieckich gazetach. Biorąc pod uwagę, jakim szacunkiem cieszą się wysocy oficerowie w Niemczech, Christian Semmler musiał naprawdę bardzo się postarać, by nie przyciągać uwagi dziennikarzy.

Bell był rozczarowany, ale bynajmniej nie zaskoczony. Sam unikał zdjęć jak ognia i niczego innego nie spodziewał się po żołnierzu wyszkolonym do walki partyzanckiej na tyłach wroga. Tak czy inaczej, dowiedział się przynajmniej, że Semmler jest bardzo bogaty. I że działa niezależnie, czego Isaac domyślał się już wcześniej. Ale jeśli ten trzydziestoletni generał ma zielone oczy, blond włosy, ręce długie jak małpa i wydatne łuki brwiowe, to do tej pory nie spotkali nikogo, kto pasowałby do tego rysopisu, a zatem nie byli nawet o krok bliżej do udowodnienia, że Semmler i Fritz Wunderlich to ta sama osoba.

– Ta brama wygląda groźnie – powiedziała Lillian Hennesy Abbott, zatrzymując swój wielki czerwony automobil Thomas Flyer model K 6-70 tuż przed przeszkodą. – Myślisz, że jest zamknięta?

– Tak mi powiedziano.

Podwójna brama przy wjeździe do posiadłości lorda Strone’a w Greenwich była wykonana z pomalowanych na czarno prętów z kutego żelaza i została zamontowana między dwoma wysokimi kamiennymi filarami. Zdaniem Archiego Abbotta, wyglądała na bardzo dokładnie zamkniętą.

Wysiadł z samochodu i przytrzymał się błotnika, z trudem dochodząc do siebie. Lillian starała się jechać płynnie, celowo zresztą zdecydowała się na auto z jak największym rozstawem osi zamiast swojego ulubionego packarda wolfa, ale żaden kierowca nie mógł wiele zdziałać na tak kosztownej drodze.

– Wszystko w porządku, Archie?

– Jak najbardziej.

Z pozornie zwykłego scyzoryka wyciągnął ostrze ze stali i w kilka chwil otworzył zamek. Rozchylił oba skrzydła bramy na tyle, by samochód mógł przejechać. Gdy Lillian była już po drugiej stronie, zamknął bramę na powrót.

– Jedziemy.

Pokonawszy półkilometrowy podjazd wyłożony drobnym łupkiem, dotarli do dużej rezydencji z cegły i kamienia, trochę przypominającej Archiemu pałac Henryka VIII w Hampton Court.

Na frontowych drzwiach nie było kołatki. Nie chcąc nadwerężyć kostek, Archie zapukał w nie kolbą pistoletu automatycznego Navy Colt .45, który nosił przy sobie, odkąd o mały włos nie zginął od rany postrzałowej. Kiedy usłyszał, że po drugiej stronie ktoś otwiera drzwi, szybko schował broń i zamiast niej wyjął z kieszeni kamizelki wizytówkę.

Postawny lokaj w ciasno opinającym go fraku, wyglądający na emerytowanego sierżanta, popatrzył na nich z miną niewyrażającą przyjaznych uczuć.

– Bądź łaskaw, dobry człowieku – powiedział Archie, wręczając mu wizytówkę – poinformować jego lordowską mość, że pan Archibald Angell Abbott wraz z małżonką przybyli na filiżankę herbaty.

– Nic mi o tym nie wiadomo, sir.

– Spotkaliśmy się z jego lordowską mością na pokładzie „Mauretanii”. Zaprosił nas, abyśmy go odwiedzili, jeśli kiedyś będziemy w pobliżu. I właśnie teraz jesteśmy.

Lokaj zerknął na Lillian, która wciąż siedziała za kierownicą, ale zdążyła zdjąć kapelusz. Jej jasne włosy lśniły w słońcu, a oczy błyszczały jak szafiry. Mężczyzna pomyślał, że równie piękny uśmiech ujrzy następnym razem chyba dopiero w zaświatach.

– Proszę wejść – rzekł. – Zawiadomię jego lordowską mość.

– A ja przyprowadzę żonę.

Pomagając Lillian wysiąść z auta, rzucił półgłosem:

– Poczuję się trochę jak stręczyciel.

Pocałowała go czule i odparła:

– Byłbyś w tym niezrównany. Na szczęście masz też inne talenty. Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak. Jest piękny dzień, jesteśmy na wsi, a ja jestem żywy i zakochany po uszy.

W drzwiach rezydencji stanął Strone w tweedowej marynarce i ze strzelbą przewieszoną przez ramię.

– Jak miło znowu cię zobaczyć, moja droga – powiedział do Lillian. I skinąwszy głową Archiemu, dodał: – Wybieram się na przechadzkę po bagnach. Przyłączcie się, jeśli macie ochotę.

Włożył czapkę myśliwską i sprężystym krokiem ruszył ścieżką w stronę rozległego mokradła, które ciągnęło się aż do zatoki Long Island Sound.

– Wydawało mi się, że brama wjazdowa jest zamknięta – rzucił.

– Zamknęliśmy ją za sobą – zapewnił Archie.

– Idźmy wolniej – poprosiła Lillian. – Mój mąż wciąż jeszcze nie całkiem doszedł do siebie po wypadku.

– Niezmiernie mi przykro. Naturalnie, zwolnimy. Cóż to był za wypadek, Abbott?

– Napatoczyłem się na Webley-Fosbery.

Strone zatrzymał się i spojrział na Archiego.

– Hm. Nie wspominałeś o tym na statku.

– Pistolety automatyczne to marny temat na weselu.

– Pracujesz dla firmy ubezpieczeniowej, tak jak twój przyjaciel Bell, czyż nie?

– Isaac Bell i ja będziemy pracowali w ubezpieczeniach tak długo, jak długo pan będzie pozostawał „na emeryturze”.

Siwe wąsy Strone’a zadrgały w lekkim uśmiechu.

– Z emerytury nie rezygnuje się ot tak.

– A co, jeżeli podam panu bardzo dobry powód?

– Z dumą myślę o sobie jako o człowieku rozsądnym.

Chociaż rozsądek u jednego może być zabójczy dla kogoś innego.

– W takim razie nie podam panu powodu, ale nazwisko.

– Jakie?

– Semmler – powiedział Archie, obserwując uważnie Strone’a.

Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, tylko źrenice na moment wyraźnie się rozszerzyły.

– Obawiam się, że nic mi ono nie mówi – skłamał.

– Christian Semmler.

– Nie, niestety...

– Pułkownik Christian Semmler. Taki miał stopień, kiedy stacjonował pan w Afryce Południowej.

– Skąd pomyśl, że kiedykolwiek tam byłem?

– Oberst Christian Semmler, jak powiedzieliby nasi niemieccy przyjaciele.

– Nie mam żadnych niemieckich przyjaciół.

– A ja ostatnio pozbywam się swoich – stwierdził Archie. – Od wojny w Afryce Południowej Semmler zdążył awansować. Teraz jest generałem.

Strone w końcu przestał się zgrywać.

– Wiem o tym – rzekł.

– Knuje coś w Stanach.

– Co takiego?

– Niestety nie wiemy.

– To wyjątkowa kanalia. – Strone zacisnął szczęki. – Był największym okrutnikiem, jakiego kiedykolwiek spotkaliśmy. Podgryzał nasze oddziały, wystrzeliwał warty. Strach wspomnieć, co się działo ze zwiadowcami, których udało mu się złapać. Burowie byli przy nim łagodni jak baranki.

– Rozpoznałby go pan?

– Widziałem go tylko raz. Przez lunetę, z dużej odległości.

– Lillian? – Archie zwrócił się do żony.

Wyjęła z kieszeni płaszcza notatnik i otworzyła go na stronie z podobizną Fritza Wunderlicha.

– Czy wyglądał jak ten mężczyzna?

Strone wygrzebał z zakamarków swojego ubrania binokle i dłuższą chwilę przyglądał się rysunkowi.

– Ten mężczyzna jest dużo starszy – powiedział w końcu. – Ale to oczywiście, minęło przecież...

– Prawie dziesięć lat – podsunął Archie. – Z jakiej odległości go pan widział?

Strone odwrócił się w stronę mokradeł. Poruszał bezgłośnie ustami, wpatrując się w pustkę.

Archie i Lillian wymienili spojrzenia. Archie dał żonie znak, by zachowała milczenie.

– Dziewięćset metrów – powiedział lord. – Sądziliśmy, że z tej odległości nie dosięgnie nas swoim karabinem i możemy podejść bliżej. To był przecież tylko jeden człowiek... Dlaczego przyszliście z tym do mnie?

– Isaac Bell miał przeczucie, że jest pan kimś więcej, niż twierdzi. I nie mylił się. Sprawdziliśmy pana. Po tej bitwie dostał pan medal za męstwo.

– Bzdura – zachnął się Strone.

– Jak to? Przecież został pan odznaczony.

– Ale nie za męstwo. Semmler zwabił nas na zaminywany most. Rannych dobijał z karabinu. Dostałem medal, bo tylko mnie nie trafiło to krwiożercze bydło.

Isaac Bell zebrał Texasa Walta Hatfielda, Larry'ego Saundersa i kilku najlepszych ludzi z biura w Los Angeles na naradę wojenną.

– Informacje uzyskane przez Arta Curtisa i jego asystentkę z Berlina, poparte doniesieniami Archiego Abbotta i analityków dowodzą, że morderca, którego nazywaliśmy Akrobatą, komiwojażer Fritz Wunderlich oraz niemiecki generał major Christian Semmler to jedna i ta sama osoba. Ponadto pan Van Dorn dowiedział się, że generał Christian Semmler jest nie tylko agentem Krieg Rüstungswerk, ale i jednym z właścicieli, ożenił się bowiem z córką szefa.

– Fritz Wunderlich, alterego Semmlera, zniknął, gdy zorientował się, że sprawdzamy jego sklepy, a ja węszyłem w jego hotelu w Denver. Zanim jednak zaczniemy sobie gratulować odcięcia Wunderlicha od sieci sklepów, które oferowały mu bezpieczne punkty przerzutowe na terenie całego kraju, pragnę zauważyć, że niemieckie konsulaty będą się sprawdzać w tej roli jeszcze lepiej. Ściganie Semmlera nie będzie przypominało pogoni za zwykłym bandziorem. Chociaż jestem pewien, że każdy z was zrobiłby to

z przyjemnością, nie możemy zwyczajnie wyważyć drzwi do konsulatu suwerennego państwa.

– Już wcześniej wysłałem kopie podobizny „Wunderlicha” do naszych biur we wszystkich miastach, w których znajdują się niemieckie konsulaty: do Nowego Jorku, Chicago, St. Louis i San Francisco. Teraz przekazałem im, że jest to portret Semmlera.

– W głosie Bella aż dudni pewność siebie – stwierdził Christian Semmler. – Posłuchaj!

Podał słuchawkę Hermannowi Wagnerowi.

Wagner sięgnął po słuchawkę drżącymi rękami. Dziś po raz pierwszy zobaczył twarz szefa planu „Donar”. Już wcześniej podejrzewał, że może nim być Semmler, głównie z powodu plotek, jakoby cesarz darzył szczególną sympatią oficera o przezwisku Małpa. Wydatne łuki brwiowe, wysunięta szczęka i nienaturalnie długie ręce potwierdzały te domysły. Szefem planu jest pupil cesarza, generał major Christian Semmler. Z jakiegoś powodu tym razem Semmler nie ukrywał przed nim swojego oblicza i Wagner obawiał się, że to może oznaczać dla niego rychłą śmierć.

– Posłuchaj go!

Wagner przyłożył słuchawkę do ucha.

Siedzieli naprzeciwko siebie, pochyleni nad stołem w piwnicy posiadłości niemieckiego wicekonsula w Los Angeles. Wicekonsul był na górze, z bladym pojęciem o tym, co robią w jego siedzibie, i niewątpliwie zdumiony faktem, że nie ma prawa wstępu do własnej piwnicy.

Telefon, którym się wymieniali, był podłączony przez prywatną linię wicekonsula do mikrofonu, który Semmler ukradł Clyde’owi Lyndsowi i z pomocą przekupionego elektryka ukrył w budynku Agencji Detektywistycznej Van Dorn. „Zupełnie jak barman odszpuntowujący

beczkę lagera”, zażartował Semmler, wyjaśniając Hermannowi Wagnerowi sposób działania systemu podsłuchowego.

To było jak cud. Więcej niż cud – wydawało się niemożliwe. A jednak Wagner słyszał głos Isaaca Bella przemawiającego do swoich podkomendnych, chociaż biuro agencji Van Dorna znajdowało się trzy kilometry od niemieckiego konsulatu.

– Słyszysz?

– Nie za dobrze.

– Wiem o tym – warknął Semmler. – Mikrofon Lyndsa nie jest jeszcze dopracowany. Ale chłopak jest na dobrej drodze, więc jeśli odrobinę się wysilisz, usłyszysz pewność siebie bijącą z głosu Bella. Bo dlaczego miałyby jej tam nie być? Przecież dowiedział się tak dużo w ciągu kilku ostatnich dni.

– To prawda, dowiedział się całkiem sporo – przyznał Wagner, coraz bardziej zdenerwowany.

– Wydarzenia nie zawsze przebiegają zgodnie z planem – stwierdził Semmler. – Taka już jest natura i planów, i wydarzeń. – Popatrzył gdzieś w dal, a jego oczy rozbłyły. – Pamiętam pewną noc na wzgórzach w Afryce, gdy trzech Angoli trzymało mnie na muszce. Mój plan ucieczki zadziałał bez zarzutu, ale kiedy poderzniętem gardło ostatniemu, coś chwyciło mnie za ramię i powaliło na ziemię. Nie mogłem uwierzyć w to, co się działo. Całkiem niespodziewanie zaatakował mnie lew! Prawdziwy lew! Musiał go zwabić zapach krwi tych Anglików.

Sięgnął przez stół i położył potężną dłoń na ramieniu swego towarzysza.

– Odpręż się, Wagner – powiedział. – Wyglądasz na przerażonego.

– Jestem przerażony – przyznał bankier. – Na „Mauretanii” zabroniłeś mi patrzeć na twoją twarz. A dzisiaj sam

mi ją pokazałeś. Czego innego mogę się spodziewać poza najgorszym?

– Nie obawiaj się. Wciąż cię potrzebuję, teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek. Przed nami jeszcze dużo pracy.

– Ale co można zrobić? Bell wie o tobie wszystko. I lada moment dowie się też o Wytwórni Imperial.

Semmler odebrał mu słuchawkę i przyłożył sobie do ucha. Na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Oczy znów mu rozbłyły, ale dla Wagnera ten blask był zimny jak trzaskający w oddali piorun.

– Bell nie byłby taki pewny siebie – orzekł szef planu „Donar” – gdyby wiedział, że słyszymy każde jego słowo.

Rozdział 40

Czy mógłbym zobaczyć ten rysunek jeszcze raz, panie Bell?

Isaac podał podobiznę Wunderlicha detektywowi w pocerowanych łachach i ciemnych okularach, który udawał niewidomego sprzedawcę gazet. Chłopak zdjął okulary i przyjrzał się rysunkowi.

– Nie wyglądał dokładnie tak samo, ale to mógł być on – stwierdził.

– Kiedy go widziałeś?

Detektyw otworzył swój notatnik i odczytał z powagą:

– „Osoba być może przypominająca nadesłaną przez pana Bella podobiznę Fritza Wunderlicha weszła na teren posiadłości niemieckiego wicekonsula w sobotę o dwudziestej dziesiąt. Detektyw Balant stwierdził, że to nie on”.

– O dwudziestej dziesiąt?

– Tak.

– A kiedy wyszedł?

– Nie wyszedł do tej pory.

Wszyscy detektywi w pomieszczeniu niemal równocześnie włożyli kapelusze. Bell był już przy drzwiach.

– Nie wyszedł? Jesteś pewien?

– Cały czas pilnowałem głównego wejścia, zaraz na przeciwko mojego stoiska. Zanim tu przyszedłem, poprosiłem posterunkowego Joego Thomasa, żeby mnie zastąpił. On często nam pomaga.

– Dobrze, panowie, chodźmy to sprawdzić.

Wsiadli do dwóch samochodów i ruszyli przez miasto.

– Czy jest jakiś sposób, żeby wejść do konsulatu? – spytał Bella Larry Saunders.

– Nie bez wywołania międzynarodowej awantury.

Isaac kazał zatrzymać samochody przecznicę przed rezydencją niemieckiego wicekonsula.

– Zaczekajcie tu – polecił. – Nie chcę, żeby zobaczyli połowę naszych detektywów w całej Kalifornii.

Wysiadł z auta i podszedł do stoiska „niewidomego sprzedawcy”. Siedział tam wyraźnie znudzony, ziewający co i rusz posterunkowy Joe Thomas.

– Agencja Van Dorn – powiedział Bell, sięgnął po wieczorne wydanie „Los Angeles Times” i zasłonił gazetą rękę, w której trzymał podobiznę Wunderlicha. – Czy ten mężczyzna wychodził z konsulatu?

– Właśnie go pan minął – odparł gliniarz. – Wypadł stąd, jakby się paliło.

– Bell będzie chciał się z tobą rozmówić – ostrzegł Semmler Irinę Viorets. – Przygotuj się.

– Jestem gotowa.

– Najlepiej, gdybyś udawała niedowierzanie i była arogancka aż do bólu.

– Powiedziałam, że jestem gotowa do tej rozmowy.

– Na twoim miejscu wykorzystałbym J.P. Morgana.

– Właśnie taki mam plan.

– Postaraj się – rzekł Semmler. – I pamiętaj, że wcale nie żartuję, mówiąc, że od tego zależy życie twojego księcia.

Nie czekała długo. Strażnicy przy wejściu poinformowali ją o wizycie Bella za pomocą systemu Kellogg.

– Proszę go wpuścić – poleciła, a sekretarce rzuciła tylko: – Żadnych telefonów.

Bell wszedł do jej gabinetu szybkim krokiem, przystojny jak zawsze, nawet mimo pochmurnego wyrazu twarzy.

– Isaac – zagruchała z uśmiechem, wstając zza biurka. – Wyglądasz, jakbyś wstał dzisiaj lewą nogą.

– Wasi rzekomi inwestorzy – oznajmił Bell, nie siłując się na uprzejmość – to bankierzy z Hamburga, którzy przelewają pieniądze z kont niemieckiej armii.

– To nieprawda – zachnęła się Irina.

– Finansuje was Hamburg Bankhaus.

– Isaac, nie bądź niemądry.

– Całym procederem zawiaduje twój szef, niemiecki generał major Christian Semmler.

– Nie znam żadnego Christiana Semmlera – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Wytwórnia Imperial to rozwijający się koncern. Tworzymy tu wielkie narodowe przedsiębiorstwo produkcji, dystrybucji i wyświetlania filmów.

– Jeśli nie znasz Christiana Semmlera, to kto jest twoim przełożonym? – Bell nie dawał się zbić z tropu.

– Przekazuję swoje sprawozdania przewodniczącemu Syndykatu Artystów.

– Syndykat Artystów nie istnieje. To przykrywka.

Irina Viorets postanowiła nie przerywać ciszy po jego ostatnich słowach. Usiadła z powrotem za biurkiem i wzięła do ręki długi srebrny nożyk do kopert. Zaczęła go obracać między palcami, celując ostrzem najpierw w Bella, potem w siebie i znowu w niego.

W końcu Isaac przerwał milczenie.

– Nie ma żadnego Syndykatu Artystów. To fikcja.

– To będzie bardzo smutna wiadomość dla jego przewodniczącego.

– Czyli dla kogo?

– Dla Singletona Brooksa.

Zauważyła, że Bell jest zaskoczony. Zupełnie jakby znał to nazwisko, czego zupełnie się nie spodziewała. Tym lepiej, pomyślała, czując ogarniające ją poczucie ulgi. Dobry plan – przygotowany po to, by zaburzyć podejrzenia Bella – właśnie stał się jeszcze lepszy. Los jej księcia wreszcie się odmieni. Czują to w głębi duszy.

Nazwisko Singletona Brooksa wydawało się Bellowi znajome, ale nie mógł sobie przypomnieć, skąd je zna. Dotarło to do niego dopiero po chwili. Odświeżył w pamięci nieprzyjemne przesłuchanie na Wall Street w związku ze sprawą Wreckera.

– Singleton Brooks pracuje dla J.P. Morgana.

– Z tego, co mi wiadomo, pan Morgan nie jest fikcją – powiedziała butnie Irina, dodatkowo obdarzając go ślicznym uśmiechem.

– Moi ludzie z Nowego Jorku sprawdzą Brooksa.

– To zbędne. Pan Brooks przyjeżdża tu jutro pociągiem Golden State Limited. Możesz go złapać na dworcu i zapytać osobiście... Czy masz do mnie jeszcze jakąś sprawę, Isaac? Jeśli nie, to przekaż, proszę, pozdrowienia dla Marion.

Isaac odwzajemnił uśmiech, podał Irinie rękę na pożegnanie i wyszedł z budynku. Wyglądało na to, że Christian Semmler przygotował swoją mistyfikację jeszcze lepiej, niż można było przypuszczać.

Udał się prosto na Bunkers Hill kolejką Angels Flight i niemal biegiem wpadł do rezydencji Andrew Rubenofa. Właściciel siedział akurat przy fortepianie, śpiewając *Urzekającą melodię Mendelssohna*.

- Ten Niemiec zna się na rzeczy – rzekł do Isaaca.
- Czy Singleton Brooks wciąż pracuje dla J.P. Morgana? – Bell od razu przeszedł do rzeczy.
- Z tego, co mi wiadomo, tak. A z pewnością słyshałbym, gdyby odszedł.
- Irina Viorets twierdzi, że Brooks stoi na czele Syndykatu Artystów, który twoim zdaniem nie istnieje.
- Nie mówiłem przecież, że nigdy nie zaistnieje. Nie istniał wtedy, kiedy to dla ciebie sprawdzałem. Być może teraz już istnieje.
- Co to ma niby znaczyć, do cholery?
- Firma transportowa Morgana traci grunt pod nogami. Międzynarodowa Flota Handlowa została wystawiona na ciężką próbę przez rząd brytyjski i amerykański Kongres. Może w Wytwórni Imperial dostrzegł szansę na nowy biznes? Bez względu na to, skąd ma fundusze, Imperial jest na najlepszej drodze do przejęcia lwiej części rynku produkcji, dystrybucji i wyświetlania filmów niezależnych. Właśnie na takie kąski Morgan jest szczególnie łasy.
- Ale Krieg i niemiecka armia...
- Wszystko płynie, Isaac. Wydarzenia nie zawsze przebiegają zgodnie z planem.

Biblioteczka w gabinecie Iriny Viorets odsunęła się na bezgłośnych łożyskach kulkowych. Z tajnej klatki schodowej wyszedł Christian Semmler.

- Jutro wieczorem – powiedział – gdy zespół *Żelaznego rumaka* wróci ze zdjęć, masz poprosić panią Bell, by wyświadczyła ci przysługę.
- Jaką przysługę?
- Przypadkiem usłyszałem, jak nasz zakichany reżyser piętro wyżej groził, że odejdzie z pracy – akurat kiedy zbudowali już okręt i przystań.
- Dlaczego?

– Uznał, że to nie będzie dobrze wyglądało. Gadał coś o reflektorach nocą. Chcę, żebyś go jutro zwolniła. Potem poprosisz panią Bell, by została na noc i nakręciła tę jego scenę o przyjeżdżających imigrantach, żeby stolarze mogli uprzątnąć dekoracje i przygotować scenę pod *Żelaznego rumaka*.

– A jeśli się nie zgodzi?

– Oboje dobrze wiemy, że Marion Bell zgodzi się na wszystko, byle tylko wesprzeć swój film. No i na pewno nie przepuści okazji do zrobienia ujęcia w nocy, przy światłach reflektorów. To będzie dla niej wyzwanie. Zwłaszcza jeżeli jej powiesz, że pierwotny reżyser odszedł, bo nie był w stanie sobie z tym poradzić.

– Co chcesz jej zrobić? – spytała zaniepokojona Irina.

– Nic! *Gott im Himmel*, co ty sobie wyobrażasz, kobieto? Przysięgam, że nie zrobię nic, co mogłoby zaszkodzić produkcji *Żelaznego rumaka*. Ale kiedy będziesz z nią rozmawiać, upewnij się, że w pobliżu nie ma tego przekłętego kowboja.

Rozdział 41

Kilka minut przed planowanym wyjściem Bella na La Grande Station w celu skonfrontowania się z Singletonem Brooksem szef lokalnego biura Larry Saunders zawiadomił go, że jeden z urzędników miejskich, który po długich namowach w końcu zgodził się potwierdzić istnienie tajnych planów budynku Imperialu, zginął przygnieciony wagonikiem kolejki Angels Flight.

– Policja twierdzi, że był pijany i wpadł na tory. Ale biorąc pod uwagę jak tam jest stromo, spodziewałbym się tego raczej po pijanym marynarzu, a nie po otyłym urzędasie

w średnim wieku. Przykro mi, panie Bell, to był mój najlepszy trop, ale będę próbował dalej.

Isaac zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Larry, chciałbym, żebyś przejął dowodzenie grupą ochraniającą Clyde'a Lyndsa. Od zaraz.

Dandysowaty Saunders spytał, skąd ten pomysł.

– Bo mam przeczucie, że dzisiejszego wieczoru coś się wydarzy – odparł Bell tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zmienił swoje zamiary co do La Grande Station. Pociąg Singletona Brooksa miał przyjechać o dziewiątej. Isaac postanowił, że zamiast wypytywać go o wszystko na peronie, najpierw trochę go pośledzi. To, dokąd pójdzie Brooks, może przecież wiele wyjaśnić. Niewykluczone nawet, że doprowadzi go do Christiana Semmlera. Tak czy owak, było prawie pewne, że Brooks rozpoznałby Bella. Nawet gdyby detektyw włożył czarny strój motocyklowy, istniało niebezpieczeństwo, że Irina zdążyła ostrzec szefa przed podejrzeniami Bella.

Dlatego kazał go śledzić Hatfieldowi, który już czekał w pełnej gotowości w knajpie dokładnie naprzeciwko głównego wejścia na dworzec. Bell miał mu tylko wskazać Brooksa. Zadał też o to, by trzeci detektyw czekał przy postoju taksówek, na wypadek gdyby po Brooksa przyjechało auto. Wreszcie Balant – „niewidomy” sprzedawca gazet – dzisiaj przeobraził się w ciekawskiego turystę, który miał podążyć za nowojorskim bankierem, gdy ten postanowiłby wsiąść do tramwaju.

Chuck Shipley, młody i ambitny detektyw agencji Van Dorna świeżo przybyły do Los Angeles z Kansas City, siedział przy stoisku prasowym w czapce pożyczonej od sąsiada, który rzeczywiście zarabiał na życie, sprzedając gazety. Larry Saunders doradził mu, by uzupełnił swoje przebranie, przyczepiając sobie do paska niklowaną port-

monetkę. Z kolei detektyw Balant zabronił mu zakładać okulary przeciwsłoneczne, tłumacząc cierpko, że nawet jeśli Niemcy pracujący w posiadłości wicekonsula są kretykami – a póki co nic na to nie wskazywało – to z pewnością zaczną się zastanawiać, dlaczego przy stojącym od kilku dni pod ich budynkiem stoisku pracują sami niewidomi.

– Innymi słowy, Chuck, wymyśl sobie własne przebranie.

Idąc za radą starszych i bardziej doświadczonych, Shipley postanowił jeszcze utykać na jedną nogę, ale że większość czasu spędzał na siedząco, nie bardzo miał okazję zaprezentować ten nowatorski pomysł. Wstawał tylko wtedy, gdy ciężarówki przywoziły mu nowe gazety. Właśnie nadjeżdżała kolejna, ze świeżym wydaniem „Los Angeles Examiner”. Kierowca nie wysiadł z kabiny. Jego pomocnik wziął pod pachę plik gazet i podszedł tak blisko, że odebrał Shipleyowi jedną z niewielu szans na pokaz kulenia.

– Gdzie ślepy? – spytał mężczyzna.

– Wziął sobie wolne – odparł Shipley. – Ojciec mu się pochorował.

– Mam coś dla niego. Przekaż mu.

– Co takiego?

– O, tutaj. – Tragarz trzymał coś przy kolanach.

Chuck pochylił się, by zobaczyć, co to takiego. Jedy-
nym, co zobaczył, była uzbrojona w kastet pięść mężczyzny,
która w ułamku sekundy roztrzaskała mu szczękę. Przed
oczami Shipleya eksplodowała istna feeria barw, zastąpiona
po chwili całkowitą ciemnością.

Tragarz ułożył ciało pod stoiskiem i zakrył je kilkoma
stosami gazet.

Następnie ciężarówka „Examinera” podjechała pod re-
zydencję wicekonsula. Z piwnicy wyszło sześciu potężnych
mężczyzn w pomiętych czapkach i za luźnych ubraniach.
Większość była niedogolona, a wszyscy mieli niebieskie

oczy i charakterystyczne rysy Holendrów z Afryki Południowej. Wsiadli do ciężarówki, która pognała prosto przed budynek Imperialu. Złowroga szóstka weszła do środka tylnym wejściem. Strażnicy przywitani ich ciepło, jak dawnych towarzyszy broni.

Pociąg Golden State Limited przyjechał o czasie.

Po chwili stojący na uboczu Bell zauważył znajomą sylwetkę niewysokiego mężczyzny wysiadającego w pośpiechu z wagonu, który według analityków agencji Van Dorna należał do Brooksa. Singleton Brooks przeszedł przez zatłoczony peron i ruszył do głównego wyjścia.

Bell skinął głową Texasowi. Gdy Brooks wsiadł do taksówki, Walt wsiadł do następnej, z drugim detektywem za kierownicą, i ruszył śladem swojego celu. Stojący przy przystanku tramwajowym Balant zawołał kolejną taryfę i dołączył się do ogona.

– Panie Bell! Panie Bell!

Isaac rozpoznał w zbliżającym się do niego zasapanym młodzieńcu kuriera agencji Van Dorna.

– Powinieneś zachowywać się dyskretniej, gdy zwracasz się do kolegi na służbie, synu – pouczył chłopaka łagodnie i wziął go pod ramię. – Przejdźmy się i sprawdźmy, czy ktoś się zorientował... Co myślisz o tym jegomościu w słomkowym kapeluszu? Obserwuje nas? Nie, już odchodzi z tą całuśną dziewczyną. Poza tym chyba nikt nie zwrócił na nas uwagi. Co masz mi do przekazania?

– Ma pan jak najszybciej zadzwonić do pana Clyde'a Lyndsa.

Bell podbiegł do dworcowego telefonu i wykręcił numer laboratorium. W głosie Lyndsa był słyhać jeszcze większe podekscytowanie niż u kuriera.

– Musi pan przyjść – oznajmił. – Zsynchronizowałem obraz z dźwiękiem.

– Już jadę – odparł Bell.

Ale nim popędził do budynku Imperialu, wychodząc z dworca, natknął się na Texasa.

– Co ty tu robisz? Zgubiliście Brooksa?

– Bynajmniej.

– To gdzie on jest?

– Wpadł do Levy's Cafe na kolację. Balant go pilnuje.

– Nie spuszczać go z oczu. Ja jadę do wytwórni.

– Nie da rady.

– Jak to?

– Zgadnij, z kim je tę kolację?

– Z Iriną Viorets.

– Pudło. Z kimś, kto rozpozna mnie na kilometr.

– Czyli?

– Z facetem, który reżyserował te moje westerny, samym Królem Piratów Jayem Tarsesem.

Bell pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Sądziłem, że natychmiast po przyjeździe uda się na spotkanie z Iriną. I miałem nadzieję, że wystawi nam Semmlera. Po co mu Tarses?

– Balant usiadł przy stoliku niedaleko nich. Potem rozmówiliśmy się w alejce na tyłach kawiarni i powiedział mi, że Tarses mamrocze pod nosem, więc za nic nie mógł go zrozumieć, za to Brooks wrzeszczy jak szalony.

– Mówił coś o Imperialu?

– Nie. J.P. Morgan zamierza rozkręcić własną wytwórnię i chce, żeby Tarses nią pokierował. Brooks aż tonie w zapewnieniach, jak bardzo potrzebują Tarsesa, ale ten patrzy na niego jak na gada. Tak więc nie wygląda na to, żeby Brooks przyjechał do Los Angeles w związku z Imperialem. Raczej stara się założyć nową firmę.

– Może z Iriną spotka się dopiero jutro – powiedział Bell, ale bez przekonania.

– Może po prostu pójde tam i go zapytam? – zaproponował Walt.

– Sam to zrobię. Znam trochę Brooksa, chcę widzieć jego reakcję, na wypadek gdyby próbował łąać.

– Ubezpieczać cię?

– Myślę, że razem z Balantem damy radę jednemu bankierowi ze wschodniego wybrzeża. Ale mógłbyś wyświadczyć mi inną przysługę.

– Jasne, Isaac, czego ci trzeba?

– Weź samochód, jedź na Bunker Hill i obserwuj nasz dom.

– Mam pilnować Marion?

– Byłbym ci niezmiernie wdzięczny.

– Wejść do środka?

– Nie, ona wstaje tak wcześnie, że pewnie już śpi. Zostań w samochodzie.

Bell pobiegł do Levy's Cafe. Robiło się późno i większość stolików była już pusta. Obcasy jego butów wybijały szybki rytm, gdy podchodził do miejsca, przy którym Tarses z wyraźnym niedowierzaniem słuchał przemowy bankiera koncernu Morgana. Isaac przysunął sobie krzesło. Tarses spojrział na niego i od razu rozpoznał, chociaż nie był w stanie przypomnieć sobie, skąd go zna. Brooks również go poznał i najwyraźniej miał znacznie lepszą pamięć.

– Co pan tu robi, detektywie Bell?

– O to samo chciałem zapytać pana – odparł Isaac. – Czemu zaprasza pan na obiad pana Tarsesa zamiast panny Iriny Viorets?

Jay Tarses spochmurniał, jakby właśnie potwierdziły się jego podejrzenia.

– Dlaczego od razu mi pan nie powiedział, że prowadzicie też rozmowy z Imperialem? – spytał.

– Bo to nieprawda – odrzekł bankier. – Tak jak już mówiłem, przyjechałem tu specjalnie dla pana.

– Czyżby? To po co spotyka się pan z Iriną Viorets, która jest tam szefem?

– Nie spotykam się z nią – zaprzeczył Brooks. – Nie znam jej.

– Dobrze pan wie, kim ona jest.

– Oczywiście, że wiem.

– Panie Bell – Tarses zwrócił się do detektywa – jak to jest, że w przemyśle filmowym najlepsi odpadają, a wygrywają najgorsi?

– Co też pan sugeruje? – zachnął się Brooks.

– Spokojnie, panowie – Bell postanowił interweniować. – Chyba winien wam jestem przeprosiny. Proszę mi odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie, panie Brooks, a będę mógł zapewnić pana Tarsesa ponad wszelką wątpliwość, że jest pan z nim całkowicie szczerzy. Czy reprezentuje pan Syndykat Artystów?

– Nie wiem nawet, co to jest Syndykat Artystów. Ale cokolwiek by to było, zapewniam, że nie mam z nim nic wspólnego.

– I nie zna pan panny Viorets?

– Wiem, kto to jest. Ale obawiam się, że nigdy jej nie spotkałem.

– Zapamiętałby pan – wtrącił Tarses. – Prawdziwa z niej ślicznotka.

– Jestem żonaty, szanowny panie. – Bankier w dalszym ciągu był na niego obrażony.

– To tylko dodatkowo potwierdza, że pan Brooks mówi prawdę – stwierdził Bell, wstając. – Przepraszam, że przerywałem panom posiłek.

– Pani Rennegal – Marion zwróciła się do swojej ulubionej techniczki oświetleniowej. – Mamy nakręcić scenę na pomoście przy statku, w mglistą noc i przy wywołujących

grozę światłach reflektorów. A w tej chwili wygląda to raczej na romantyczną kolację przy świecach.

– Ależ pani Bell! – Rennegal schodziła z drabiny po kolejnej nieudanej próbie ustawienia lamp Cooper-Hewitts nad sceną udekorowaną pod sekwencję przybycia imigrantów na Ellis Island. – Panowie Bitzer i Davidson wciąż się skarżą, że reflektory przeświecą taśmę.

– Dlatego postanowiłam ich wysłać na wcześniejszą kolację. Inaczej musiałabym któregoś z nich zastrzelić. Albo nawet obu. Teraz możemy przygotować tę scenę tylko we dwie.

Davidson żartował sobie, że łatwiej byłoby zrzucić aktora z kamerą w ręku z dachu, aby nakręcił własny upadek na siatkę asekuracyjną, niż sfotografować nocną zamgloną scenę w budynku. I z pewnością dostarczyłoby to większej uciechy widzom.

– Może pomalujemy kadłub ciemniejszą farbą?

– Bardzo mi przykro, pani Bell, ale ja muszę już wracać do domu. Mój mąż idzie na nocną zmianę i nie mam z kim zostawić dziecka.

– Proszę lecieć. Dziękuję, że i tak została pani dłużej. Jakoś sobie poradzę. Widzimy się rano przy *Żelaznym rumaku*. A do tego wrócimy jutro wieczorem. Im szybciej się z tym uporamy, tym prędzej rozbiorą ten statek i postawią tu naszą lokomotywę. Dobrej nocy, moja droga. I dobrej nocy wszystkim, bardzo dziękuję za pomoc.

Rennegal, jej asystent oraz pomocnicy i elektrycy weszli do windy, wołając chórem:

– Dobranoc, pani Bell.

Winda ruszyła w dół, pozostawiając ją w kompletnej ciszy. Marion przechadzała się po opustoszałej scenie, rozważając różne koncepcje. A co, gdyby zrezygnować z dymu? Czy to złagodzi światło, czy sprawi, że stanie się jeszcze bardziej jaskrawe?

Wiedziała, że powinna już wracać do domu i odpocząć przed kolejnym dniem. Ale była tak zaabsorbowana czekającym ją wyzwaniem, że postanowiła jeszcze trochę zostać.

Otworzyła szklane drzwi w północnej ścianie budynku i wyszła na wąski taras. Chłodny wiatr z gór wdarł się jej pod bluzkę. Założyła ręce na piersi, żeby się rozgrzać, i spojrzała przez balustradę na ledwie widoczny mały okrąg rozstawionej trzydzieści metrów niżej siatki asekuracyjnej.

Grube płótno jarzyło się od światła padających z okien magazynu filmowego na pierwszym piętrze. Marion wpatrywała się w nie uważnie. Musiał być jakiś sposób, by ukazać promienie światła padające z reflektorów bez rozświetlenia otaczającej ich ciemności.

– Witajcie, *Bittereinders* – powitał wezwanych z rezydencji wicekonsula bojowników Christian Semmler. Stojąca przed nim szóstka stanowiła wszystko, co pozostało z tak zwanej grupy *Bittereinders*, żołnierzy, którzy odmówili złożenia broni po tym, jak Brytyjczycy rozbili armię Burów i kontynuowali walkę partyzancką, napadając na polne brytyjskie kolumny, przecinając ich linie łączności i mordując nieuważnych wartowników.

Po zakończeniu wojny wędrowali z miejsca do miejsca, walcząc za pieniądze w najodleglejszych zakątkach świata, gdzie doświadczeni najemnicy byli cenieni szczególnie wysoko. Po dziesięciu latach takiego życia stali się znakomitymi żołnierzami i wyborowymi strzelcami, świetnie orientującymi się w najnowocześniejszych typach uzbrojenia i nieznanymi strachu. Mimo to Semmler budził w nich ogromny respekt. Tylko kilku widziało go w akcji, ale wszyscy znali krążące o nim legendy. Byli gotowi wykonać co do joty każdy rozkaz generała, bo chociaż uśmiechał się rozbrajająco, nie mieli cienia wątpliwości, że w razie jakiegokolwiek uchybienia nie okaże litości.

Wydał im broń – amerykańskie rewolwery dużego kalibru, czyste i nasmarowane – oraz po kilka lasek dynamitu z przymocowanymi lontami.

Na mapie wskazał im drogę ucieczki, prowadzącą od sekretnego wyjścia z budynku do wagonu stojącego na placu załadunkowym linii Southern Pacific. Specjalnie przygotowana ekspresowa lokomotywa miała ich stamtąd zawieźć do portu w San Pedro, gdzie już czekał na nich statek.

Potem Semmler rozwinął plany samego wieżowca.

– Zobaczmy, jak wygląda sytuacja w studiu nagrań, przez ukryty wizjer – wyjaśnił. – Po zlokalizowaniu celów wejdziemy przez tę ścianę, która odsuwa się w prawo. Znieśliśmy urządzenia po tych tajnych schodach. Już na zewnątrz wrzucimy dynamit przez okna magazynu filmowego.

Jeden z Burów chwycił laskę dynamitu w dwa palce i spytał:

– A co zdziała to maleństwo poza narobieniem hałasu?

– Taśma filmowa jest wyjątkowo łatwopalna – odparł generał. – Gdy zajmie się od dynamitu, spłonie razem z całym budynkiem.

Semmler, jako były partyzant, był też realistą. Wiedział, że Isaac Bell depcze mu po piętach. Smutna prawda wyglądała tak, że jeden pechowy wypadek – pojawienie się Isaaca Bella na pokładzie „Mauretanii” w najgorszym możliwym momencie – zatrzęsł w posadach całym misternym planem „Donar”. Wszystko, co działo się później, wynikało właśnie z tego, co wydarzyło się tej niefortunnej nocy, i teraz było już tylko kwestią czasu, kiedy detektyw ujawni prawdziwy cel Wytwórni Imperial: tworzenie i promowanie w Stanach Zjednoczonych niemieckich filmów propagandowych.

Ale system produkcji i dystrybucji utworzony pod płaszczykiem Wytwórni Imperial był tylko narzędziem. Lepiej zniszczyć go teraz, zanim dojdzie do ujawnienia jej związków z armią niemiecką. Prężnie rozwijający się

rynek filmowy z otwartymi ramionami przyjmie kolejną odsłonę „Wytwórni Imperial” pod dowolną nazwą. Istotą planu „Donar” nadal pozostawała maszyna do tworzenia filmów dźwiękowych, dzięki której niemieckie produkcje zawróciłyby w głowie całemu światu.

Mając w ręku taki atut, bez trudu zorganizowałyby kolejną próbę skłócenia ze sobą wrogów Niemiec za pomocą propagandy. Teraz zamierzał upiec trzy pieczenie na jednym ogniu, czyli zemścić się na Isaacu Bellu, zniszczyć wszystkie dowody demaskujące jego plan i uciec do Niemiec razem z doskonałym narzędziem propagandowym, które pozwoli mu osiągnąć ostateczny sukces.

Nakazał towarzyszom, by podeszli bliżej.

– Przyjrzyjcie się uważnie temu człowiekowi.

Pokazał im zdjęcie Clyde’a Lyndsa wykonane przez fotografa reklamowego Imperialu, gdy naukowiec odwiedzał studia filmowe na poziomie apartamentów.

– Nie może mu spaść włos z głowy. To on jest głównym celem całej akcji. Pamiętajcie, że gdy wpadniemy do laboratorium, musimy zabrać go razem ze wszystkimi jego urządzeniami, ale on ma być cały i zdrowy, a urządzenia nienaruszone. Czy to jasne? – Patrzył każdemu w oczy, dopóki nie usłyszał potwierdzenia.

– Tak jest, panie generale.

Rozdział 42

Isaac Bell zatelefonował do Iriny Viorets.

– Liczyłem na to, że będziesz pracować do późna – powiedział na wstępie.

– Zawsze zostaję po godzinach.

– Rozmawiałem z Brooksem.

Irina zaskoczyła go, mówiąc:

- Więc już wiesz, że cię okłamałam.
- Dlaczego?
- Chyba powinniśmy się spotkać. Natychmiast.
- Dobrze. Każ strażnikom mnie wpuścić.
- Nie, nie tutaj. Spotkajmy się na ulicy.

Larry Saunders bardzo poważnie potraktował przecucie Isaaca Bella, że nadchodzi kulminacyjny moment śledztwa, więc zrezygnował ze swojej idealnie skrojonej marynarki na rzecz również eleganckiej, ale znacznie luźniejszej, pod którą mógł zawiesić kaburę z coltem .45, a w kieszeniach schować dwa małe pistolety. Na wszelki wypadek zabrał ze sobą zwałistego Tima Holiana, który jako jedyny detektyw Van Dorna gwizdał na to, jak wygląda, i na co dzień chodził po mieście w wytartym, opinającym mu się na wydatnym brzuchu płaszczu. W tej chwili płaszcz był jeszcze ciaśniejszy niż zwykle od całej góry ukrytej pod nim broni.

W budynku Imperialu przekonali się, że Clyde Lynds przeniósł się razem ze swoją obstawą z laboratorium do dźwiękoszczelnego studia nagrań na czwartym piętrze. Dołączyli do reszty ochroniarzy.

Detektywi, funkcjonariusze służby ochroniarskiej i sam Clyde zebrali się wokół urządzenia, które wyświetlało film na służącej im za ekran białej ścianie. Po obu stronach ściany stały tuby fonograficzne.

– Posłuchajcie tego! – zawołał Lynds. Cały w skowronkach, chwycił przełącznik elektryczny i pociągnął go do siebie.

Z tub popłynął kobiecy głos. Był chropawy i brzmiał, jakby dochodził z daleka, ale widoczne na prowizorycznym ekranie usta kobiety poruszały się w idealnej harmonii z każdym wypowiedanym przez nią słowem.

Saunders dopiero po chwili zorientował się, że sam patrzy na ekran z otwartymi ustami. To, co widział, było niesamowite.

– Niech no tylko Bell to zobaczy. Wygląda, jakby stała tu z nami.

– Jesteśmy w domu. – Clyde Lynds szczyrzył się w dumnym uśmiechu. – Teraz to już tylko kwestia dopracowania.

Nagle ściana, na której był wyświetlany wizerunek kobiety, poruszyła się.

Lynds patrzył na to, nic nie rozumiejąc.

Ściana przesunęła się w lewo, ukazując bezkresną ciemność, która pochłonęła film. Twarz kobiety zniknęła, a na jej miejscu pojawiło się uśmiechnięte oblicze Niemca, którego stary profesor nazywał Akrobatą.

Rozdział 43

Po obu stronach Akrobaty stali uzbrojeni mężczyźni.

Larry Saunders i Tim Holian zasłonili Clyde'a Lyndsa i sięgnęli po pistolety. Saunders wyciągnął swojego colta z szybkością błyskawicy.

Towarzysze Christiana Semmlera wystrzelili równą salwą. Huk sześciu jednoczesnych strzałów zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Szef biura agencji Van Dorna w Los Angeles padł martwy, z sześcioma kulami w piersi.

Druga salwa powaliła obu ochroniarzy, którzy byli tak zaskoczeni rozwojem wypadków, że nie zdążyli nawet sięgnąć po broń. Lufy napastników skierowały się w stronę Tima Holiana, ale mężczyźni bali się do niego strzelać, bo stał tuż obok Lyndsa. Holian wykorzystał tych kilka sekund wahania. Wyprostowany, z dwoma pistoletami w rękę, otworzył ogień. Jeden *Bittereinder* zwałił się na

ziemię, drugi upadł na kolana z głośnym skowytym. Pozostali czterej pociągnęli za spusty. Detektyw zatoczył się i wpadł na stół, przełamując go na dwoje.

Lynds rzucił się do ucieczki. Akrobata przeskoczył zwinnie nad ciałami zabitych, skoczył za nim i chwycił go za ramię. Przyciągnął go do siebie i mocno ścisnął. Z ust Lyndsa wydobył się jęk, a w jego oczach odmalował się wyraz totalnej paniki.

– Wreszcie pana mam, *Herr Lynds*. Proszę się nie wyrywać, bo będę zmuszony zrobić panu krzywdę. Gdzie jest maszyna do robienia filmów dźwiękowych?

– Właśnie pan na nią patrzy – odpowiedział z trudem Clyde.

– To służy do ich wyświetlania – stwierdził Semmler, ruchem dłoni dając znak swoim ludziom, by zabrali urządzenie. – A gdzie jest maszyna do ich kręcenia?

Ścisnął Lyndsa mocniej, niemal miażdżąc mięśnie na kościach. Dysząc opętańczo, Clyde wskazał kamerę stojącą na trójnogu.

– To jest do zdjęć – powiedział Semmler. – A czym nagrywasz dźwięk?

Lynds bez słowa skinął głową w stronę mikrofonu węglowego stojącego na dużym drewnianym pudle.

– A gdzie jest urządzenie do łączenia filmu i dźwięku?

Zrezygnowany Lynds zawisł bezwładnie w uścisku Niemca. Ten potwór wiedział o wszystkim. Zupełnie jakby od początku przyglądał się jego pracy. Poczuł ból w ramieniu, gdy Semmler zaczął nim potrzasać niczym terier nogawką spodni.

– No gdzie? – warknął.

– W laboratorium na górze.

Ale Semmler jeszcze nie skończył. Ścisnął naukowca z całych sił, niemal dało się słyszeć trzask pękających kości.

– Gdzie są plany konstrukcyjne?

Lynds ze zgrozą uświadomił sobie, że Niemiec, raz przechytzony, nie da się nabrać po raz drugi.

– Tam! – wycharczał, wskazując torbę wypełnioną rysunkami i schematami.

Wyglądało na to, że Akrobata trochę się uspokoił, ale były to tylko złudne nadzieje Lynds.

– Idziemy! – Semmler pociągnął go w stronę przejścia w ścianie.

– Dokąd?

– Teraz do twojego laboratorium, a potem do domu, do Niemiec.

– Niemcy nie są moim domem.

– Ale nim będą, dopóki nie doprowadzisz swojego wynalazku do perfekcji.

Uliczni gangsterzy z Nowego Jorku pokazali kiedyś Clyde'owi swój ulubiony manewr w walce wręcz. Zrobili to dla żartu, traktując go jak przemądrzałą beksa lalę, ale chłopak, który chciał im zaimponować, nauczył się go bardzo szybko. Teraz, nie mając nic do stracenia, postanowił go wypróbować, a zrobił to tak niespodziewanie, że wytrącił z równowagi nawet Akrobatę. Odbił się mocno nogami i uderzył masywnego Niemca głową w szczękę. Stalowy uchwyt zelżał na sekundę i to wystarczyło Lyndsowi, by uwolnić się i zerwać do biegu. Potknął się o ciało Saundersa, podparł dłonią i podniósł z ziemi jeden z pistoletów.

W tym samym momencie usłyszał strzał.

Wydawało mu się, że odgłos dobiegł z innej części budynku, ale dudnił mu w uszach jeszcze długo po tym, jak zauważył, że jego nogi przestały się ruszać, a pocisk przyduśił go do podłogi. Spróbował usiąść. Zobaczył, że mężczyzna, który go postrzelił, brodaty Holender w wymiętej czapce, wciąż trzyma w ręku pistolet i gwałtownie wymachuje głową na wszystkie strony. Tuż za nim stał Akrobata z twarzą

wykrzywioną z wysiłku, z jakim zaciskał garotę wokół szyi Holendra. Robił to tak mocno, że drut rozciął krtań.

– Bierzcie wszystko do pociągu – rozkazał Semmler pozostałym. – Ja idę do laboratorium.

Odrzucił na bok zwiotczące ciało uduszonego Bura i przyklęknął obok Lyndsa, chcąc zanieść go na górę, by wskazał mu właściwe urządzenie. Clyde był nieprzytomny, na dziurze w jego piersi tworzyły się bąbelki krwi. Semmler od razu poznał, że rana jest śmiertelna.

Jeszcze raz przeklął porywczego idiotę, który postrzelił Lyndsa, i zaczął dokładnie przeszukiwać młodego naukowca. Pod koszulą znalazł płaski przedmiot zawinięty starannie w materiał impregnowany lakierem olejnym. Otworzył zawiniątko i znalazł w środku kartkę grubego papieru. Z zadowoleniem stwierdził, że jest wypełniona starannymi miniaturowymi diagramami i rysunkami opatrzonymi równaniami matematycznymi.

Złożył kartkę i zawinął ją z powrotem w wodoodporny materiał. Podstępny Lynds znowu próbował go oszukać. Z pewnością to są prawdziwe plany maszyny do tworzenia filmów dźwiękowych. Gdyby było inaczej, po co zabezpieczałby je tak starannie i próbował ukryć? Semmler schował zawiniątko do kieszeni. Zamierzał zabrać je razem ze wszystkimi urządzeniami i planami z torby. Niech już jajo-głowi w Niemczech dochodzą, które z nich są prawdziwe.

Bell dostrzegł Irinę Viorets stojącą na skraju snopa światła padającego z pobliskiej latarni. Z zadartą głową wpatrywała się w szczyt budynku Imperialu. Miała na sobie zdecydowanie za gruby płaszcz jak na tę pogodę. U jej stóp stała torba podróżna.

– Wyglądasz jak kobieta szykująca się do dalekiej podróży – powiedział Isaac, zachodząc ją od tyłu.

Odwróciła się, gdy tylko zaczął mówić. Jej oczy błyszczały od łez.

– Nic nie mów – powiedziała łamiącym się głosem. – Ja będę mówić.

Początkowo Bell słuchał jej z dużą dozą sceptycyzmu, który jednak szybko przerodził się we współczucie. Opowiedziała mu o swoim narzeczonym, przetrzymywanym w więzieniu Semmlera w Prusach.

– Semmler uważa go za głupca. Ale przecież walczył o słuszne ideały. Marzy o sprawiedliwości. Teraz już wiem, że nie było mu pisane przetrwać walki, w którą się zaangażował. Jestem jego jedyną nadzieją.

– Irino, czemu mi to wszystko mówisz?

– Bo jeśli ty zabijesz Semmlera, to może jest szansa, choćby cień szansy, że nikt inny nie każe zabić mojego narzeczonego.

– Jestem prywatnym detektywem, Irino. Nie zabójcą.

– Przecież wiem, Isaac. Ale jeśli staniesz mu na drodze, tylko jeden z was to przeżyje. Nazywaj to, jak chcesz. Samoobroną czy jeszcze inaczej. Wszystko mi jedno. Pozostała mi już tylko wiara w ciebie.

– Żeby do tego doszło, muszę go znaleźć.

– Powiem ci, jak to zrobić. W budynku jest sekretna klatka schodowa, ciągnąca się od piwnicy do poziomu apartamentów. Tam właśnie siedzi. Stamtąd wszystkiego dogląda. Sypia w pokoju na dziewiątym piętrze. Teraz już wiesz, gdzie go szukać.

– Jak wejść do piwnicy?

– Pamiętasz tę siatkę asekuracyjną na tyłach budynku, na którą mieli skakać aktorzy?

– Tak.

– Właz jest dokładnie pod nią.

– Dlaczego mówisz mi to wszystko właśnie teraz? – spytał Bell.

– Bo zrobiłam coś potwornego i tylko ty możesz mnie ocalić przed konsekwencjami tego czynu.

– To znaczy?

– Semmler kazał mi dopilnować, żeby Marion została dzisiaj na noc w budynku.

– Ona tu jest? Niemożliwe. Już dawno śpi w naszym domu.

– Zleciłam jej pilne zadanie. Miała nakręcić dodatkową scenę w studiu na dachu. Jest tam do tej pory. Dokładnie tam, gdzie sobie zażyczył. Tak bardzo cię przepraszam, Isaac, ale mój...

Bell już biegł w stronę budynku. Zobaczył ciężarówkę wyjeżdżającą z bramy zamontowanej w drewnianym ogrodzeniu otaczającym pusty skwer za wieżowcem. Jeden ze stojących przy bramie umundurowanych strażników ruszył w jego stronę, chcąc go zatrzymać.

– Hej, dokąd się pan wybiera?

Bell poczęstował go dwoma szybkimi ciosami, przebiegł przez bramę i minął rusztowania z dekoracjami. Wreszcie zobaczył siatkę asekuracyjną, oświetloną światłem padającym z pobliskiego okna. Płótno było rozciągnięte na elastycznych linach, półtora metra nad ziemią. Bell uklęknął i znalazł pod nim klapę. Co dziwne, była otwarta.

Isaac zszedł po stalowej drabinie przymocowanej do betonowej ściany. Gdy dotarł do podłogi, zobaczył światło dobiegające z końca długiego korytarza. Biegąc w tym samym kierunku, wyciągnął swojego browninga. Korytarz kończył się przy słabo oświetlonych kręconych schodach, które ciągnęły się do najwyższego piętra. Bell ruszył w górę. Nie przejmował się, że ktoś go usłyszy, bo gumowe płytki wytłumiały dźwięk jego kroków.

Na pierwszej kondygnacji zobaczył kilkanaścioro drzwi-czek umieszczonych na wysokości ludzkiej głowy. Otwo-

rzył jedne i znalazł za nimi sekretny wizjer. Widział przez niego hol, w którym stało czterech strażników pilnujących głównego wejścia do budynku, schodów i drzwi sali kinowej. Windy były otwarte i nie paliło się w nich światło, najwyraźniej zostały wyłączone.

Bell otworzył drzwiczki na przeciwległej ścianie. Magazyn filmowy był pusty, a przy wejściu dla kurierów zasunięto stalową bramkę. Najwyraźniej Irina wskazała mu jedyne niepilnowane wejście do budynku.

Wszedł na pierwsze piętro i stanął twarzą w twarz z detektywem Holianem. Tim był blady jak ściana i zalany krwią z ran postrzałowych. Zatoczył się do przodu i wyjął słabym głosem:

– Szpital, szpital, muszę do szpitala.

Bell uznał, że patrzy na najszcześniejszego człowieka na ziemi, który wyszedł z ostrej strzelaniny zaledwie z powierzchownymi obrażeniami.

– Gdzie Saunders? – spytał.

– Nie żyje. Wszyscy nie żyją.

Isaac pobiegł na górę. Na czwartym piętrze fragment ściany został odsunięty do tajemnej wnęki. Przeszedł przez otwór i stanął osłupiały. W studiu nagrań odbyła się krwawa rzeźnia.

Na ziemi leżał martwy Saunders. Oprócz niego zobaczył ciała dwóch mężczyzn wciąż trzymających w dłoniach rewolwery. Kolejny mężczyzna leżał trochę dalej, najwyraźniej uduszony, bo na szyi miał krwawy strup, znak, że Akrobata zamordował go osobiście. Na końcu dostrzegł Lynda, który leżał na plecach z zakrwawionym brzuchem i twarzą białą jak kreda.

– Clyde? – Bell uklęknął przy młodzieńcu, nie opuszczając pistoletu. Od razu zorientował się, że nie zostało mu wiele czasu. Ogarnęło go przytłaczające poczucie winy.

Lynds otworzył oczy.

– Wygląda na to, Isaac – wyszeptał – że tym razem trochę się spóźniłeś.

– Przepraszam, że wciągnąłem cię w to wszystko – powiedział Bell. – Żałuję, że nie namówiłem cię do przyjęcia propozycji Edisona.

– Edison prawdopodobnie by mnie nie zabił.

– Wzięli twoją maszynę?

Clyde odpowiedział tak cicho, że Bell musiał przysunąć ucho do jego ust, by zrozumieć sens jego słów.

– Wzięli złożoną naprędce atrapę, którą zmontowałem do kupy sznurkiem do snopowiązałki. Ci ich zakichani naukowcy dostaną wypieków. Akrobata obszedł się smakiem, znowu go wykiwałem. A prawdziwe plany mam przy sobie... Isaac!

– Tak?

– Musisz pilnować moich planów.

– Zrobię to.

– Musisz mi to obiecać.

– Obiecuję. Tylko gdzie one są?

– Przed tobą.

– To znaczy?

Clyde uniósł rękę i Bell uznał, że znowu pokaże palcem swoją głowę, jak wtedy na pokładzie „Mauretanii”, gdy twierdził, że ma wszystko w pamięci i potrzebuje tylko czasu i pieniędzy, aby zbudować działającą maszynę. Teraz takie zapewnienie nie zdałoby się na wiele. Plany odeszłyby razem z nim. Ale tym razem Clyde sięgnął dłonią do kieszeni na piersi, po czym szybko zakrył nią usta. Rozkaszał się okropnie, wprawiając całe ciało w drzenie. Kaszel skończył się nagle wraz z głębokim westchnieniem. Clyde Lynds zmarł, nie zdążywszy powiedzieć Bellowi, gdzie ukrył swoje plany.

Isaac zamknął mu oczy i zakrył jego twarz chustką. Pamiętając o złożonej przysiędze, zaczął przeszukiwać ubranie Clyde'a.

– Szuka pan czegoś, detektywie?

Rozdział 44

Głos Akrobaty dochodził tuż zza jego pleców. Mówił po angielsku płynnie i prawie bez akcentu.

– Odłóż pistolet na jego brzuch.

Bell wykonał polecenie i unióś obie ręce. Gdy jego prawa dłoń mijała głowę, wyciągnął z kapelusza derringera, obrócił się błyskawicznie i wypalił w stronę, z której dochodził głos Semmlera. Pociski z brzękiem przebiły cynową tubę akustyczną.

Akrobata wybuchł śmiechem.

Dopiero teraz Bell zobaczył stojącego na drugim końcu pomieszczenia mężczyznę z włosami jasnymi jak jego własne i oczami zielonymi jak szmaragdy. Stał przy mikrofonie ustawionym na drewnianym pudle i prezentował słynny wśród handlowców „uśmiech Fritza Wunderlicha”. Rysunkowa podobizna nie oddawała jego zniewalającego uroku. A wydatne łuki brwiowe i szeroka szczęka wcale nie upodabniały go do małpy. Isaac doszedł do wniosku, że Semmler, Akrobata, wygląda jak posąg wyrzeźbiony przez artystę zafascynowanego siłą kryjącą się pod materiałem, a nie samym wyglądem zewnętrznym. Przyszło mu na myśl słowo „potężny”. Ten człowiek miał w sobie szczególną siłę, która sprawiała, że przypominał mitycznego herosa.

Semmler zrewanżował się Bellowi równie uważnym spojrzeniem, uśmiechając się przy tym jeszcze szerzej. Oczy mu błyszczały. Isaac pomyślał o Arthurze Curtisie –

nieżyjący detektyw, mimo że był jakieś piętnaście centymetrów niższy od Semmlera i bardziej zaokrąglony niż potężny, miał równie zniewalający uśmiech. I również był zaciętym wojownikiem, a jego oczy potrafiły się stać niemal całkowicie pozbawione wyrazu. Ale w spojrzeniu Semmlera było coś jeszcze innego – chłód i pustka, jak u gwiazd na niebie.

Ręce trzymał ukryte za drewnianym pudłem.

Bell nie był w stanie stwierdzić, czy ma w nich broń.

– Mikrofon Clyde’a robi wrażenie, nie sądzisz? Myślałem, że stałem tuż za tobą.

– Myślałem, że stoi za mną morderca.

– Nie jestem mordercą – odparł Semmler z takim przekonaniem, że Bell był pewien, że ma do czynienia z szaleńcem. – Jestem lojalnym żołnierzem swojej ojczyzny i swojego cesarza.

Isaac napiął mięśnie, gotowy do skoku.

– Mówiąc to, obrażasz każdego prawdziwego żołnierza. Zabiłeś ośmiu ludzi, poczynając od swoich współników z „Mauretanii”.

– Nikt by nie zginął, gdybyś nie postanowił się wtrącać – odparował Semmler. – Ich śmierć obciąża twoje sumienie.

Bell zerwał się i rzucił w stronę Akrobaty z szybkością dzikiej pantery.

Semmler uniósł pistolet automatyczny Webley i wycelował prosto w jego pierś.

– Mam tu naboje z wydrążonym wierzchołkiem, kaliber .455. Słyszałem, że twój przyjaciel Abbott do dziś nie pozbierał się po trafieniu taką kulą.

Isaac zatrzymał się niechętnie.

– Wyjdziemy teraz na zewnątrz – oznajmił Semmler. – Idź pierwszy. Prowadź na dół.

Bell nie miał innego wyjścia, niż posłuchać Akrobaty. Przynajmniej z każdym krokiem odciągał zabójcę od Ma-

rion. Zeszli do piwnicy. Semmler wskazał mu korytarz i wysunął się naprzód dopiero przy drabinie.

– Teraz ja pójde przodem – powiedział, zręcznie wdrażając się tyłem po szczeblach i nie odrywając muszki od Bella. Gdy dotarł na szczyt, machnięciem pistoletu kazał detektywowi wejść za nim.

Kiedy Isaac stanął obok niego, polecił:

– Sprawdź ten murek nad ziemią. Znajdziesz tam kilka luźnych cegieł. Weź jedną.

Bell wyszedł spod siatki, pochylił się przy murku i wodził po nim dłonią, dopóki nie znalazł cegły. Zadowolony, że ma w ręku jakąś broń, wstał, trzymając cegłę w lewej dłoni. Prawą zostawił wolną, by móc w odpowiednim momencie rzucić nożem schowanym w cholewie buta.

– Przez twoją ciekawość lata starannego planowania poszły na marne. Kosztowało mnie to wiele czasu i pieniędzy i zbecześciło moje dobre imię. Przez ciebie nie dotrzymałem obietnic złożonych cesarzowi, armii i rodzinie. Teraz, gdy już mam maszynę do tworzenia filmów dźwiękowych, będę mógł odkupić te winy, ale nie podoba mi się, że musiałem czekać na to aż tak długo! – Wskazał pistoletem jedno z okien i dodał: – Zanim przyjdzie ci do głowy głupi pomysł, żeby ogłuszyć mnie cegłą, rzuć nią w tę szybę.

Isaac, który cały czas uważnie przyglądał się Semmlerowi w nadziei, że Niemiec rozproszy się na ułamek sekundy, dając mu szansę na wyprowadzenie kontrataku, postanowił zmienić taktykę.

– Starannego planowania czego? – spytał. – W dalszym ciągu nie pojmuję, po co to wszystko.

– Chcę ocalić Niemcy przed działającymi w dobrej wierze głupcami. Rzucaj tą cegłą!

Bell spróbował jeszcze raz:

– Ale...

Semmler przerwał mu, kierując lufę pistoletu prosto w jego twarz.

– Rzuć cegłą albo zostaniesz rekonwalescentem jak twój kolega Abbott.

Isaac rzucił cegłą w okno, w którym paliło się światło. Szyba rozbiła się, a z ramy posypały się odłamki szkła, poszerzając nierówny otwór.

– A teraz czeka cię kolejny wybór: spróbuj mnie powstrzymać albo ratuj to, co jest ci najbliższe.

Christian Semmler uniósł wysoko drugą rękę, by Bell mógł zobaczyć, co w niej trzyma. Między kciukiem a palcem wskazującym miał pudełko zapalek, a pozostałymi palcami ścisnął ciemny walcowaty przedmiot, który w padającym z rozbitego okna niewyraźnym świetle Bell z trudem zidentyfikował jako ucięty kawałek laski dynamitu z przyczepionym lontem i detonatorem. Semmler poruszył palcami z gracją iluzjonisty. Zapalił zapałkę i przysunął płomień do lontu.

Poleciały iskry. Niemiec wrzucił dynamit przez rozbite okno. Bell słyszał, jak upada na podłogę. Przez moment stali w kompletnej ciszy, po czym rozległ się huk eksplozji. Z rozbitego okna buchnął ogromny biało-pomarańczowy płomień, oświetlając ich tak, jakby był środek dnia.

Semmler spojrzał w oczy Bella.

– Mogłbym cię teraz zastrzelić. Ale wolę się zemścić. Więc wybór pozostawiam panu, panie główny śledczy. Ścigaj mnie, jak na detektywa przystało, albo wskakuj do piwnicy jak przykładowy mąż, by ratować swoją uwięzioną na dachu żonę przed śmiercią w płomieniach. Jeśli na schodach zrobi się za gęsto od dymu, zawsze możecie skoczyć z dachu, licząc na to, że traficie w siatkę. Do tej pory nie udało nam się przekonać żadnego aktora, aby ją wypróbował, więc tym bardziej żałuję, że nie będę mógł podziwiać twojego lądowania. No dalej. Wybieraj!

Isaac zakręcił się w miejscu, skoczył pod siatkę i rzucił się nogami w dół do włazu. Gdy jego stopy zahaczyły o pierwszy szczebel drabiny, wyciągnął nóż i nie zatrzymując się nawet na moment, rzucił nim prosto w gardło Christiana Semmlera.

Ostrze przecięło powietrze niczym srebrna iskra wyładowania elektrycznego.

Tylko nadludzki refleks uratował Akrobacie życie.

Ale nic nie mogło uratować jego twarzy.

Nóż przebił mu policzek i język, zatrzymując się dopiero na zębach.

Bell był zbyt przejęty walką o życie Marion, by podziwiać efekty swojego rzutu.

Ale łądując na dole piwnicy i odwracając się w kierunku prowadzącego do schodów korytarza, usłyszał krzyk Semmlera. Był przeraźliwie głośny, boleśnie przenikliwy i ostry jak dźwięk klarnetu, a po chwili przerodził się w przytłumiony potokiem krwi bulgot.

Rozdział 45

Semmler starał się wyciągnąć ostrze jak najdelikatniej, choć cały aż drżał z bólu. Obawiał się, że w każdej chwili może stracić przytomność. Dotoczył się do siatki asekuracyjnej, zaparł na niej dla zachowania równowagi i splunął ogromną ilością krwi. Następnie odciął ostrym jak brzytwa nożem kawał swojego rękawa. Wypluwając kolejne porcje krwi, złożył materiał, wsunął sobie do ust i mocno zagryzł, by zatamować krwawienie.

Musiał się pospieszyć. Musiał uciekać. W oddali już było słychać ryk syren strażackich. Bał się, że zemdleje.

Nagle drugi, jeszcze potężniejszy wybuch, wyrzucający w powietrze kolejne odłamki szkła z okien utwierdził go w przekonaniu, że ogień rozprzestrzenia się tak szybko, że nawet jeśli Bell dotrze na dach przed płomieniami, jedyną drogą ucieczki będzie dla niego skok z dachu.

Akrobata zaśmiał się szyderczo. Potęgowało to ból twarzy, ale nie umiał się powstrzymać. Nareszcie miał pewność, że wymierzy Bellowi sprawiedliwość za wszystkie wyrządzone mu krzywdy. Jego własnym nożem przeciął liny przytrzymujące siatkę.

Na sekretnej klatce schodowej unosiły się białe smużki dymu. Gryzący swąd płonącego azotanu drażnił płuca Bella. Gdy mijał pierwsze piętro, ze ściany wyleciały jedne z niewielkich drzwiczek i z wizjera buchnął długi, gorący płomień, przypominający płonącą strzałę. Isaac przeturlał się pod nią i ruszył wyżej, przeskakując po trzy stopnie naraz, by wyprzedzić postępujące za nim dym i ogień. Minął wejście do studia nagrań. Płomienie dotarły tam już wcześniej przez szyb windy albo inne schody i przypiekały leżące na podłodze ciała. Modlił się w duchu, żeby Marion nie zdecydowała się opuścić na razie jeszcze bezpiecznego dachu w skazanej na niepowodzenie próbie ucieczki.

Gdy dotarł na piąte piętro, w połowie drogi na dach, ogień rozprzestrzeniający się z magazynu na pierwszym piętrze dotarł do zamkniętego skarbca i przechowywane tam góry taśmy filmowej eksplodowały. Wybuch był tak potężny, że aż zatrzęsły się schody. Fala uderzeniowa biegnąca w górę klatki schodowej zepchnęła Bella z gumowych stopni.

Stoczył się pół piętra niżej, natychmiast poderwał się na nogi i pobiegł jeszcze szybciej, mijając gabinet Iriny na siódmym piętrze, laboratorium Clyde'a na ósmym i tajną kryjówkę Semmlera na dziewiątym. Wreszcie,

dyszac jak lokomotywa, dotarł na samą górę, gdzie ze wszystkich stron otaczały go ściany opatrzone znajomymi drzwiczkami na wysokości oczu. Otworzył jedno i wyjrzał przez wizjer. Zobaczył utrzymaną w półmroku scenę z niewyraźnym zarysem statku i wieżyczek, na których stały reflektory Cooper-Hewitt. Wyróżniająca się na tle ciemnego nieba Marion właśnie wychodziła przez drzwi w szklanej ścianie na taras, pod którym była siatka asekuracyjna.

Bell zawołał ją. Niestety ściana stłumiła jego głos.

Wspominając przesuwaną ścianę na czwartym piętrze, zaczął wypatrywać wgłębienia pozwalającego na wysunięcie ruchomego fragmentu. Po chwili je znalazł i rozejrzał się w poszukiwaniu dźwigni, ale nigdzie żadnej nie było. Zaparł się więc dłońmi i spróbował przesunąć ścianę, ale bez efektu. Wtedy na podłodze dostrzegł coś, co przypominało zwykły włącznik światła. Przekręcił go i ściana odsunęła się na bok.

– Marion!

Kolejna eksplozja zatrzęsa całym budynkiem.

Bell przebiegł przez studio, zreżcznie omijając druty i szyny do przesuwania kamery, ale potknął się o worek z piaskiem służący za balast dla podwieszanej platformy. Przeturlał się naprzód i otworzył szklane drzwi. Marion wspinała się po schodach zbudowanych, na wypadek gdyby któryś ze statystów odważył się wykonać zabójczy skok.

– Marion!

– Isaac? O mój Boże, to naprawdę ty. Szybko! Wszystkie schody są zablokowane. Windy nie działają. Musimy skakać.

Bell przypadł do niej i uściśnął ją mocno, oszołomiony uczuciem ulgi. Siatka wydawała mu się jeszcze mniejsza niż poprzednim razem, gdy patrzył na nią z tej wysokości. Buchające z okien płomienie oświetlały ją bardzo wyraźnie.

Na płótnie były niewyraźne czarne plamki, których wcześniej nie zauważył.

– Jest wystarczająco mocna, by utrzymać dwoje ludzi – powiedziała Marion. – Irinie marzył się „skok kochanków”.

– Musimy trzymać się bardzo mocno, inaczej zabijemy się przy odbiciu.

– Całe szczęście, że jesteś ze mną. Nie wiem, czy sama miałabym dość odwagi, by skoczyć.

– Co to za plamki? – spytał, wskazując płótno.

– Nie wiem – odparła Marion. – Ale błyszczą, jak jakaś ciecz.

Jeszcze jeden wybuch. Poczuli się, jakby targało nimi trzęsienie ziemi. Bell, wciąż przyglądając się siatce i zastanawiając, czym mogą być czarne punkciki, dostrzegł prawdziwy wylew ognia z okien na szóstym piętrze. Zostało im niewiele czasu na skok, wkrótce cały budynek musiał się zawalić.

– Za moment wracam – powiedział. – Nie skacz beze mnie.

– Nie możemy tu zostać, panie generale – nalegał Hermann Wagner.

Ulicą nadjeżdżał wóz strażacki ciągnięty przez dwa gniade konie, a z przeciwnej strony policjanci na rowerach.

Kierowca Wagnera, który co i rusz odwracał się nerwowo, odsunął okno, które oddzielało go od kabiny pasażerskiej.

– Zastawiamy bramę – powiedział. – Musimy ruszać.

– Czekaaj! – zawołał Semmler, choć jego głos był tłumiony przez ociekający krwią fragment rękawa, który przyciskał do twarzy.

– Ale mogą zauważyć, że jest pan ranny, panie generale.

Semmler nie marnował czasu na powtarzanie oczywistości, więc powiedział tylko:

– Wojna niesie ze sobą rany. Właśnie dlatego kazałem ci tu czekać. Nie zawieźdź mnie... Spójrz!

Wskazał na szczyt budynku Wytwórni Imperial. Płomienie, podsycane coraz silniejszymi powiewami wiatru, sięgały już powyżej dachu. Nagle coś wynurzyło się spośród nich. Na skraj dachu wysunął się chwiejnie ubrany na biało mężczyzna.

– Widzisz! Będzie skakał!

Na krótką chwilę postać przysłoniła chmura dymu. Potem mężczyzna odbił się z całych sił od krawędzi i poszybował w dół.

– To chyba oni oboje.

– Mój Boże, rzeczywiście. – Hermann Wagner wstrzymał oddech.

Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim spadli poniżej stojących w ogniu okien. Jak bardzo musieli się bać, że nie trafią w siatkę. Co zrobią, jeśli okaże się, że spadają w złym kierunku? Ku ogromnej uldze Wagnera, nie spuścili. Ale zamiast odbić się od płótna, przebili się przez nie na ziemię.

– W samą dziesiątkę – skwitował całe zajście Christian Semmler.

– Siatka się rozdarła! – krzyknął Wagner. – Nie wytrzymała!

Gapił się na płonące szczątki, ale oczywiście nie dostrzegł żadnego ruchu, bo i skąd? Chwilę później fragment budowli załamał się i z hukiem poleciał w dół, przysypując szczątki małżonków kupą cegieł.

Do auta zbliżał się wóz strażacki.

– Jedź!

Kierowca poderwał maszynę tak gwałtownie, że o mało nie zatarł silnika.

– Dokąd teraz, panie generale? – spytał Wagner, oglądając się przez ramię na płonący budynek i wdzięczny losowi

choć za to, że drewniany płot osłaniał miejsce, w którym upadli Bellowie. – Na plac załadunkowy?

– Zawieź mnie do lekarza. Gdy będzie mnie zszywał, kup mi bilet na ekspres do Nowego Jorku. Póki co kończymy z Los Angeles.

W głosie Christiana Semmlera wyraźnie pobrzmiwało zadowolenie, co, zdaniem Wagnera, było bardzo dziwne u kogoś, komu całe przedsięwzięcie spłonęło doszczętnie tuż przed nosem. Poza tym generał wydawał się nie zważać na swoje poważne obrażenia. Niczym bóg. Albo niewrażliwa na ból maszyna.

Semmler dostrzegł jego zdumione spojrzenie.

– Pewnie, że boli – powiedział, wypluwając uprzednio strugę krwi. – Módl się, abyś nigdy nie poczuł czegoś podobnego.

– Kończy nam się lina. Poczekaj, zobaczę, co da się zrobić.

Isaac Bell puścił ostatnie centymetry dwudziestometrowej liny, którą przygotował naprędcę z kabli reflektorów Cooper-Hewitt i sznurów od podwieszanych platform, i upadł na wierzch zawieszanej trzy metry niżej markizy reklamującej Pałac Wytwórni Filmów Imperial. Przy lądowaniu zapiekło go w kostkach, ale nie zważał na to. Uniósł głowę. Z okien, po których przed momentem schodzili, buchnęły płomienie.

– Skacz. Złapię cię.

Marion ześlizgnęła się do końca liny, niszcząc resztki swoich rękawiczek, i puściła. Bell złapał ją w ramiona, zamortyzował upadek i bardzo mocno przytulił.

Dźwięk kopyt i warkot pomp parowych zaanonsował przybycie straży pożarnej.

– Panowie strażacy! – zawołał Isaac. – Macie może ze sobą drabinę?

– Nie mogę zasnąć – szepnęła Marion. – Wciąż mam przed oczami ten pękający worek z piaskiem. To mogliśmy być my.

– Ale nie byliśmy. – Bell przytulił ją. – Nie bój się, jesteśmy cali i zdrowi.

– Nie boję się – odparła z uśmiechem. – I wiem, dlaczego nie mogę spać. Tak cudownie jest być przytomną... Chwała Bogu, że zauważyłeś jego krew na siatce. Ale skąd wiedziałeś, że przeciął liny? Ja na jego miejscu uciekałabym stamtąd czym prędzej, zwłaszcza gdybym krwawiła tak obficie jak on.

– To zabójca. Nazywa się żołnierzem, ale przede wszystkim jest zabójcą. Założę się, że czekał gdzieś w pobliżu, by zobaczyć jak spadamy.

– Kiedy się dowie, że sprawdziłeś siatkę, zrzucając na nią worek z piaskiem, na pewno będzie srodze rozczarowany.

– Sądzę, że poczuje coś więcej niż gorycz porażki – stwierdził ponuro Bell, wstając z łóżka i całując żonę na dobranoc. – Śpij smacznie.

– A ty dokąd?

– Jadę do Nowego Jorku.

– Po co?

– Christian Semmler dostał to, czego chciał. Teraz spróbuje wrócić do Niemiec.

– Skąd wiesz?

– Kiedy przeszukiwałem Clyde'a, żeby znaleźć prawdziwe plany, Semmler zapytał kpiąco: „Szuka pan czegoś?” Nie sądzisz, że chodziło mu o to, że znalazł je przede mną?

– A skoro zapytał cię o to, kiedy przeszukiwałeś Clyde'a – odparła Marion, siadając na łóżku – zapewne znalazł je w jego ubraniu.

– To zaś oznacza, że teraz on może je ukrywać w swoim ubraniu.

Bell ubierał się w pośpiechu. Schował zapasowego browninga pod płaszczem i nowy nóż w cholewie buta i przeładował derringera, którego cały czas miał przy sobie.

– Sądząc po tym, jak się darł, musi mieć na twarzy spory opatrunek. Mam nadzieję, że nie obyło się bez szwów. Wielu.

– Ale skąd wiesz, że będzie próbował odpłynąć z Nowego Jorku?

– Nie jestem pewien, ale to najbardziej prawdopodobne. Jeśli Clyde mógł trzymać plany Kina Dźwiękowego przy sobie, to Semmler nie będzie potrzebował bagażu. A skoro tak, najszybciej dostanie się do Niemiec, jadąc pociągiem do Nowego Jorku i tam przesiadając się na statek.

Rozdział 46

Joseph Van Dorn przywitał Isaaca Bella w centrali w Nowym Jorku słowami, które brzmiałyby jak pochwała, gdyby nie chmurne spojrzenie szefa.

– Bezbłędna dedukcja – mówił. – Wręcz zniewalająca. Morderca odpowiedzialny za śmierć dwóch moich najlepszych detektywów wykrada plany rewolucyjnego urzędnika, w które zainwestowałem ogromne pieniądze, ma wielki opatrunek na twarzy, podróżuje bez bagażu i zamierza jak gdyby nigdy nic wsiąść na pierwszy lepszy parowiec płynący do Niemiec. Angażujemy do tego niemal wszystkich naszych ludzi. Obserwujemy każdą stację między Los Angeles a Nowym Jorkiem. Pociągamy za wszystkie możliwe sznurki w sferach rządowych, by uzyskać listy pasażerów niemieckich i francuskich statków odpływających na wschód. Podpisujemy pakt z diabłem,

chwilowo występującym pod postacią brytyjskiego lorda i oficera wywiadu wojskowego, aby zdobyć listy pasażerów statków brytyjskich. Wymagamy od pracowników spedycji, żeby wypatrywali ludzi przypominających Semmlera i próbujących kupić bilet do Europy. Płacimy niewyobrażalne sumy policjantom i celnikom, by pilnowali każdego odchodzącego z portu statku, bo nam nie starcza już ludzi. I co znajdujemy?

– Na razie nic – odpowiedział Bell.

– Czy nie przyszło ci do głowy, że mógł ruszyć w przeciwnym kierunku i wsiąść na statek w San Pedro, a tym samym być już w połowie drogi do Kanału Panamskiego?

– Właśnie tak jest w przypadku maszyny do wyświetlania filmów dźwiękowych – odparł Bell. – Znajduje się na pokładzie niemieckiego frachtowca, który za dziesięć dni dotrze do Kanału. Gdy z niego wypłyną, pewnie przeniosą maszynę na pokład okrętu wojennego. U wybrzeży Wenezueli stacjonuje obecnie eskadra niemieckiej marynarki wojennej.

– Co?! – ryknął Van Dorn. – Ma też samą maszynę? Skąd to wiesz?

– Tim Holian i jego ludzie namierzyli grupę bandziorów, którzy uciekli z nią z placu załadunkowego linii Southern Pacific w Los Angeles do San Pedro, gdzie wsiedli na statek. Holian jest pewien, że Semmlera z nimi nie było.

– Podobno Holian dostał cztery kulki.

– Najwyraźniej jest kuloodporny. Żadna nie spowodowała poważniejszych obrażeń.

– Z tego, co pamiętam, ma trochę ciała do zgubienia. – Van Dorn uśmiechnął się i pogłaskał po brodzie. – Więc te męty mają maszynę? No cóż, mogę szepnąć słówko tu i tam, żeby zatrzymano ten frachtowiec przy Kanale Panamskim.

– Proszę tego nie robić – powiedział Bell.

– Nie? A niby dlaczego?

– Clyde podmienił maszyny. Dał Semmlerowi atrapę, która tylko skołuje niemieckich naukowców. Niech ją sobie wiozą do Niemiec.

– A gdzie jest prawdziwa?

– Spłonęła w budynku Imperialu.

– Zniszczona – stwierdził ponuro Van Dorn.

– Ale są plany konstrukcyjne.

– Które w tej chwili ma Semmler.

– Niestety tak.

Van Dorn westchnął.

– A co z tą Rosjanką? Może nadal mu pomaga?

– Zniknęła. Agenci z Los Angeles próbują ją zlokalizować, ale na razie bez rezultatów.

– Więc może być razem z nim.

– Mało prawdopodobne. Zdradziła Semmlera, licząc na to, że go zabije.

– Wiele osób w tym budynku liczy na to samo, Isaac. Niestety, najpierw musisz go znaleźć. Przeglądałem twoje depesze z kolejnych dworców, więc wiem, że twoim zdaniem Semmler pojechał ekspresem.

– Tak właśnie sędzę – przyznał Bell. – Cała trudność polega na tym, że chociaż obserwujemy wszystkie niemieckie konsulaty dwadzieścia cztery godziny na dobę, pociąg mógł mu załatwić ktoś spośród jego prywatnych współpracowników, biznesmenów czy handlowców.

– Innymi słowy, generał major Christian Semmler może w tej chwili chrapać sobie w najlepsze w luksusowym apartamencie hotelu Knickerbocker nad naszymi głowami.

– Nie wykluczałbym takiej możliwości – odparł Isaac. – Ma doświadczenie w wojnie partyzanckiej, dużo czasu spędził głęboko za linią wroga. Ale nie możemy przecież przeczesać wszystkich pokojów, jeśli nie chcemy, żeby dyrekcja przegnała nas z budynku.

- Jesteś szalenie dowcipny jak na detektywa, który nie ma zielonego pojęcia, gdzie ukrywa się ścigany przestępca.
- Albo jest w Nowym Jorku, albo w drodze do Nowego Jorku i zamierza wsiąść na statek płynący do Europy.
- Mówisz to z takim przekonaniem, a nie masz nawet skrawka dowodu.
- Za to mam kilka pomysłów.
- Poza mało odkrywczą sugestią, żeby mieć na oku wszystkich lekarzy w mieście, nie znalazłem w twoich telegramach żadnego pomysłu.
- Nie każdy porozumiewa się metodą elektryczną – powiedział Bell, sięgając po kapelusz.
- A co to niby ma znaczyć? Dokąd się wybierasz?
- Do Harlemu.

Królewska Loża Wyższego Życzliwego i Opiekuńczego Bractwa Łosi przy West Street była drugim domem dla wszystkich stewardów z wagonów sypialnych Pullmana przebywających akurat w Nowym Jorku. Każdy mógł tu liczyć na ciepły posiłek i czyste łóżko. Mógł też usiąść w wygodnym fotelu w przestronnym salonie i paść papierosa czy cygaro, wymieniać się z kolegami z całych Stanów różnymi opowieściami, zarówno tymi prawdziwymi, jak i podkoloryzowanymi. Co prawda, „białe” Bractwo Łosi wytoczyło „Czarnym Łosiom” sprawę w sądzie, domagając się, by zmienili nazwę, ale Królewska Loża w dalszym ciągu pozostawała oazą niczym niezakłócanego spokoju. Nikt nie wzywałby obsługi, krzycząc „Chłopcze!”, jakby czarnoskórzy mężczyźni nie mieli imion. Prawdę mówiąc, biali stewardzi pojawiali się tu niezwykle rzadko i właśnie dlatego wszyscy bywalcy patrzyli z niejakim zdziwieniem na wysokiego białego mężczyznę w jasnym garniturze, który zapukał do drzwi, a wszedłszy, zdjął kapelusz i zażał uprzejmie:

– Przepraszam za najście, panowie. Nazywam się Isaac Bell.

Wszyscy obrócili się w jego stronę. Kilku nawet wstało, by lepiej mu się przyjrzeć. Każdy z nich dobrze znał to nazwisko. Mówiono, że pewnej nocy w pociągu linii Overland Limited, pędzącym przez Wyoming z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, pasażer nazwiskiem Isaac Bell, który wygrał małą fortunę w pokera, dał stewardowi tysiąc dolarów napiwku. Stewardzi z wagonów sypialnych byli na ogół najlepiej zarabiającymi ludźmi w swoich dzielnicach, ale na tysiąc dolarów musieli ciężko pracować przez dwa lata, więc mało który spośród bywalców Łoży wierzył w istnienie tego mężczyzny. Aż do teraz, kiedy stanął przed nimi we własnej osobie.

– Chciałbym porozmawiać z panem Clementem Price'em... A, tu pan jest, panie Price.

Gdy Clem podszedł do Bella, ten wyciągnął rękę na powitanie i powiedział:

– Miło mi znowu pana widzieć. Czy udało się panu czegoś dowiedzieć?

– Sam wszedłem ledwie przed momentem – odparł steward, ujmując dłoń detektywa i potrząsając nią energicznie.

Price, przystojny młody mężczyzna ze słabością do pięknych kobiet, cieszył się szacunkiem pozostałych członków Bractwa, ale jego poglądy budziły pewne obawy. Clem twierdził, że powinni założyć związek zawodowy, natomiast jego spokojniejsi koledzy obawiali się, że po czymś takim firma Pullman wyrzuci ich wszystkich na zbity pysk, co zdarzało się już w przeszłości.

– Pan Bell – wyjaśnił Price stewardom zebrany w salonie – szuka jasnowłosego dżentelmena o zielonych oczach, który przyjechał do Nowego Jorku ze świeżym opatrunkiem na szyi lub twarzy. Widziano go w Denver, podobno był

też w Kansas City, ale kiedy wczoraj pytałem o niego ludzi w Chicago, nikt nie potrafił tego potwierdzić.

– Z opatrunkiem? – powtórzył bystrooki starzec, przyglądając się Bellowi z uśmiechem zainteresowania. – Tak jakby o coś się uderzył?

– O mnie – sprecyzował Isaac, ku ogólnemu rozbawieniu.

– Jechał w wagonie otwartym czy z przedziałami?

– Prawie na pewno z przedziałami.

Mężczyźni wymieniali spojrzenia, kręcili przecząco głowami i wzruszali ramionami.

– Nie widziałem takiego.

– Przed chwilą zszedłem z pociągu z Waszyngtonu. Nie było go tam.

– Jechał z zachodu – dodał Bell. – Ale mógł wybrać okrężną trasę.

– Niedawno przyjechałem z Pittsburgha. Nie widziałem go. I nie słyszałem, żeby ktoś o nim wspominał.

– Wyróżniałby się nawet bez opatrunku – kontynuował Isaac. – Ma nienaturalnie długie ręce. Miałem nadzieję, że jego wygląd wywoła choć kilka plotek. Długie ręce, wydatne łuki brwiowe. I zniewalający uśmiech, który przekonałby was do kupienia lodu na Alasce. Popatrzcie, mam tutaj jego podobiznę.

Podawali sobie rysunek, kręcąc głowami.

– Zapamiętałbym go, gdybym go widział – stwierdził steward z Pittsburgha.

– Możliwe, że ktoś mu towarzyszył – powiedział Bell. – Być może lekarz.

– Lekarz?

– Tak, żeby zajmować się jego raną.

– To ciekawe, że wspominał pan o lekarzu.

– Dlaczego? – Isaac wyraźnie się ożywił.

– Widziałem dwóch takich, ale nie w pullmanie.

- A gdzie?
- W New Jersey, na stacji Elizabeth. Przy ekspresie, który właśnie zajeżdżał. Myślałem, że to włóczędzy, ale mogli wysiąść z tego pociągu. Niższy niósł małą walizeczkę, może to była torba lekarska.
- Czy ten wyższy miał opatrunek?
- Nie widziałem. Ale pamiętam, że miał postawiony kołnierz płaszcza i kapelusz nasunięty na czoło.
- Blondyn?
- Nie było widać, bo kapelusz – duży i z szerokim rondem – zasłaniał włosy i prawie całą twarz.
- Czy zauważył pan, co to był za ekspres?
- Nie przyjrzałem się dokładnie, ale chyba prywatny.
- Więc pewnie nie pamięta pan numeru lokomotywy?
- Niestety nie, lokomotywa była skierowana w drugą stronę.

- Jeśli to rzeczywiście był Semmler, dlaczego wysiadł w Elizabeth? – zastanawiał się Bell. – Tak mu się spieszyło, że pojechał ekspresem, więc czemu wysiadł tak daleko od celu?
- Powinien wysiąść bliżej portu dla parowców – przyznał Archie. – Przesiąść się z kryjówki w ekspresowym pociągu do kryjówki w pierwszej klasie na statku.
- Na statku mógłby zamawiać wszystkie posiłki do kajuty. Nikt by go nie zobaczył, dopóki nie zszedłby na brzeg w Anglii, Francji czy w Niemczech. Przez całą drogę z Los Angeles do Berlina pozostawałby niewidoczny.
- Otóż to. Więc dlaczego wysiadł w Elizabeth?
- Bell sięgnął na mapę.
- Z Elizabeth mógł pojechać gdziekolwiek. W Newark mieszka wielu niemieckich imigrantów. W Hoboken zatrzymują się niemieckie parowce. Mógł też pojechać pociągiem lub metrem na Manhattan. Ocean możliwości.

- Ale już nie tak bezpiecznie, jak w pierwszej klasie. Bell odłożył mapę i spojrzał Archiemu prosto w oczy, doznawszy nagłego olśnienia.
- Przecież Christian Semmler nie przyплыł do Ameryki pierwszą klasą.
- Co masz na myśli?
- Nie schodził z „Mauretanii” razem z pasażerami z pierwszej klasy.
- Nie był przecież pasażerem – przypomniał Archie. – Nie zamierzał płynąć na „Mauretanii”. Gdybyś go nie powstrzymał, to razem z Clyde’em i Beiderbeckiem wskoczyłby do wody w Zatoce Liverpoolskiej.
- Przepłynął ocean, ukrywając się w kotłowni „Mauretanii”, i wymknął się z niej na pokładzie barki z węglem, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Co, jeśli zamierza wrócić w taki sam sposób? Żaden z palaczy nie będzie się interesował jego raną. Założę się, że połowa z nich po powrocie na statek jest cała poobijana po pijackich rozróbach. My tu ściągamy listy pasażerów, angażujemy do poszukiwań sprzedawców biletów i celników, a Semmler najspokojniej w świecie opuści Stany Zjednoczone tak samo, jak do nich przybył.
- Chwycił słuchawkę systemu Kellogg.
- Dajcie mi tu detektywa Eddiego Tobina. Natychmiast!

Rozdział 47

Detektyw Eddie Tobin, z opadającą lewą powieką i twarzą wykrzywioną na skutek manta, jakie spuścili mu uliczni bandziorzy w czasach, gdy sam należał do jednego z gangów, pochodził ze Staten Island, bardzo odległej i praktycznie odizolowanej od reszty miasta dzielnicy. Jego rodzina,

liczny klan Tobinów, Darbeech, Richardsów i Gordonów, zajmowała się połowem małży w St. George na północnym skraju wyspy. Wiele z ich małych, płaskich i niepozornie wyglądających łodzi rzeczywiście służyło do łapania małży. Ale niektóre skrywały pod spodem bardzo mocne silniki benzynowe, pozwalające na szybką ucieczkę przed strażą portową podczas przemykania opodatkowanych dóbr, przewożenia ludzi ściganych przez policję, wykradania węgla i przechwytywania towarów, które podczas rozładunku spadły do wody. Młody Eddie, mimo że wychowywał się wśród oportunistycznych wujaszków i przebiegłych kuzynów, był uczciwy, co czyniło z niego idealnego przewodnika po gigantycznym porcie Nowego Jorku.

Bell zapytał go, skąd pochodzą barki węglowe zaopatrzone statki linii Cunard w dokach Chelsea.

– Z Perth Amboy w Joisey, miejsca, gdzie Arthur Kill i Raritan wpadają do zatoki.

– Znasz tam kogoś, kto pracuje przy węglu?

– Pewnie.

– Jak najszybciej się tam dostać?

– Łodzią.

– Czy dobrze pamiętam, że twój wujek Donny wyszedł już z więzienia?

– Bardzo chętnie was przewiezie. Biedny staruszek namęczył się przy odnawianiu łodzi, a teraz nie ma co z nią zrobić, bo straż portowa cały czas patrzy mu na ręce.

Eddie zadzwonił do knajpy w Tomkinsville, skąd zaraz posłano chłopaka z wiadomością do portu. Następnie Bell i Tobin pojechali kolejką miejską Ninth Avenue El do Battery. Czekali przy pomoście A, na samym skraju Manhattanu, wymieniając się plotkami z O'Riordanem, posturkowym ze straży portowej nowojorskiej policji, którego motorówka kołysała się na wodzie wzburzanej przez wiatr i przepływające w pobliżu łodzi.

Obserwując panujący na wodzie ruch, Bell zdał sobie sprawę, że ich zadanie jest praktycznie niewykonalne. Akrobata mógł wybrać dowolny statek – amerykański lub brytyjski liniowiec czy frachtowiec odpływający z zachodniego wybrzeża Manhattanu, niemiecki albo francuski statek odchodzący z Hoboken bądź którykolwiek inny z setki wypływających z Brooklynu. A każdy z tych statków zaopatrywały setki łodzi i lichtug. Co kilka minut potężny gwizd obwieszczał wyjście kolejnej jednostki w morze.

Nagle oczy O’Riordana zwięzły się groźnie. Do pomostu zbliżała się barka Donalda Darbee’ego o kwadratowym dziobie.

– Nasza łódź – wyjaśnił Isaac, wręczając glińiarzowi kilka dolarów. – Miło było znowu pana spotkać, panie posterunkowy. Proszę pozdrowić kapitana.

Sześć miesięcy regularnego snu, sutych posiłków i stonienia od alkoholu zmieniło wujaszka Donny’ego nie do poznania.

– Wyglądasz, jakbyś zgubił dziesięć lat – rzucił Bell do starego wodniaka. – Założę się, że nie możesz się opędzić od kobiet.

– Dokąd chcecie płynąć? – burknął Donald Darbee.

Droga wodna z Upper Bay przez przesmyk do Lower Bay liczyła dwadzieścia dwa kilometry. Płynąc tuż przy wybrzeżu Staten Island i mijając kolejne barki holowane przez kutry – te puste zmierzały na południe, a załadowane na północ – opłynęły Ward Point na południe od Tottenville, przepłynęli Cieśninę Arthur Kill i dobili do brzegu przy ogromnym, smaganym wiatrem składzie węgla, gdzie wagony samosypne Lehigh Valley przerzucały węgiel wydobywany w kopalniach w Pensylwanii na zaopatrujące parowce barki.

Czarna instalacja do przeładowywania węgla, złożona z kilku dźwigarów, wznosiła się wysoko nad ziemią

i górowała nad taflą wody. Bell skonstatował, że tutaj, w przeciwieństwie do kotłowni okrętowych, gdzie węgiel był dostarczany i wsypywany do palenisk ręcznie, w procesie załadunkowym wykorzystywano nowoczesne maszyny. Obok instalacji znajdował się pochyły pomost. Na nim zamontowano tory dla wagonów samozsypnych. Znajdujące się pomiędzy torami haki, napędzane liną, chwyciły wagon za łącznik i przesunęły go w górę, na platformę na szczycie instalacji. Potem wagon był przechylany na bok, a tony wypełniającego go węgla spadały do stojącego obok ogromnego komina, by następnie wylecieć przez równie wielki otwór prosto do czekającej barki. Gdy tylko barka zostawała zapełniona, kutry odciągały ją na bok i ustawiały na jej miejscu kolejną. Jedyną pracę ręczną wykonywali mężczyźni z łopatami i grabiami, wygładzający warstwę węgla na barkach, by nic nie wysypało się za burtę.

Jeden z takich mężczyzn nagle wypadł z barki do wody.

Rzucono mu linę i podstawiono drabinę, więc już po kilku minutach pechowy robotnik siedział na pomoście, przemoczony i zwijający się od kaszlu.

Brygadzysta prowadzący Bella i Tobina mruknął gniewnie:

– Zwykle pracują po pijaku, ale nie piją aż tyle. Niestety, Pete Lampack zarobił ostatnio dużo forsy i od dwóch dni wszystkim stawia.

Isaac i Eddie popatrzyli po sobie.

– Kim jest Lampack?

– Kretynem pracującym na barkach.

– Jak zarobił te pieniądze? – spytał Bell.

– A skąd mam wiedzieć? Może postawił na dobrego konia, może zmarła mu ciotka, a może miał jakiś inny fart.

– Gdzie możemy go znaleźć? – spytał Eddie. – W knajpie?

– Nie, w końcu skończyły mu się te pieniądze. Teraz znów musi pracować jak reszta. Powinien być na jednej z tych pustych. – Brygadzysta wskazał im szereg barek czekających na załadunek.

– Chciałbym z nim pogadać – powiedział Bell.

Agenci Van Dorna zdążyli już odpowiednio nasmarować dłoń brygadzysty, więc ten spojrział tylko bez słowa na wyciągniętą spod melonika pomietą kartkę i stwierdził, że barka Pete'a Lampacka jest następna w kolejce do załadunku.

– Przed chwilą wróciła od naszego najlepszego klienta. Pali tysiąc ton dziennie.

– „Mauretania”? – domyślił się Isaac.

– Tak. Uwielbiamy ją. Wcina węgiel, jakby umierała z głodu, a poza tym można według niej nastawiać zegarki: sześć tysięcy ton co każde dwa tygodnie.

– Czy barka Lampacka znowu płynie do „Mauretanii”?

– Nie, nasza ulubienica ma już dosyć na dzisiaj. Niedługo powinna wyjść z portu.

Bell dźgnął Eddiego łokciem i obaj rzucili się pędem w kierunku instalacji załadunkowej. Zeszli nad sam brzeg i popatrzyli w dół na barcę.

– Nikogo tam nie widzę – stwierdził Tobin.

– A co to jest tam w rogu?

– Chyba została tam resztką węgla.

Isaac doskoczył do stalowej drabiny przymocowanej do dźwigarów.

– Uważaj, idioto! – krzyknął robotnik, który za pomocą dźwigni kontrolował przechylenie wagonów i kierunek wyrzucania węgla.

– Każ mu poczekać! – zawołał Bell do Tobina.

Eddie wpadł do kanciapy operatora.

– Niech pan się wstrzyma na moment – rzucił.

– Mam jeszcze pięćdziesiąt barek do załadowania. Nie będę czekał na jakiegoś szaleńca.

Eddie rozchylił poły płaszcza. Operator zobaczył między nimi kolbę rewolweru Smith & Wesson.

– Może jednak skoczę na papieroska – stwierdził pośpiesznie.

Bell zszedł dziewięć metrów w dół po drabinie i zeskoczył na pomost tuż przy barce. Tobin miał rację. W jej rogu rzeczywiście leżała kupka węgla. Zerwał się wiatr i rozwiął mniejsze łupiny. W świetle błysnął fragment materiału. Isaac wskoczył do barki i odgarnął resztę węgla. Pod stertą leżał mężczyzna z czerwonym śladem po garocie Semmlera na szyi.

– Panie Bell!

Isaac uniósł głowę. Eddie Tobin wszedł na samą górę instalacji załadunkowej, skąd widział nad dachami niskich budynków port.

– „Mauretania” wypływa z przesmyku!

Walka w kotłowni





Rozdział 48

Oszalałmijący dźwięk gwizdka okrętowego, oznajmiający wszem wobec, że statek nie zamierza się zatrzymywać, roznosił się na kilometry. Isaac Bell słyszał go, biegnąc do miejsca, w którym Darbee przywiązał swoją łódź.

Widząc zbliżającego się detektywa, staruszek uruchomił silnik i odwiązał cumy.

– Co się dzieje?

– Jesteś w stanie dogonić „Mauretanię”?

Kuter poławicza małży ruszył, pozostawiając za sobą smugę białego dymu. Minęli skraj wyspy i ich oczom ukazał się najszybszy statek na świecie, wypływający właśnie z przesmyku dziesięć kilometrów od nich, plując dymem z trzech ze swoich czterech czerwono-czarnych kominów. Darbee skorygował kurs tak, by przeciąć mu drogę przy samym wyjściu z portu, gdzie kanał przechodził tuż obok mierzei Sandy Hook.

– Czy z małym Eddiem wszystko OK? – spytał, przekrzykując ryk silnika.

– Tak. Nie miałem czasu na niego czekać. Dasz radę złapać ten statek?

– Sądzę, że tak, ale co mam z nim zrobić, jak już go złapię?

– Wprowadzić mnie na pokład.

– Nie da rady. Wejście dla pilotów jest za wysoko.

- Rzucę im linę.
- Nie złapią jej.
- Masz tu jakiś hak?
- Gliny mi zabrały. Ale nawet gdyby udało ci się zaczepić linę na haku, odetną ją z radosnym okrzykiem: „Następnym razem kup bilet”.

Bell zobaczył czarną motorówkę płynącą za cunardowskim liniowcem. Na jej maszcie wisały flagi sygnałowe.

- Czy to łódź pilota?
- Jeśli nie, najwyraźniej facet postanowił popłynąć motorówką do Europy.

- Możesz mnie na niej wysadzić?

- Tylko jeśli sam się z nim dogadasz.

Darbee nieznacznie skorygował kurs. Po piętnastu minutach szaleńczego pędu po Lower Bay przepłynęli pod ogromną, wysuniętą rufą „Mauretanii” i znaleźli się tuż obok łodzi pilota. Na pokładzie było kilku pilotów – jedni czekali na statki przybijające do portu, inni właśnie zeszedli z odpływających – i wszyscy przyglądali się czujnie kurtowi Darbee’ego.

- Teraz! – krzyknął Bell.

Darbee niemal zetknął się z łodzią pilota, która była znacznie wyższa niż kuter poławiacza małż. Isaac skoczył, złapał się burty i wdrapał na pokład.

- Van Dorn – oznajmił. – W drodze na „Mauretanię”.

Po godzinie spędzonej przy dorzucaniu węgla do kotła numer cztery Christian Semmler obawiał się, że jego pot przedostanie się do ukrytych w impregnowanej saszetce planów maszyny do tworzenia filmów dźwiękowych. Bo pocił się jak mysz. Pozostali palacze już dawno pozdejmowali koszule.

Dźwięk gongu dał sygnał do zamknięcia drzwi jego kotła. Odłożył łopatę i zaczął się rozglądać po otaczającym

go ciemnym pandemonium za jakąś lepszą kryjówką niż mokra od potu koszula. Wiedząc, że ma tylko kilka sekund, zanim szef zmiany lub któryś z inżynierów każe mu wracać do pracy, wcisnął się do komórki na węgiel. W środku Parnell Hall i Bill Chambers przerzucali węgiel do przodu.

– Pilnujcie drzwi – rozkazał, a gdy się odwrócili, wcisnął płaskie zawiniątko w wąską szczelinę między ścianą komórki a wręgą, gdzie powinno być całkiem bezpieczne aż do końca jego zmiany. W tej samej chwili rozległ się dźwięk gongu.

– Musisz wracać – upomniał go Hall.

Semmler popędził z powrotem na swoje stanowisko, nagarnął na łopatę porcję węgla i wrzucił go do kotła.

Tempo zwiększało się wraz z wejściem statku na otwarte morze, prędkość wzrastała, a dzwony grały coraz częściej. Jedne drzwi się zamykały, a inne otwierały. Semmler schylił się, by sięgnąć do stosu przygotowanego przez ludzi z komórki. Ktoś przydepnął jego łopatę.

Uniósł głowę.

– Wyjeżdża pan z miasta, generale? – zapytał Isaac Bell.

Bell zamarkował cios prawą pięścią, a gdy Semmler zrobił unik, trafił go lewą prosto w szczękę. Niemiec zatoczył się na rozgrzaną gródź i upadł, ogluszony potężnym uderzeniem. Na policzku miał duży opatrunek uwalany węglowym pyłem.

Gdy dźwignął się na nogi, Isaac już był przy nim. Znowu zaczął od zmyłki, tym razem lewą ręką, i uderzył przeciwnika prawą. Semmler padł po raz drugi. Potoczył się po korytarzu, odbił od próbującego się cofnąć palacza i wstał z trudem. Drugi cios zerwał mu z twarzy opatrunek, odsłaniając długą linię równych szwów.

Bell ponownie się zamachnął. Tym razem nie była to zmyłka. Akrobata upadł po raz trzeci.

Detektyw wyciągnął pistolet, by dokonać aresztowania.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi kotła. W nagłym blasku rozżarzonych węgli Bell dostrzegł kątem oka pędzący w stronę jego głowy trzymetrowy stalowy pręt i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Semmler nie był tu sam. Nie miał czasu uciec przed prętem, a wiedział, że jeśli zostanie trafiony, zginie. Rzucił się w bok prosto w ramiona palacza, który się na niego zamachnął. Stalowy pręt trafił w palenisko, z którego wydobył się donośny huk. Mężczyzna popełnił błąd, nie wypuszczając broni z rąk, a Bell wykorzystał to bez chwili wahania, bijąc go pięściami w brzuch i powalając na ziemię.

Zabrział gong i kolejny kocioł stanął otworem. W padającym z niego świetle Isaac zobaczył lecącą w jego stronę łopatę i odsuwając się w ostatniej chwili, uświadomił sobie, że powalony przed momentem mężczyzna również nie był tu sam. Łopata minęła głowę detektywa, ale wytrąciła mu z dłoni browninga. Mężczyzna, który nią rzucił, już pędził do niego, zamierzając się pięścią.

Bell uniknął pierwszego ciosu, ale drugi trafił go prosto w twarz.

Nogi się pod nim ugięły i upadł ciężko na stalowy pokład. Impet uderzenia niemal go ogłuszył. Z trudem zarejestrował, że pozostali mężczyźni pracujący w przejściu wycofują się z pola walki.

– Niech to załatwią między sobą – usłyszał głos inżyniera.

Wodoszczelne drzwi zatrzasnęły się i został sam z trójką napastników.

– Ma nóż w bucie! – krzyknął Semmler.

Bell dostrzegł na ziemi swój pistolet i poczołgał się do niego. Palacz, który go powalił, rzucił się za nim. Isaac pierwszy dosięgnął broni, chwytając ją za lufę, ale wi-

dział, że palacz złapie kaburę, zanim zdąży go powstrzymać, więc by tego uniknąć, wrzucił pistolet do otwartego kotła.

Sięgnął po nóż, ale znowu był nie dość szybki. Mężczyzna wyrwał mu go z cholewy, stanął nad Bellem i kopnął go w brzuch. Isaac odtoczył się poza zasięg drugiego kopniaka, ale wtedy zobaczył palacza od stalowego pręta, stojącego nad nim z miną rozjuszonego niedźwiedzia grizzly. Wyczuł pod dłonią grudkę węgla. Podniósł ją i rzucił z całej siły. Trafiony w czoło palacz zatoczył się i poleciał na Semmlera. Niemiec odepchnął go z powrotem.

– Podnieście go! – ryknął.

Bell, wciąż leżąc na plecach, usiłował kopnąć zbliżającego się do niego palacza. Mężczyzna uchylił się i złapał go za nogę. Gdy detektyw próbował się wyrwać, drugi napastnik unieruchomił mu dłonie w nadgarstkach. Nim zdołał się oswobodzić ze stalowego uścisku, wisiał w powietrzu za ręce i nogi.

Semmler doskoczył do najbliższego kotła i otworzył furtę paleniska.

Rozdział 49

Tutaj! – krzyknął Semmler. – Dawajcie go tutaj.

Bell widział błyszczącą żółtym światłem warstwę węgla. Nad rozżarzoną powierzchnią tańczyły czerwone płomienie. Już z odległości dwóch metrów żar był nie do zniesienia, a w miarę jak napastnicy ciągnęły go w stronę otworu, robiło się coraz goręcej. Miał wrażenie, jakby część jego świadomości uleciała w górę i stamtąd oglądała scenkę przedstawiającą wlokących go palaczy i poganiającego ich Akrobatę.

Aby wrzucić Isaaca do paleniska, musieli go ustawić albo stopami, albo głową do przodu i tym samym chociaż na chwilę puścić jego nogi lub ręce. To dałoby mu szansę na desperacki atak, postanowili więc najpierw go unieruchomić, łamiąc kilka kości.

– Głową naprzód – zdecydował Semmler, biorąc do ręki stalowy pręt. Uniósł go wysoko, wpatrując się w ramię Bella.

Przez ułamek sekundy trzymający go mężczyźni zamotali się, manewrując w ciasnym pomieszczeniu. Isaac napiął wszystkie mięśnie i uwolnił jedną rękę i jedną nogę. Pierwszy kopniak trafił trzymającego jego drugą nogę mężczyznę w twarz, łamiąc mu nos. Palacz puścił go i upadł z jękiem na ziemię. Pięść Bella wystrzeliła w stronę drugiego mężczyzny, trzymającego go za rękę, i ten zatoczył się do tyłu, uderzając głową w krawędź furty. Wrzasnął, gdy jego włosy momentalnie zajęły się ogniem. Próbując uciec przed płomieniami, wyrzwał czołem w krawędź furty i wpadł w rozżarzone węgle. Jego ciało zatrzęsło się w spazmie potwornego bólu.

Tymczasem Bell przetoczył się poza zasięg uderzenia Semmlera. Metalowy pręt opadł na podłogę zaledwie centymetry od jego głowy, krzesząc iskry. Isaac zrobił błyskawiczny unik, by uciec przed kolejnym potężnym uderzeniem, i natarłszy na palacza ze złamanym nosem, który próbował zająć go od tyłu, fachowym ciosem roztrzaskał mu szczękę.

Obrócił się, lekko zataczając.

– Zostaliśmy sami, Semmler.

Christian Semmler posłał mu swój olśniewający uśmiech.

– Najpierw będziesz musiał mnie złapać.

Przykucnął, wybił się w powietrze i chwyciwszy najniższy szczebel drabiny przymocowanej do ściany szybu wentylacyjnego biegnącego wzdłuż komina, zaczął się wspinać z małpią zręcznością. Bell ruszył za nim. Komin

miął prawie siedemdziesiąt metrów wysokości, a już po pierwszych trzydziestu Isaac zdał sobie sprawę, że nie dogoni Niemca.

Będąc prawie u celu, spojrzał w górę i na tle jasnego nieba zobaczył Semmlera, który stał na szczycie drabiny i opierał się o krawędź komina. Dym z trzech pozostałych kominów buchał mu w twarz, osmalając ją. Jego zielone oczy jarzyły się upiornie. Po chwili błysnęły też zęby.

– Cieszę się, że postanowiłeś do mnie dołączyć – rzekł z uśmiechem. – Teraz mam cię dokładnie tu, gdzie chciałem.

Podwinął rękaw, odsłaniając skórzany mankiet z linką, którą uduślił już tyłu ludzi. Bell dopiero teraz miał okazję dokładnie jej się przyjrzeć. Zobaczył, że na końcu jest zawieszony ołowiany obciążnik. Semmler szybkim ruchem wyprostował ramię i obciążnik pociągnął za sobą dwa metry linki, która owinęła się wokół jednej ze stalowych rozpór usztywniających komin.

Bell rzucił się w górę, chwytając Niemca za nogę.

Akrobata zręcznym ruchem wyswobodził się z uścisku, odepchnął od drabiny i przeleciawszy na drugą stronę komina, przewiesił się przez krawędź. Spojrzał na Bella, nie przestając się uśmiechać.

– Człowiek, który spadnie stąd w dół na dno statku, nie będzie tym samym człowiekiem, który nauczył się latać w cyrku.

Powiedziawszy to, Semmler podciągnął się na łokciu i przeskoczył przez krawędź komina.

Bell wszedł na szczyt drabiny, złapał się krawędzi komina, podciągnął i spojrzał do okopconego szybu, który odprowadzał dym z kotłowni numer cztery. Znajdował się w tym samym kominie co szyb wentylacyjny, którym dotarli na górę, więc miał zaledwie trzy metry średnicy.

Semmler czekał przykucnięty z ptasią gracją na stalowej platformie kilka metrów niżej.

– Jeśli teraz spadniesz – szydził – to polecisz prosto do kotła.

Isaac przyjrzał się dokładnie położeniu Niemca. Platforma, na której przycupnął, miała niespełna pół metra szerokości i ciągnęła się wokół wnętrza szybu. Tuż pod krawędzią znajdowały się uchwyty dla dłoni. Oczy Semmlera zaiskrzyły, gdy dostrzegł ten punkt zaczepienia. Linka wyfrunęła z jego ręki i owinęła się wokół jednego z uchwytów, a Akrobata skoczył w powietrze, zamierzając się zabójczym kopnięciem prosto na Bella.

Bell skoczył w tym samym momencie i wylądował tuż obok Semmlera na platformie. Jedną ręką przytrzymał się najbliższego uchwyty, a drugą uderzył Niemca w brzuch, wyciskając mu całe powietrze z płuc.

– Ja też byłem w cyrku – wydyszał.

Nie docenił jednak prędkości Akrobaty i jego odporności na ból. Ruchem tak szybkim, że prawie niezauważalnym, Niemiec ściągnął linkę z uchwyty i owinął wokół szyi detektywa.

Isaac wymierzał mu cios za ciosem, ale ucisk na krtań, odcinający dopływ krwi do mózgu i powietrza do płuc, nie zelżał nawet odrobinę. Zobaczył gwiazdy przed oczami, a dudnienie w uszach przytłumiło walenie jego serca. Resztkami sił przytrzymując się uchwyty, napał na Niemca kolanem i strącił go z platformy.

Akrobata zawisł na lince owiniętej wokół szyi Bella.

Z Akrobatą uwieszonym mu na szyi Bell ledwo widział na oczy. Czuł się, jakby od roku nie zaczerpnął świeżego powietrza. Ręka trzymająca uchwyt zaczynała się ślizgać.

– Ciekawe położenie, detektywie – odezwał się Semmler. – Kiedy ty umrzesz, ja spadnę. Ale przynajmniej ty będziesz pierwszy.

– Nie – wycharczał Isaac.

Semmler zachichotał.

– Nie masz żadnego lepszego pomysłu na ostatnie słowa, zanim obaj spadniemy w rozżarzone węgle? Jeśli masz, mów teraz albo zamilknij na wieki. No, co tam mruczysz pod nosem?

– Dziękuję ci, Mike.

– Dziękujesz mu za co?

– Za nożyce do drutu – odparł Bell.

Lewą ręką trzymając się uchwytu, machnął prawą i schowane w rękawie nożyce same wskoczyły mu do dłoni. Z nadludzkim wysiłkiem zacisnął palce.

Drut puścił.

Zanim Akrobata zniknął w palenisku „Mauretanii”, Bell zobaczył, jak jego oczy rozszerzyły się w wyrazie osłupienia.

Rozdział 50

Hermann Wagner przybył do Berliner Stadtschloss w znakomitym nastroju. Podał swój cylinder pałacowej pokojówce i udał się na górę do prywatnej sali tronowej Wilhelma II, gdzie już czekała niewielka, starannie dobrana grupa wysokich oficerów, przemysłowców i bankierów zaproszonych na demonstrację urządzenia, które sam kajzer uznał za triumf niemieckiej myśli technicznej.

Dwóch generałów o twarzach oszpeconych bliznami spojrzało wyniośle na bankiera. Wagner zignorował gardzących nim arystokratów i z lubością obserwował ich miny, gdy cesarz podszedł do niego i uścisnął mu dłoń.

– Oto prawdziwy niemiecki patriota – oznajmił Wilhelm. – Poczekajcie tylko, aż ujrzycie efekt jego pracy. Zaczynać!

Służący wnieśli do sali ekran, tuby akustyczne i ogromny projektor. Przygaszono światła. Jego Wysokość zasiadł na tronie. Reszta zebranych stała, patrząc na film przedstawiający cesarza Wilhelma wkraczającego do tego samego pomieszczenia, w którym się znajdowali, ze swoim ulubionym jamnikiem pod pachą.

Gdy kajzer na ekranie otworzył usta, by przemówić, a z tub akustycznych dobył się głośny dźwięk jego słów, miny na oszpeconych bliznami twarzach generałów były, zdaniem Hermanna Wagnera, wręcz bezcenne. Nadszedł koniec ich panowania. Od tej pory już nie tylko oficerowie będą mogli liczyć na łaskę władcy.

– *Der Tag!* – przemówił cesarz na ekranie, bez trudu przekrzykując rżenie projektora. – *Der Tag* przyniesie nowy początek Niemiec, a nie ich koniec. Zwycięstwo nie zależy wyłącznie od żołnierzy.

Hermann Wagner zamknął oczy. Znał te słowa na pamięć. Sam zmontował film, przekonując się, że ma do tego zacięcie. W przyпіływie geniuszu zrobił to tak, że na końcu cesarskiej przemowy jamnik czekał prosto do kamery, a władca klepał go po głowie. Miliony Niemców będą patrzeć na scenę, która dowodzi, że ich kajzer kocha swoje zwierzęta równie mocno jak swoich poddanych.

– Niemcy odniosą zwycięstwo, jeśli zdołają przekonać swoich sojuszników do przystąpienia do wojny po ich stronie. Wtedy zniszczymy naszych wrogów, jednego po drugim...

Słowa cesarza zagłuszył śmiech, nerwowy chichot, który po chwili umilkł.

Wagner otworzył oczy i ku swemu przerażeniu zobaczył, że chociaż słowa przemowy wciąż padały z tub, na ekranie pojawił się czekający jamnik. To się nie mogło stać. Pies miał zaszczekać dopiero wtedy, gdy kajzer skończy mówić. Z jakiegoś powodu obraz i dźwięk rozjechały się.

Prawdziwy cesarz zerwał się z tronu i oburzony wyszedł z sali razem ze swoimi generałami.

Hermann Wagner stał jak sparaliżowany, podczas gdy reszta gości rozchodziła się. Jak mogło dojść do takiej katastrofy? Gdy został sam, rzucił się na oślep do drzwi. Plan „Donar” był zaprzepaszczone, a jego kariera legła w gruzach.

Pokojówka wybiegła za nim z pałacu.

– *Herr* Wagner! Pański kapelusz!

Wagner spojrział na niewysoką dziewczynę ze złotymi warkoczami. Nawet w najgorszym dniu swojego życia nie zapomniał o uprzejmości.

– Bystra z ciebie dziewczyna – powiedział, wręczając jej srebrną monetę.

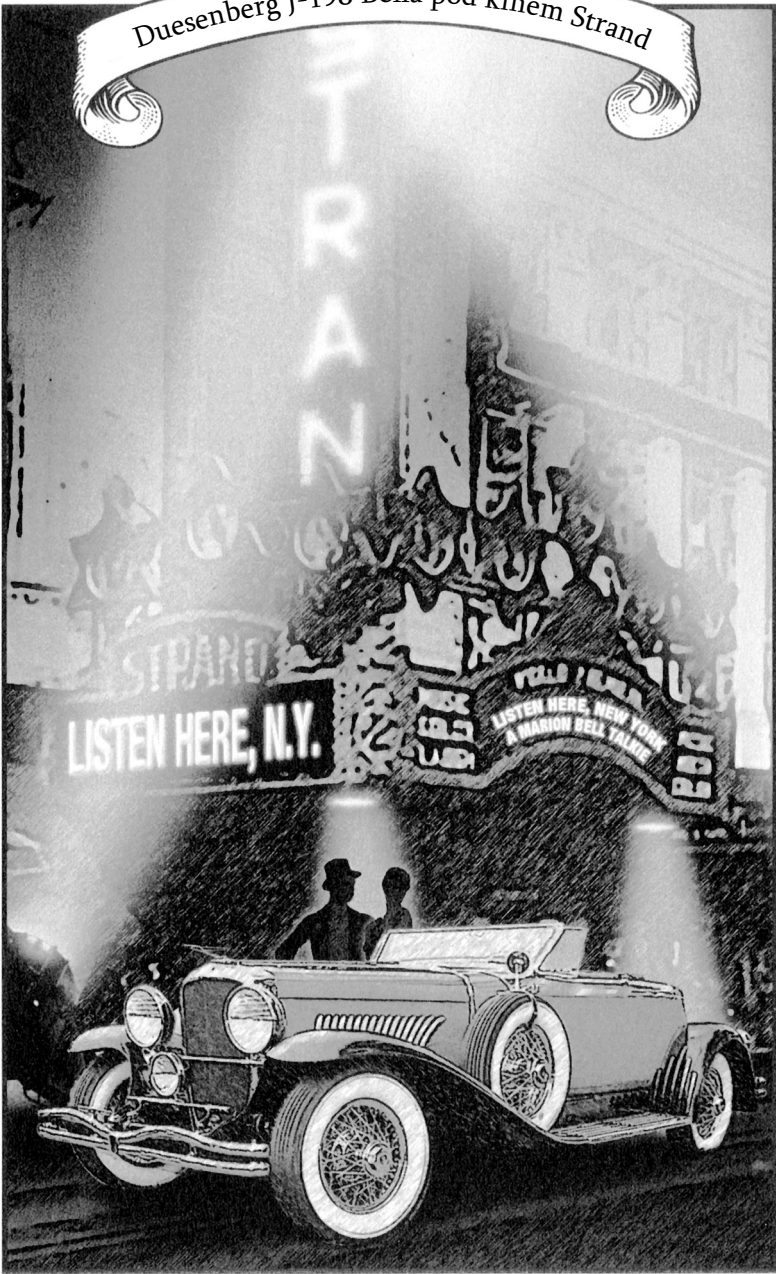
– Dziękuję, *Herr* Wagner.

Chwilę później młodsza detektyw Pauline Grandzau wymknęła się z pałacu, by jak najszybciej przekazać pomyslnie wieści głównemu śledczemu agencji Van Dorna Isaacowi Bellowi.



Epilog

Duesenberg J-198 Bella pod kinem Strand



Po I wojnie światowej
Newcastle Upon Tyne

Wdowa Skelton zamieszkała wreszcie z wdowcem Farquharem, co uradowało wszystkich mieszkańców Newcastle Upon Tyne oprócz księdza. Pani Skelton, która podczas wojny burskiej pracowała jako sanitariuszka, a podczas Wielkiej Wojny jako siostra przełożona w szpitalu wojskowym, była właścicielką popularnego pubu Marysmead Arms nieopodal stoczni Swan Hunter i wciąż pozostawała ciemnowłosą pięknoską. Pan Farquhar, cieszący się opinią doskonałego rzemieślnika, był brygadzystą w zakładach hutniczych przy stoczni, do której całkiem niedawno powrócił legendarny liniowiec „Mauretania” – nadal posiadający Niebieską Wstęgę jako najszybszy statek na Atlantyku – by tu poddać się transformacji i zamienić silniki parowe na spalinowe.

– Mam coś dla ciebie – powiedział pan Farquhar, wróciwszy pewnego wietrznego deszczowego wieczoru do ich mieszkania nad pubem.

Wręczył jej pakunek zawinięty w impregnowany materiał.

– Nie trzeba było – odparła, choć wyraźnie zrobiło jej się miło. – Powinieneś oszczędzać pieniądze.

– To nie kosztowało ani pensa.

– Nie dziwię się – stwierdziła, spoglądając na upapraną węglem pakunek.

– Nie otworzysz?

Pokazał jej miejsce, w którym rozpruł materiał. Odsunęła go i zobaczyła, że skrywa jakąś kopertę.

– Skąd to masz? – spytała.

– Chłopaki znaleźli ten pakunek za ścianą komórki na węgiel. Musiał tam przeleżeć wiele lat – odparł pan Farquhar. – Zobacz, co jest w kopercie.

– Nie sprawdzałeś?

– Nie, chciałem, żebyś ty przekonała się pierwsza.

Otworzyła kopertę i wyjęła z niej grubą kartkę bogato zdobionego pergaminowego papieru. Pan Farquhar pochylił się, by przyjrzeć się kartce.

– Wygląda jak szczerze złoto – stwierdził. – Co tam jest napisane?

Nie mógł już czytać bez okularów, ale ona wciąż miała dobry wzrok.

– To zaproszenie na ślub – powiedziała po chwili. – Na statku! Pobrali się na statku!

Przyglądała się kartce ze zdumieniem pomieszanim z fascynacją. Przewróciła ją na drugą stronę.

– A to co? – spytał pan Farquhar.

– Jakieś liczby i bazgroły. Dla mnie chińszczyzna. – Wsunęła zaproszenie do koperty i zawinęła ją w materiał.

– Chcesz je zatrzymać? – zapytał pan Farquhar. – Jest bardzo ładne. Mogę je oprawić.

– Nie. Zanieś je do Thomasa McGeady’ego w biurze Cunarda i powiedz, że proszę, aby odnalazł tę młodą parę i im to odesłał.

– Znasz McGeady’ego?

– Prowadzę pub, panie Farquhar, więc znam tu wszystkich. Idź już! W tym czasie zaparzę ci herbaty.

– Po co ten pośpiech?

– Za miesiąc wypada ich rocznica.

W rezydencji na wzgórzu Nob, jednej z nielicznych, które przetrwały trzęsienie ziemi w San Francisco z roku 1906, Isaac Bell zwrócił się do żony:

– Mój wzrok nie jest już tak dobry jak kiedyś, więc jeśli rzeczywiście chcesz, żebym obejrzał tę domniemaną zmarszczkę na twoim policzku, musisz podejść bliżej.

Przerwało mu dziecko, które dzikim pędem wpadło do pokoju, położyło na stoliku przy kanapie poranną pocztę i ulotniło się równie szybko.

Gdy istnienie zmarszczki zostało obalone, przejrzeni pocztę i wśród mało interesujących listów znaleźli dużą kopertę nadesłaną przez linie Cunard.

– Od kapitana Turnera? – spytała Marion, chociaż wiedziała, że to niemożliwe. Przez wiele lat Turner pisał do nich co roku z okazji rocznicy ich ślubu. Ale gdy po wojnie niesłusznie oskarżono go o przyczynienie się do storpedowania „Lusitania”, przeszedł na emeryturę i całkiem odciął się od świata.

Bell rozciął kopertę nożem wyciągniętym z cholewy buta.

Znajdował się w niej krótki list od jednego z dyrektorów firmy:

Uznaliśmy, że niniejsza przesyłka umili Państwu nadchodzący szczególny dzień. Została znaleziona przez pana Aleca Farquhara, pracującego w stoczni Swan Works w Newcastle, podczas prac modernizatorskich przy statku „Mauretania”, i przekazana nam przez panią Alison Skelton. Prezes dołącza się do moich najserdeczniejszych życzeń wszystkiego najlepszego z okazji zbliżającej się rocznicy.

Bellowie natychmiast poznali wymyślną kopertę, którą okrętowa prasa przygotowała na potrzeby ich ślubu. Nazwisko adresata wymazała wilgoć.

– Ciekawe, czyje to zaproszenie? – zastanawiała się Marion. Pochyliła się, by odczytać rozmazane litery, i kosmyki jej złotych włosów musnęły policzek Bella. – Ojej, to zaproszenie Lyndsa! Biedny Clyde.

Wyjęła zaproszenie z koperty. Było w idealnym stanie.

– To naprawdę wzruszające – powiedziała. – Czuję się prawie tak, jakbym znowu wychodziła za mąż.

– A co tu jest na odwrocie? – spytał Isaac.

Pięć lat później

Kino strand na Broadwayu w Nowym Jorku

Isaac Bell uniósł kieliszek z szampanem, by uczcić sukces premiery najnowszego filmu Marion, zwiariowanej komedii *Słuchaj, Nowy Jorku*, gdy nagle usłyszał, jak jeden z krytyków dyktuje recenzję do słuchawki telefonu.

– *Słuchaj, Nowy Jorku* Marion Bell to pierwszorzędną historyjka o knajpach z nielegalnym alkoholem, tancerkach rewiowych i gangsterach. Ale mimo że pierwszy w historii film wysokiej jakości z dźwiękiem zapisanym na taśmie stanowi ogromny skok jakościowy w porównaniu do *Śpiewaka jazzbandu*, oferując zrozumiałe partie dialogowe, widz nie może nie zauważyć, że reżyser kazała aktorom, Jamesowi Cagneyowi i Edwardowi G. Robinsonowi, stanąć tuż pod mikrofonem, zanim zaczęli się przerzucać błyskotliwymi odzywkami.

Isaac odstawił kieliszek.

Marion zatrzymała męża w miejscu, chwytając go za ramię.

– Dokąd się wybierasz?

– Zamierzam strzelić tego faceta w pysk.

– Zamiast nokautować krytyka, co może bardzo niekorzystnie wpłynąć na recenzje mojego kolejnego filmu, wypij ze mną za Clyde'a, którego plany umożliwiły dzisiaj sukces. Chociaż w praktyce robienie filmów dźwięko-

wych okazało się dużo bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażał.

Marion ujarzmiła Isaaca promiennym uśmiechem, a krytyk ocalił twarz, dodając:

– Wszyscy są zgodni, że technika tworzenia filmów dźwiękowych będzie udoskonalana, co w opinii niżej podpisanego umożliwi fenomenalnej Marion Bell jeszcze bardziej rozwinąć skrzydła. Pozostaje więc mieć nadzieję, że wytwórnia pozwoli jej nakręcić kolejny film we współpracy z mieszkającą w Szanghaju scenarzystką Irene Vox. To właśnie dzięki talentowi pani Bell dzisiejszego wieczoru byliśmy świadkami jednego z rzadkich przypadków korzystnego przejścia z kina niemego do dźwiękowego.

Isaac spojrzął na Irene stojącą po drugiej stronie sali. Jasnowłosa scenarzystka była owinięta futrem z soboli i udekorowana od stóp do głów klejnotami, a towarzyszył jej uderzająco przystojny szpakowaty mężczyzna. Z plotek krążących w środowisku filmowców wynikało, że to jej brat albo mąż, obrzydliwy bogacz albo biedny imigrant. Zdaniem Bella, doświadczonego detektywa, wyglądał przede wszystkim na kogoś, kto spędził sporo czasu w więzieniu.

– Już wiem, kogo przypomina mi ta kobieta – powiedział do żony.

– Kogo? – spytała.

– Wtedy nie była blondynką – odparł.

– Ale kogo? – drążyła Marion, która dzisiaj po raz pierwszy spotkała się ze swoją scenarzystką. Wcześniej komunikowały się za pośrednictwem poczty, telegrafu i telefonu.

– Zaproponowałem, że odwiozę ich do hotelu – odrzekł Bell. – Przyjrzyj się jej w samochodzie, to sama się przekonasz.

Irene Vox i jej towarzysz zatrzymali się w hotelu Plaza. Bell i Marion przyjechali na premierę samochodem J-198 Duesenberg, który miał tylko dwa siedzenia, więc detektyw

zadzwoił do domu, by przysłano mu miejski wóz J-140. Isaac prowadził, a obok niego siedział szpakowaty mężczyzna, który nie zdradził mu nic na swój temat, ponieważ nie znał angielskiego.

– No i co? – spytał Bell żonę, gdy ruszali spod hotelu. – Widziałem w lusterku, że cały czas rozmawialiście.

– Miałyśmy sobie dużo do powiedzenia. Przecież nakręciliśmy razem film, a nigdy wcześniej nie było okazji do bezpośredniej rozmowy.

– Ale co ci powiedziała?

Marion położyła dłoń na jego dłoni, gdy zmieniał bieg.

– Powiedziała, że w Szanghaju jest taki zwyczaj, że scenarzystka musi pocałować męża reżyserki w usta.

– I co jej odpowiedziałas?

– Że nie jesteśmy w Szanghaju.